

Elle Kennedy

**KOMPLEKS
GRZECZNEJ
DZIEWCZYNNKI**



Elle Kennedy

**KOMPLEKS
GRZECZNEJ
DZIEWCZYNKI**

Tłumaczyła Katarzyna Krawczyk

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Elle Kennedy
Kompleks grzecznej dziewczynki

Tytuł oryginału
Good Girl Complex

ISBN 978-83-8335-064-6

Copyright © 2022 by Elle Kennedy
Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań 2023
All rights reserved

Redaktor
Magdalena Wójcik

Projekt oraz ilustracja na okładce
Vi-An Nguyen

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki oraz projekt stron tytułowych
Magdalena Zawadzka

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

1. Cooper

Tkwią po uszy w jagerbombach. Wczoraj wzięłem ślub z blenderem i jak niewolnik non stop produkowałem piña colady i daiquiri truskawkowe. Dzisiejszy wieczór upływa pod znakiem red bulla i freballów. I nie zapominajmy o różowym winie. Te dupki i ich różowe wino. Wszyscy oni pokładają się na barze — mam przed nosem ciągnący się od ściany do ściany rząd pastelowych lnianych koszul i fryzur za trzysta dolców; wszyscy wyrzaskują do mnie zamówienia na drinki. Za gorąco na ten cały syf.

W Avalon Bay pory roku odmierza nieskończony cykl najazdów i wyjazdów. Jak w czasie burzy mamy wysoką i niską falę. Koniec lata — zmiana. Opaleni turyści pakują swoje minivany i opchane słodyczami dzieciaki i odjeżdżają w głąb lądu, na swoje przedmieścia i do boksów w biurze. Na ich miejsce napływają tłumy opalonych w solarium rozwydrzonych studentów — armia klonów powracająca do Garnet College. To smarkacze utrzymujące się z pieniędzy złożonych dla nich na funduszach powierniczych; ich rezydencje zastraszają widok na ocean nam, próbującym jakoś przeżyć z drobnych, które wypadną im z kieszeni.

— Hej, koleś, sześć tequili! — woła jeden z klonów, z rozmachem rzucając kartę kredytową na lepki, mokry bar, jakby to miało zrobić na mnie wrażenie. Tak naprawdę to tylko kolejny palant z Garneta, który zstąpił prosto z kart katalogu mokasynów żeglarskich Sperry.

— Przypomnij mi, co my tu robimy — odzywam się do Steph, szykując dla niej rząd jacków i coli do rozniesienia gościom.

Kelnerka sięga do stanika i podnosi każdą pierś, żeby pełniej rysowały się pod czarną koszulką bez rękawów z napisem „Bar na plaży u Joego”.

— Napiwki, Coop.

Racja. Najłatwiej wydaje się cudzą kasę. Bogate dzieciaki ścigają się o pierwszeństwo w szeregu, a za wszystko płaci karta kredytowa tatuśka.

Weekendy na deptaku przypominają ostatni dzień karnawału. Dzisiaj jest ostatni piątek przed początkiem jesiennego semestru w Garnecie, co oznacza trzy dni hulanki — do samego poniedziałkowego poranka bary będą pękały w szwach. Zgarniamy pieniądze garściami. Jednak nie planuję tu pracować przez całe życie. Dorabiam w weekendy, żeby odłożyć, przestać harować dla innych i zostać własnym szefem. Jak już zaoszczędzę odpowiednią kwotę, moja noga nigdy tu nie postanie.

— Uważaj na siebie — ostrzegam Steph, która ustawia drinki na tacy. — Zawołaj, jeśli nie będziesz mogła oderwać od siebie jakiegoś palanta.

Nie po raz pierwszy musiałbym ustawić do pionu kogoś, kto nie potrafi przyjąć odmowy.

W takie wieczory jak dzisiaj w powietrzu unosi się energia innego rodzaju. Wilgotność jest tak wysoka, że słone powietrze można rozsmarować na skórze jak krem z filtrem. Ciała napierają na siebie, żadnych zahamowań, wokół lata testosteron pełen złych intencji.

Na szczęście Steph to twarda dziewczyna.

— Dam sobie radę — puszcza do mnie oko, bierze tacę, przywołuje na twarz profesjonalny uśmiech i odwraca się do sali, kołyszając długą czarną kitką.

Nie wiem, jak ona znosi wszystkich tych obmacujących ją gości. Nie zrozumcie mnie źle, sam bywam obiektem zainteresowania dziewczyn. Czasami panie nabierają odwagi i zbyt się spoufalają. Jednak wystarczy im rzucić uśmiech i kilka słów, a one zaczynają chichotać z koleżankami i dają spokój, nie tak jak ci faceci. Palanty z drużyn sportowych i stowarzyszeń studenckich, zawsze chętni zaliczyć kolejną laskę. Steph wciąż musi unikać ich łap lub uścisków, ma uszy pełne świństw, jakie goście wywrzaskują do niej, przekrzykując głośną muzykę. Trzeba przyznać, że niezwykle rzadko zdarza jej się kogoś walnąć.

To ciągną harówka. Obsługiwanie tych sezonowych pasożytów, tego inwazyjnego gatunku, który nas, lokalsów, wykorzystuje, wysysa do reszty i zostawia nam swoje śmieci.

Niemniej jednak bez nich miasto by nie przeżyło.

— Hej! No co z tymi drinkami!?! — wrzeszczy znów klon.

Kiwam głową, jakbym mówił: „Już do ciebie idę”, chociaż naprawdę mam na myśli: „Celowo cię ignoruję”. Moją uwagę przyciąga gwizd z przeciwnej strony baru.

Miejscowi mają pierwszeństwo w obsłudze. Bez wyjątku. Po nich są stali klienci, którzy zostawiają hojne napiwki, potem ludzie uprzejmi, atrakcyjne kobiety, starsze panie, a potem reszta tych przekarmionych błaznów. Na końcu baru stawiam szklaneczkę burbona dla Heidi, a sobie nalewam drugą. Wychyłamy je jednocześnie, nalewam jej następną.

— Co tu robisz? — pytam, gdyż żaden szanujący się miejscowy nie pokaże się dzisiaj na bulwarze. Tłumy klonów zabiły klimat.

— Przyszłam zostawić Steph klucze, musiałam wpaść do niej do domu. — W pierwszej klasie Heidi była najładniejszą dziewczyną i tak już zostało. Nawet w złachanych szortach i zwykłej niebieskiej, krótkiej koszulce jest bezsprzecznie najgorętszą kobietą w barze. — Pracujesz do zamknięcia?

— Tak, pewnie posiedzę do trzeciej.

— Chcesz potem wpaść? — Heidi wspina się na palce i przechyla nad barem.

— Nie, jutro mam podwójną zmianę, muszę się wyspać.

Heidi robi urażoną minę — początkowo żartobliwie, potem nonszalancko, kiedy uświadamia sobie, że dzisiaj nie mam ochoty się z nią spotkać. Tego lata kilka razy wylądowaliśmy w łóżku, lecz gdybym zaczął regularnie spotykać się z jedną z moich przyjaciółek, zaczęłoby to przypominać związek, a tego chcę uniknąć. Mam wciąż nadzieję, że Heidi się domyśli i przestanie pytać.

— Hej! Hej! — próbuje mnie przywołać zniecierpliwiony, rozczochrany gość na przeciwległym krańcu baru. — Przysięgam, człowieku, podaj mi tego pieprzonego drinka, a rzucę setką!

— Wracaj do pracy — mówi Heidi z sarkastycznym uśmieszkiem i posyła mi całusa w powietrzu.

Nie spiesząc się, podchodzę do faceta. Wygląda jak wypuszczony prosto z taśmy produkcyjnej klonów: sobowtór Kena z prywatnego liceum, z przedziałkiem po boku i uśmiechem z najdroższej kliniki dentystycznej. Obok niego stoi paru identycznych koleśków, także prosto z fabryki; ich pojęcie o pracy fizycznej zapewne ogranicza się do podcierania sobie tyłka.

— No to zobaczmy, gdzie ta setka! — rzucam mu wyzwanie.

Klon rzuca na bar banknot z wizerunkiem Franklina. Dumny z siebie. Nalewam pojedynczą whiskey, gdyż nie pamiętam, co zamówił, i przesuwam w jego stronę. Facet puszcza banknot i bierze do ręki szklankę. Chwytam pieniądze i wsuwam do kieszeni.

— Zamówiłem sześć — mówi zadowolony z siebie.

— Jeszcze pięć stówek, to ci naleję.

Spodziewam się, że zrobi awanturę albo zacznie jęczeć — on jednak wybucha śmiechem i kiwa do mnie palcem. Dla niego to uroczy koloryt lokalny, po który się tu zjeżdżają, chociaż warunki mają gorsze niż w domu. Bogate dzieciaki uwielbiają dawać się rolować.

Ku mojemu bezdennemu zdziwieniu głupek wyszarpuje z grubego zwitka pięć kolejnych banknotów i kładzie je na barze.

— Dawaj najlepszą, jaką masz — mówi.

Najlepsze alkohole w tym barze to niebieski johnnie walker i jakaś tequila, której nazwy nie potrafię wymówić. Żaden z nich nie kosztuje w detalu więcej niż pięć stów za butelkę. Robię więc odpowiednio oszołomioną minę i wchodzę na stołek, po czym z górnej półki zdejmuję zakurzoną flaszkę tequili — dobrze, przypomniałem sobie, co gość zamówił — i nalewam im te superdrogie drinki.

Bogaty goguś, usatysfakcjonowany, odchodzi do swojego stolika.

Drugi barman, Lenny, spogląda na mnie z ukosa. Wiem, że nie powinienem podpuszczać gościa w ten sposób, bo tylko umacnam go w przekonaniu, że można nas kupić i że miasto należy do takich jak on. Ale chrzanić to, nie mam zamiaru do śmierci mieszać drinków. Mam ambitniejsze plany.

— O której godzinie kończysz zmianę? — mruczy kobiecy głos po lewej.

Odwracam się powoli, w oczekiwaniu na puentę. Zgodnie z tradycją po takim pytaniu następuje jedna z dwóch propozycji: „bo chciałabym przy tobie odlecieć” lub „bo chciałabym sprawić, żebyś odleciał”.

W zależności od tego, którą wybierze zaczepiająca, łatwo się domyślić, czy to egoistka w łóżku, czy też taka, która uwielbia obciążać.

Żadna z tych kwestii nie jest specjalnie odkrywczą, lecz nikt nie twierdzi, że klony rojące się corocznie wokół zatoki są oryginalne.

— No więc? — dopytuje blondyna; uświadamiam sobie, że nie mam do dyspozycji żadnej tandetnej riposty.

— Bar zamyka się o drugiej — odpowiadam swobodnie.

— Spotkaj się z nami po pracy — namawia dziewczyna. Zarówno ona, jak i jej koleżanka mają błyszczące włosy, doskonałe ciała i skórę lśniącą po całym dniu na słońcu. Są słodkie, lecz ja nie mam nastroju na to, co proponują.

— Przykro mi, nie mogę — odpowiadam. — Ale wypatrujcie gościa, który wygląda jak ja. Gdzieś tu kręci się mój bliźniak. — Macham ręką w stronę kłębowiska ciał upchanych jak śledzie w puszcze. — Na pewno z chęcią się do was przyłączy.

Chcę przede wszystkim zirytować Evana — chociaż może brat mi podziękuję. Gardzi klonami, lecz chyba nie przeszkadzają mu nagie, bogate księżniczki. Przysięgam, gość chyba planuje przespać się ze wszystkimi laskami w mieście. Twierdzi, że się nudzi. Ja utrzymuję go w złudzeniu, że mu wierzę.

— Boszsz, jest was dwóch? — Dziewczynom niemal natychmiast rozbłyskują oczy.

Chwytam szklankę i wrzucam do niej kilka kostek lodu.

— Ehm. Ma na imię Evan — dodaję uczynnie. — Jeśli go znajdziecie, powiedzcie, że przysłała was Cooper.

Kiedy w końcu dziewczyny oddalają się ze swoimi owocowymi drinkami, z ulgą wypuszczam powietrze.

Praca przy barze to naprawdę porażka.

Przesuwam whiskey z lodem w kierunku chudzielca, który ją zamówił, odbieram od niego pieniądze. Przyglądam dłońią włosy i robię głęboki oddech, po czym odwracam się do kolejnego klienta. Przez większość nocy pijani goście jakoś nie przysparzają

problemów. Bramkarz Daryl wyrzuca wszystkich, którzy mogą zwymiotować, podczas gdy Lenny i ja dajemy po łapach idiotom, którzy próbują sięgać poza bar.

Mam na oku Steph i inne kelnerki przemykające przez tłum. Steph przypadł do obsługi stolik pełny bubków z Garneta, którzy ślinią się na jej widok. Uśmiecha się, lecz ja znam to spojrzenie. Kiedy próbuje odejść, jeden z nich chwyta ją w pasie.

Mrużę oczy. To ten sam gość, z którego wydołem sześć setek.

Jestem tuż przy barze, kiedy Steph rzuca mi spojrzenie prosto w oczy. Jakby wiedziała, co się za chwilę zdarzy, kręci głową, po czym zwinnie wyplątuje się z lepkich łap gościa i wraca do stanowiska kelnerki.

— Mam ich wyrzucić? — pytam.

— Nie, dam sobie radę.

— Wiem. Ale nie musisz sobie radzić. Wyciągnąłem z tych kretynów sześć stów, podzielę się z tobą. Wyrzucę ich.

— Wszystko w porządku. Podaj mi tylko trzy corony i dwa jage...

— Nawet nie mów tego słowa! — Cały się wzdrygam na ten dźwięk. Jeśli nawet już nigdy nie powącham tego czarnego paskudztwa, to i tak swoje przeszedłem. — Muszę zatkać sobie nos.

— Wyglądasz jak gość w stresie pourazowym — śmieje się Steph, kiedy ja z miną cierpiętnika nalewam drinki.

— Powinienem dostawać dodatek za niebezpieczną pracę. — Kończę i przesuвам do niej kieliszki. — Ale poważnie, jeśli ci goście nie potrafią utrzymać łap przy sobie, ja tam podejść.

— Radzę sobie. Ale faktycznie mogliby już pójść. Nie wiem, kto jest gorszy: ten lepki palant czy ten z ostatniego roku, co siedzi w ogródku i płacze, bo tatuś nie kupił mu jachtu na absolorium, chociaż obiecał.

Parskam drwiąco.

Steph wraca na salę z westchnieniem i tacą pełną drinków.

Przez niemal godzinę nie unoszę wzroku. W sali panuje taki ścisk, że twarze zlewają się w jedną masę, a ja nalewam i przesuвам karty kredytowe przez terminal, aż wpadam w trans, niemal nie zdaję sobie sprawy z tego, co robię.

Kiedy następnym razem szukam wzrokiem Steph, widzę, jak bogaty bubek próbuje ją przekonać, żeby z nim zatańczyła. Dziewczyna jak bokser uskakuje i wykonuje uniki, próbując się od niego uwolnić. Nie słyszę, co mówi, lecz nietrudno odgadnąć: „Pracuję, muszę wrócić do pracy, nie mogę z tobą tańczyć, jestem w pracy”.

Nadal próbuje zachowywać się uprzejmie, lecz widzę po jej płonących oczach, że ma dość.

— Len! — wołam, głową wskazując rozgrywającą się scenę. — Daj mi chwilę!
Len potakuje. Dbamy o swoich.

Podchodzę bliżej; wiem, że wyglądam groźnie. Mam metr osiemdziesiąt siedem wzrostu, od wielu dni się nie goliłem, włosy też przydałoby się podciąć. Wyglądam wystarczająco groźnie, by zniechęcić gości do popełnienia głupstwa, a przynajmniej taką mam nadzieję.

— Wszystko dobrze? — pytam, kiedy stoję obok nich. Mój ton daje do zrozumienia, że nie jest dobrze, a ja o tym wiem, więc niech lepiej bubek przestanie, bo wyleję go na zbity pysk.

— Odwal się, mięśniaku — warczy jeden z nich.

Jego słowa spływają po mnie jak po kaczce. Przyzwyczyłem się do wyzwisk.

Unoszę brwi.

— Nie odejdę, dopóki koleżanka mi nie powie, że mogę. — Znacząco spoglądam na dłoń bogatego bubka, wciąż zaczepioną o ramię Steph. — Nie ma w obowiązkach poddawania się macankom bogaczy.

Facetowi wystarcza rozsądku, żeby cofnąć rękę. Steph korzysta z okazji i przyskakuje do mnie.

— Widzisz? Nic się nie dzieje — mówi gość szyderczo. — Żadna dama w potrzebie nie wymaga ratunku.

— I oby tak zostało — podkreślam z równie szyderczym spojrzeniem. — I trzymaj łapy przy sobie.

Oboje ze Steph odwracamy się, żeby odejść, kiedy rozlega się brzęk tłuczonej szklanki.

Niezależnie od gwaru, jaki panuje w pomieszczeniu pełnym ciał tłumiących dźwięki, kiedy tylko na podłodze rozbije się szklanka, natychmiast zapada cisza, w której można byłoby usłyszeć kolibra przelatującego dwa hrabstwa dalej.

Wszystkie głowy odwracają się w naszą stronę. Jeden z kumpli bogatego bubka upuścił szklankę i patrzy na mnie wzrokiem niewiniątka, kiedy na niego spoglądam.

— Ups — mówi.

Cisza znika w śmiechu i oklaskach. Potem znów zaczynają się rozmowy i zbiorowa uwaga klientów baru wraca do poprzedniego stanu rozrywkowego upojenia.

— Szlag by to — mamrocze Steph pod nosem. — Coop, wracaj za ladę. Poradzę sobie.

Odchodzi z poirytowaną miną, podczas gdy grupa bubków przestaje zwracać uwagę na nas, niegodnych, a wraca do głośnych rozmów i śmiechów w swoim towarzystwie.

— Wszystko w porządku? — pyta Lenny, kiedy wracam do niego.

— Nie jestem pewny.

Zerkam znów na grupę gości; marszczę brwi, kiedy stwierdzam, że ich przywódca gdzieś zniknął. Gdzie on się podział, do diabła?

— Nie — odpowiadam po woli. — Chyba nie w porządku. Daj mi jeszcze chwilę.

Po raz kolejny zostawiam Lenny'ego samotnego na pozycjach bojowych, a sam przemykam pod barem i ruszam na poszukiwanie Steph. Kieruję się w stronę zaplecza — pewnie poszła tam po szczotkę, żeby zmieść szkło.

Wtedy właśnie dobiegają mnie słowa:

— Zostaw mnie!

Skaczę za róg i zaciskam zęby na widok pastelowej koszulki bogatego bubka. Gość zapędził Steph do kąta krótkiego, wąskiego korytarzyka, w którym mieści się magazynek. Dziewczyna próbuje precyzyjnie się obok, lecz on zastępuje jej drogę i łapie za rękę. Drugą dłoń przesuwa w dół i próbuje złapać Steph za pośladki.

Chrzanić to.

Rzucam się przed siebie i szarpnięciem za kołnierz pociągam do tyłu — w sekundę gość rozkłada się jak długi na lepkiej podłodze.

— Wynocha — warczę.

— Cooper! — Steph powstrzymuje mnie od dalszych działań, ale w jej oczach widzę wdzięczność. Wiem, że docenia ratunek.

Strząsam ją z siebie, bo tego już naprawdę wystarczy.

— Wstawaj i wypad stąd — mówię do zaskoczonego chuligana.

Gramoli się na nogi, wyrzaskując przekleństwa.

Ponieważ kilka metrów dalej, za rogiem, znajdują się łazienki, jego wrzaski wkrótce ściągają nam widownię. Podbiega do nas grupka studentek, po nich zaś nadciągają inni zaciekawieni gapie.

Nagle korytarz wypełniają kolejne głosy.

— Pres! Bracie, nic ci się nie stało?

Przez tłum przeciskają się dwaj jego kumple. Stoją obok swojego zawodnika, wypinając piersi; jeśli dadzą się wyrzucić na oczach wszystkich zgromadzonych, czeka ich długi rok samotnego picia w domu.

— Masz problem, koleś? — rzuca obmacywacz, mierząc mnie morderczym wzrokiem.

— Już nie — odpowiadam, zakładając ramiona. — Wyrzucam śmieci.

— Czujesz, Preston? — pyta ze złośliwym grymasem kumpel bogatego bubka. — Coś tu śmierdzi.

— Może to śmietnik, w którym mieszkasz? — szydzi drugi.

— Dwa kroki bliżej i powtórzcie, co powiedzieliście — zachęcam, gdyż, do licha,

nudzę się, a ich pyski aż się proszą o to, żeby je trochę przemodelować.

Oceniam swoje szanse. Trzech na jednego, to nie ułomki — każdy ma metr osiemdziesiąt, mniej więcej mojego wzrostu. Mogliby stanowić połowę drużyny piłki wodnej sponsorowanej przez Brooks Brothers. Jednak ja zarabiam na życie, a moje mięśnie nie są tylko na pokaz. Mam przewagę.

— Coop, przestań. — Steph odpycha mnie na bok i staje między nami. — Daj spokój. Już sobie poradzę. Wracaj do baru.

— Właśnie, Coop — przedrzeźnia Preston, po czym odwracając się do kumpli, dodaje: — Tyłek lokalsa nie jest wart tyle kłopotu.

Rzucam spojrzenie na Steph i wzruszam ramionami. Bogaty bubek powinien był wyjść, kiedy dałem mu możliwość.

Bubek wciąż śmieje się z wyższością bardzo zadowolony z siebie, ja zaś wyciągam rękę, chwytam w garść koszulę od Ralpa Laurena i strzelam pięścią prosto w twarz.

Preston zatacza się do tyłu, na kumpli, ci zaś odpychają go do mnie. Zalany krwią chwieje się jak postać z trzeciego aktu horroru, młóci ramionami, rozmazuje sobie krew. Wpadamy na grupę studentek, te zanoszą się krzykiem, zataczamy się na ścianę. W plecy wbija mi się stary telefon na kartę, który nie działa od piętnastu lat — to daje Prestonowi szansę; szczęście mu sprzyja i jego cios trafia mnie w szczękę. Wtedy obracam nas obu, przyciskam go do ściany i już mam rozkwasić mu buźkę, kiedy z tyłu chwytają mnie Joe, właściciel, razem z Darylem i Lennym i wspólnie odciągają mnie od niego.

— Ty miejscowa mierzwo — bulgocze bubek. — Wiesz, że jesteś już całkowicie skończony?

— Dość! — krzyczy Joe, posiwiały weteran z Wietnamu z szarą hipisowską brodą i kucykiem, celując tłustym palcem w Prestona. — Wynocha stąd. W moim barze nie ma bójk!

— Zwolnij tego psychola! — rozkazuje Preston.

— Możesz mnie cmoknąć!

— Coop, stul pysk — mówi Joe i daje znak Lenny'emu i Darylowi, żeby mnie puścili. — Obetnę ci za to z pensji.

— To nie jest wina Coopa — broni mnie Steph. — Ten facet najpierw mnie obmacywał, potem poszedł za mną do magazynku i zapędził w pułapkę w korytarzu. — Cooper próbował go wyrzucić.

— Wiesz, kim jest mój ojciec? — pieni się Preston, trzymając się za ociekający krwią nos. — Jego bank ma połowę budynków na tym śmierdzącym pomoście. Jedno moje słowo, a życie ci obrzydnie!

Joe zaciska usta.

— Twój pracownik mnie pobił — ciągnie Preston z gniewem. — Nie wiem, jak zarządzasz tą speluną, ale gdyby to się zdarzyło w innym miejscu, pracownik, który rzuca się na klienta, zostałby zwolniony. — Na widok uśmiešku na jego twarzy ręce znów zaczynają mnie świerzbić. Mam ochotę udusić go gołymi rękami. — Albo coś z tym zrobisz, albo natychmiast dzwonię do ojca i on załatwi to za ciebie. Wiem, późno już, ale nie bój się, ojciec jeszcze nie śpi. Jest nocnym markiem. — Jego szyderczy uśmiešek poszerza się. — Tak właśnie zarobił swoje miliardy.

Zapada długa chwila ciszy.

W końcu Joe obraca się do mnie z westchnieniem.

— Nie mówisz poważnie — odzywam się zaskoczony.

Znamy się z Joem od lat. Razem z bratem pracowaliśmy u niego w wakacje jeszcze w liceum. Pomagaliśmy mu odbudować bar po dwóch huraganach. Do licha, zabrałem jego córkę na święto homecoming.

Joe ze zrezygnowaną miną przesuwa dłonią po brodzie.

— Joe. Poważnie, człowieku. Pozwolisz im rządzić w swoim własnym barze?

— Przepraszam — odzywa się w końcu Joe i kręci głową. — Muszę myśleć o interesach. O rodzinie. Coop, tym razem posunąłeś się za daleko. Weź sobie z kasy to, co jestem ci winny za ten wieczór, rano wypiszę ci czek.

Bogaty bubek, zadowolony z siebie, patrzy na mnie z drwiącym grymasem.

— Widzisz, lokalsie? Tak to wygląda w prawdziwym świecie — mówi, po czym rzuca Steph zakrwawiony plik banknotów i wypluwa gęstą krew i ślinę. — Bierz, złotko, i sprzątnij tutaj.

— To nie koniec — rzucam ostrzegawczo, kiedy Preston z koleżkami odchodzi dumnym krokiem.

— To się skończyło, zanim się jeszcze zaczęło — woła gość drwiąco przez ramię. — Ty jako jedyny tego nie widziałeś!

Wbijam wzrok w Joego — po oczach widzę, że go pokonali. Nie ma już siły ani chęci podejmować bitwy. Tak właśnie nas podbijają. Krok za krokiem, dopadają nas pojedynczo, aż ze zmęczenia przestajemy się opierać. Potem z naszych umierających rąk wydzierają ziemię, firmy i godność.

— Wiesz — mówię Joemu, biorąc gotówkę i wciskając mu ją w rękę — za każdym razem, kiedy ktoś z nas się im poddaje, ułatwia im okantowanie nas następnym razem.

Tylko... nie. Pieprzyć „następny raz”. Ja tym typom nie zapewnię następnego razu.

2. Mackenzie

Od wyjścia rano z domu rodziców w Charleston czuję z tyłu głowy mrowienie, które nasila się, każąc mi się odwracać. Zerwać do biegu. Uciec. Dołączyć do cyrku, jak w opowieściach, i złościć się — wściekać — na mój dobiegający kresu rok przerwy.

Teraz, w taksówce wiozącej mnie szpalerem dębów do Tally Hall na kampusie Garnet College, dodatkowo ogarnia mnie panika.

To się dzieje naprawdę.

Za soczyscie zielonym trawnikiem i rzędem samochodów roją się studenci pierwszego roku i ich rodzice; wszyscy wnoszą pudła do budynku z czerwonej cegły, strzelającego w czyste niebo na wysokość czterech kondygnacji. Okna mają białe futryny, krawędzie dachu też są białe — to cecha charakterystyczna jednego z pięciu historycznych budynków kampusu.

— Zaraz wracam po pudła — mówię do kierowcy. Zarzucam torbę na ramię i stawiam na ziemi walizkę na kółkach. — Chcę się tylko upewnić, że dobrze trafiłam.

— Nie ma problemu, nie musi się pani spieszyć. — Taksiarz jest niewzruszony, zapewne rodzice zapłacili mu hojnie i z góry za cały dzień odgrywania roli szofera.

Przechodząc pod masywną żeliwną latarnią zawieszoną na belce w drzwiach frontowych, czuję się jak złapana uciekiniarka wracająca po roku swobody. Wszystko, co dobre, szybko się kończy. Jak mam wrócić do zadań domowych i niezapowiedzianych sprawdzianów? Przez dwanaście miesięcy byłam sobie sterem i okrętem, a teraz mam się poddać dyktatowi asystentów i programu studiów?

Na schodach zatrzymuje mnie jakaś matka, pytając, czy zajmuję się zakwaterowaniem studentów. Cudownie. Czuję się jak emerytka. Ogarnia mnie kolejna pokusa, żeby się obrócić na pięcie, w żołądku ścisną mnie z niepewności, lecz zmuszam się, by to zignorować.

Mozolnie wspinam się na trzecie piętro — pokoje są tu nieco większe, nieco sympatyczniejsze. To dla dzieciaków, których dochody rodziców pewnie równają się PKB jakiegoś małego wyspiarskiego państewka. Według e-maila, który mam w telefonie, zamieszkam w pokoju numer 402.

W środku znajduje się mały salon z aneksem kuchennym, po bokach dwie sypialnie. W pokoju po lewej stoi puste łóżko i dopasowane do niego biurko i toaletka. Po prawej,

przez szeroko otwarte drzwi, widzę blondynkę w obciętych spodniach, bez koszulki, która podskakując i kołysząc się, umieszcza rzeczy na wieszakach.

— Cześć! — odzywam się, próbując zwrócić jej uwagę. Kładę bagaże na podłodze. — Hej!

Dziewczyna mnie nie słyszy. Niepewnie podchodzę do niej i klepię w ramię. Blondyna wyskakuje z sandałów i z głośnym klepinięciem zasłania sobie usta, żeby nie wrzasnąć.

— O rany, ale mnie zaskoczyłaś! — odzywa się mocnym południowym akcentem. Oddychając ciężko, wyjmuję z uszu słuchawki bezprzewodowe i wsuwa je do kieszeni. — O mało się nie posikałam.

Widzę jej cycki w pełni chwały, dziewczyna zaś w żaden sposób nie próbuje ich zasłonić. Próbuję patrzeć jej w oczy, lecz sytuacja robi się niezręczna, więc odwracam spojrzenie do okna.

— Przepraszam, że tak wpadłam. Nie spodziewałam się... — że zastanę współlokatorkę odgrywającą pierwszą scenę z amatorskiego pornosa.

Dziewczyna z uśmiechem wzrusza ramionami.

— Nie spinaj się.

— Mogę... eee... wrócić za kilka minut, jeśli...

— Nie, nic się nie stało — zapewnia.

Ukradkiem na nią zerkam — stoi z rękami na biodrach, celując we mnie swoimi reflektorami.

— Czy na formularzu nie zaznaczyłam przez przypadek opcji „nudystka”?

Dziewczyna wybucha śmiechem i w końcu sięga po koszulkę bez rękawów.

— Lubię najpierw oczyścić pokój ze złej energii. Mieszkanie staje się domem dopiero wtedy, kiedy pochodzi się po nim nago, prawda?

— Nie opuściłaś rolet — zauważam.

— Opalałam się w bikini — odpowiada, puszczając do mnie oko. — Jestem Bonnie May Beauchamp. Chyba razem mieszkamy.

— Mackenzie Cabot.

Dziewczyna ściska mnie mocno. Normalnie uznałabym to za rażące naruszenie mojej przestrzeni osobistej — jednak, nie wiadomo czemu, nie potrafię jakoś się na nią obruszać. Może to czarownica. Zahipnotyzowała mnie swoim biustem czarownicy. Mimo to czuję bijącą od niej dobrą energię.

Dziewczyna ma miękkie, łagodne rysy i duże brązowe oczy. Jej uśmiech i błyszczące białe zęby nie stanowią zagrożenia dla kobiet, za to są zachęcające dla mężczyzn. Młodsza siostra całego świata. Z cyckami.

— Gdzie twoje rzeczy? — pyta po uwolnieniu mnie z uścisku.

— Mój chłopak przywiezie większość po południu, mam kilka kartonów w samochodzie na dole. Kierowca na mnie czeka.

— Pomogę ci je przynieść.

To tylko dwa pudełka, ale doceniam propozycję i towarzystwo. Łapiemy pudła i zrzucamy je w pokoju, potem wałujemy się trochę po budynku, poznając okolicę.

— Jesteś z Karoliny Południowej? — pyta Bonnie.

— Z Charleston. A ty?

— Z Georgii. Tata chciał, żebym poszła na uniwersytet stanowy, ale mama studiowała w Garnecie, więc założyli się o wynik meczu... no i znalazłam się tutaj.

Piętro niżej jakiś koleś chodzi z plecakiem termicznym pełnym schłodzonych drinków i każdej z nas próbuje wcisnąć po kubku w zamian za numery telefonów. Ramiona, klatę i plecy ma pokryte napisami wykonanymi markerem — większości numerów brakuje jednej czy dwóch cyfr. Z pewnością wszystkie to fejki.

Odrzucamy ofertę i uśmiechamy się do siebie porozumiewawczo, po czym zostawiamy go i ruszamy dalej.

— Przeniosłaś się z innej szkoły? — pyta Bonnie, kiedy idziemy przez różnorodność lokalnych mikrowspólnot. — To znaczy, nie zrozum mnie źle, ale nie wyglądasz na pierwszozoczną.

Spodziewałam się tego. Czuję się jak opiekunka na koloniach. Jestem dwa lata starsza od mojego roku, bo miałam rok przerwy po szkole, a do przedszkola poszłam rok później, gdyż rodzice postanowili przedłużyć sobie rejs po Morzu Śródziemnym, więc nie trafiłam do szkoły w terminie.

— Miałam rok przerwy. Dogadałam się z rodzicami, że pójdę, gdzie mnie wyślą, jeśli najpierw pozwolą mi popracować na swoim — chociaż gdybym to ja decydowała, całkowicie odpuściłabym sobie ten etap dochodzenia do dorosłości.

— Masz już swój biznes? — Bonnie szeroko otwiera oczy. — A ja przesiedziałam lato przed powtórkami *Vanderpump* i na imprezach nad jeziorem.

— Stworzyłam stronę i apkę — przyznaję. — Nic wielkiego. Żadna tesla ani nic w tym stylu.

— Co za apka?

— To strona, na której ludzie wrzucają śmieszne albo żenujące historyjki o chłopakach. Zaczęło się jako żart dla koleżanek w liceum, a potem jakoś się rozrosło. W zeszłym roku stworzyłam stronę, na którą można wrzucać opowieści o dziewczynach.

Zaczęło się jako mój blog, lecz w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy wypączkowało — musiałam zatrudnić kierownika reklamy, moderatorów strony i dział marketingu. Mam listę płac, rozliczam podatki, a na koncie firmowym siedmiocyfrowe saldo. A na dodatek

do tego wszystkiego mam się martwić referatami i sesją? Jednak umowa to umowa, a ja dotrzymuję umów, chociaż całe te studia to dla mnie zawracanie głowy.

— Boże, znam tę stronę! — Bonnie z ekscytacją wali mnie w ramię. Dziewczyna ma palce ze stali. — *WpadkiChłopaka!* Cholera. W ostatniej klasie razem z dziewczynami spędziłyśmy przy niej więcej czasu niż na nauce. Pamiętasz to? O chłopaku, który zatrzał się czymś na randce, ojciec dziewczyny odwoził ich do domu, a gość dostał biegunki w samochodzie?

Bonnie zgina się w pól, ogarnięta histerycznym śmiechem. Ja też się uśmiecham, gdyż dobrze pamiętam ten post. Dostał ponad trzysta tysięcy kliknięć, tysiące komentarzy i zarobił na reklamach dwukrotnie więcej niż wszelkie inne posty z tamtego miesiąca.

— O rany — ciągnie Bonnie, już wracając do normalnej postawy. — Naprawdę na tym zarabiasz?

— Tak, na reklamach. Całkiem nieźle sobie radzę. — Skromnie wzruszam ramionami.

— Odjazd! — Bonnie wydyma usta. — Zazdroszczę. Ja nie mam pojęcia, co tu robię, Mac. Mogę tak na ciebie mówić czy wolisz Mackenzie? Mackenzie brzmi strasznie oficjalnie.

— Może być Mac — zapewniam, powstrzymując śmiech.

— Po liceum wypada iść na studia, prawda? Tylko niech mnie, jeśli mam pojęcie, co wybrać albo co będę robić, jak dorosnę.

— Podobno studia są po to, żeby odnaleźć siebie.

— A ja myślałam, że do tego służy Panama City!

Śmieję się lekko. Naprawdę podoba mi się ta dziewczyna.

Jakąś godzinę później pojawia się mój chłopak z resztą pudeł. Nie widzieliśmy się od paru tygodni. Byłam zawałona robotą w firmie, żeby móc wszystko przekazać nowym pracownikom etatowym, więc nie miałam czasu na odwiedzin u Prestona. Nigdy dotąd nie rozstawaliśmy się na tak długo, od lata, kiedy on wyjechał z rodziną nad Lago di Como.

Rzuciłam pomysł, żebyśmy wspólnie wynajęli mieszkanie poza kampusem, lecz Preston wyśmiał mnie szyderczo. Po co gnieździć się w jakiejś norze, skoro on ma w domu basen, kucharza i pokojówkę? Nie miałam na to innej odpowiedzi niż protekcyjna. Jeśli chłopak nie chce zamieszkać ze mną, żeby zyskać niezależność, to nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

Mną od liceum kierowała jedynie chęć zdobycia niezależności. Mieszkanie z rodziną przypominało chodzenie po ruchomych piaskach; miałam wrażenie, że za chwilę mnie pochłona, jeśli sama z własnych włosów nie uplotę liny, żeby się po niej wydobyć na świat. Nie zostałam stworzona do tego, żeby mnie utrzymywać. Może dlatego na widok

wchodzącego z pudłami chłopaka, którego nie widziałam od ponad miesiąca, nie czuję szarpającej trzewia tęsknoty ani nie zalewa mnie nagła fala radości, chociaż tak długo się nie widzieliśmy.

Nie chodzi o to, że nie tęskniłam czy że nie cieszę się na jego widok. Tylko... pamiętam moje zakochania z gimnazjum — wtedy czas czekania od obiadu do szóstej lekcji ciągnął się jak wieczność, rozdzierając moje biedne, dojrzewające serce. Chyba dorosłam. Wygodnie nam z Prestonem. Stabilnie. Jesteśmy praktycznie starym dobrym małżeństwem.

O stabilności można powiedzieć dużo dobrego.

— Hej, kochanie. — Nieco spocony od biegania po schodach Pres obejmuje mnie mocno i całuje w czoło. — Tęskniłem. Wyglądasz świetnie.

— Ty też. — Na pewno nie brakuje mu urody. Preston wyróżnia się wyglądem. Jest wysoki, szczupły, lecz umięśniony, ma cudownie niebieskie oczy, które w blasku słońca zaczynają niewiarygodnie błyszczeć. Ma klasyczne rysy i szczupłą twarz, przyciągającą ogólną uwagę. Ostatnio ściął włosy — na górze ma nieco dłuższe, po bokach mocno skrócone.

Lekko odwraca głowę, a ja zauważam siniaki na jego twarzy — przy nosie i prawym oku.

— Co ci się stało? — pytam zaniepokojona.

— A, to. — Dotyka oka i wzrusza ramionami. — Grałem z chłopakami w kosza, zarobiłem piłką w twarz. Nic wielkiego.

— Na pewno? Chyba porządnie boli. — Szczerze mówiąc, wygląda to paskudnie, jak przypalone jajko spływające mu po twarzy.

— Nic mi nie jest. A przy okazji, zanim zapomnę, mam coś dla ciebie.

Sięga do tylnej kieszeni spodni khaki i wyjmuje plastikową kartę z napisem BIG JAVA.

Przyjmuję kartę podarunkową.

— Dzięki, złotko. To do kafejki na kampusie?

Pres żywo kiwa głową.

— Uznałem, że to najlepszy prezent na powitanie dla takiej kawoszki jak ty. Wrzuciłem na nią dwa kawałki, więc na trochę ci starczy.

Słyszę westchnienie Bonnie podsłuchującej z aneksu kuchennego.

— Dwa kawałki? — piszczy.

Fakt, dwa tysiące dolarów na kawę to pójdzie po bandzie, lecz jedną z cech, które uwielbiam u Prestona, jest to, że o wszystkim myśli. Trzy godziny jechał do moich rodziców, sam odebrał moje graty, po czym przyjechał na kampus — a wszystko

z uśmiechem na ustach. Nie narzeka ani nie robi z tego problemu. Robi to, żeby być miłym.

Bycie miłym ma swoje zalety.

Zerkam na współlokatorkę.

— Bonnie, to mój chłopak, Preston. Pres, to Bonnie.

— Miło mi — odzywa się Pres ze szczerym uśmiechem. — Lecę po resztę pudeł Mac, może potem zabiorę was obie na obiad?

— Chętnie — odpowiada Bonnie. — Umieram z głodu.

— Super — dodaję. — Dzięki.

Po jego wyjściu Bonnie unosi kciuki i rzuca mi głupi uśmieszek.

— Miłe. Długo jesteście razem?

— Cztery lata. — Idę za nią do wspólnej łazienki, żebyśmy mogły zrobić włosy i przygotować się do wyjścia. — Chodziliśmy do prywatnego liceum, ja byłam w drugiej klasie, on w ostatniej.

Znam Prestona od dzieciństwa, chociaż biorąc pod uwagę różnicę wieku, nie przyjaźniliśmy się wtedy. Widywałam go w prywatnych klubach, kiedy rodzice wlekli mnie tam ze sobą, na wakacjach, imprezach dobroczynnych i innych takich okazjach. Kiedy poszłam do Spencer Hill, był tak miły, że zaczął mnie rozpoznawać na korytarzu i witać się na imprezach, pomagając w ten sposób zdobyć nieco znaczenia, którego bardzo potrzebowałam, żeby przeżyć i rozkwitnąć w rojących się od rekinów wodach prywatnego liceum.

— Pewnie ci ulżyło, że wreszcie jesteście razem na studiach. Ja bym szalała, zastanawiałabym się cały czas, co on wyprawia, kiedy jest tu sam.

— U nas tak to nie działa — odpowiadam, szczerząc się. — Preston nie jest tym typem. Jemu zależy na rodzinie i na wypełnieniu planu, no wiesz.

— Planu?

Nigdy dotąd nie wydawało mi się to dziwne, dopóki Bonnie nie spojrzała na mnie w lustrze, unosząc brwi.

— Nasi rodzice przyjaźnią się od lat, więc po jakimś czasie rozumiało się samo przez się, że kiedyś skończymy studia, pobierzemy się i tak dalej. No wiesz, plan na życie.

Bonnie wbija we mnie spojrzenie, krzywiąc się.

— A tobie... tobie się ten plan podoba?

— A dlaczego nie?

Niemal dokładnie w ten sam sposób zesłali się moi rodzice. I ich rodzice. Wiem, to jedynie oczko wyżej niż staroświeckie małżeństwa aranżowane, szczerze mówiąc, podejrzewam, że Prestona namówiono do tej pierwszej randki ze mną. Był chłopakiem

z wyższej klasy, ja zaś niezgrabną uczennicą, która jeszcze nie opanowała sztuki używania lokówki. Jednak niezależnie od tego, czy Prestona zachęcili rodzice, żadne z nas nie czuło się zmuszone do tych randek. Szczerze lubiliśmy swoje towarzystwo, nadal tak jest.

— Ja tam nie zniosłabym świadomości, że moje życie jest tak rozplanowane jeszcze przed pierwszym dniem studiów. To jak poznać zakończenie filmu, kiedy się stoi w kolejce po popcorn. — Bonnie wzrusza ramionami i smaruje usta błyszczkiem. — Ale o tam, ważne, żeby tobie się podobało, prawda?

3. Cooper

Od czasów, kiedy byliśmy nierozumiejącymi niczego dziećmi, ścigającymi się na bosaka po wydmach, mącącyimi wodę przed pałacami wartymi milion dolarów i uciekającymi przed gliniarzami — my, niedostosowana społecznie młodzież z Avalon Bay marnująca czas — mieliśmy swoją tradycję. Ostatnia niedziela lata zawsze kończyła się wielkim ogniskiem.

Obowiązywała jedna zasada: tylko miejscowi.

Tego wieczoru mój brat bliźniak i ja urządzamy imprezę u siebie. Niski, piętrowy dom na plaży jest w naszej rodzinie od trzech pokoleń i to po nim widać. Pełen zakamarków budynek niszczeje, potrzebuje ogromnych remontów, lecz zniszczenia nadrabia ogromnym wdziękiem. Pod tym względem chyba przypomina lokatorów. Chociaż Evan zdecydowanie przebija mnie urokiem, bo ja chwilami miewam paskudne nastroje.

Na tarasie z tyłu Heidi przystaje obok mnie; na drewnianej balustradzie stawia butelkę.

— Napoje są na dole. Hektolitry — podpowiadam.

— Nie po to mi butelka.

Heidi odwraca się tyłem do balustrady i opiera o nią łokcie. To u niej typowe. Nic na świecie nie jest w stanie zaspokoić jej ciekawości, ona wciąż szuka czegoś więcej, ponad wszystkim i wszystkimi innymi. W dzieciństwie właśnie to od razu mnie do niej przyciągnęło — jej oczy zawsze spoglądały dalej. Chciałem zobaczyć to co ona.

— Zatem po co? — pytam.

— Mam ochotę wyciąć jakiś numer. Butelka to tajemnica.

Spogląda na mnie z lekkim, przebiegłym uśmiechem. Dzisiaj się odwaliła, przynajmniej na tyle, na ile robią to tutejsze dziewczyny. Podkręcone włosy, ciemnoczerwona szminka. Ma na sobie mój stary T-shirt zespołu Rancid; powycinała go tak, że odsłania jej czarny, koronkowy stanik. Mocno się napracowała, jednak ten wysiłek poszedł na marne, jeśli o mnie chodzi.

— Nie masz nastroju na zabawę, co? — mówi, kiedy nie chwytam przynęty.

Wzruszam ramionami. Faktycznie, nie mam nastroju na zabawę.

— Możemy sobie pójść. — Heidi prostuje się i wskazuje głową wyjście. — Moglibyśmy się przejechać. Jak kiedyś, kiedy podbieraliśmy kluczyki twojej mamie, pamiętasz? Jechaliśmy gdzieś w Tennessee, przesypaniśmy noc na pace.

— A o czwartej nad ranem wściekły strażnik wyganiał nas z parku narodowego.

Heidi wybucha śmiechem i trąca mnie w ramię.

— Brakuje mi tych przygód.

Pociągam łyk z jej flaszki.

— Jakoś już tak nie ciągną, kiedy ma się własne kluczyki i można pić w majestacie prawa.

— Zapewniam cię, że wciąż możemy jeszcze sporo narozrabiać.

Zalotny błysk w jej oczach budzi we mnie smutek. Kiedyś dobrze się bawiliśmy, teraz jednak mam wrażenie, że to naciągane. Niezręczne.

— Coop! — krzyczy do mnie z dołu brat. — Gościu, to impreza. Wbijaj do nas!

Telepatia bliźniaków wciąż działa. Zostawiam Heidi na balkonie, schodzę w dół, a po drodze na plażę chwytam piwo. Przy ognisku stoi Evan z kilkorgiem naszych znajomych. Popijam, podczas gdy oni przerzucają się tymi samymi historyjkami, które opowiadają sobie od dziesięciu lat. Potem nasz kumpel Wyatt organizuje mecz piłkarski przy księżycu — większość gości idzie z nimi, przy ognisku zostaje tylko kilku. Evan siedzi na drewnianym leżaku obok mnie, śmieje się z czegoś, co mówi Alana, lecz ja jakoś nie potrafię cieszyć się imprezą. Coś mnie podskórnie gryzie. Draży. Wygryza dziury w ciele, składa jaja gniewu i żalu.

— Hej! — Evan trąca mnie stopą. — Nie spinaj się tak.

— Nie spinam.

— Taa — odpowiada sarkastycznie. — Widzę. — Wyjmuje mi z ręki pustą butelkę po piwie i rzuca nową z lodówki. — Od dwóch dni chodzisz jak struty. Wiem, wkurzyłeś się, ale to już nie bawi. Upij się, zapal zioło. Gdzieś tu jest Heidi, może cię znów przytuli, jeśli ją ładnie poprosisz.

Tłumię jęk; wśród nich nic się nie ukryje. Kiedy po raz pierwszy poszliśmy z Heidi do łóżka, ledwie rano przetarliśmy oczy, a już wszyscy wiedzieli o tym, co się stało. Kolejny dowód na to, że to był kiepski pomysł. Wiązanie się z przyjaciółkami oznacza proszenie się o kłopoty.

— Spadaj, dupku! — Siedząca po drugiej stronie ogniska Heidi rzuca w niego garść piasku i unosi środkowy palec.

— Ups — mówi Evan, który od początku doskonale zdawał sobie sprawę z jej obecności. — Wtopa.

— Wiesz, to ciekawe — odzywa się Heidi tym pozbawionym emocji głosem, który wyraźnie zapowiada, że ktoś dostanie po jajach — jesteście bliźniakami, ale twojego fiuta, Evan, nie tknęłabym nawet twarzą Coopera.

— Trafiony! — krzyczy Alana, śmiejąc się razem z Heidi i Steph. Ta trójka była

postrachem każdego chłopaka w Zatoce, odkąd skończyliśmy trzecią klasę. Diaboliczne połączenie seksu z terrorem.

W odpowiedzi Evan pokazuje lubieżny gest; powroty do szkolnych czasów to nie jego specjalność. Potem odwraca się do mnie.

— Ja tam uważam, że powinniśmy zaczekać, aż klon wyjdzie z domu, i skopać mu dupę. Wieści szybko się rozchodzą, Coop. Ludzie dowiedzą się, że dajemy sobie wchodzić na głowę, i nagle zaczną uważać, że mogą nas traktować jak śmieci.

— Cooper ma szczęście, że dupek nie wniósł oskarżenia — zauważa Steph. — Jeśli zaczniecie wojnę, może zmienić zdanie.

Ma rację. Ostatnich dwóch dni nie spędziłem w celi tylko dlatego, że ten cały Preston zadowolił się upokorzeniem mnie. Nigdy nie przyznam się do porażki, jednak utrata pracy wciąż boli mnie do żywego. Evan też ma rację: Hartleyowie nie mogą pozwolić sobie na takie traktowanie. Mamy w mieście reputację. Kiedy ludzie wywęszą słabość, zaczną im przychodzić do głowy głupie pomysły. Nawet jeśli nie ma się nic, zawsze znajdzie się chętny, żeby to odebrać.

— Kto to w ogóle jest? — pyta Heidi.

— Preston Kincaid — odpowiada Steph. — Jego rodzina ma tę ogromną rezydencję na wybrzeżu; w zeszłym tygodniu wycięli dwustuletnie dęby, żeby zmieścić trzeci kort.

— Uuu, znam gościa — mówi Alana; jej jaskrawoczerwone włosy błyszczą w świetle ogniska. — Kilka dni temu Maddy prowadziła żaglówkę ojca, wzięła go na pokład z jakąś dziunią. Facet próbował się przystawiać do Maddy na oczach tej dziewczyny. Dosłownie chciał się z nią umówić. Kiedy się wymówiła, grzecznie, bo wciąż miała nadzieję na napiwek, zaczął ją namawiać na trójkąt na pokładzie. Maddy mówiła, że niemal go wyrzuciła za burtę.

— Co za popapraniec — krzywi się Steph.

— Widzisz. — Evan pstryka kapslem kolejnej butelki i pociąga łyk. — Należy mu się. Jeśli utrzymamy mu nosa, przysłużymy się lokalnej społeczności.

Z ciekawością mierzę brata wzrokiem.

— Zemsta, Coop. Gość zaszedł ci za skórę. Oddamy mu z nawiązką.

Muszę przyznać, że z chęcią bym mu się odpłacił. Od dwóch dni spala mnie wewnętrzny gniew. Bar nie był moim jedynym źródłem zarobków, ale potrzebuję tych pieniędzy. Wszystko, na co pracuję, oddaliło się o lata świetlne, odkąd przez tego palanta straciłem pracę.

Zaczynam się zastanawiać.

— Nie mogę mu przyłożyć, bo skończę w kiciu. Nie mogę odebrać mu pracy, bo

przecież, nie oszukujmy się, facet nie pracuje. Urodził się ze srebrną łyżeczką w dupie. Co jeszcze mogę zrobić?

— Och, głupia naiwniaczka — odzywa się nagle Alana, podchodząc do nas i pokazując swój telefon. — Właśnie weszłam na jego profil. Gość ma dziewczynę.

Zmrużonymi oczami wpatruję się w ekran. Interesujące. Dzisiaj Kincaid wrzucił relację z przeprowadzania swojej dziewczyny do akademika w Garnecie. Post ozdobił serduszkami i całym tym przesłodzonym chłłamem, który już z dala świadczy o tym, że ją zdradza i próbuje to przesadnie zrekompensować.

— O cholera — zauważa Evan, biorąc telefon i przerzucając fotki ociekającego kasą jachtu Kincaida. — Niezła laska.

Ma rację. Zdjęcie, które Evan powiększa, ukazuje opaloną wysoką dziewczynę o ciemnych włosach i zielonych oczach. Ma na sobie powycinany biały T-shirt, który zsuwa się z jednego ramienia, ukazując pasek niebieskiego stroju kąpielowego. Nie wiadomo dlaczego ten cienki skrawek materiału jest bardziej podniecający niż najostre zdjęcia pornograficzne, jakie widziałem. Jest jak pokusa. Zaproszenie.

W najgorszej części mojego umysłu kiełkuje okropny pomysł.

— Bierz ją — mówi Evan, bo chociaż pod wieloma względami bardzo się różnimy, to jednak jesteśmy tacy sami.

W oczach Alany błyska łobuzerski ogień.

— Właśnie.

— Co, miałbyś poderwać mu dziewczynę? — pyta z niedowierzaniem Heidi. — To nie zabawka. To...

— Świetny pomysł — wpada jej w słowo Evan. — Wyrwij klonowi laskę, dopilnuj, żeby się dowiedział, a potem zostaw ją na lodzie.

— To obrzydliwe, Evan! — Heidi wstaje i wrywa mu z dłoni telefon. Kłóć się dalej. — Przecież to człowiek.

— To nie człowiek, to klon.

— Chcesz, żeby rzuciła Kincaida, tak? Więc po prostu możemy go przyłapać, jak ją zdradza, i wysłać jej dowód. Wtedy też go rzuci. Wyjdzie na to samo — upiera się Heidi.

— Nie to samo — sprzeciwia się brat.

— Niby dlaczego?

— Bo nie. — Evan kieruje szyjkę butelki w stronę Heidi. — Nie chodzi tylko o to, żeby Kincaid przegrał; musi jeszcze wiedzieć, kto go pobił. Musi go to zabołec.

— Cooper nie musi przecież uwodzić jej tak, żeby się zakochała — dodaje Alana. — Wystarczy tyle, żeby rzuciła gościa. Wystarczy kilka randek.

— Uwieść ją? Czyli masz na myśli, że ma ją przelecieć — mówi Heidi; wychodzi na

jaw, dlaczego tak naprawdę nie podoba jej się ten plan. — To też obrzydliwe.

Przy każdej innej okazji zgodziłbym się z nią, ale nie dzisiaj. Dzisiaj jestem zły, zgorzkniały i żądny krwi. Poza tym uratuję dziewczynę przed Kincaidem, więc właściwie wyświadczę jej przysługę — dzięki mnie nie spędzi życia w nieszczęśliwym małżeństwie, przywiązana do drania, który na początku będzie miły, żeby wydobyć z niej te statystyczne dwa i pół dziecka, po czym całkowicie o niej zapomni zajęty kochankami.

Przez całe życie spotykałem facetów w typie Prestona Kincaida. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień to ja w wieku pięciu lat, stojący z ojcem i bratem na nabrzeżu, zdziwiony, dlaczego ci ludzie w drogich ciuchach odzywają się do taty tak, jakby był psim łajnem, które przylepiło się do podeszwy ich wypasionych sportowych butów. Do licha, może się przecież okazać, że dziewczyna Kincaida jest jeszcze gorsza od niego.

— Ale jeśli gość już ją zdradza, to czy naprawdę mu na niej zależy? — zauważa Steph. To może być problem. — Jeśli nie przejmie się tym, że dziewczyna go rzuci?

Zerkam na Evana.

— Ma rację.

— Nie wiem... — Alana w zamyśleniu wyciąga rękę nad ramieniem Heidi i ogląda zdjęcia w telefonie. — Przejrzałam ich trochę, wydaje mi się, że są razem od kilku lat. Według mnie dla niego to jest ta docelowa.

Im dłużej ten pomysł chodzi mi po głowie, tym bardziej się do niego przekonuję — głównie w nadziei na minę Kincaida, kiedy gość sobie uświadomi, kto wygrał. Jednak także dlatego, że i tak chętnie umówiłbym się z tą dziewczyną, nawet gdyby nie była z nim związana.

— Żeby było ciekawiej — zapowiada Steph, wymieniając spojrzenia z Alaną i rozważając roztaczające się możliwości — nie wolno ci kłamać. Nie możesz udawać zakochanego ani spać z nią, chyba że to wyjdzie od niej. Całowanie dozwolone. Nie możesz też namawiać jej do zerwania z Kincaidem, musi to być jej pomysł, inaczej po co to wszystko? Równie dobrze moglibyśmy wprowadzić w życie plan Heidi.

— Zgoda. — To tak łatwe, że niemal nieuczciwe.

— Omijanie prawdy to też kłamstwo. — Heidi wstaje naburmuszona. — Skąd w ogóle pomysł, że ktoś od nich zejdzie ze swoich wyzyna dla kogoś takiego jak ty? — I nie czekając na odpowiedź, wzburzona odchodzi do domu.

— Nie zwracaj na nią uwagi — mówi Alana. — Mnie się ten pomysł bardzo podoba.

Evan jednak rzuca mi ostre spojrzenie, po czym wskazuje głową kierunek, w którym odeszła Heidi.

— Musisz coś z tym zrobić.

Może i tak. Po kilku wspólnych nocach wróciliśmy z Heidi do platonicznej przyjaźni i przetrwaliśmy bez problemu całe lato. Potem jednak ona zmieniła nastawienie i coraz częściej zaczęła miewać nastroje — podobno to wszystko moja wina.

— Jest dorosła — odpowiadam.

Może Heidi próbuje traktować mnie trochę jak swoją własność, ale przejdzie jej. Przyjaźnimy się od pierwszej klasy. Nie może gniewać się na mnie w nieskończoność.

— No dobra, to jaka jest ostateczna decyzja w sprawie klona? — Evan wpatruje się we mnie wyczekująco.

Unoszę butelkę do ust i upijam szybki łyk. Wzruszam ramionami.

— Wchodzę w to.

4. Mackenzie

W sobotę wieczorem, po pierwszym tygodniu pierwszego roku studiów, Bonnie wyciąga mnie na miasto. „Zorientować się w terenie” — tak to ujmuję.

Na razie doskonale się dogadujemy jako współlokatorki — nawet lepiej, niż przypuszczałam. Jestem jedynaczką, zawsze mieszkałam tylko z rodzicami, więc nieco obawiałam się perspektywy dzielenia mieszkania z całkowicie obcą osobą. Jednak Bonnie jest bezkonfliktowa. Sprząta po sobie i bawi mnie swoimi niewyczerpanymi zasobami południowej bezczelności. Jest jak młodsza siostra, chociaż dotąd nawet nie wiedziałam, że chciałam mieć młodszą siostrę.

Przez godzinę od wyjścia z kampusu tylko wzmocniła we mnie przekonanie, że jest czarodziejką. Ta dziewczyna ma moce, o których zwykła śmiertelniczka może tylko marzyć. W chwili, kiedy podeszliśmy do baru w tej speluncie, w której z sufitu zwisały majtki, a ściany zdobiły tablice rejestracyjne, trzech facetów praktycznie siłą przebiło się przez tłum, żeby postawić nam drinki. Wszystko za jeden uśmiech Bonnie. Od tej pory obserwuję, jak faceci jeden po drugim padają ofiarami jej uroku, chociaż ona nawet nie kiwnie palcem. Po prostu trzepocze rzęsami, pochichocze nieco, zarzuci włosami — a oni gotowi są sprzedać swoje matki na narządy.

— Jesteście tu nowe? — wrzeszczy mi do ucha najnowszy wielbiciel, chłopak wyglądający na sportowca, w za ciasnym T-shircie i obłany zbyt mocno wodą kolońską. Zagaduje mnie, lecz jego oczy wędrują ku Bonnie rozmawiającej z ożywieniem. Nie sądzę, żeby ktokolwiek ją słyszał, gdyż muzyka jest ogłuszająca, ale to chyba nieważne.

— Tak — odpowiadam z twarzą przyklejoną niemal do telefonu, gdyż koresponduję z Presem. Dzisiaj jest u kolegi na pokerze.

Staram się zwracać jak najmniej uwagi na tego gościa, którego zadaniem jest zagadywać „koleżankę”, podczas gdy jego dwóch kumpli idzie za Bonnie na parkiet jak po sznurku. Od czasu do czasu kiwam głową i unoszę wzrok znad telefonu, a facet dzielnie próbuje podtrzymać rozmowę, chociaż oboje zdajemy sobie sprawę, że to niemożliwe, gdyż grający całą mocą zespół zagłusza wszystko.

Po jakichś czterdziestu minutach skrzydłowy wynosi się chyłkiem, a mnie ktoś chwyta za przedramię.

— Nudzi mi się. Zostawmy ich — mówi mi do ucha Bonnie.

— Chętnie. — Energicznie kiwam głową. — Proszę.

Bonnie kieruje bezgłośnie wymówkę w stronę dwóch chłopaków wciąż uczeplonych jej jak kacuszki matki, po czym zabieramy nasze drinki i okrężną drogą idziemy do schodów. Na piętrze, z widokiem na scenę i zespół, znajdujemy stolik w nieco bardziej ustronnym miejscu. Jest tu także ciszej — wystarczająco cicho, by prowadzić rozmowę, nie uciekając się do krzyków lub podstawowych gestów.

— Nie podobają ci się? — pytam. Mam na myśli jej ostatnie ofiary.

— W domu mogę dostać tuzin takich mięśniaków za dziesięć centów. Jejku, gdzie spluniesz, tam członek drużyny piłkarskiej!

Uśmiecham się do niej znad szklanki. Koktajl pełen owoców to niezupełnie mój smak, ale to właśnie Bonnie zamówiła u swoich wielbicieli.

— No to jak wygląda twój typ?

— Wytatuowany. Ciemny, wysoki, po przejściach. Im bardziej emocjonalnie niedostępny, tym lepiej. — Bonnie promienieje. — Jeśli jeszcze ma kartotekę młodocianego przestępcy i motocykl, to możemy przejść do interesów.

Niemal dławię się śmiechem. Fascynujące. Bonnie w ogóle nie wygląda na tego rodzaju dziewczynę.

— Może powinniśmy znaleźć bar, przed którym zaparkowało więcej harleyów. Tutaj chyba nie znajdziemy tego, czego szukasz.

Z tego, co widzę, wybór jest średni. Głównie studenci Garneta, w typie chłopaków z country klubu albo członków stowarzyszeń studenckich, oraz kilku miejscowych wielbicieli plaży w powycinanych T-shirtach. Żaden z nich nawet nie zbliża się do ideału Bonnie — skóry i ćwieków.

— Och, przeprowadziłam rozeznanie — oznajmia Bonnie z dumą. — Podobno Avalon Bay ma właśnie to, czego mi potrzeba, mianowicie bliźniaków Hartley.

— Bliźniaków? — Unoszę brwi.

— Miejscowi. — Bonnie potwierdzająco kiwa głową. — Ale nie jestem zaborcza, wystarczy mi jeden. Skoro jest dodatkowy, moje szanse rosną.

— I ci Hartleyowie spełniają wszystkie twoje kryteria uroczych łobuzów?

— Niewątpliwie. Słyszałam o ich wyczynach od kilku dziewczyn na kampusie. — Bonnie oblizuje wargi. — Dzisiaj chcę powyczyniać co nieco.

Czuję śmiech łapiący mnie za gardło. Co za dziewczyna!

— Nawet ich nie znasz. A jeśli okażą się odrażający?

— Nie są odrażający, bo inaczej nie opowiadałoby o nich tyle dziewczyn. — Bonnie wzdycha z zadowoleniem. — Poza tym ta jedna kilka pokoi od nas... Nina? Dina? Nieważne. Pokazała mi ich zdjęcie. Nie ma obaw, panno Mac, naprawdę nic im nie brakuje.

Zaczynam się śmiać na głos.

— No dobrze. Rozumiem. Będę wypatrywać pary sklonowanych łobuzów.

— Dziękuję. A co z tobą?

— Ze mną?

— Tak. Z tobą.

— Nie zamierzam się uganiać za łobuzami. — Mój telefon znów się rozjarzył; wiadomość od Prestona. Za chwilę zacznie się kolejna partia pokera.

Kolejną rzeczą, którą cenię w Prestonie, jest rutyna. Przewidywalność. Wolę, kiedy wszystko toczy się ustaloną koleją. Lubię planować. Organizować. Chłopak, który o dowolnej porze biega po mieście bez ładu i składu, nie pasowałby do mojego życia. Ale nie wydaje mi się, żeby Bonnie celowała w inwestycję długoterminową — raczej chodzi jej o mikrotransakcję.

— Tak tylko mówię. — Bonnie puszcza do mnie oko. — To krąg zaufania. Nigdy nie szpiegowałabym współlokatorki, gdyby chciała zabawić się nieco na boku.

— Doceniam, ale nie potrzebuję. Jesteśmy sobie z Presem wierni. — Nie zaczynałabym w ogóle tak poważnego związku, gdybym nie była przekonana o jego wierności. Teraz, skoro oboje trafiliśmy do Garneta, zdrada miałaby jeszcze mniej sensu.

Bonnie zerka na mnie z ukosa, po czym uśmiecha się odrobinę protekcyjnie, chociaż wiem, że nie ma takiego zamiaru.

— Naprawdę wierzysz w związki?

— Tak.

Byłam tylko z Prestonem, lecz niezależnie od mężczyzny po prostu jestem monogamiczna.

— Nie rozumiem sensu zdrady. Jeśli chcesz być z innymi, nie wiąż się na stałe. Nie ciągnij za sobą kogoś drugiego tylko dla zabawy.

— No to za świadomość własnych pragnień i ich spełnianie. — Bonnie unosi szklankę. Stukamy się, po czym wypijamy drinki do końca. — Chodź — mówi — zbierajmy się stąd. Muszę wysledzić bliźniaków.

Nie żartuje. Przez kolejne dwie godziny włóczę się za Bonnie, która prowadzi mnie jak paskudnego bloodhouna na smyczy. Ciągnie mnie od baru do baru, szukając nieuchwytnych bliźniaków, zostawiając za sobą niezliczone zauroczone ofiary. Jeden biedak za drugim padają jej do stóp, ugodzeni jej dołęczkami w policzkach. Nigdy nie narzekałam na brak męskiej uwagi, lecz przy Bonnie May Beauchamp mogłabym być równie dobrze stołkiem barowym. Dobrze, że mam chłopaka, bo popadłabym w kompleksy.

Chociaż szczerze pragnę pomóc Bonnie w jej poszukiwaniach lokalnego łobuza, żeby

go potem zniszczyć, w miarę upływu nocy zaczyna mnie męczyć odgrywanie drugorzędnej roli. Jeśli Bonnie wkrótce się nie zniechęci, będę musiała dzielić ją pałką po głowie.

— To ostatni — ostrzegam, kiedy przestępujemy próg kolejnego baru. Ten nazywa się „Rip Tide”. — Jeśli twoich bliźniaków tu nie ma, będziesz musiała zadowolić się jakimkolwiek starym, złym chłopcem.

— Ostatni — zapewnia Bonnie, po czym trzepocze rzęsami, ja zaś, wzorem wszystkich facetów, których spotkałyśmy tej nocy, natychmiast topnieję. Nie można się na nią gniewać.

Bonnie bierze mnie pod rękę i pociąga do środka.

— No chodź, dziewczyno, do dzieła. Mam dobre przecucia co do tego baru.

5. Cooper

Jest tutaj.

Los musi sprzyjać moim planom, gdyż w sobotę wieczorem w „Rip Tide”, gdzie wybraliśmy się z kumplami posłuchać znajomego zespołu, zauważam wśród gości właśnie ją. Siedzi samotnie przy wysokim stoliku stojącym idealnie na mojej drodze — jakby usadziła ją tam jakaś siła wyższa.

Jej twarzy nie da się nie rozpoznać. Do licha, na zdjęciach wyglądała świetnie, ale na żywo całkowicie powala. To dziewczyna, która wyróżnia się w tłumie. Olśniewająca — z długimi ciemnymi włosami i przenikliwym spojrzeniem oczu migoczących w świetle reflektorów sceny. Nawet z daleka emanuje swobodnym luzem i pewnością siebie. W białym T-shircie związanym w pasie i dżinsach odstaje od reszty, bo nie spina się, by dobrze wypaść.

Wystarczyłoby tego, żeby przyciągnąć moją uwagę, nawet gdyby nie miała zabójczego ciała. Ale to też: ma niewiarygodnie długie nogi, jędrny biust i okrągłe pośladki. To dziewczyna, o której marzą moje marzenia.

— To ona? — Alana przechyla się i podąża za moim spojrzeniem do dziewczyny Prestona Kincaida. — Na żywo wygląda lepiej.

Wiem.

— Szybki dymek przed kolejnym zespołem? — proponuje nasz kolega Tate. Wstaje od stołu i przesuwa dłonią po rozwichrzonych blond włosach.

— Nie, zostajemy — odpowiada Alana za nas oboje.

Tate rzuca mi pytające spojrzenie.

— Coop?

Alana znów przejmuje rolę mojej rzeczniczki.

— Cooper zmniejsza ryzyko raka. — Macha ręką. — Idźcie, idźcie.

Tate wzrusza ramionami i odchodzi, za nim idą Wyatt i jego dziewczyna, Ren. Kiedy oddalają się poza zasięg głosu, Alana zwraca spojrzenie na mnie.

— No to dawaj — rozkazuje.

— Co mam dawać?

— Jak chcesz zacząć? Co powiesz? — Odrzuca włosy do tyłu, opiera głowę na rękach i z ironiczną miną robi wielkie, niewinne oczy.

— Odwal się! — Nie potrzebuję porad, jak podrywać dziewczyny.

— Musisz mieć plan — upiera się Alana. To dla niej typowe: jak się czegoś uczepli, próbuje przejąć stery. — Nie możesz tak po prostu podejść i rzucić jej swojego fiuta na kolana.

— Dzięki, zdaję sobie sprawę. — Dopijam piwo i wstaję od stolika.

Alana zatrzymuje mnie, odwija mi rękawy czarnej koszuli, ściąga je na dół i przeczesuje dłonią włosy.

— Po co to? — burczę.

— Żeby zrobić dobre wrażenie — odpowiada. — Może jest pruderyjna i twoje tatuaże ją wystraszą. — Odchyła się, taksuje mnie spojrzeniem, po czym odsyła gestem dłoni. — Gotowe. Ruszaj na podbój.

To właśnie problem z przyjaciółkami.

Idąc do celu, sprawdzam jeszcze szybko, czy gdzieś w okolicach nie czai się Kincaid. Nie to, żebym się bał rewanzu, ale mój plan nie obejmuje bójki w barze. Najwięcej osiągnę jednak wtedy, kiedy pojawię się znienacka, a on się zorientuje, co jest grane, zbyt późno, by zareagować. Zdobędę dziewczynę, zanim przeciwnik w ogóle zauważy, że wszedłem na jego teren.

Pewny, że dziewczyna tym razem przysłała solo, podchodzę do jej stolika. Przyklejona do telefonu nawet mnie nie zauważa, więc klepię ją po ramieniu.

— Hej! — zagaduję, pochylając się do niej, żeby mnie usłyszała poprzez muzykę grzmącą z głośników. — Potrzebny ci ten stołek?

— Nie. — Dziewczyna nie unosi spojrzenia znad rozświetlonego ekranu. — Proszę. — Kiedy siadam, gwałtownie podrywa głowę. — Och. Myślałam, że chcesz go zabrać do innego stołu. Ale w porządku.

— Pomożesz mi rozstrzygnąć zakład? — pytam, przechylając się bliżej. Dziewczyna ładnie pachnie wanilią i cytrusami. Tak ładnie, że niemal zapominam, po co przyszedłem. Nie odsuwa się ani nie chlusta mi drinkiem w twarz — to już dobry początek.

— Hm... jaki zakład? — Jej twarz na moment tężeje nieprzyjaźnie, po czym łagodnieje. Kiedy dziewczyna przesuwając się po mnie spojrzeniem, wiem już, że ją zaintrygowałem.

— A gdybym ci powiedział, że za godzinę wyjdiesz stąd ze mną?

— Powiedziałabym, że podziwiam twoją szybkość, ale lepiej celuj w kogoś innego.

— No to zakład. — Nie spuszczać z niej oczu, wyciągam rękę do przypięczonej umowy. Wiem, że najlepszym sposobem, żeby kogoś naprawdę poznać, jest przycisnąć go i patrzeć, czy odpowie tym samym. Nakręcić go, a potem puścić wolno.

— Mam chłopaka — odpowiada z miejsca dziewczyna, ignorując moją rękę. — Już przegrałeś.

Spoglądam jej w oczy. Bezczelnie.

— Nie pytałem o chłopaka.

Na chwilę dziewczyna traci rezon. Jasne, przecież nikt nie traktuje jej w ten sposób, na pewno nie ten jej dupek. Laski jej rodzaju są przyzwyczajone do tego, że rodzice spełniają każde ich życzenie, a służba skacze wokół przez cały czas. Kiedy już widzę, że wyrobiła sobie jakieś pojęcie na mój temat, wyraźnie uznaje, że jestem ciekawszy niż telefon.

Wyłącza ekran i odsuwa go od siebie.

Cholernie przewidywalne. Każda dziewczyna z bogatej rodziny zastanawia się, jak to jest — być z facetem z za złotych wrót. Pewnie największa przygoda ich życia.

— To jakiś dowcip? — Dziewczyna rozgląda się wokół. — Bonnie cię podpuściła?

— Nie znam żadnej Bonnie. Mam na imię Cooper.

— Mackenzie — odpowiada dziewczyna, marszcząc brwi; wciąż widzę obracające się w jej mózgu trybiki, kiedy zastanawia się, gdzie tkwi haczyk. — Ale naprawdę mam chłopaka.

— Cały czas to mówisz.

Pochylam się do niej; tym razem się nie odsuwa. Dzieli nas ledwie kilka cali, powietrze między nami rzednie.

— W świecie cywilizowanym — odpowiada powoli — to się liczy.

— Rozglądam się i nie widzę tego kogoś, kim się tak przejmujesz.

Dziewczyna ma minę niedowierzającą, ale i lekko rozbawioną. Doskonale wie, jak jest atrakcyjna, i przywykła do uganiających się za nią mężczyzn. A jednak wyczuwam jej skrępowanie. Zbiłem ją z tropu. Widzę, że się zastanawia. Spotkałem mnóstwo takich dziewczyn, z kilkoma się przespałem, teraz więc widzę, jak przez jej ładną głowę przebiegają wymyślne fantazje i wyobrażenia tego, co może nastąpić dalej.

— Przyszłam tu z koleżanką z pokoju. — Wciąż mówi tonem obronnym, zdecydowana się nie ugiąć, a przynajmniej chce zrobić wrażenie nieugiętej. Ta kobieta nigdy nie była łatwym celem. — To wieczór tylko dla dziewczyn.

— Jak widać, wyjątkowo upojny — mówię przeciągle, wskazując stojącą przed nią szklankę z wodą. — Chyba ktoś tu ma kompleks grzecznej dziewczynki, co?

— Jestem bardzo ciekawa, co chcesz osiągnąć, obrażając mnie. Na pewno nie wygraną.

— Poczekaj jeszcze trochę, to się dowiesz.

Dziewczyna unosi swoją szklankę.

— To po prostu z przyjaźni. Już wyczerpałam mój limit dwóch drinków na wieczór.

— Jak zechcesz, księżniczko.

Dziewczyna kręci słomką w szklance.

— Próbuję mieć oko na moją współlokatorkę.

— A gdybym ci powiedział, że wyglądasz na samotną?

Dziewczyna przechyla głowę i mruży oczy. Widzę, jak trybiki w jej mózgu obracają się, kiedy mnie analizuje.

— Dlaczego miałabym być samotna?

— Opuśćmy sobie wstępne pierdoły.

Dziewczyna z lekkim uśmiechem kiwa głową.

— Okej.

— No więc, jesteś atrakcyjną kobietą, siedzisz sama w barze pełnym ludzi, przyklejona do telefonu, bo wolałabyś być gdzieś indziej. Nieważne, co to za miejsce, ale bawi się w nim ktoś bez ciebie. A jednak siedzisz tutaj, znudzona do bólu, w imię wierności, łudząc się, że wpędzanie siebie samej w dół pokazuje, jakim jesteś dobrym człowiekiem. Tak, według mnie jesteś samotna. Chyba bardzo chciałabyś się wreszcie rozerwać i skrycie cieszyć się, że podszedłem. W najgłębszym, najciemniejszym zakamarku mózgu pragniesz, żebym dał ci powód do bycia niegrzeczną.

Mackenzie nie odpowiada. Przez wąską przestrzeń między nami zaczynają przeskakiwać iskry; widzę w jej oczach walkę z niezdecydowaniem. Dziewczyna zastanawia się nad tym, co powiedziałem, dziabie słomką wodę z lodem.

Jeśli każe mi spadać, to koniec. Rzuciłem jej wyzwanie; jeśli mnie nie spławi, tym samym przyzna, że mam odrobinę racji. Jeśli się na to zdecyduje, wybierze ścieżkę w nieznanie. Bez zasad, na terenie niebezpiecznym dla kogoś, kto od urodzenia ma życie zaplanowane w szczegółach. Bogaci nigdy nie muszą myśleć samodzielnie.

Jeśli pójdziesz za mną, przyszłość stanie się znacznie mniej przewidywalna.

— No dobrze — mówi w końcu. — Przyjmuję zakład. — Widzę, że wciąż nie ufa moim motywom, ale też jest zaintrygowana. — Jednak jeśli się spodziewasz, że zaciągniesz mnie do łóżka, to lepiej od razu wyskakuj z kasy.

— Jasne. Po co mam cię kusić obietnicą miłego wieczoru.

Dziewczyna unosi oczy do nieba; próbuje ukryć uśmiech, ale jej to nie wychodzi.

— Czułem twoją negatywną energię aż tam. — Głową wskazuję stolik, przy którym Alana i reszta mojego towarzystwa nieudolnie udaje, że nas nie obserwują. — Szczerze, to ostrzeżenie. Jeśli nie poprawi ci się nastrój, będziemy musieli poprosić cię o opuszczenie lokalu, żebyś nie zarażała innych.

— Och! — Dziewczyna udaje poważną minę. — Jeśli to kwestia medyczna, to oczywiście, jak najbardziej.

Przynajmniej potrafi żartować. Bałem się, że się okaże kolejną zarozumiałą dziunią,

której horyzonty ograniczają się do ciuchów i lakierów. Wchodząc w to, zakładałem, że będę miał do czynienia z typową dla klonek złośliwością, lecz ta dziewczyna wydaje się normalna, nie zadziera nosa i nie udaje.

— Zatem czemu dałaś się wyciągnąć z domu? — pytam. Im więcej dam jej mówić o sobie, tym mocniej osłabię jej osłony. Będzie miała wrażenie, że to ona kontroluje sytuację.

— Moja współlokatorka poluje na bliźniaków — odpowiada dziewczyna.

No proszę.

— Dla sportu czy mięsa?

— Trochę jednego i drugiego. — Dziewczyna błądzi spojrzeniem po lokalu, zapewne poszukując owej nieuchwytniej współlokatorki. — Podobają jej się społecznie bezproduktywni faceci, którzy swoją osobowość wyrażają na skórze. Wbiła sobie do głowy, że przy bliźniakach ma większe szanse. Według mnie fotka na Instagramie wrzucona po szalonej nocy nie jest warta narażania się na opryszczkę, ale co ja wiem?

Z trudem utrzymuję niezmienny wyraz twarzy. To już idzie zbyt dobrze. Niemal mam wyrzuty sumienia, że jej to robię, ale skoro według niej mam opryszczkę, to może jednak nie muszę się czuć winny.

— Znasz tych bliźniaków? — pytam niewinnym tonem.

— Nie, ale są tak znani, że ich zła opinia dotarła nawet na kampus do studentek pierwszego roku, i to już w pierwszym tygodniu roku akademickiego, więc pewnie zebrali mnóstwo doświadczeń. — Krzywi się z niesmakiem. Gdyby cała sytuacja tak mnie nie bawiła, poczułbym się obrażony. — Każdy facet, który tak mocno się udziela, wypełniłby zarazkami chorób wenerycznych całą szalkę Petriego.

— Bez wątpienia — przytakuję z powagą. — Znasz może nazwisko tych dwóch pacjentów zero?

— Hartleyowie. Są tutejsi. — Jej twarz się rozjaśnia. — Nie znasz ich przypadkiem? Bonnie by się ucieszyła, gdyby mogła się czegoś o nich dowiedzieć, ale jeśli to twoi przyjaciele czy coś w tym rodzaju...

Ledwie znoszę już to napięcie.

— E tam, zapomnij o tych dwóch. — Walczę ze sobą, by ukryć uśmiech. — Zwyczajne gnojki.

— Mac! Jeszcze jedna kolejka, potem... och! — Do stolika podchodzi niska blondynka i zatrzymuje się gwałtownie, przebijając mi wzrokiem czaszkę. Jej twarz oblewa się gorącym różem, spojrzenie dużych oczu szybko przenosi się na Mackenzie.

Dziewczyny wymieniają spojrzenia przez kilka niepewnych sekund, odbywając

jednocześnie gimnastykę umysłową, po czym Mackenzie chwyta mnie za nadgarstek i podciąga rękaw do góry.

— Ja pierdzielę — mówi do mnie, ciskając iskry z oczu. — Nie. Niemożliwe. To nie w porządku. — Odchyła się na oparcie i obronnym gestem krzyżuje ramiona. — Wiedziałeś, że mówię o tobie, i podpuszczałeś mnie specjalnie?

— Nigdy nie rezygnuję z darmowej rozrywki — odpowiadam, wreszcie pozwalając sobie na szeroki uśmiech.

Jej współlokatorka zajmuje miejsce na stołku obok i przygląda się nam. Nagle przychodzi mi do głowy, że z jej powodu sytuacja może się skomplikować. Ta druga dziewczyna albo zniweczy moje plany, przejmując inicjatywę i odstrasząc Mackenzie, zanim w ogóle przejdę do ataku, albo jest moim asem w rękawie. Jeśli przeciągnę ją na swoją stronę, to już prosta droga do celu. Na szczęście mam w zapasie drugiego siebie, którego mogę jej rzucić na pożarcie.

— Podszedłeś mnie! — mówi z oburzeniem Mackenzie. — Celowo próbowałeś mnie oszukać. Tak nie wolno. Teraz już w ogóle nasze ustalenia się nie liczą. Nie poznaliśmy się. Nie znam cię.

— O rany. — Odsuwam się od stolika, dławiąc się ze śmiechu. — Teraz dopiero mam o czym myśleć. A do myślenia potrzebuję kolejnego drinka. Jeszcze kolejka? — Tym razem zwracam się do koleżanki, która wciąż ma podziw na twarzy.

— Poproszę — odpowiada. Mackenzie robi minę, jakby chciała się sprzeciwić; współlokatorka rzuca jej szybkie spojrzenie. — Dzięki.

Kieruję się do baru; po drodze dostrzegam Alanę, która wstaje od stolika i idzie za mną. Wybiera okrężną drogę, powoli mija Mackenzie i jej współlokatorkę, podczas gdy ja zamawiam trzy piwa.

— Chyba poszło nieźle — mówi Alana, kiedy w końcu przeciska się do baru obok mnie. Zespół właśnie skończył grać, zapada chwila ciszy, po czym pomieszczenie zalewa muzyka z głośników, podczas gdy na scenie rozstawia się kolejna grupa.

— Jest w porządku — wruszam ramionami. — Dość wyszczekana, ale przecież to mnie nigdy nie zniechęcało.

— Jasne, ale wiesz, nie przywiązuj się. — Alana zamawia dla siebie shota.

— Dopiero ją poznałem, wyluzuj. — Poza tym przywiązanie nigdy nie było moim problemem. Dorastając tutaj, dawno się już nauczyłem, że wszystko minie. Nie ma sensu inwestować w siebie. Tak jest łatwiej. Czysto. Oszczędza się wszystkim żalów i zmartwień.

— Słyszałam, jak rozmawiają. — Alana wychyla swojego drinka i krzywi się, bo alkohol pali ją w gardło. — Blondyna mówiła coś w rodzaju: „Jest twój, jeśli chcesz”, ale

nasza odpowiedziała: „Nie, dzięki, bierz go”. Zatem... — Obraca się i opiera o bar, spoglądając w kierunku stolika dziewczyn. — Wciąż jeszcze sporo pracy przed tobą.

— Nie mam teraz czasu opowiadać, ale może będę musiał napuścić blondynkę na Evana.

— Jak też on sobie poradzi! — Alana przewraca oczami.

Współlokatorka jest bez wątpienia atrakcyjna, ale nie w moim typie. Zresztą jest o połowę niższa ode mnie, a ja nie lubię narażać się na wypadnięcie dysku, kiedy pochylałam się, żeby całować dziewczynę.

Barman przychodzi z moim zamówieniem; zabieram szklanki i wracam do dziewczyn, Alana za moimi plecami wykrzykuje na pożegnanie coś w rodzaju: „Bierz je, tygrysie”. Nie zdawałem sobie sprawy, że przekształcenie mojego życia seksualnego w sport olimpijski okaże się tak wstrętne.

Podchodzę do stolika, stawiam piwa i siadam. Kiedy Mackenzie odsuwa wodę i przyjmuje piwo ode mnie, wiem już na pewno, że podjęła wyzwanie. Gdyby miała się przestraszyć i uciec, już by jej tu nie było.

— Cooper Hartley. — Wyciągam rękę do jej współlokatorki, która przygląda mi się otwarcie.

Dziewczyna ujmuje moją dłoń i zatrzymuje na chwilę w drobnych palcach.

— Bonnie May Beauchamp — przedstawia się z mocnym południowym akcentem. — Twój brat się gdzieś tu nie kręci?

— Nie, wpada w kłopoty gdzie indziej. — Ściśle rzecz biorąc, ogrywa bogatych smarkaczy w bilard, ściągając z nich kasę zarobioną przez ich fundusze powiernicze. To właściwie jego drugi etat. — Nie mogę go nigdzie brać.

— Jaka szkoda! — Bonnie robi żartobliwie urażoną minę.

Bonnie jest bez wątpienia buteleczką ognia. Psozna erotyczna energia aż się z niej wylewa.

— Miałyśmy nadzieję, że masz jakieś poufne informacje na temat innej imprezy, prawda, Mac? Gdzieś... w bardziej ustronnym miejscu.

Mackenzie rzuca na koleżankę spojrzenie, w którym wyraźnie widać konflikt wewnętrzny. Tłumię uśmiech. Jeśli teraz odmówi, koleżanka straci przez nią okazję podrywu. *Znalazłaś się w ślepych zaułku, Mac.* Współlokatorka i ja jesteśmy już bliskimi przyjaciółmi. Będzie łatwiej, niż się spodziewałem.

— Ustronnym? — pytam.

Mackenzie rzuca mi szybkie spojrzenie; teraz zdaje sobie sprawę, że od początku nie miała szans na wygraną w naszej grze. Gdybym potrafił się tym przejmować, pewnie

bym miał wyrzuty sumienia. Jest atrakcyjna i całkiem dobrze się z nią rozmawia, lecz nie zapomniałem, po co tu przyszedłem. To jedynie środek do celu.

— Znam takie miejsce. — Jest za wcześnie, żeby zapraszać je do domu. Oznaczałoby to jawne zaproszenie do seksu, a taka strategia przy niej się nie sprawdzi. Muszę zbliżyć się stopniowo. Stworzyć więź. Zaprzyjaźnić się. Kiedy trzeba, potrafię zdobyć się na cierpliwość; niech sama do mnie przyjdzie. Celem misji jest rozbitcie jej związku z Kincaidem, a żeby to wyszło, muszę w nią zainwestować.

— To wcale nie brzmi groźnie. — Mackenzie też potrafi się odgryźć.

— Wchodzę w to. — Bonnie spogląda na koleżankę wzrokiem w stylu: „Tatusiu, chcę kucyka”.

— Nie wiem... — Mackenzie niezdecydowanie patrzy na telefon. — Dochodzi pierwsza. Mój chłopak już pewnie wrócił do domu i czeka na telefon ode mnie.

— Przeżyje — przekonuje ją Bonnie coraz natarczywiej. — Proszę!

— No już, księżniczko. Zabaw się trochę.

Mackenzie walczy ze skrupułami; przez ułamek sekundy zaczynam wątpić w moją znajomość dziewczyn. Może źle ją oceniłem, może to nie jest znudzona bogaczka, która musi się wyluzować. Może potrafi wstać, odejść i nigdy już na mnie nie spojrzeć.

— No dobrze — ustępuje. — Najwyżej godzinę.

Nie, wciąż się na tym znam.

6. Mackenzie

Nie do końca wiem, jak tu trafiłyśmy. Jestem z Bonnie, Cooperem i jego bliźniakiem Evanem; siedzimy na piasku wokół płonącego ogniska, a fale uderzające o brzeg i szum morza zagłuszają dźwięki dobiegające z bulwaru. Maleńkie iskry i drobiny żaru migoczą i unoszą się w ciepłe powietrze nad oceanem. Za wydmami połyskują światła, odbija je woda.

Wyraźnie straciłam rozum. Ktoś musiał ukraść mi mózg, skoro zgodziłam się, żeby ten nieznajomy zaprowadził nas w ciemność. Teraz Bonnie przytula się do swojego nowego chłopaka łobuza, a ja czuję narastające poczucie niepewności. Jego źródłem jest przestrzeń wielkości Coopera po przeciwnej stronie ogniska.

— Ściemniasz — oskarża Bonnie. Siedzi po turecku obok mnie, śmieje się, ale niedowierzająco.

— Nigdy w życiu! — Evan unosi dłonie w obronie swojej niewinności. — Cooper siedzi na tyle radiowozu z tą cholerną kozą, koza wariuje ze strachu i rzuca się po całym siedzeniu. Kopnęła go w czoło, krew sika dookoła, więc Cooper próbuje uspokoić kozę, ale całe siedzenie już jest mokre i śliskie. Cooper jest we krwi, koza też i nawet okna. A ja prowadzę skradziony radiowóz, kogut błyska, syrena wyje, co zechcesz.

Zaśmiewam się z tego zdumiewającego opisu i ożywionej gestykulacji. Evan wydaje się bardziej wyluzowany niż Cooper, który robi wrażenie nieco zasadniczego. Twarze mają identyczne, ale łatwo ich odróżnić: Evan ma krótsze ciemne włosy i ramiona pozbawione tatuaży.

— A potem słyszemy radio — włącza się Cooper; na jego zdecydowanie zbyt przystojnej twarzy tańczą cienie i migotliwe plamy światła ogniska. — Podobno jacyś gówniarze ukradli kozę i wóz. Gliny ustalają zasięg poszukiwań, blokują most. Myślimy sobie: cholera, dokąd zabrać to przeklęte zwierzę?

Nie potrafię oderwać wzroku od jego ust. Jego rąk. Tych umięśnionych ramion. Próbuję podążać wzrokiem za liniami tatuaży na żywo gestykulujących rękach. To tortura psychiczna. Jestem przywiązana do krzesła, oczy mam przymusowo otwarte, a widok jego ciemnych oczu i krzywego uśmiechu doprowadza mnie do szaleństwa. A chociaż twarz Evana wygląda dokładnie tak samo, nie wiem, czemu na niego tak nie reaguję. Nawet w połowie. Tylko na Coopera.

— Mieliśmy wtedy po trzynaście lat, gliniarze gonili nas po całym mieście — ciągnie

Evan. — A wszystko dlatego, że Steph zobaczyła kozę przywiązaną na czyimś podwórku i przeskoczyła przez płot akurat w chwili, kiedy właściciel wyszedł z domu ze strzelbą. Pomyśleliśmy sobie z Coopem: no co jest, tej wariatce zaraz odstrzelą dupę z powodu jakiejś kozy.

— Przeskoczyliśmy przez płot, ja rozwaliłem młotkiem kłódkę przy łańcuchu...

— I tak przypadkiem miałeś przy sobie młotek? — Nawet mój własny głos brzmi dziwnie w moich uszach. Brakuje mi tchu, gdyż serce bije mi szybko, chociaż cały czas siedzę. Całkowicie nieruchomo. Zniewolona jego urokiem.

— Taa. — Spogląda na mnie, jakbym zadała dziwne pytanie. — To tania kłódka. Kilka razy walniesz z boku i cały mechanizm w środku się rozpada. Evan chwycił kozę, uciekliśmy, unikając śrutu, bo właściciel był zalany w trupa i za cholerę nie mógł wycelować.

— Ale skąd radiowóz? — pyta Bonnie.

— Uciekaliśmy z kozą na łańcuchu, kiedy wyhaczył nas gliniarz. — Evan ożywia się, gestykuluje butelką piwa, które przyniósł ze sobą na plażę. — Wyciągnął paralizator, ale nas było troje i koza, więc nie mógł się zdecydować, w kogo mierzyć najpierw. Zostawił wóz otwarty, więc uznałem: pieprzyć to, wskakujemy.

— Evan i ja wsiedliśmy — podejmuje Cooper. — A Steph uciekła, żeby odciągnąć gliniarza. Kozą rzuca się jak wściekła, kopie mnie wszędzie, ja już zamroczony ledwie co widzę, w oczach mi ciemnieje, a wtedy Evan mówi: „Bracie, musimy zostawić wóz i uciekać”.

— A co się stało z kozą? — pytam teraz już szczerze zaciekawiona losem biednego zwierzęcia, lecz także w panicznym strachu, że wszyscy zauważą mój dziwny nastrój. I to, jak gapię się na Coopera.

— Evan skręcił w drogę pożarową do parku stanowego, jakoś wyciągnął kozę i zabrał ją do lasu. Ja zostałem na ziemi przy radiowozie, więc kiedy dotarli tam gliniarze, zobaczyli, że jestem nieprzytomny i zalany krwią, właściwie wyglądałem na trupa, zaczęli świrować. Zapakowali mnie do karetki. Obudziłem się w szpitalu. W całym zamieszaniu wymknąłem się i dotarłem do Evana do domu, jakby nic się nie stało.

— I nie złapali was? — Bonnie zanosi się śmiechem.

— Nie — odpowiada Evan. — Udało nam się wykręcić.

— A kozę zostawiliście w lesie? Samą? — Wbijam w nich wzrok, jednocześnie rozbawiona i przerażona.

— A co, do diabła, mieliśmy z nią zrobić?

— Nie to! O Boże, biedna koza. Teraz będę miała koszmary, że gdzieś tam płacze w ciemności. Albo że gonią ją rysie albo coś w tym rodzaju.

— Widzisz? — Evan klepie brata w przedramię. — Dlatego nie dajemy dziewczynom namówić się na odgrywanie bohatera. Zawsze się do czegoś przyczepią.

Mimo wszystko też się śmieję. Obraz chłopców grzejących przez miasto radiowozem, ledwie wystających znad kierownicy, z przerażoną i miotającą się kozą jest naprawdę przekomiczny.

Przez jakiś czas jeszcze opowiadamy sobie nawzajem co zabawniejsze historyjki z życia. O tym, jak Bonnie i jej drużyna cheerleaderek na zawodach na Florydzie zjeżdżały po poręczy schodów reprezentacyjnych w hotelu, albo o tym, jak na wakacjach pod namiotem z rodziną koleżanki poznały paru chłopaków i wszyscy omal nie spalili kempingu, puszczając sztuczne ognie.

W końcu nadchodzi ten moment, na który Bonnie tak niecierpliwie czekała cały wieczór.

Evan bierze koc, który przyniósł z samochodu, i pyta Bonnie, czy ma ochotę na spacer. Od początku tych dwoje robi do siebie słodkie oczy. Zanim się oddalą, Bonnie odwraca się jeszcze, sprawdza, czy nie przeszkadza mi, że zostanę sama, a ja kiwam głową.

Jestem przerażona perspektywą sam na sam z Cooperem, ale też tego właśnie pragnę.

— No to moje zadanie na dzisiaj wykonane — odzywam się, próbując zachowywać się normalnie.

Cooper patykiem przesuwa płonące polana.

— Nie martw się, nic jej nie grozi. Evan gada jak przestępca, ale nie jest zbrojnym.

— Nie martwię się. — Wstaję i zajmuję miejsce po Ewanie, obok Coopera. Nie powinnam tego robić, ale chcę się trochę poumartwiać. Nie wiem, czy to kwestia jego samego, czy uderzającego do głowy zapachu palonego drewna, lecz czuję się pijana, chociaż wypiałam tylko jedno piwo. — Szczerze mówiąc, obaj jesteście inni, niż się spodziewałam. W dobrym sensie.

Ooo... zdaję sobie sprawę, że zabrzmiało to jak zaproszenie do flirtu. Policzki mnie palą; mam nadzieję, że Cooper nie odczyta tej uwagi jako oznaki zainteresowania.

— W takim razie — mówi, kręcąc głową — czekam na przeprosiny za to posądzenie o opryszczkę.

— Odmawiam zeznań. — Tłumię uśmiezek i zerkam na niego kątem oka.

— To teraz tak to wygląda? — Cooper unosi brwi, rzucając mi żartobliwe wyzwanie.

— Nie wiem, o czym mówisz. — Wzruszam ramionami.

— No dobrze. Rozumiem. Zapamiętam to sobie, Mac. Miałaś okazję stać się kimś więcej.

— Aha — kpię — to między nami wojna? Wrogowie na śmierć i życie do grobowej deski?

— Ja tylko kończę, co zaczęli inni. — Cooper robi minę twardziela i kopnięciem przysypuje mi piaskiem stopy.

— Cóż za dojrzałość.

— A teraz porozmawiajmy o naszym zakładzie, księżniczko.

Tym mnie całkowicie rozłożył. Tym jednym słowem, drwiącym przewiskiem. Mrugam, kiedy dociera do mnie nieodwołalna, przerażająca prawda.

Cooper jest pociągający.

Niewiarygodnie pociągający.

I nie tylko z powodu symetrycznej, szczupłej twarzy i głębokich ciemnych oczu, które zdają się patrzeć z otchłani wieków. Roztacza też aurę człowieka, który ma wszystko w nosie, a to, jak się okazuje, wyjątkowo do mnie przemawia. W świetle ogniska wydaje się niemal złowrogi — jak nagły odblask płomienia na ostrzu noża. Jednak ma też w sobie niezaprzeczalny magnetyzm.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam tak wyraźnie fizyczny pociąg do mężczyzny. Może nigdy.

Nie podoba mi się to. Nie tylko dlatego, że mam chłopaka, ale też dlatego, że puls mi przyspiesza, policzki palą, a nie znoszę poczucia, że nie kontroluję własnego ciała.

— W ogóle nie omówiliśmy wygranej — rozważa Cooper.

— No to czego chcesz? — Będę uczciwa. Można o mnie sporo powiedzieć, ale dotrzymuję słowa.

— Chcesz się pomiziać?

Zachowuję spokój, chociaż puls przyspiesza mi jeszcze bardziej.

— Czego jeszcze chcesz?

— Tak sobie myślałem, że postawienie lodu to może za dużo na początek, ale jeśli ponegocjujemy...

Uśmiecham się mimo woli.

— Wstydu nie masz.

Jakoś udaje mu się rozładować chwilowe napięcie; znika niezręczność sytuacji, już nie czuję się tak nieznośnie skrępowana.

— Chociaż — ciągnie Cooper z seksownym uśmieszkiem błędzącym po wargach — twarda z ciebie negocjatorka. Najpierw ja zrobię ci dobrze.

— Chyba nie. Chyba mamy tu impas.

— Naprawdę? — Spogląda na mnie spod półprzymkniętych powiek. Wiem na

pewno, że rozbiera mnie w myślach. — No dobrze. Ale zapamiętam to sobie. Jesteś mi coś winna.

W pewnej chwili czuję, jak w kieszeni brzęczy mi telefon, lecz wtedy jesteśmy głęboko pogrążeni w dyskusji o społeczno-ekonomicznych konsekwencjach wypieków. Zerkam na ekran, sprawdzając, czy to nie Bonnie wzywa pomocy, lecz to tylko Preston pisze, że wrócił po pokerze do domu.

— Nie ma mowy — twierdzi Cooper. — Paszteciki i rogaliki to żarcie bogaczy. Nikt na pensji minimalnej nie poleci do cukierni po pudełko jakichś croissantów. My mamy pączki, drożdżówki i herbatniki z pudełka, ale żadne takie wymyślne gówna.

— Przecież pączki kupuje się w cukierni. A cukiernia to także piekarnia.

— Gówno prawda. W mieście jest pięć piekarni, trzy z nich pracują tylko latem. Co to znaczy?

— Że w sezonie liczba ludności rośnie, a dodatkowe sklepy pomagają zaspokoić popyt. Nie mówi to absolutnie nic o demografii.

Cooper prychnął i rzuca patyk w ogień.

— Teraz ty gadasz bez sensu.

Chociaż brzmi to jak kłótnia, lekkie uniesienie kącika ust świadczy o tym, że bawi go nasza rozmowa. W mojej rodzinie dyskusje to chleb powszedni, więc jestem niezłe wyćwiczona. Nie jestem pewna, gdzie Cooper nauczył się tak dobrze sprzeczać, ale faktycznie zmusza mnie do wysiłku. Żadne z nas nie lubi przyznawać się do porażki.

— Jesteś najbardziej denerwującym klonem, jakiego spotkałem — mówi nieco później.

Bonnie i Evan jeszcze nie wrócili. Bulwar za nami ucichł, jest późna noc, ale nie czuję się zmęczona. Wręcz przeciwnie, mam jeszcze więcej energii.

— Klon? — powtarzam kpiąco. To dla mnie coś nowego.

— Tak nazywamy bogaczy. Wszyscy jesteście tacy sami. — Jego oczy patrzą na mnie z namysłem; odbija się w nich światło księżyca. — Chociaż może ty nie jesteś dokładnie taka jak reszta.

— Nie wiem, czy to obraźliwy komplement, czy pochlebna obelga. — Tym razem ja sypię piasek w jego kierunku.

— Nie, chodzi mi o to, że nie spodziewałem się czegoś takiego. Jesteś w porzo. Serio. — Nadal mi się przygląda, już na poważnie, bez udawanego luzu. W jego twarzy widzę szczerą. To prawdziwy Cooper. — Nie jesteś kimś w rodzaju tych przemądrzałych palantów, którzy wsadzą sobie głowę we własną dupę, bo uwielbiają zapach swojego gówna.

W jego głosie pobrzmiwa coś głębszego niż powierzchowna irytacja na yuppie

i bogatych dupków, którzy zalewają to miejsce latem. To autentyczny ból.

Szturcham go pod żebro, żeby rozluźnić atmosferę.

— Rozumiem. Dorastałam wśród nich. Mogłoby się wydawać, że po pewnym czasie można się na nich znieczulić, ale tak nie jest. Jednak nie wszyscy są tacy okropni.

— A ten twój chłopak? Co to za jeden?

— Preston — dopowiadam. — Pochodzi z tej okolicy, jego rodzice mieszkają na wybrzeżu. Studiuje na Garnecie ekonomię.

— No nie mów. — Cooper robi sarkastyczną minę.

— Nie jest taki zły. Chyba w życiu nie grał w squasha — żartuję, ale nie trafiam. — To dobry chłopak. Nie ten typ, który wyżywa się na kelnerach czy coś w tym stylu.

Cooper śmieje się cicho.

— Jak ci się wydaje, czy to nie oznacza, że krótko mówiąc, to facet sympatyczny i uczynny?

Wzdycham. Chyba nie wiem, jak rozmawiać o moim chłopaku z facetem, którego dopiero co poznałam, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że Cooper jest wyraźnie wrogo nastawiony do całego naszego wychowania.

— To może się okazać wstrząsem, lecz jeśli dasz mu szansę, możecie się nawet polubić. Nie wszyscy jesteście dupkami — zauważam.

— Nie. — Jego twarz nieco się rozchmurza; biorę to za dobry znak. — Jesteś z pewnością jedynym wyjątkiem od tej reguły, jaki poznałem, a mieszkam tu całe życie.

— W takim razie cieszę się, że mogłam nieco poprawić wizerunek mojej grupy.

Cooper uśmiecha się i wzrusza ramionami.

— Zobaczymy.

— Naprawdę? To już niebezpiecznie przypomina zaproszenie. Ale przecież za nic w życiu nie chciałbyś, żeby przyłapano cię na przyjaźni z... — robię efektowną pauzę — ...z przedstawicielką klonów?

— Nie ma mowy. Niech to będzie eksperyment. Zostaniesz moim królikiem doświadczalnym.

— A jaką hipotezę testujemy?

— Czy klona można przeprogramować na prawdziwego człowieka.

Nie mogę powstrzymać śmiechu. To już kolejny raz tego wieczoru. Cooper wygląda jak przystojny pochmurny łobuz, lecz ma w sobie więcej humoru, niż się spodziewałam. Podoba mi się.

— Naprawdę spróbujemy? — pytam.

Cooper przesuwając językiem po dolnej wardze w wyraźnie lubieżnym geście.

— Seksu oralnego? O tak. Spróbujemy.

Wybucham śmiechem po raz kolejny.

— Przyjaźni! Pytam, czy możemy się zaprzyjaźnić! Boszsz, Hartley, czy ktoś ci już powiedział, że masz obsesję na punkcie seksu oralnego?

— Przede wszystkim: spoglądałaś w lustro? Jezu... — Cooper przerywa i mierzy mnie spojrzeniem. — Jak się nazywasz?

— Cabot — podpowiadam.

— Jezu, Cabot. — Robi minę. — Jak mogę nie myśleć o seksie oralnym, kiedy siedzę obok najgorętszej kobiety na tej planecie?

Czuję uderzenie gorąca na policzkach. Do licha. Ta szorstka szczerłość jest niewiarygodnie seksowna.

Oddycham szybko i staram się zmusić moje ciało, żeby nie reagowało na jego bliskość ani na komplement. *Masz chłopaka, Mackenzie* — powtarzam sobie w myślach głośno i wyraźnie. CHŁOPAKA.

Czy to nie dziwne, że tego wieczoru musiałam sobie to przypominać tyle razy?

— Po drugie — ciągnie Cooper — jesteś pewna, że nie skończymy w łóżku?

— Absolutnie.

Cooper przewraca oczami.

— No dobrze, zatem po trzecie... okej, w takim razie niech będzie przyjaźń.

— Jak miło z twojej strony.

— Prawda?

— O Boże. Zaczynam się nad tym poważnie zastanawiać. Możesz się okazać dość trudnym w utrzymaniu przyjacielem.

— Bzdura — odpowiada on. — Będę najlepszym przyjacielem, jakiego miałaś. Zawsze robię więcej niż to, czego się ode mnie oczekuje. Dla przyjaciół wyzwaliałem kozy z niewoli. Możesz powiedzieć to samo o sobie?

Prycham.

— Kozy? Nie kozę? Czyli było ich więcej?

— Nie, tylko jedna. Ale innym razem dla mojej przyjaciółki Alany ukradłem złotą rybkę.

— Cudownie. Mam się zaprzyjaźnić ze złodziejem. — Daję mu sójkę w bok. — Poproszę o opowieść o złotej rybce.

Cooper puszcza oko.

— O, to jest dobre!

Rozmawiamy tak długo, siedząc we dwójkę przy dogasającym ognisku, że nie zauważam, kiedy czarne nocne niebo szarzeje, a Bonnie z Evanem wracają spacerkiem

zadowoleni z siebie. Wtedy też zauważam, że mam kilkanaście SMS-ów od Prestona z pytaniami, co się, do licha, stało. Ups.

— Masz tu mój numer — mówi Cooper ochryple. — Napisz, kiedy dotrzesz na kampus, żebym wiedział, że jesteś bezpieczna.

Pomimo dzwonek ostrzegawczych w głowie wstukuję jego numer w mój telefon.

To nic takiego, uspokajam swój wewnętrzny głos sprzeciwu. Po powrocie do domu napiszę do niego jednego SMS-a, a potem usunę numer. Owszem, sympatycznie się żartowało o nawiązaniu przyjaźni, wiem jednak, że to kiepski pomysł. Z komedii romantycznych nauczyłam się jednego: nie wolno zaprzyjaźniać się z kimś, kto cię pociąga. Sam pociąg jest jeszcze nieszkodliwy, w końcu jesteśmy ludźmi, żyjemy na ogół długo. Musi się w końcu zdarzyć, że pociągnie nas ktoś inny niż druga połówka. Jednak stawiając sobie na drodze obiekt pożądania, sami prosimy się o kłopoty.

Kiedy więc razem z Bonnie wychodzimy z ubera i wchodzimy do naszego akademika, jestem gotowa usunąć Coopera Hartleya z telefonu. Wysyłam jedynie wiadomość: „Dotarłam bezpiecznie”, po czym klikam na jego numer, a mój palec zawisa w powietrzu nad napisem „USUŃ”.

Zanim zdążę kliknąć, pojawia się wiadomość.

Cooper: *Fajnie było. Powtórzymy kiedyś?*

Zagryzam wargi i wbijam wzrok w zaproszenie. Wracają do mnie obrazy jego ciemnych oczu połyskujących w świetle ogniska, jego szerokich barów i umięśnionych ramion; mój zmęczony mózg rusza z kopyta i wysyła drażniący sygnał w miejsce między nogami.

Usuń go! — rozkazuje surowy głos.

Klikam w ikonę czatu. Może przyjaźń z tym facetem to kiepski pomysł, ale nie potrafię się powstrzymać. Ulegam.

Ja: *Przyniosę pączki.*

7. Mackenzie

Minęły ledwie dwa tygodnie semestru, a ja mam już dość. Nie byłoby tak źle, gdybym załapała się na przedmioty związane z biznesem i finansami. Marketing i prawo dotyczące komunikacji publicznej. Nawet podstawowe kodowanie stron internetowych. Zamiast tego tkwię na sali wykładowej, gapiąc się na obrazek włochatego, nagiego małpoluda, który szczerze mówiąc, niewiele się różni od jego współczesnej wersji siedzącej trzy rzędy dalej.

Przedmioty ogólne na pierwszym roku to nieporozumienie. Nawet psychologia czy socjologia miałyby coś wspólnego z moją pracą, ale tam było już pełno. Wylądowałam więc na antropologii — dzisiaj przez dziesięć minut oglądaliśmy slajdy ze śniadymi przodkami człowieka, a potem nastąpiło czterdzieści minut dyskusji o ewolucji. Żadna z tych czynności nie wpłynie pozytywnie na stan mojego konta. Rodzice wypchnęli mnie na studia, ale miałam nadzieję, że przy okazji spędzę tu czas produktywnie. Może ulepszę *WpadkiChłopaka* i stronę siostrzaną, opracuję słowa kluczowe, rozważę możliwość reklamy. Zamiast tego robię notatki, gdyż nasz wykładowca należy do tych palantów wyznających zasadę: „Piątka to ideał, więc na tych zajęciach nikt nie dostanie piątki”. A jeśli już zostałam zmuszona do tak spektakularnego marnowania czasu, nie zamierzam wyjść z tych zajęć z marną trójczyną.

Dopiero po wyjściu na oślepiające słońce uświadamiam sobie, że nie czuję koniuszków palców. W sali wykładowej panował przenikliwy ziąb. Kieruję się do kafejki, żeby się napić kawy; siadam na rozgrzanej betonowej ławce pod magnolią, żeby odtajać. Za pół godziny jestem umówiona z Prestonem, więc mam jeszcze trochę czasu.

Popijam łyчками kawę i przewijam wiadomości służbowe, starając się nie zastanawiać nad faktem, że dzisiaj Cooper jeszcze się do mnie nie odezwał.

Mówię „jeszcze”, gdyż od sobotniego wieczoru codziennie przysyła mi wiadomości. Wiem więc, że dzisiaj do mnie napisze, pytanie tylko kiedy. Przy pierwszej wiadomości wahałam się, czy ją otworzyć, bojąc się, że na ekranie wyskoczy mi obrazek jego klejnotów. A może miałam na to nadzieję? Nigdy nie lubiłam zdjąć penisów, ale...

Ale nic! — wrzeszczy ostry głos w mojej głowie.

Racja. Żadne „ale”. Nie chcę widzieć penisa Coopera Hartleya. Koniec, kropka. Przecież po co miałabym chcieć zobaczyć penis atrakcyjnego, wytatuowanego łobuza, z którym przegadałam całą noc. To niedorzeczne.

No tak, już nie jest mi zimno. Teraz cała płonę.

Muszę się czymś zająć, rozproszyć się. Natychmiast.

Kiedy na ekranie pojawia się numer mamy, w pierwszej chwili mam ochotę zignorować połączenie, bo nie na takie rozproszenie miałam nadzieję. Jednak doświadczenie nauczyło mnie, że ignorowanie jej telefonów wywołuje lawinę SMS-ów z żądaniem natychmiastowego kontaktu. A potem mama zawiadamia FBI, że porwano mnie dla okupu.

— Cześć, mam — odpowiadam w nadziei, że przez telefon nie słyhać mojego braku entuzjazmu.

— Mackenzie, kochanie, dzień dobry.

Następuje długa chwila przerwy; nie wiem, czy jest czymś zajęta, czy czeka, aż coś powiem. *Mamo, to ty zadzwoniłaś.*

— Co tam? — zagaduję, żeby jakoś zacząć rozmowę.

— Chciałam tylko sprawdzić, co u ciebie. Obiecałaś, że zadzwonisz, jak się urządzisz, ale nie dałaś znaku życia.

Uch! Cała ona. Wszystko wykręci tak, żeby wzbudzić we mnie poczucie winy.

— W zeszły weekend dzwoniłam do domu, ale Stacey powiedziała, że was nie ma czy że jesteście zajęta albo coś w tym rodzaju.

Przez telefon dłużej rozmawiam z mamy asystentką niż kimkolwiek z mojej własnej rodziny.

— No tak, mam teraz sporo na głowie. Towarzystwo historyczne sponsoruje nową wystawę w siedzibie gubernatora, planujemy już jesienną galę charytatywną na rzecz szpitala dziecięcego. Mackenzie, liczy się przede wszystkim wytrwałość. Wiesz o tym. Powinnaś była zadzwonić jeszcze raz, później.

Jasne. Moja matka ma własny personel, a i tak nie daje rady oddzwonić do swojej jedynaczki — ale oczywiście to moja wina. Ech. Nauczyłam się z tym żyć. Annabeth Cabot po prostu nie może się mylić. W żadnej sprawie. Tę cechę odziedziczyłam po niej, przynajmniej jeśli chodzi o bezsensowne spory o pączki i inne takie. W takich potyczkach zawsze muszę wygrać. Jednak w przeciwieństwie do mamy jestem w pełni zdolna do przyznania się do błędu.

— Jak ci się podoba uniwersytet? — wypytuje mama. — Lubisz wykładowców? Zajęcia są ciekawe?

— Studia są super.

Kłamstwo.

— Wykładowcy potrafią zarazić entuzjazmem, a zajęcia na razie są bardzo ciekawe.

Kłamstwo. Kolejne kłamstwo.

— Tu jest świetnie.

Kłamstwo.

Jednak mówiąc prawdę, nie zyskam niczego. Mam powiedzieć, że połowa wykładowców wydaje się uważać zajęcia na pierwszym roku za okazję do okazywania nam złośliwości, a druga pokazuje się tylko po to, żeby podać swoim asystentom pendrive'a z prezentacją w PowerPoincie? Powiedzieć, że wydajniej spędziłabym czas gdziekolwiek indziej, a już zwłaszcza w mojej kwitnącej firmie? Mama nie chce tego słyszeć.

Szczerze mówiąc, rodzice nigdy nie interesowali się tym, co mam do powiedzenia, chyba że byłyby to słowa, które sami wpisali do scenariusza, żebym je potem odczytała. W przypadku ojca scenariusz dla córki jest odczytywany przy okazjach publicznych w towarzystwie fałszywych, promiennych uśmiechów do wyborców.

— Chcę, żebyś się przyłożyła, Mackenzie. Dama powinna być obyta w świecie i wszechstronnie wykształcona.

Dla pozoru — tego już nie dopowiedziała na głos. Nie dla celów praktycznych, tylko do prowadzenia rozmów na koktajlach.

— Pamiętaj, żeby się też zabawić. Studia to przełom w życiu młodej kobiety. Tam poznasz ludzi, którzy przez kolejne lata będą tworzyć sieć twoich kontaktów. Musisz teraz budować te relacje, to ważne.

Jeśli chodzi o mamę, to mam podążyć w jej ślady, czyli zostać szanowaną panią domu, która zasiada w radach wszelkich organizacji dobroczynnych i urządza przyjęcia, by wspierać ambicje zawodowe męża. Już przestałam się jej sprzeciwiać w tej sprawie, lecz ja nie chcę takiego życia; w końcu, mam nadzieję, przekieruję je na inne tory, kiedy już będzie za późno, by rodzice zdołali mnie powstrzymać.

Na razie się nie wychyłam.

— Wiem, mamo.

— A twoja współlokatorka? Jak ma na imię?

— Bonnie. Pochodzi z Georgii.

— Jak się nazywa? Czym zajmują się jej rodzice?

Zawsze przecież chodzi właśnie o to. Czy to ktoś znaczący?

— Beauchamp. Rodzice handlują samochodami.

— Och. — Kolejna chwila rozczarowanego milczenia. — Pewnie nieźle na tym zarabiają.

Co oznacza: jeśli stać ich na to, by umieścić córkę w tym samym pokoju co mnie, nie mogą być biedakami.

Tłumię westchnienie.

— Muszę iść, mam. Za kilka minut mam wykład — kłamię.

— Dobrze. Do usłyszenia niedługo, skarbie.

Rozłączam się i wypuszczam wstrzymywane powietrze. Mamę czasami trudno znieść. Całe życie piętrzyła oczekiwania i przerzucała na mnie swoje wyobrażenia. Owszem, mamy kilka cech podobnych — wygląd, skłonność do niecierpliwości, etykę pracy, którą mama wykazuje w swoich działaniach charytatywnych, a ja w mojej firmie i na studiach. Jednak pomimo tych podobieństw jesteśmy zupełnie różnymi osobami o całkowicie odmiennych priorytetach. Do niej jeszcze nie dotarło, że nie może mnie ukształtować na swój obraz i podobieństwo.

— Hej, ślicznotko. — Pojawia się Preston; uśmiechnięty, chyba całkowicie już wyleczony z kontuzji, którą odniósł na meczu koszykówki. Niesie bukietik różowych lwich paszczy — jak podejrzewam, te kwiatki znikły z klombu gdzieś na kampusie.

— Masz dobry humor — żartuję, kiedy podnosi mnie z ławki i przytula.

Całuje mnie i otacza ramionami.

— Podoba mi się, że możemy się teraz częściej widywać, bo tu przyjechałaś.

Jego usta wędrują do mojej szyi, muskają ją delikatnie, po czym żartobliwie szczypią mnie w ucho.

Próbuję nie okazać zaskoczenia, gdyż zwykle Preston unika okazywania uczuć przy ludziach. Na ogół mam szczęście, jeśli weźmie mnie za rękę. Nigdy nie był typem chłopaka skłonnego do czułych gestów fizycznych, a ja nauczyłam się to u niego akceptować. Ten brak czułości jest wręcz zaletą, zwłaszcza w towarzystwie naszych rodzin. Szybko się nauczyłam, że umiejętność ukrywania emocji i okazjonalnych wybuchów temperamentu to podstawowe narzędzie przetrwania w naszym świecie.

— Gotowa? — pyta.

— Prowadź.

Dzień jest piękny, dość ciepły; Pres prowadzi mnie na wycieczkę po kampusie. Pierwszy przystanek to oczywiście Kincaid Hall, który mieści wydział ekonomii. Rodzina Prestona jest od pokoleń związana z Garnetem, właściwie to ich dziedzictwo.

Preston spleta palce z moimi i znów prowadzi mnie na dwór. Idziemy wysadzaną drzewami ścieżką, a ja podziwiam okolicę. Kampus jest niewątpliwie urokliwy. Budynki z czerwonej cegły, wielka wieża zegarowa nad biblioteką, rozległe zielone trawniki i gigantyczne, majestatyczne dęby. Może nie kipię entuzjazmem na myśl o życiu studenckim, lecz przynajmniej mam tu coś przyjemnego dla oka.

— Jakie pierwsze wrażenia?

Przy Prestonie mogę sobie pozwolić na szczerość. Wzdycham.

— Nudno do bólu.

Preston śmieje się cicho.

— Pamiętasz, na pierwszym roku miałem tak samo. Te dwa lata, zanim nie zaczniesz przedmiotów kierunkowych, to naprawdę nuda.

— Ty przynajmniej masz w tym cel. — Mijamy wydział dramatyczny; na parkingu studenci malują coś, co wygląda jak scenografia przedstawiająca staroświecką ulicę. — Ty potrzebujesz jakiegoś wykształcenia, żeby pracować w banku ojca. Musisz spełnić wymagania i oczekiwania. Ja jednak mam już swoją firmę, jestem dla siebie szefową, nie potrzebuję dyplomu, nie muszę nikomu niczego udowadniać.

Pres z uśmiechem ściska mnie za rękę.

— To właśnie w tobie kocham, złotko. Nie czekasz na pozwolenie. Nie chciałaś czekać, aż dorośniesz, żeby zostać rekinem biznesu.

— Widzisz? — Rozpromieniam się. — Ty to rozumiesz.

— Słuchaj, jeśli faktycznie chcesz nadal się zajmować swoim małym start-upem, pomyśl o Garnecie jako o inkubatorze. Znajdziesz tu mnóstwo możliwości, żeby rozwijać markę.

Hm. Nie myślałam dotąd w ten sposób. Chociaż nie podoba mi się to sformułowanie — mój mały start-up? — to jednak Pres ma rację.

— Panie Kincaid, ma pan słuszność. — Wspinam się na palce i całuję go w gładko ogolony policzek, po czym niespiesznie ruszam dalej.

To kolejny przykład tego, jak doskonale pasujemy do siebie: oboje mamy usposobienie ludzi biznesu. Żadne z nas nie daje się porwać artystycznym ideałom ani odciągnąć od celu romantycznym pomysłem typu ruszenie w Europę albo zwiedzanie Machu Picchu. Ukształtowało nas nasze pochodzenie, a nasza błękitna krew jest chłodna. Dwie imponujące przyszłe głowy imperiów.

Dopasowanie to naprawdę wielka zaleta.

Zwiedzamy budynek wydziału sztuki i małe muzeum z pracami studentów, przechadzamy się wśród rzeźb w ogrodzie botanicznym i idziemy ścieżką prowadzącą przez szklarnię i ogród warzywny. Preston prowadzi mnie okrężną drogą do swojego samochodu.

— Chodź, chcę ci pokazać coś jeszcze. — Otwiera mi drzwi, wsuwam się na gładki skórzany fotel pasażera. Preston podnosi dach srebrzystego kabrioletu i porsche rusza.

Po krótkiej jeździe tyłami kampusu, obok kompleksu sportowego i pod górę w końcu docieramy do wysokiego, okrągłego budynku z kopułą. To teleskop wydziału astronomii. Preston prowadzi mnie do budynku, do otwartych drzwi zablokowanych małym drewnianym klockiem.

— Możemy tu przebywać? — pytam, kiedy skradamy się wąskim korytarzem wijącym

się wokół budynku.

— Znam gościa. — Preston przykłada palec do ust. — Nie, nieprawda.

Idziemy korytarzem do metalowych schodów. Na piętrze wchodzimy do pomieszczenia, w którym pod ścianą stoi rząd komputerów, a na środku — ogromny teleskop celujący w niebo przez szeroką szczelinę w dachu.

— Super — mówię, podchodząc do teleskopu.

— Nie po to tu przyszliśmy — zatrzymuje mnie Preston.

Prowadzi mnie do drzwi, potem do drabiny wiodącej na dach. Wychodzimy na platformę. Stamtąd rozciąga się widok na cały kampus. Łagodnie pofałdowane zielone wzgórza i budynki o białych dachach. Praktycznie całe miasto ciągnące się aż do zatoki Avalon na niebieskim horyzoncie. Uderzający widok.

— To niewiarygodne! — mówię, uśmiechając się. Preston miał naprawdę świetny pomysł i dobrze to przygotował.

— Każda wycieczka dla VIP-ów musi zawierać widok z lotu ptaka. — Preston staje za mną i otacza mnie ramionami. Całuje mnie w bok głowy; oboje podziwiamy krajobraz. — Cieszę się, że tu jesteś — mówi cicho.

— Ja też.

Racja, przez ostatnie dwa lata, kiedy on już studiował, a ja tkwiłam w liceum, nasze stosunki bywały nieco napięte. Związek na odległość, chociaż widywaliśmy się w weekendy, był stresujący i odbierał sporo przyjemności naszym spotkaniom. Teraz jednak przypominam sobie nasze początki. Jaka byłam wtedy zakochana; czułam się tak, jakbym wygrała na loterii, bo wybrał mnie ktoś z wyższej sfery.

A jednak, kiedy Pres przytula mnie i ociera się twarzą o moją szyję, w głębi mojego umysłu pojawia się pewna myśl.

Wyjątkowo zdradliwa myśl.

Myśl o regularnych rysach Coopera i jego niezgłębionych oczach. O tym, jak przyspieszał mi puls, kiedy Cooper siedział obok mnie i rzucał mi ten swój arogancki uśmiezek. Na widok wchodzącego do pokoju Prestona serce mi tak nie przyspiesza; pod jego dotykiem nie przebiega mi po skórze dreszcz, uda mi się nie spinają, w ustach nie zasycha.

Ale te reakcje mogą nic nie znaczyć. Zbyt wysoki poziom hormonów szalejących we krwi potrafi zaburzyć osąd rzeczywistości. Wystarczy spojrzeć na statystyki: wszyscy ci ludzie, którzy pakują się w toksyczne związki tylko dlatego, że oparli je na seksie, a nie podobieństwie. Pres i ja pasujemy do siebie. Mamy dobre układy. Te same cele. Nasi rodzice już aprobowują nasz związek, wszyscy są zadowoleni. Mogłabym zabawiać się

z tuzinem Cooperów, każdy z nich złamałby mi serce. Po co mam się tak unieszczęśliwiać?

Trzeba umieć docenić to dobro, które się już ma.

— Dziękuję — mówię do Prestona, odwracam się w jego ramionach i całuję go. — To idealny dzień.

Jednak wieczorem, kiedy jednym okiem oglądam coś na Netfliksie w moim pokoju, jednocześnie czytając lekturę na angielski, czuję, jak serce nagle mi podskakuje na widok imienia Coopera wyświetlającego się na ekranie telefonu. Zmuszam się, by się uspokoić.

Cooper: *Masz ochotę na kolację?*

Ja: *Już jadłam.*

Cooper: *Ja też.*

Ja: *No to po co pytasz?*

Cooper: *Chciałem się przekonać, co odpowiesz.*

Ja: *Podstępne.*

Cooper: *A ty co robisz?*

Ja: *Netflix i lekcje.*

Cooper: *To jakiś szyfr?*

Ja: *Trafieś.*

Cooper: *Nie potrafię sobie wyobrazić, jak wyglądają pornosy u bogoli.*

Widok tych słów na ekranie sprawia, że mocniej zaciskam nogi, a w głowie zaczynają mi się wykluwać okropne myśli. Czym prędzej wyrzucam je do pudełka z napisem: „Nawet się nie waż”.

Ja: *Rozkładam buteczki na „The Wall Street Journal”, a potem je wyżeram.*

Cooper: *Wy, bogacze, jesteście popaprani.*

Z gardła wrywa mi się chichot; od razu głośnym klepinięciem zatykam dłońią usta, żeby nie usłyszała mnie Bonnie, bo wtedy wpadnie tu sprawdzić, co mnie tak rozbawiło. To kochana dziewczyna, ale nie zna pojęcia granic prywatności.

Ja: *A ty co robisz?*

Cooper: *Flirtuję z dziewczyną, którą dopiero co poznałem.*

Sama się w to wpakowałam.

Ja: *Wciąż mam chłopaka.*

Cooper: *Na razie.*

Ja: *Dobranoc, lokalsie.*

Cooper: *Dobranoc, księżniczko.*

Wiem, że mnie prowokuje. Jak się domyślam, Cooper lubi próbować mnie podniecić. Nie mogę nawet stwierdzić, że mi się to nie podoba. To coś nowego — przyjaciel, który

przemawia do tej części mojej osobowości. No dobrze, z formalnego punktu widzenia flirtujemy, co jest, ogólnie rzecz biorąc, potępiane, ale to po prostu dobra zabawa.

Niezależnie od tego, jak bardzo skaczą mi hormony przez Coopera, nie mam zamiaru rzucać Presa dla pierwszego wytatuowanego łobuza, którego spotkałam na studiach.

8. Mackenzie

Następnego dnia postanawiam na własną rękę pozwiedzać miasto, gdyż akurat nie mam zajęć. Preston natchnął mnie myślą, by pożytecznie wykorzystać czas spędzony w Garnecie, zamiast odsiadywać go jak karę więzienia. Z tym nastawieniem narzucam na siebie kwiecistą letnią sukienkę i dzwonię po taksówkę.

Avalon Bay to nadmorskie miasteczko pełne paradoksów, czyli zarówno obszarpanych rybaków, jak i multimilionerów. Po jednej stronie głównej ulicy stoją luksusowe sklepiki sprzedające mydła ręcznej roboty, po drugiej lombardy i salony tatuażu. Po południu w ciągu tygodnia panuje tu spokój. Większość barów świeci pustkami; nieliczni spoceni miejscowi przysiadają na stołkach i z kumplami oglądają sport na ESPN.

Idę dalej niż poprzednim razem, kiedy tu byłam; docieram do rejonu wciąż noszącego ślady zniszczeń po huraganie sprzed dwóch lat. Buduje się tu kilka rzeczy. W pobliżu załoga budowlańców odnawia restaurację obstawioną rusztowaniami. Pozostałe sklepy i punkty otoczono taśmami i napisami ostrzegawczymi, a okna i drzwi pozabijano deskami. Najwyraźniej nikt ich nie tknął, odkąd wichur porzywał im dachy i zalał wnętrza.

Przystaję przy staroświeckim hotelu w późnym stylu wiktoriańskim. Budynek jest biały z zielonymi framugami, cały jeden bok został uszkodzony przez poryw wichru. Ściany zostały wyrwane, odsłoniło się wnętrze. Stare meble i pofałdowane dywany wciąż czekają na gości, którzy nie przyjadą. Na zniszczonym szyldzie nad wejściem złote litery układają się w napis „Hotel Pod Latarnią”; deski pękły w dwóch miejscach.

Zastanawiam się, gdzie się podzieli właściciele i dlaczego nie odbudowali tego hotelu. Jak to się stało, że nie zgłosił się nikt, by go przejąć i przywrócić mu dawną świetność? To doskonała lokalizacja.

Telefon brzęczy kilka razy, informując o nadejściu e-maili; przystaję przy lodziarni i kupuję rożek waniliowy. Potem siadam na ławce przed wejściem i jedną ręką przesuwam po wyświetlaczu.

Pierwsza wiadomość pochodzi od jednej z moderatorek mojej strony. Pisze, że musiała zablokować kilku użytkowników, którzy trollowali wszystkie posty na *WpadkiDziewczyny*, wrzucając rasistowskie i seksistowskie komentarze. Otwieram załączone zrzuty ekranu. Na widok jadu, jaki przepęlnia komentarze, szczęka mi opada.

Wklepuję szybką odpowiedź: „Bardzo dobrze, że ich zablokowałaś”.

Kolejny e-mail to wołanie o pomoc od faceta, którego zatrudniłam do nadzorowania *WpadekChłopaka*. Podobno jeden z użytkowników grozi nam procesem, twierdząc, że jeden z postów na stronie go szkaluje. Klikam na ten post. Autorka opisuje swoją randkę z gościem, którego nazywa Tedem, a który nie przyznał się do swojego mikroskopijnej wielkości penisa, czym całkowicie ją zaskoczył przy pierwszym zbliżeniu.

Wracam do mojego e-maila i przeglądam pismo, które mój admin Alan otrzymał od kancelarii prawnej z Waszyngtonu; już same jej nagłówki budzą respekt. Zapewne użytkowniczka, o nicku butterflykisses44, za słabo zmieniła prawdziwe imię chłopaka. Ted to w rzeczywistości Tad, który oczywiście wściekł się, poczuł urażony i zażądał, żeby strona nie tylko usunęła wpis, ale też zapłaciła mu odszkodowanie za straty moralne, które poniósł z tego powodu.

Jako że strona służy jako platforma do publikacji postów, a nie jest ich wydawcą, nie można nas pozwać za treści upubliczniane przez użytkowników, lecz każę Alanowi przesłać pismo do mojego prawnika, na wszelki wypadek. Potem odrywam się od telefonu i kończę topniejące lody. Kolejny dzień z życia pani prezes Mackenzie Cabot.

A jednak, jeśli mam być szczerą przed samą sobą, ostatnio prześladowuje mnie tęsknota za czymś... za czymś więcej. Uwielbiam moje apki, lecz nie mam wiele do roboty oprócz wydawania zgody lub jej odmawiania. Tu podpis, tam parafka. Przeczytaj ten e-mail, zatwierdź tę reklamę. Prawdziwe emocje były na początku, kiedy wspólnie z przyjaciółmi przeprowadzałam burze mózgow, żeby zaprojektować aplikacje. Kiedy spotykałam się z projektantem stron i programistą i wcielałam w życie swoje pomysły. Tworzyłam kampanię marketingową, żeby przyciągnąć użytkowników. Kiedy uruchomiliśmy stronę.

To były wyzwania i emocje. Nigdy jeszcze tak się nie bawiłam. To właśnie najbardziej mi się podobało — teraz zdaję sobie z tego sprawę. Tworzenie czegoś, nie podtrzymywanie. Nie chodzi o to, że przestałam lubić moje strony albo chcę je sprzedać, bynajmniej. Wciąż są moje. To pączki, z których wyrośnie moje imperium. Może jednak czas, by zacząć rozglądać się za nowymi pomysłami na biznes.

Słońce zniża się na niebie, ja idę na plażę i siadam na piasku. Słucham fal i obserwuję mewy unoszące się na wietrze. Budowlańcy za moimi plecami zaczynają się zwijać do domu. Warkot wiertarek i świst pił ustał.

Zamyślona nie zauważam, że ktoś się zbliża, dopóki ten ktoś nie padnie na piasek obok mnie.

— Co tam, księżniczko?

Podskakuję zaskoczona i wbijam wzrok w Coopera, który właśnie zdejmuję koszulę i rękawice robocze.

Wywołuje równie mocne wrażenie, jak tamtej nocy przy ognisku; patrzę na niego zafascynowana. Włosy i dzinsy ma przyprószone pyłem i trocinami. Umięśniona klatka piersiowa i ramiona lśnią od potu. Po raz pierwszy widzę aż tyle jego tatuaży — ciągną się na ramionach i schodzą na klatkę piersiową. Oblizuję usta, po czym krzywię się wewnętrznie na samą siebie. Na osobę, w którą się zamieniam przy nim: pożądliwą i irracjonalną. Zbieram te myśli i upycham je do pudełka podpisanego: „Nie ruszać, do licha”.

— Teraz za mną chodzisz? — pytam.

— To ty mijasz moją budowę w... — wskazuje na mnie, mierząc wzrokiem od stóp do głów — ...w absurdalnej powiewnej sukience, z takimi nogami, z miną: „Och, chłopcy, nie zwracajcie na mnie uwagi, nie znoszę tego”.

— Właśnie tak zwykle mówię. — Unoszę oczy do nieba. — A co ci się nie podoba w mojej sukience? — Przesuwam dłońmi po listwie płóciennej, lekkiej sukienki w kwiaty.

— Ma kwiatki. Nie jesteś typem dziewczyny w kwiatkach, Mac.

— Nie nazywaj mnie tak.

— Dlaczego nie?

— Bo to zdrobnienie jest tylko dla przyjaciół.

— Jesteśmy przyjaciółmi. Najlepszymi. — Cooper błyska zębami w krzywym uśmiechu. — Jak widzę, nie zaprzeczyłaś moim słowom o dziewczynie w kwiatkach.

Ma rację. Rzadko wkładam dziewczęce wzory i marszczone sukienki. Wolę białe T-shirty i znoszone dzinsy lub koszulki bez rękawów i szorty w upał. Jednak co jakiś czas lubię poczuć się słodko. I co z tego? W każdym razie ten facet nie ma prawa wyciągać wniosków co do mojego stylu, więc spieram się dla zasady.

— Akurat tak się składa, że uwielbiam kwiaty. Zwłaszcza na ubraniach. Im więcej, tym lepiej.

Cooper przewraca oczami, jakby wiedział, że kłamię jak najęta.

— Wiesz, nie musisz aż tak się starać. — Krzyżuje ramiona i przyciąga kolana do piersi. — Jestem łatwy w obsłudze.

— Słucham? Kto tu się stara? To ty rozwalasz mi telefon uwagami o pornosach z bułeczkami.

— Lubisz perwersję — odpowiada, wzruszając ramionami. — Rozumiem. Mnie to nie kręci, ale twoja wola.

Ha. Gdyby wiedział. Z Prestonem dobrze układa nam się w łóżku, lecz nie jestem pewna, czy ma ono tyle ognia, by nas oboje rozplomienić. Początkowo przypuszczałam, że seks tak właśnie powinien wyglądać: szybko, praktycznie, odrobinę nudno. Miałam szesnaście lat, kiedy straciłam z Presem dziewictwo — byłam wtedy w tych sprawach

naprawdę naiwna. Dopiero kiedy zaczęłam rozmawiać z koleżankami o moich nijakich doświadczeniach, uświadomiłam sobie, że seks powinien być — eureka! — dobrą zabawą.

Kiedy z wielkim zakłopotaniem poruszyłam ten temat, Pres wyznał, że nie chciał mnie przestraszyć „przesadną namiętnością”. Zapewniłam go, że może się nie bać i dołożyć namiętności do naszych spotkań, i od tego czasu nasze igraszki sypialniane zyskały nieco koloru. Jednak jeśli mam być całkowicie szczerą — minęły cztery lata, a namiętność, o której napomknął Pres, wciąż jeszcze się nie pojawiła.

— Boję się myśleć, jakie wspomnienia chowasz na chwile samotności w łóżku — mówię.

— Jeśli chcesz mnie tam zaciągnąć, wystarczy tylko poprosić. — Cooper trąca mnie łokciem w ramię. Emanuje spokojną pewnością siebie — arogancką, ale czarującą. Jest pewny siebie, lecz nie przytłacza. Niemal szkoda, że marnuje wrodzone talenty na budowie. Byłby świetnym prezesem firmy, gdyby tylko miał głowę do biznesu.

— Ta pochrzaniona przewrotna psychologia na mnie nie zadziała — informuję go. Zarobiłam mój pierwszy milion właśnie dzięki temu, że niełatwo mnie zmanipulować. — Nie dam się namówić na spontaniczny skok do łóżka z obcym mi lokalsem tylko dlatego, że on mi rzuca wyzwanie.

Mimo to jednak jego łobuzerski uśmieszek i hultajskie spojrzenie nie zostawiają mnie obojętną. Nie jestem nieczuła na szerokie bary i mięśnie twarde jak skała. Co więcej, Cooper stanowi dla mnie zagadkę. Dowiaduję się o nim takich rzeczy, że muszę zadać sobie pytanie: Czy jego wygląd i zachowanie — tatuaże, postawa — to sprytny kamuflaż? Ale co by ukrywał? Mój mózg uwielbia zagadki.

— Nie dam się przyłapać w łóżku z jakimś klonem z Garneta. Muszę dbać o wizerunek.

— Ależ oczywiście. Jeszcze ktoś zacząłby podejrzewać, że masz gust.

Cooper tłumy uśmiech; w jego przelotnym spojrzeniu widzę wszystkie możliwe złe zamiary. Widzę noce, które giną we mgle, i żal do utraty tchu. Ciężki oddech. To wystarczy, żeby puls mi szaleńczo przyspieszył, a palce u stóp straciły czucie.

Ten facet jest niebezpieczny.

— Coop! — woła ktoś z budowy. — Idziesz do baru?

Cooper ogląda się przez ramię.

— Idźcie beze mnie.

Za naszymi plecami rozlegają się znaczące śmiechy. Cieszę się, że koledzy Coopera nie widzą mojej twarzy — jestem przekonana, że się zaczerwieniłam.

— Dlaczego to zrobiłeś? — mówię z pretensją.

— Co takiego? Dlaczego powiedziałem, że nie idę do baru?

— Tak. Teraz pomyślą, że zostałeś, bo chcesz mnie przelecieć na plaży albo coś w tym rodzaju.

Cooper śmieje się głębokim głosem.

— Gwarantuję ci, że wcale tak nie pomyśleli. Jednak podrzuciłaś mi dobry pomysł. Wolisz, żebym cię przeleciał tutaj, czy pójdziemy pod pomost?

— Idź do baru z kumplami, Coop. Tam łatwiej znajdziesz podrywkę.

— Nieee, tu mi dobrze. — Cooper unosi rękę, przesuwa nią po ciemnych włosach; mimo woli śledzę wzrokiem jego napinające się bicepsy.

— Zatem remontujecie tę restaurację? — Zmuszam się, by odwrócić wzrok od jego wyjątkowo seksownych mięśni. — To chyba duże zlecenie, prawda?

— Zgadza się. Jak skończymy tutaj, mamy jeszcze, o rany, pewnie ze sześć kolejnych budynków do odnowienia. — Cooper macha swoim rzeźbionym ramieniem w kierunku bulwaru, pokazując zniszczenia po huraganie.

— Podoba ci się praca na budowie?

Cooper powoli kiwa głową.

— Tak. Razem z Evanem pracujemy w firmie wuja, więc nie musimy borykać się z jakimś palantem, który nas oszukuje albo bierze każdą najtańszą chałturę, żeby ciąć koszty. Levi to dobry człowiek, uczciwy. A mnie zawsze dobrze szły roboty ręczne.

Wstrzymuję oddech. W jego słowach nie ma żadnego podtekstu, lecz moje spojrzenie wbrew woli przesuwa się na jego dłonie. Są silne, duże, o długich palcach, z pęcherzami na dłoniach. Pomimo całego dnia pracy fizycznej pod paznokciami nie ma brudu.

— A ty, księżniczko? — Cooper przechyla głowę.

— Co ja?

— Drugi raz, kiedy do ciebie podszedłem, zobaczyłem tę minę.

— Jaką minę? — Jak się wydaje, powtarzam teraz jego słowa. Jednak intensywność jego spojrzenia nagle wywołuje we mnie falę niepokoju.

— Minę osoby, która chce czegoś więcej.

— Chcę więcej... A czego więcej mogłabym chcieć?

Cooper nadal mierzy mnie badawczym spojrzeniem.

— Nie wiem. Po prostu więcej. To coś jakby... mieszanina nudy, niezadowolenia, frustracji i tęsknoty.

— Mnóstwo paskudnych uczuć jak na jedno spojrzenie — żartuję, lecz serce mi przyspiesza. Cooper całkiem trafnie mnie podsumował. Tak właśnie się czuję, odkąd przyjechałam na studia. A nawet dłużej; może nawet przez całe życie.

— Nie mam racji? — pyta ochryple.

Nasze spojrzenia się spotykają. Chęć zwierzenia mu się jest tak silna, że muszę ugryźć koniuszek języka, żeby się powstrzymać.

Nagle, w szumie fal uderzających o brzeg i krzyku mew, wychwytyuję słabe ujadanie.

— Słyszałeś? — Rozglądam się w poszukiwaniu źródła tego pełnego bólu i rozpacz dźwięku.

— Przestań próbować mnie rozpraszać — śmieje się Cooper.

— Nie próbuję. Naprawdę tego nie słyszysz?

— Czego? Ja nie...

— Psst! — rozkazuję.

Nasłuchuję; wytężam słuch, żeby zlokalizować, skąd dochodzi głos. Zaczyna się ściemniać, lampy na bulwarze przyćmiewają słabnące światło zmierzchu. Rozlega się kolejny dźwięk, tym razem głośniejszy.

Zrywam się na równe nogi.

— To nic takiego — mówi Cooper, lecz nie zwracam na niego uwagi i podążam za dźwiękiem w stronę pomostu. Cooper truchtem biegnie za mną, zmęczonym głosem zapewniając, że mi się tylko wydaje.

— Nie wydaje mi się! — twierdzą uparcie.

I wtedy dostrzegam źródło głosu. Za pomostem, na kamieniach na samym końcu, siedzi zagubiona postać. Nadciągają fale.

Z bijącym sercem odwracam się do Coopera.

— To pies!

9. Cooper

Zanim zdążę choćby mrugnąć, Mackenzie zdiera z siebie sukienkę.

Dziewczyna rozbiera się do naga.

No nie, nie do naga, uświadamiam sobie, gdyż nie zdejmuję stanika i majtek. Rozczarowanie z powodu przedwczesnego zakończenia striptizu rekompensuje fakt, że Mackenzie naprawdę cholernie dobrze wygląda w bieliźnie.

Jednak kiedy biegiem rusza w stronę morza, na którym niedługo zaczynię się przyplływ, i szybko pogrąża się w wodzie po szyję, mój mózg nagle zaczyna myśleć racjonalnie.

— Mac! — wołam za nią. — Wracaj, do cholery!

Ona już płynie przed siebie.

Wspaniale. Utopi się, próbując ściągnąć na brzeg tego parszywego bezpańskiego kundla.

Mamrocząc przekleństwa pod nosem, ściągam dzinsy i buty i biegnę za Mackenzie, która dotarła już do skał i wspina się do psa. Mocno uderzam wodę, gdyż prąd jest silny, a fale próbują mnie rzucić na paliki pod pomostem albo rozbić o kamienie. W końcu chwytam jeden z głazów i winduję się na niego.

— Wariatka z ciebie, wiesz? — burczę.

Pies trzęsie się z zimna obok Mac, która próbuje go uspokoić.

— Musimy mu pomóc — mówi do mnie.

Szlag. Żałosny i brudny zwierzak to ledwie szczenię, jednak Mackenzie za cholerę nie zdoła dopłynąć z nim do brzegu. Sam z trudem nie dałem się zepchnąć prądowi, a ważę pewnie ze dwa razy więcej od niej.

— Daj mi tego psiaka — mówię z westchnieniem. Kiedy wyciągam rękę, suczka chowa się za Mackenzie; cofa się tak gwałtownie, że niemal wpada do wody. — No już, chodź. Masz do wyboru iść ze mną albo zostać tutaj.

— Malutka, wszystko w porządku, on nie jest tak straszny, jak się wydaje — mówi uspokajająco Mac. Ja stoję i wbijam w nie obie gniewne spojrzenie.

Pies wciąż się waha, więc Mac w końcu bierze go i składa w moje wyciągnięte ręce. Niemał natychmiast przerażony zaczyna się wrywać i machać na oślep łapami. To będzie droga przez mękę, cholera.

Mackenzie gładzi suczkę po przemoczonym futrze i na próżno próbuje ją uspokoić.

— Jesteś pewny? — pyta mnie. — Mogę spróbować...

Nie ma szans. Fale wyrwą jej psa z rąk, a on utonie, podczas gdy ja będę próbował wciągnąć Mac na brzeg. Nie ma mowy.

— Idź — rozkazuję. — Płynę zaraz za tobą.

Mac kiwa głową, wskakuje do wody i kieruje się w stronę brzegu.

Stojąc nadal na kamieniach, strzelam szczeniakowi mowę motywującą:

— Próbuję ci pomóc, rozumiesz? Nie odgryź mi głowy. Mamy się tolerować tylko przez kilka minut. Umowa stoi?

Zwierzę skomli i popiskuje; na nic więcej chyba nie mogę liczyć.

Najdelikatniej, jak potrafię, schodzę do wody i trzymając psa jak piłkę nad wodą, płynę, używając jednego ramienia. Przez cały czas futrzak panikuje, pewnie się boi, że próbuję go zabić albo coś. Szczeka i drapie. Kilka razy próbuje się wyrwać na wolność. Przy każdym ruchu tracę odrobinę ciała. Wreszcie docieramy do brzegu; na piasku natychmiast puszczam psa, który biegnie prosto do Mac i praktycznie rzuca jej się w ramiona. *Nie ma za co, zdrajco.*

— Nic ci nie jest? — woła Mac.

— Nie, wszystko okej.

Oboje oddychamy ciężko po walce z falami. Zapadła już ciemność rozświetlana jedynie światłami na bulwarze. Mackenzie majaczy przede mną tylko jako niewyraźna sylwetka.

Mam dość; podchodzę do niej sztywnym krokiem, tracąc resztę cierpliwości.

— Co to było, do cholery?

Mac kładzie dłoń na nagim biodrze, drugą opiekuńczo przytula psa.

— Poważnie? — mówi. — Wściekasz się, bo chciałam uratować bezbronne zwierzę? Mogło zginąć!

— Ty mogłaś zginąć! Złotko, czułaś, jaki to silny prąd? Mogło cię wyciągnąć na pełne morze. Przynajmniej raz w roku topi się tu jakiś bezmózgi przychlast!

— Nie jestem dla ciebie złotkiem! — warczy Mac. — Naprawdę nazwałeś mnie przychlastem?

— Zachowujesz się jak przychlast, więc zasługujesz, żeby cię tak nazwać. — Z gniewem otrząsam włosy z wody. Nie umyka mi, że pies robi akurat to samo. Zapewne oboje jesteśmy dzikimi zwierzętami.

Mackenzie mocniej obejmuje swoje nowe zwierzę.

— Nie będę przeproszać za to, że mam serce. Nie mogę uwierzyć, że byłeś gotów zostawić szczeniaka na pewną śmierć. Boże! Przyjaźnię się z mordercą zwierząt!

Szczęka mi opada.

Chryste, ta dziewczyna robi się coraz trudniejsza. Nigdy jeszcze tak mocno się nie starałem, żeby zdobyć kobietę. A jednak chociaż dla niej omal nie zginąłem na skałach, chociaż zostałem oskarżony o próbę zamordowania psa, nagle czuję, jak mój gniew ginie w ataku śmiechu. Zginam się wpół, krople słonej wody spadają ze mnie na piasek, a ja śmieję się jak szalony.

— I czemu się śmiejesz? — pyta Mac.

— Nazwałaś mnie mordercą zwierząt. — Udaje mi się wyksztusić między atakami chichotu. — Jesteś wariatką!

Po sekundzie Mac zaczyna chichotać. Pies niepewnie przenosi spojrzenie z jednego na drugie z nas, a my stoimy, śmiejąc się jak para kretynów, ociekający wodą i półnady.

— No dobrze — ustępuje Mac, powoli się uspokajając. — Może trochę przesadziłam. Wiem, chodziło ci o moje bezpieczeństwo. Dziękuję, że popłynąłeś z pomocą. Doceniam to.

— Nie ma za co. — Podciągam dżinsy za pasek, próbując je włożyć. Mokre bokserki przylepiły mi się do krocza, tym trudniej zapiąć zamek. — Chodź, zabierzemy twoje rzeczy i pojedziemy do mnie. Muszę się przebrać. Ty się wysuszysz, a potem cię odwiozę.

Mac nie odzywa się; wbija we mnie spojrzenie.

— No tak — wzdycham. — Weź psa.

Kiedy docieramy do domu, panuje w nim ciemność. Na podjeździe nie ma motocykla Evana ani jeepa, drzwi wejściowe są zamknięte na klucz. Wchodzimy z Mac na werandę obiegającą dom dookoła. Na szczęście wewnątrz nie ma bałaganu. Nasi znajomi często wykorzystują dom jako miejsce do imprez i przystanek w wędrówkach z knajpy do knajpy, więc przewija się tu mnóstwo ludzi. Evan i ja, pomimo braku innych zalet towarzyskich, staramy się jednak utrzymywać tu jako taką czystość. Nie jesteśmy kompletnymi zwierzętami.

— Możesz skorzystać z mojego prysznica. — Wskazuję Mac moją sypialnię na parterze. Zapalam światło i sięgam po piwo do lodówki. Po bohaterskiej akcji ratowniczej mam prawo się napić. — Znajdę ci coś do ubrania.

— Dzięki. — Mac niesie ze sobą psa wtulonego w nią sennie. Powiedziałem jej w samochodzie, że jeśli chce go tu zostawić, rano odwiozę go do schroniska. Zaczynam się jednak zastanawiać, czy zdołam go od niej oderwać.

Kiedy Mac znika w mojej osobistej łazience, znajduję czysty T-shirt i dżinsy, które Heidi zostawiła tu dawno temu. A może to była Steph. Dziewczyny zawsze zostawiają swoje rzeczy po imprezie albo plażowaniu; dałem sobie spokój z ich oddawaniem.

Zostawiam ubrania schludnie złożone na łóżku, po czym zrzucam mokre ciuchy i wkładam T-shirt i dresy. Para wydobywająca się spod drzwi łazienki kusi niewymownie.

Zastanawiam się, jak by zareagowała Mac, gdybym wszedł pod prysznic, przytulił się do niej, objął rękami i ujął w dłonie jej piersi.

W gardle narasta mi jęk. Mac zapewne wydrapałaby mi paznokciami jaja, ale może i warto, gdybym zdołał jej dotknąć.

— Halo, halo! — woła mój brat od drzwi.

— Tutaj! — odkrzykuję, idąc do kuchni.

Evan rzuca klucze na porysowany drewniany blat na wyspie kuchennej. Bierze piwo i opiera się o lodówkę.

— Co to za zapach?

— Razem z Mackenzie uratowaliśmy szczeniaka ze skał. — Biedny psiak faktycznie nieco śmierdzi. Zapewne ja teraz też zalatuję. Doskonale.

— Jest tutaj? — Evan rozgląda się wokoło, na jego twarzy pojawia się szatański uśmiech.

— Pod prysznicem.

— Szybko ci poszło. Niemal żałuję, że nie miałem czasu, żeby się tym ponapawać.

— To nie tak, jak myślisz — burczę. — Pies utknął na skałach, musieliśmy do niego dopłynąć. Powiedziałem Mackenzie, że może się tu doprowadzić do porządku, a potem zawiozę ją do domu.

— Do domu? Bracie, to twoja szansa. Dokończ dzieła — Evan niecierpliwie kręci głową. — Przecież pomogłeś jej uratować szczeniaka. Rozbroiłeś ją.

— Nie bądź fiutem. — Sposób, w jaki to mówi, porusza we mnie czułą strunę. Nasz plan nie jest zbyt szlachetny, ale nie musimy dodatkowo jeszcze popisywać się obłęsnością.

— No co? — Evan nie usiłuje nawet ukryć uciechy z tego, że plan tak doskonale się sprawdza. — Tylko mówię.

— Hm... — Pociągam z butelki. — Zatrzymaj to dla siebie.

— Cześć — rozlega się niepewny głos Mac.

Dziewczyna wchodzi do kuchni; na jej widok w mojej koszulce, z mokrymi ciemnymi włosami zaczesanymi do tyłu opadają mnie wszelkie możliwe grzeszne myśli. Nie włożyła dzinsów, więc nogi ma gołe, opalone i nieskończenie długie.

Cholera.

Chciałbym, żeby mnie nimi oplotła w pasie.

— Evan — wita się z moim bratem; kiwa mu głową, jakby jakoś się domyślała, że coś knuje. Wciąż ma na rękach śpiącego szczeniaka. Nie dziwi mnie to.

— Hej. — Evan rzuca jej uśmiech na pożegnanie i odrywa się od lodówki. — Padam na nos. Bawcie się dobrze, dzieciaki.

Mój brat nie ceni subtelności.

— Coś powiedziałam? — pyta oschle Mac.

— Nie. On sobie wyobraża, że skoczmy do łóżka. — Unoszę rękę, żeby przeczesać nią wilgotne włosy, i wtedy widzę, jak oczy dziewczyny rozszerzają się z niepokoju. Marszczę brwi. — Co?

— Cooper, jesteś cały podrapany.

Opuszczam wzrok; niemal już zapomniałem, że jej uroczy szczeniaczek niespełna godzinę temu omal mnie nie rozszarpał. Ramiona mam całe w czerwonych szramach, a na obojczyku wyjątkowo paskudne rozcięcie.

— Eee tam, nic wielkiego — zapewniam. Zadrapania i otarcia to dla mnie żadna nowina, a te nie są najgorsze, jakie mi się zdarzyły.

— Nieprawda. Musimy je oczyścić.

Z tymi słowami Mac prowadzi mnie do łazienki i pomimo moich protestów siłą sadza na zamkniętej muszli klozetowej. Szczeniak zostaje włożony do mojej wanny na czterech łapach — tam zwija się w kłębek i zasypia, podczas gdy Mackenzie przegląda moje szafki w poszukiwaniu apteczki.

— Sam to zrobię — mówię, kiedy wyjmuję butelkę alkoholu i waciki.

— Chcesz się stawiać? — Mierzy mnie spojrzeniem spod uniesionych brwi. Jej zacięta mina jest nawet słodka, to upór z rodzaju „zamknij się i weź lekarstwo”.

— Nie.

— I dobrze. Zdejmuj koszulkę.

Czuję, jak na ustach pojawia mi się uśmiech.

— Tak to zaplanowałaś? Od początku chodziło o to, żeby mnie rozebrać?

— Jasne, Cooper. Włamałam się do schroniska dla zwierząt, ukradłam szczeniaka, wrzuciłam do morza, sama popłynęłam na ratunek, wszystko po to, żeby nie wzbudzić w tobie podejrzeń, że to ja sama naraziłam go na niebezpieczeństwo w tej pułapce na skałach, po czym jeszcze telepatycznie kazałam psu cię podrapać. A wszystko po to, żeby obejrzeć twój doskonały sześciopak — kończy prychnięciem.

— Fakt, poszłaś po bandzie — przyznaję. — Ale rozumiem. Mam naprawdę doskonały sześciopak. Na najwyższym poziomie.

— Jak twoje ego.

Powoli zdejmuję koszulkę, żeby uzyskać jak największy efekt. Pomimo drwin Mac reaguje na moją gołą klatkę. Wstrzymuje oddech, po czym odwraca spojrzenie, udając, że koncentruje się na otwieraniu środka do dezynfekcji.

Kryję uśmiech i opieram się wygodniej, a ona zaczyna przemywać mi zadrapania na ramieniu.

— Mieszkacie tu tylko we dwóch? — pyta z ciekawością.

— Tak. Evan i ja wychowaliśmy się w tym domu. Zbudowali go moi pradziadkowie tuż po ślubie. Potem mieszkali tu dziadkowie i tak dalej.

— Jest piękny.

Był. Teraz się rozpada. Trzeba wymienić dach, fundamenty trzeszczą, bo piasek pracuje. Siding na ścianach doświadczył o jedną burzę za dużo, podłogi są zniszczone i wypaczone. Wszystko to mógłbym naprawić, pod warunkiem że miałbym czas i pieniądze, ale przecież właśnie o to zawsze wszystko się rozbija. Całe miasto żyje w jakimś cholernym zawieszeniu „gdyby tak”. I właśnie tak przypominam sobie, dlaczego siedzę tutaj i pozwalam dziewczynie klona przesuwac dłońmi po mojej nagiej kłacie.

— Już — odzywa się Mac, dotykając mojego ramienia. — Znacznie lepiej.

— Dzięki — odpowiadam nieco ochryple.

— Nie ma za co. — Jej głos też jakby nieco ochrypl.

Od razu tonę w spojrzeniu jej błyszczących zielonych oczu. Kuszą mnie fragmenty jej niemal nagiego ciała — fragmenty ud widoczne spod unoszącego się T-shirta. Jej ciepła dłoń na mojej skórze. Pulsowanie na jej szyi, dające mi znać, że ona także nie jest wobec mnie obojętna.

Mógłbym to zrobić. Mógłbym ująć ją za biodra, posadzić sobie na kolanach, wsunąć dłoń w jej włosy i przyciągnąć jej twarz do mojej, po czym pocałować mocno. Nie powinienem z nią spać, dopóki ona tego nie zainicjuje, ale jeśli mogę wnioskować z przeskakujących między nami iskier, ona chyba też nie poprzestałaby na pocałunku. To będzie pocałunek, który poprowadzi nas do łóżka — a to doprowadzi do tego, że mojego fiuta zatopię głęboko w jej ciele. Ona rzuci Kincaida szybciej, niż zdołam powiedzieć „game over”. Wygrywam. Misja wykonana.

Ale co to za zabawa?

— Teraz — mówię — zajmijmy się twoją przyjaciółką.

Mackenzie mruga, jakby wrywała się z tego samego pełnego pożądania transu, w jaki ja wpadłem.

Napuszczamy do wanny ciepłej wody, lejemy szampon i wkładamy szczeniaka. Nagle pies całkowicie zmienia wygląd. Zmokła kura przeobraża się w małego golden retrievera, chłapie i bawi się butelką szamponu, która wpadła do wody. Biedactwo, sama skóra i kości, zgubiła się albo została porzucona przez matkę. Nie miała na sobie obroży. W schronisku będą musieli sprawdzić, czy jest zaczipowana.

Myjemy psa, wycieramy go, a potem stawiam w kuchni miskę wody i karmię go kawałkami indyka. Nie jest to najlepsza karma, ale nic odpowiedniejszego na razie nie mamy. Szczeniak je, ja zaś, nie zamykając drzwi, wychodzę na tylny taras. Na dworze się

ochłodziło, znad oceanu wieje wiatr. Na horyzoncie migocze maleńkie światełko na rufie statku.

— Wiesz... — Obok mnie staje Mac.

Jestem boleśnie świadomy jej obecności; każdy nerw napina się w jej stronę. Dziewczyna ledwie na mnie patrzy, a ja jestem już napalony. Naprawdę wkurzająca sytuacja.

— Nie powinnam tu być — kończy Mac.

— Dlaczego niby?

— Chyba wiesz — mówi cicho, odmierzając słowa. Testuje nie tylko siebie, ale i mnie.

— Nie wyglądasz na dziewczynę, która robi coś, czego nie chce. — Odwracam się i spoglądam jej w oczy. Z naszej krótkiej znajomości wnioskuję, że Mackenzie jest uparta. Nie jest to typ, którym można rządzić. Nie mam złudzeń, że to moja przebiegłość ściągnęła ją tutaj.

— Zdziwiłbyś się — mówi z żalem.

— Opowiedz.

Mierzy mnie badawczym, powątpiewającym spojrzeniem. Sprawdza szczerość mojego zainteresowania.

Unoszę brwi.

— Jesteśmy przyjaciółmi czy nie?

— Chciałabym tak uważać — odpowiada ostrożnie.

— No to opowiedz. Chciałbym cię poznać.

Wciąż świdruje mnie wzrokiem. Chryste. Kiedy się tak na mnie gapi, mam wrażenie, że rozbiera mnie na części i ogląda każdą z nich. Nigdy dotąd nie czułem się przy nikim tak odsłonięty. Nie wiem jednak dlaczego, nie przeszkadza mi to tak mocno, jak powinno.

— Myślałam, że wolność oznacza samowystarczalność — wyznaje w końcu. — Jak stwierdzam, to niezupełnie prawda. Pewnie w moich ustach brzmi to głupio, ale czuję się uwięziona w pułapce. Pułapce oczekiwań i obietnic. Próbuję uszczęśliwić wszystkich naokoło. Chciałabym raz dla odmiany być egoistką. Robić to, co zechcę, kiedy zechcę i jak zechcę.

— No to czemu tego nie zrobisz?

— To nie takie proste.

— Ależ tak. — Bogacze zawsze jęczą, że pieniądze to taki wielki ciężar. Po prostu nie umieją z nich korzystać. Tak się zakręcają w swoim marudzeniu, że zapominają o jednym: tak naprawdę nie potrzebują swoich tępych znajomych i durnych drogich klubów. — Rzuć to. Ktoś cię dołuje? Coś nie daje ci iść do przodu? Odpuść ich sobie i ruszaj.

Przygryza dolną wargę.

— Nie mogę.

— W takim razie nie chcesz wystarczająco mocno.

— To niesprawiedliwe.

— No pewnie. A co jest sprawiedliwe? Ludzie przez całe życie narzekają na to, czego nie chce im się zmienić. W pewnym momencie albo trzeba zebrać się na odwagę, albo zamknąć.

Mac zaczyna się śmiać.

— Mam się zamknąć?

— Nie. Mówię ci tylko, że życie i okoliczności, na które nie mamy wpływu, już wystarczająco nas ograniczają. My przynajmniej możemy próbować iść własną drogą.

— A ty? — Mac odwraca się do mnie, odrzucając piłeczkę. — Jest coś, co chcesz teraz zrobić, a nie możesz?

— Chcę cię pocałować.

Mac mruży oczy.

Powinienem pożałować tych słów, ale nie potrafię. Bo właściwie co mnie powstrzymuje przed tym, by ją pocałować, by powiedzieć jej, że tego pragnę? W pewnej chwili muszę odkryć karty. Najwyraźniej złapałem ją na haczyk. Jeśli teraz nie popchnę planu do przodu, po co marnować czas?

Obserwuję ją, próbując odczytać reakcję pod kamienną fasadą obojętności. Dziewczyna jest niewzruszona. Jednak przez ułamek sekundy mam wrażenie, że dostrzegam w jej spojrzeniu płomień, kiedy się zastanawia nad tym, co powiedziałem. Ważąc. Jedno prowadzi do drugiego, jedna rzecz pociąga za sobą kolejną, tworzy się kaskada skutków.

Mac oblizuje usta.

Pochyłam się bliżej. Tylko trochę. Żeby się skusić. Potrzeba, by jej dotknąć, jest niemal nie do zniesienia.

— Ale wtedy zrujnowałbym naprawdę fajną przyjaźń — mówię, gdyż straciłem już całkowicie kontrolę nad moim przeklętym językiem. — Zatem się zachowuję. Jednak wciąż mam wybór.

Co ja wyprawiam, do diabła? Nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale nagle, chociaż powinienem starać się ją przyciągnąć, stwarzam jej możliwość wycofania się.

Mac odwraca się w stronę wody i opiera ręce na balustradzie.

— Podziwiam twoją szczerość.

Kątem oka z rosnącą frustracją wpatruję się w jej profil. To nieprzeciętnie atrakcyjna

kobieta, która oprócz mojego T-shirtu nie ma na sobie nic, a ja, zamiast przyciągnąć ją do siebie i całować do utraty tchu, wycofuję się na pozycję przyjaciela.

Po raz pierwszy, odkąd wymyśliliśmy ten plan, zaczynam zadawać sobie pytanie, czy nie zabrnąłem za daleko.

10. Mackenzie

Następnego poranka budzi mnie SMS od Coopera. Evan musiał zrobić zdjęcie, bo widać na nim Coopera w łóżku, śpiącego ze szczeniakiem zwiniętym w kłębek i przytulonym do jego piersi, z pyszczkiem pod jego brodą. Słodkie jak cholera. Wczoraj wydawało mi się, że tych dwoje jest skazanych na porażkę, ale chyba udało im się dojść do porozumienia.

Mam nadzieję, że Cooper i Evan zdecydują się zatrzymać pieska. Wiem, że najlepiej byłoby zabrać go do schroniska — ja nie mogę wziąć go do siebie — lecz serce mi pęka na myśl, że nigdy go nie zobaczę.

Odpisuję Cooperowi — kiedy wychodzę po drugich zajęciach tego dnia, wciąż nie mam od niego odpowiedzi. Zapewne pracuje. Wmawiam sobie, że tylko troska o psa wywołuje to ukłucie rozczarowania. Ale kogo ja oszukuję! Nie mogę zignorować tego, co zaszło wczoraj wieczorem na tarasie. Napięcie erotyczne niemal trzaskało w powietrzu, szorstkie wyznanie Coopera, że chciałby mnie pocałować... gdyby się nie odsunął, mogłabym stracić głowę i poddać się nastrojowi chwili.

Nie doceniłam jego uroku. To moja wina, przecież powinnam być twardsza i nie dać się uwodzić przystojnym, półnagim facetom, którzy rzucają się na pomoc zwierzętom w potrzebie. Muszę po prostu poruszać się ostrożniej, nie wrywać się z inicjatywą, powtarzać sobie, że jesteśmy przyjaciółmi. I tyle. Nie ma sensu tego komplikować.

Odzywa się sygnał; energicznie wyrywam telefon z kieszeni, ale to wiadomość od Prestona, nie od Coopera.

Pozbywam się drugiej fali rozczarowania, spychając je głęboko w podświadomość, przesuвам kciuk przez czytnik odcisków palców i odblokowuję ekran.

Preston: *Czekam na parkingu.*

Racja. Dzisiaj jemy obiad poza kampusem. Dobrze, że mi przypomniał, bo już miałam wskoczyć po wrapa z kurczakiem do bufetu niedaleko wydziału ekonomii.

Wsiadam do kabrioletu Prestona; w drodze do Avalon Bay rozmawiamy o zajęciach. Pres znajduje parking na ulicy niedaleko bulwaru. Puls mi przyspiesza; zmuszam się, by nie spoglądać w stronę restauracji, którą odnawia Cooper z wujkiem.

Po jakichś trzech i pół sekundach łamię się i jednak spoglądam — lecz nikogo tam nie ma. Może poszli na przerwę, a może cała załoga pracuje dzisiaj gdzieś indziej.

Ponownie udaję, że nie jestem rozczarowana.

— Nie powiedziałaś mi, co w końcu wczoraj robiłaś. — Pres bierze mnie za rękę; idziemy razem do baru dla sportowców, w którym umówiliśmy się z jego kolegami. — Pojechałaś do miasta?

— O tak, pojechałam. Zwiedziłam bulwar, przeszłam się pomostem i obejrzałam sobie zachód słońca z plaży. Naprawdę miły wieczór.

Błyskawicznie podejmuję decyzję strategiczną, by ominąć całą akcję ratowania szczeniaka. Nie chodzi o to, że Pres jest zazdrosny — po prostu nie mam ochoty wchodzić w dyskusję, zwłaszcza teraz, kiedy dopiero co przyjechałam do Garneta i tak dobrze nam się układa. Będzie jeszcze okazja, by powiedzieć mu o przyjaźni z - Cooperem. Któregoś dnia. Kiedy nadejdzie właściwa chwila.

— A jak ci poszło w pokerze? Właściwie ty też do mnie nie pisałaś. — Jednak ja również nie jestem skłonna do zazdrości. Po takim czasie związku na odległość oboje przywykliśmy do tego, że niekiedy SMS pozostaje bez odpowiedzi albo któreś z nas nie odbiera telefonu i nie oddzwania. Gdybyśmy za każdym razem, gdy jedno z nas nie odzywa się do rana, robili z tego problem, dawno temu byśmy się rozstali. To kwestia zaufania.

— Jak poszło w pokerze? — powtarza Benji Stanton, który usłyszał moje pytanie, gdyż oboje z Presem podeszliśmy do ich grupy. Śmieje się głośno. — Uważaj na tego gościa. Dzieciak nie umie grać i nie wie, kiedy się wycofać.

— Hm... zatem niezbyt dobrze? — pytam, rzucając Presowi żartobliwy uśmiech.

— Niedobrze — potwierdza Benji. Studiuje ekonomię, jak Pres. Poznali się na wspólnych zajęciach w zeszłym roku.

Rodzice Benjiego mają nieruchomość w Hilton Head, jego ojciec prowadzi fundusz inwestycyjny. Wszyscy znajomi Prestona pochodzą z jednego środowiska. Wszyscy są obrzydliwie bogaci. Finanse, nieruchomości, polityka — ich rodzice należą do klubu miliarderów. Dotąd wszyscy byli dla mnie mili i przyjmowali mnie ciepło. Początkowo bałam się, że mogą krzywo na mnie patrzeć, jako na studentkę pierwszego roku, lecz od kolegów Prestona z Garneta czuję tylko pozytywne wibracje.

— Nie słuchaj go, babe. — Pres całuje mnie w czubek głowy. — Jestem długodystansowcem.

Po kilku minutach wchodzimy na schody. „Sharkey’s Sports Bar” ma dwie kondygnacje, w górnej stoją stoliki z widokiem na ocean, w dolnej zaś mieszczą się stoły do gier, mnóstwo telewizorów i bar. Kelner sadza naszą grupę przy długim i wysokim stole niedaleko balustrady; chłopcy nadal naśmiewają się z braku umiejętności karcianych Prestona.

— Mac, dobrze schowaj cenną biżuterię — radzi mi Seb Marlow. Pochodzi z Florydy,

a jego rodzina to główny wykonawca kontraktów wojskowych dla rządu. Wszystko okropnie poważne i ściśle tajne. „Musiałbym cię najpierw zabić” i tak dalej. A przynajmniej takie zdanie Seb powtarza na imprezach. — O mało nie rzucił swojego rolexa na stół, byle tylko wejść do stawki.

Tłumiąc śmiech, zwracam się do Presa:

— Proszę, powiedz, że on się nabija.

Pres wzrusza ramionami; przecież pieniędzmi w ogóle się nie przejmuje, a zegarków ma tyle, że nie wie, co z nimi robić.

— A może zmierzycie się ze mną w bilardzie? — pyta obronnym tonem. — To dopiero gra dla dżentelmenów.

Benji z kpiącym uśmiechem spogląda na Seba.

— Podwajasz stawkę czy wylatujesz?

Preston nigdy nie potrafi się oprzeć wyzwaniu, więc aż podskakuje.

— Wchodzę.

Chłopcy odsuwają się od stołu, Preston na pożegnanie całuje mnie w policzek.

— Jedna partyjka — tłumaczy. — Zaraz wracam.

— Nie przegraj samochodu — ostrzegam. — Potrzebuję podwózki na kampus.

— Nie martw się! — woła Benji przez ramię. — Ja tego dopilnuję.

Pres tylko unosi oczy do nieba, po czym rusza za kolegami. Kolejna jego cecha, którą bardzo cenię, to umiejętność przegrywania. Nigdy nie widziałam, żeby tracił panowanie nad sobą z powodu głupiej gry, nawet jeśli jego portfel jest nieco lżejszy po paru partiach. Fakt, łatwo nie przejmować się przegraną, jeśli ma się niemal nieskończone zasoby gotówki do obstawiania z cudzego konta.

— Teraz, skoro chłopcy sobie poszli... — Melissa, dziewczyna Benjiego, odsuwa na bok całą kolekcję szklanek z wodą i przechyla się do mnie i dziewczyny Seba, Chrissy.

O Melissie wiem tylko tyle, że pływa na żaglach, o Chrissy zaś jeszcze mniej. Chciałabym mieć z tymi dziewczynami nieco więcej wspólnego niż stan konta naszych rodziców.

Szczerze mówiąc, nie mam wiele bliskich koleżanek. A te kilka minionych tygodni jeszcze potwierdziło, że kiepsko sobie radzę z nawiązywaniem więzi z rówieśniczkami. Uwielbiam Bonnie, lecz ona jest bardziej jak młodsza siostra. W liceum miałam koleżanki, lecz żadnej nie uznawałam za taką, z którą można konie kraść. Jediną osobą, której najbliżej do prawdziwej przyjaciółki, jest Sara, z którą co lato szalałyśmy na koloniach, dopóki nie skończyłam osiemnastki. Wciąż pisujemy do siebie SMS-y, ale Sara mieszka w Oregonie, więc nie widziałyśmy się od dwóch lat.

Obecnie mój krąg towarzyski składa się z mojej współlokatorki, chłopaka i kolegów

chłopaka, którzy na pewno nie będą tracili czasu na wspólne ploteczki.

— Czego się dowiedziałas o tej lasce ze snapchata? — pyta Melissa.

Chrissy bierze głęboki oddech, jakby miała skoczyć na dno basenu po parę butów od Jimmy'ego Choo.

— To dziewczyna z wyższego roku, w Garnecie ma stypendium. Znalazłam na Instagramie przyjaciółkę jej współlokatorki i napisałam do niej. Dziewczyna odpisała, że przyjaciółka jej opowiadała, że jej współlokatorka podobno poznała się z nim na łódce i zaczęli się obściskować.

— A, więc się tylko całowali? — pyta Melissa jakby rozczarowana odpowiedzią.

Chrissy wzrusza ramionami.

— Podobno ktoś z imprezy wpadł na kogoś, komu dziewczyna robiła laskę. Może to był Seb, może nie. W sumie nieważne.

Gdybym znała moją matkę jako studentkę, zapewne bardzo przypominałaby Chrissy. Pruderyjna, opanowana i niewzruszona. Wszystkie włosy i rzęsy na miejscu. Dlatego więc fakt, że cierpliwie znosi coś tak nieczystego jak zdrada, uderza mnie jako dziwna niekonsekwencja.

— Czekaj — wtrącam — chłopak cię zdradza, a ciebie to nie rusza?

Dziewczyny gapią się na mnie tak, jakbym nie słuchała, co właśnie powiedziały.

— Na urodzinach jego ojca na Seszelach rok temu gośćmi było dwóch byłych prezydentów Stanów Zjednoczonych i księżę Arabii Saudyjskiej — mówi Chrissy głosem bez wyrazu. — Nie zrywa się z takim facetem jak Seb z powodu takiej głupoty jak zdrada. To mężczyzna, za którego wychodzi się za męża.

Patrzę na nią, marszcząc brwi.

— Wyszłabyś za kogoś, kto cię zdradza?

Chrissy nie odpowiada, tylko patrzy na mnie, mrugając. Czy oczekiwanie wierności jest aż tak banalne i staromodne? Myślałam, że mam dość otwarty umysł, lecz widocznie moje wyobrażenia na temat miłości i romantyzmu są skandaliczne.

— Tego właściwie nawet nie można uznać za zdradę — odpowiada z wyższością Melissa, niedbale machając ręką. — Seb puścił się z jakąś stypendystką? Kogo to obchodzi. Gdyby to była czyjaś żona, to zupełnie inna historia. Wtedy jest się czym martwić.

— Żona? — powtarzam.

Chrissy spogląda na mnie z wyższością.

— Dla facetów jak Seb, Benji i Preston istnieją dwa rodzaje kobiet: materiał na żonę i Marilyn. Czyli te, z którymi się żeni, i te, z którymi się pieprzy.

A nie można się pieprzyć z tą, z którą się ożeniło? Albo ożenić się z tą, z którą się

pieprzy? Gryzę się w język, zanim zadam to pytanie. Po co?

— Nie martw się. — Melissa wyciąga rękę nad stołem i kładzie dłoń na mojej. Zapewne uważa ten gest za pocieszający. — Ty zdecydowanie jesteś materiałem na żonę i Preston to wie. Musisz się martwić tylko tym, żeby całą sprawę przypieczętować i zdobyć pierścione. Cała reszta to... — zerka na Chrissy w poszukiwaniu właściwego słowa — ...to zajęcia dodatkowe.

To najbardziej dołujące porady życiowe, jakie słyszałam. Te kobiety są bogate z domu i mają własne małe imperia, nie potrzebują wychodzić za mąż dla pieniędzy. Dlaczego więc zaprzędają się w pozbawione miłości układy?

Kiedy pewnego dnia wyjdę za Prestona, nie uczynię tego dla pieniędzy ani po to, by zdobyć koneksje. Nasze śluby nie będą zawierały klauzuli, że zdrada jest tolerowana, pod warunkiem że ceny akcji nie spadną.

— Nie chciałabym tak żyć — mówię do nich. — Jeśli związku nie buduje się na miłości i wzajemnym szacunku, to po co w ogóle w niego wchodzić?

Melissa spogląda na mnie protekcyjnie, przechylając głowę i lekko wydymając usta.

— Och, kochana, na początku wszystkie tak uważają. W końcu jednak musimy zacząć myśleć realistycznie.

Chrissy nie mówi nic, lecz jej zimna, nieporuszona twarz potrąca we mnie jakąś strunę. To przelotne, trudne do zdefiniowania uczucie, jednak kładzie mi się ciężarem na żołądku.

Wiem jedno: nigdy nie chcę dotrzeć do punktu, w którym niewierność uznam za „zajęcia dodatkowe”.

Później, kiedy Preston odwozi mnie do Tally Hall, poruszam z nim ten temat. Ani Melissa, ani Chrissy nie poprosiły mnie o dochowanie tajemnicy, więc nie czuję się winna, kiedy pytam:

— Wiedziałeś, że według Melissy i Chrissy Seb zdradza Chrissy?

Preston nie traci opanowania; zmienia biegi i wiezie nas krętymi ulicami skrajem kampusu.

— Tak mi się wydawało.

— To prawda? — Z trudem opanowuję zmarszczenie brwi.

— Nie pytałem — odpowiada, a po kilku sekundach dodaje: — Nie zdziwiłoby mnie to.

Czy Preston był na tej wycieczce łodzią, czy zna szczegóły — to już się nie liczy. Nie powiedziałby aż tyle, gdyby uważał, że to niemożliwe. A mnie jego słowa wystarczą, wiem, co chciałam.

— Nawet się o to nie wścieka. — Z niedowierzaniem kręcę głową. — Żadna z nich się nie przejęła. Jeśli chodzi o nie, to są zwykłe koszty operacyjne.

— Tak mi się wydawało. — Pres zatrzymuje samochód na parkingu przed moim akademikiem. Zdejmuje okulary słoneczne i patrzy mi w oczy. — Od kilku tygodni krążyły różne pogłoski. Seb i Chrissy postanowili je ignorować. Tyle wiem. Szczerze mówiąc, to nic niezwykłego.

— Zdrada to nic niezwykłego? — Dla mnie zdrada to obraza dla drugiej osoby. To tak, jakby powiedzieć partnerowi: nie kocham cię aż tak, żeby być ci wierną, ale nie szanuję tak bardzo, by ci dać odejść. Najgorsza pułapka, jaka istnieje.

Pres wzrusza ramionami.

— Dla niektórych...

— Ale my nie będziemy tymi niektórymi — mówię prosząco.

— Nie jesteśmy. — Preston przechyliła się do mnie nad rączką skrzyni biegów. Ujmuję w dłonie moją twarz i całuje mnie delikatnie. Potem odsuwa się, jego jasnoniebieskie oczy błyszczą pewnością siebie. — Byłbym kompletnym idiotą, gdybym narażał nasz związek, skarbie. Umiem rozpoznać materiał na żonę.

Zapewne zamierzył to jako komplement, lecz fakt, że użył dokładnie tego samego wyrażenia co Melissa, budzi w moim żołądku niepewny skurcz. Jeśli jestem materiałem na żonę, czy to oznacza, że Preston ma też jakąś Marilyn? A może jest ich więcej?

Za gardło ściska mnie frustracja. To okropne, że Melissa i Chrissy zasiały we mnie tak paskudne podejrzania.

— Jestem materiałem na żonę, tak? — docinam, próbując opanować niepokój. — A czemu?

— Hm... — Preston przesuwa ustami po moim policzku w stronę ucha; chwyta jego płatek i drażniąco ssie. — Bo jesteś atrakcyjna. I inteligentna. Masz mózg w głowie. Oczywiście atrakcyjnej. Jesteś lojalna. Jesteś atrakcyjna. Irytująca, kiedy czasami nie potrafisz przestać się kłócić...

— Hej — protestuję.

— Ale w kwestiach zasadniczych nie jesteś uparta — kończy. — Mamy podobne cele w życiu. A, wspomniałem może, że jesteś atrakcyjna?

Jego usta znów muskają moje wargi. Odpowiadam pocałunkiem, chociaż nieco zdawkowym. Naprawdę ujęła mnie lista, którą właśnie wyrecytował. Tak mnie ujęła, że teraz w gardle ściska mnie poczucie winy, bo to chyba ja wychodzę na nieuczciwą w związku z całą tą znajomością z Cooperem.

Przyjaźń to nie zdrada, nawet jeśli przyjaciel jest atrakcyjny, ale może od niej już blisko do zdrady?

Nie. Z pewnością nie. SMS-y to nie zdrada. Przecież nie wysyłamy sobie nagich zdjęć ani nie opisujemy fantazji seksualnych. Po zeszłej nocy oboje z Cooperem dokładnie wiemy, gdzie przebiega granica. A teraz tym bardziej niż kiedykolwiek wiem, że nie wolno mi jej przekroczyć.

Idę do akademika, kiedy na ekranie wyskakuje wiadomość od tego, który właśnie zajmował mi myśli. Towarzyszy jej zdjęcie Evana na plaży rzucającego szczeniakowi patyk.

Cooper: *Zmiana planów. Zamieszkamy razem.*

11. Cooper

— Kto jest najśliczniejszą dziewczynką na świecie? Czy to ty? No jasne, że ty! Tylko spójrzcie, przecież jesteś przestodkim aniołkiem. Mógłbym cię zjeść, jesteś doskonała, moja śliczna!

Ten potok języka dziecięcego, i to w ustach mojego całkowicie dorosłego brata, brzmi żenująco.

Za to obiekt jego uwielbienia wcale nie czuje się zażenowany. Najnowsza członkini rodziny Hartleyów drepcze po kuchni tak dumnie, jakby właśnie została samicą alfa w tym stadzie. I w sumie tak jest. Owinęła sobie Evana wokół łapki. Ja to co innego — ja nie zakochuję się w pierwszej lepszej ładnej buzi, która wpadnie mi w oko.

— Słuchaj — ostrzegam — musisz trochę przystopować. To, co wyprawiasz, to jakiś odpał.

— Eee tam, zobacz, jaka jest śliczna. — Evan unosi psicę w ramionach i podaje mi. — Pogłaskaj ją. Zobacz, jakie ma miękkie, jedwabiste futerko.

Postusznie gładzę złocistą sierść — no pewnie, że miękką, biorąc pod uwagę, że wczoraj zapłaciliśmy pięćdziesiąt dolców za psiego fryzjera. Potem wyjmuję mu pieska z rąk i stawiam znów na podłodze.

Suczka od razu sika.

— Szlag by to — mamrocę.

Evan natychmiast zamienia się w matkę-kwokę, łapie za ręczniki papierowe i śpiewając do swojej nowej dziewczyny, wyciera kałużę jej sików.

— Nic się nie stało, moja śliczna. Wszystkim zdarzają się wypadki.

Wciąż pracujemy nad szkoleniem psa; sami się uczymy od weterynarzy-blogerów i forów miłośników psów. Wiem tylko, że przez ostatnie siedem dni sprzątnąłem tyle psich sików i kup, że wystarczy mi do końca życia. Psica ma szczęście, że jest takim słodziakiem. W zeszłym tygodniu, kiedy weterynarz w schronisku potwierdził, że nie jest zacypowana i najprawdopodobniej została porzucona jakiś czas temu, nie miałem już sumienia skazać jej na klątkę albo znów porzucić. Może i jestem łobuzem, ale bywam miłosierny. Weterynarz zatem dał nam specjalną karmę, żeby suczka nabrała ciała, wysłał nas do domu — no i mamy psa.

Po dniu pracy fizycznej wolałbym, żeby Evan przestał się tak rozplęwać nad swoją śliczną dziewczynką.

Rano obudziłem się rozgorączkowany, gotowy do pracy. Obaj z Evanem mamy wolne, więc uznałem, że co, do cholery, nie trafi się lepszy moment, żeby zabrać się do napraw w domu. To całe dziedzictwo, chociaż kiepskie, jakie nam zostało po rodzinie. Wcześniej wykopałem Evana z pościeli i poszliśmy obaj do sklepu z materiałami budowlanymi sprawdzić, czego nam potrzeba.

Pierwsza pozycja na liście prac remontowych: wymiana dachu. To będzie kosztować. Musiałem sięgnąć do kiesy, ale udało mi się przekonać Evana, żeby dorzucił połowę kosztów. Przynajmniej na robociźnie zaoszczędzimy kilka tysięcy.

— No już, musimy zaczynać — mówię bratu. Planujemy przez resztę dnia zerwać stary dach, a jutro położyć nowe materiały. Jeśli się pospieszymy, powinniśmy skończyć całość w dwa dni.

— Najpierw chodźmy na szybki spacer. Zmęczymy ją, więc jak będziemy pracować, to ona będzie spała.

Nie czekając na odpowiedź, Evan bierze psicę w ramiona i idzie do tylnych drzwi, przy których wisi jej smycz.

— Przysięgam na Boga, jeśli nie wrócisz za dziesięć minut, zawiozę ją do schroniska.

— Odwal się. Ona tu zostaje.

Wzdycham i odprowadzam wzrokiem jego i psa zbiegających schodami z tarasu na plażę. Materiały budowlane jeszcze nie przyjechały, ale moglibyśmy przynajmniej zrobić coś pożytecznego i przygotowywać już dach do naprawy. Niestety etyka pracy Evana jest znacznie słabsza od mojej. Mój brat korzysta z każdej okazji, byle tylko odwlekać to, co ma do zrobienia.

Stoję na tarasie oparty łokciami o poręcz; uśmiecham się, widząc, jak golden retriever prosto jak po sznurku biegnie do wody. Żegnaj, mięciutka sierści. Dobrze tak Evanowi.

Czekając, wydaję telefon i piszę do Mac.

Ja: *Może Kartoffel?*

Odpowiedź nadchodzi niemal od razu. Świadomość, że odpowiada mi tak szybko, łaskocze moje ego.

Mackenzie: *W żadnym wypadku.*

Ja: *Mary Pawpins?*

Mackenzie: *Lepiej. Mnie się podoba Daisy.*

Ja: *A coś bardziej ogólnego?*

Mackenzie: *Sam jesteś ogólny.*

Ja: *W żadnym wypadku, złotko, jestem jedyny w swoim rodzaju.*

Mackenzie: *Nie jestem twoim złotkiem.*

Ja: *Co robisz?*

Mackenzie: *Mam zajęcia.*

Po ostatniej wiadomości następuje emotka pistoletu przystawionego do głowy dziewczyny. Podśmiechuję się do telefonu.

Ja: *Aż tak źle?*

Mackenzie: *Gorzej. Po cholerę z nauk ścisłych wybrałam biologię! Czemu wszystkie gatunki mają łacińskie nazwy! Zapomniałam, jak nie znoszę uczyć się o komórkach! Wiesz, że komórka to podstawowy element życia?*

Ja: *Myślałam, że seks.*

Mackenzie wysyła emotkę przewracającego oczami, po czym pisze, że musi przerwać, bo wykładowca zaczyna wzywać studentów do odpowiedzi. Nie zazdroszczę jej.

Chociaż Garnet oferuje przyzwoite stypendia studentom miejscowym, nigdy nie ciągnęło mnie do studiowania. Nie widzę w tym sensu. Mogę się uczyć od wujka, online albo z książek z biblioteki. W zeszłym roku zrobiłem kurs rachunkowości w naszym domu kultury i nauczyłem się lepiej zarządzać naszymi finansami, choćby skromnymi, lecz ten kurs kosztował mnie tylko stówę. Po jakiego diabła miałbym wywalać dwadzieścia pięć tysięcy, i to za semestr, żeby się dowiedzieć, że komórki są ważne, a my pochodzimy od małpy?

Moją uwagę przyciąga klakson przed domem. Przywieźli nasze zamówienie.

Przed domem czekają Billy i Jay Westowie — poklepujemy się przyjaźnie po plecach i witamy żółwikami. To stara gwardia, wychowali się tutaj, chociaż teraz rzadko ich tu widzimy.

— To chyba wszystko, czego potrzebujecie — mówi Billy, otwierając pakę ciężarówky. Musieliśmy kupić i wypożyczyć specjalistyczne narzędzia, zdobyć kompresor i kilka innych takich. Na ciężarówce pięt rzę są palety nowych dachówek.

— Wygląda nieźle — mówię, pomagając mu rozładować samochód.

— Tata powiedział, że nie policzy wam za kompresor, jeśli oddacie mu go do poniedziałku. Dał wam też podkład i wykończenie kosza dachowego w cenie zakupu.

— Wielkie dzięki, Billy — odpowiadam, podając mu rękę.

W Bay ludzie pomagają sobie nawzajem. Mamy swój system wymiany bezgotówkowej: dzisiaj ty mi pomożesz, jutro ja tobie. Tylko dzięki temu przetrwalimy sztormy w ostatnich latach. Musimy być w stanie polegać na sąsiadach, wierzyć, że przyjdą z pomocą, i wspierać się nawzajem, inaczej całe miasto pójdzie w diabły.

Billy, Jay i ja rozładowujemy ciężarówkę w obezwładniającym upale; przy ostatniej palecie jesteśmy już przemoczeni od potu. Ustawiamy wszystko na ziemi; w pewnym momencie dzwoni telefon, więc Billy odchodzi na bok, żeby odebrać.

— Słuchaj, Coop. — Jay wyciera czoło krótkim rękawem koszulki. — Masz chwilę?

— Pewnie. Chodź, łykniemy wody. — Podchodzimy do lodówki na werandzie i wyjmujemy dwie butelki wody. Upał jest nieznośny. Lato nie chce odejść. — Co tam?

Jay z zakłopotaniem szura wielkimi stopami. Jest największy z pięciorga braci Westów, ma metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu; to dziewięćdziesiąt kilo mięśni. Steph nazywa go „łagodnym olbrzymem” i to bardzo trafne określenie. Jay to słodziak, pierwszy do pomocy w razie potrzeby. Nie ma w nim ani odrobiny złości.

— Chciałbym cię o coś zapytać. — Policzki z wolna mu czerwienieją, i to nie z powodu gorąca. — Ty i Heidi...

Marszczę brwi. Nie spodziewałem się czegoś takiego.

— Słyszałem, że latem wy dwoje... eee... — Wzrusza ramionami. — Nie byłem pewny, czy coś w tym jest.

— Nie ma.

— O. Okej. Super. — Wychyla połowę butelki, po czym ciągnie: — Wpadłem na nią u Joego któregoś wieczoru.

Próbuję powstrzymać śmiech na widok jego onieśmiałej miny. Wiem, dokąd zmierza, ale idzie naprawdę okrężną drogą.

— I jak poszło? — pytam. Od kilku dni nie widziałem Heidi ani reszty dziewczyn.

— Fajnie. Fajnie było. — Jay przełyka jeszcze kilka łyków wody. — Nie masz nic przeciwko temu, że się z nią umówię, co? Skoro między wami nic nie ma?

Jay West to uosobienie chłopaka z sąsiedztwa; Heidi pożre go żywcem. Jeśli w ogóle zgodzi się z nim umówić, w co wątpię, gdyż jestem niemal pewny, że z wszystkich chłopaków w mieście spała tylko ze mną. W ostatniej klasie liceum chodziła z jakimś gostkiem, ale on nie mieszkał w Bay. Heidi zawsze była w blokach startowych do wyjazdu. Szczerze się dziwię, że jeszcze stąd nie uciekła.

Nie mam sumienia powiedzieć Jayowi, że zapewne spotka się z odmową, więc klepię go po ramieniu i mówię:

— Pewnie, że nie mam nic przeciwko temu. To świetna dziewczyna, pamiętaj, traktuj ją dobrze.

— Słowo skauta! — obiecuje Jay, wyciągając rękę gestem skauta. Oczywiście należał do nich. Pewnie zdobył wszystkie sprawności. Mnie i Evana wyrzucono z drużyny, kiedy mieliśmy osiem lat — próbowaliśmy podpalić sprzęt drużynowego.

— Hej, nie wiedziałem, że tu jesteście. — Podchodzi do nas Evan ze szczeniakiem na smyczy i z żalem spogląda na wszystkie rzeczy, jakie rozładowaliśmy. Bez jego pomocy. — Pomógłbym wam.

Parskam. Już to widzę.

— Od kiedy macie psa? — pyta Jay z zachwytem, klęka i zaczyna bawić się ze szczeniakiem, który próbuje zębami złapać jego palce. — Jak on ma na imię?

— To ona — poprawiam. — Jeszcze nie wiemy.

— Głosuję na Kicię, ale Coop nie docenia ironii — wtrąca Evan.

— Jeszcze nie wybraliśmy — mówię.

Billy rozłącza się i podchodzi do nas. Kiwnięciem głowy wita Evana; ten kiwa głową w odpowiedzi i mówi:

— Billy, co tam?

— W porządku.

Wymieniają zakłopotane spojrzenia, ja zaś stoję skrępowany. Łagodny olbrzym Jay nie zauważa napięcia całkowicie pochłonięty szczeniakiem. Właśnie dlatego nie widzimy już Billy'ego i jego braci. To zbyt krępujące.

Jednak Evan nie może się powstrzymać, zawsze walnie coś, żeby jeszcze pogorszyć sytuację.

— Co u Gen?

— W porządku — odpowiada krótko Billy i spieszy do ciężarówki. Zamyka ją błyskawicznie, wskakuje do kabiny, po czym obaj z Jayem ruszają jak na wyścigi.

— Co to było, do cholery? — pytam Evana.

— O co ci chodzi? — odpowiada brat, chociaż przecież doskonale wiem, co się dzieje w jego pokręconym mózgu.

— Myślałem, że Gen już cię nie rusza.

— Już nie rusza. — Evan macha ręką i idzie na werandę po wodę.

— Wyjechała praktycznie bez ostrzeżenia i bez pożegnania — przypominam. — Wierz mi, na pewno nie wypłakuje za tobą oczu.

— Tak sobie powiedziałem — broni się Evan. — Podtrzymywałem rozmowę.

— Tak rozmawiasz z jej braćmi? Nie zdziwiłbym się, gdyby Billy winił cię za to, że uciekła aż do Charleston. Z tego, co wiem, od dawna chce ci skopać dupę.

Była dziewczyna Evana była prawdziwym diabłem wcielonym, nawet jak na naszą grupę. Wszyscy eksperymentowaliśmy z substancjami niedozwolonymi, złamaliśmy czasem prawo, ale Gen wychodziła ponad poziomy. Jeśli coś było głupie i mogło ją zabić, nie wahała się ani sekundy. Evan dzielnie jej towarzyszył. Podobno wyjechała po to, żeby wziąć się w garść. Nowe miejsce, nowe życie. Kto jednak wie, czy to prawda? Jeśli dziewczyny utrzymują z nią kontakt, nie wspominają o tym — a to już powinno wystarczyć Evanowi jako dowód, że Genevieve West kompletnie nie przejmuje się tym, że złamała mu serce.

— Wciąż ci na niej zależy? — pytam.

Evan zdejmuję koszulkę i wyciera twarz z potu, potem patrzy mi w oczy.

— Nawet o niej nie myślę.

Taaa, widzę. Znam tę minę. Przybierałem taką samą w dni, kiedy ojca nie było w domu. Za każdym razem, kiedy mama zostawiała nas na kolejne tygodnie czy miesiące. Czasami Evan zapomina, że jestem jedyną osobą na świecie, której nie może okłamać.

Telefon mi wibruje; natychmiast zapominam o głupotach wygadywanych przez brata. Zerkam na ekran — to Mac.

Mackenzie: *Mój biolog właśnie się nam zwierzył, że ma psa o imieniu Pani Puddles. Może ukradniemy to imię, powinno się dobrze nosić.*

Nie potrafię powstrzymać chichotu; Evan obrzuca mnie ostrym spojrzeniem znad swojej butelki z wodą.

— A ty? — zagaduje z nutą lekkiego oskarżenia.

— Co ja?

— Kiedy tylko się obejrzę, piszesz do kłona. Bardzo się do siebie zbliżyliście.

— Chyba o to chodziło, mądralo. Ona nie rzuci chłopaka dla palanta, którego nie polubi.

— O czym piszecie? — wypytuje Evan.

— O głupotach. — To w sumie racja. Głównie sprzeczamy się o imię i o to, jak wychować *naszego* psa. Mac przyznała sobie częściowe prawa do opieki i do odwiedzin. Mówię jej, że absolutnie może dokładać się do jedzenia i podkładów. Żąda więcej zdjęć.

— Uhm — Evan mierzy mnie badawczym spojrzeniem zmrużonych oczu. — Chyba nie zaczynasz czuć czegoś do tej bogatej suki, co?

— Uważaj! — mówię. Evan może zwałać na mnie swoje frustracje, lecz jego gniew nie ma nic wspólnego z Mac. — Ona ci nic nie zrobiła, wręcz przeciwnie, była dla ciebie wyjątkowo uprzejma. Może zaczniesz zważać na słowa.

— Od kiedy cię to obchodzi? — Evan podchodzi bliżej i zbliża twarz do mojej. — To jedna z nich, pamiętasz? Klon. Jej śmierzący kasą palant wywalił cię z pracy. Nie zapomnij, po której stronie jesteś.

— Jestem po naszej stronie — przypominam mu. — Zawsze.

Nie ma nic silniejszego od mojej więzi z bratem. Kropka. Żadna dziewczyna tego nie zmieni. Evan po prostu źle reaguje na wszystkich, którzy uczą się w Garnecie. Jeśli o niego chodzi, to wrogowie. To postawa większości tych, którzy tu dorastali, nie dziwię się im. Klony wykorzystują nas i obrażają; nie pamiętam jakiegokolwiek wyjątku.

W każdym ważnym aspekcie Mac jest wytworem swojego środowiska, tak jak ja. Nie oznacza to, że gdybyśmy byli kimś innym — wychowali się w podobnym kręgu, żyli

w podobny sposób — nie mógłbym jej polubić. Jest inteligentna, zabawna, szalenie seksowna. Byłbym idiotą, gdybym temu zaprzeczał.

Lecz nie jesteśmy kimś innym, a to nie jest inne życie.

W Bay gramy kartami, jakie nam przypadły w udziale.

12. Mackenzie

Po dwudziestu minutach śródowych zajęć z biologii orientuję się, że jest piątek, a ja siedzę na wykładzie z kultury mediów. Teraz te fragmenty *Żon Hollywoodu* na ekranie nabierają znacznie więcej sensu. Obawiałam się, że to tylko halucynacje z nerwów.

Szczerze mówiąc, od paru dni nie jestem sobą. Studia mnie nudzą, narasta niezadowolenie z firmy. Frustruje mnie, jak mało pracy potrzebują moje aplikacje, gdyż większość moich obowiązków scedowałam na innych. Potrzebuję czegoś nowego, nowego wyzwania, na które rzucę się kłami i pazurami.

Na domiar złego wciąż borykam się z wrażeniem, że ktoś zagląda mi przez ramię. Jakbym stąpała po czubku noża. Za każdym brzęknięciem telefonu czuję uderzenie endorfin, a zaraz po nim adrenalinę, poczucie winy i mdłości w żołądku. Uzależniłam się, gonię za kolejną dawką, chociaż wiem, czym to grozi.

Cooper: *Może Maxie Crimefighter?*

Ja: *Podoba mi się Jimmy Chew.*

Cooper: *To suczka!*

Ja: *Dla mnie to wciąż Daisy.*

Cooper: *Muttley Crue.*

To jakaś popaprana gra wstępna. Sprzeczamy się o imiona dla szczeniaka, jednocześnie flirtując, a każda eskalacja przekomarzań przypomina kolejną sztukę odzieży, do której zdjęcia staramy się zmusić drugiego. Jak w rozbieranym pokerze. Mam już naprawdę dość, a jednocześnie nie mogę przestać. Przy każdym SMS-ie obiecuję sobie, że to już ostatni, po czym wstrzymuję oddech, piszę odpowiedź, wysyłam i czekam na kolejną dawkę.

Dlaczego to sobie robię?

Cooper: *Co porabiasz?*

Ja: *Mam zajęcia.*

Cooper: *Może potem wpadniesz? Weźmiemy Moon Zappę na spacer plażą.*

Dlaczego w tym trwam? Bo Cooper wykręca mi wnętrzności i mąci w głowie. Budzę się złana zimnym potem, bo w nieproszonym śnie widzę jego rzeźbione ciało i wyraziste oczy. I jakkolwiek bym chciała się tego wypierać, zaczynam go lubić. Co znaczy, że jestem okropnym człowiekiem. Paskudną, dwulicową dziewczyną. A jednak niczego jeszcze nie zrobiłam. Potrafię zachować samokontrolę. Rządzi mną mózg i tak dalej.

Ja: *Będę za godzinę.*

To dla naszego psa, mówię do siebie. Sprawdzę, czy Cooper dobrze się nią zajmuje.

Ha, ha.

Samokontrola, jasne.

Godzinę później stoję w drzwiach wejściowych jego domu potwornie skrępowana. Nie wiem, czy to przeze mnie, czy przez niego, czy przez nas oboje — na szczęście szczeniak odwraca naszą uwagę, czego bardzo potrzebujemy. Psica skacze mi do kolan, więc następne kilka minut poświęcam wyłącznie jej: głaszczę ją, drapię za uszami i całuję w słodki nosek.

Dopiero po wyjściu z domu i przejściu kawałka plaży Cooper trąca mnie w ramię.

— Hm? Co? — Zerkam na niego.

— Coś się dzieje? — pyta. Na plaży nikogo nie ma, więc Cooper spuszcza psa ze smyczy i rzuca mu kawałek drewna do aportowania.

To nie fair. Właśnie zdjął koszulkę, więc teraz jestem zmuszona patrzeć, jak spaceruje z gołą klatą, w znoszonych dzinsach zwisających na biodrach. Nieważne, jak bardzo staram się odwracać oczy, i tak wracam spojrzeniem do apetycznego V, które znika pod paskiem. W ustach zbiera mi się wręcz ślina, jak u jakiegoś głupiego psa Pawłowa.

— Przepraszam — mówię. Biorę patyk od psicy, która właśnie podbiegła, i rzucam go ponownie. — Rozmyślam o szkole.

Po krótkim czasie udaje nam się zmęczyć szczeniaka, więc zawracamy. Cooper wkłada z powrotem swój spłowiały T-shirt marki Billabong, tak cienki, że przykleja mu się do każdego mięśnia na doskonałej klatce piersiowej. Coraz trudniej mi opędzić się od bynajmniej nie przyjacielskich myśli — a to znaczy, że naprawdę powinnam już jechać.

A jednak, kiedy Cooper pyta, czy odwieźć mnie do akademika, udaje mi się wykręcić, nie odrzucając propozycji otwarcie. Przechodzimy więc do jego warsztatu stojącego na uboczu garażu, w którym składowane są pilarki stołowe, urządzenia i mnóstwo innych narzędzi. Przy ścianach stoją półki z surowego drewna, podłogę zaścielają trociny. W głębi pomieszczenia zauważam kilka wykończonych drewnianych mebli.

— Ty je zrobiłeś? — Przesuwam dłońmi po ławie, krześle i delikatnej biblioteczce. Stoi tam także komoda i dwa stoliki pomocnicze. Wszystko w różnych stadiach wykończenia, wszystkie w duchu współczesnej estetyki wybrzeża. Proste i czyste. Eleganckie.

— Zajęcie na boku — odpowiada Cooper z widoczną dumą. — Wszystko to drewno z odzysku. Znajduję je. Rozkładam na czynniki pierwsze, a potem wymyślam dla niego nowe zastosowanie, próbuję je z niego wydobyć.

— Robi wrażenie.

Cooper wzrusza ramionami, jakby komplement wynikał tylko z uprzejmości.

— Naprawdę tak uważam. Cooper, masz wyjątkowy talent. Mógłbyś zarabiać na tym spore pieniądze. Kilkanaście przyjaciółek mojej mamy chętnie by przeorało ten garaż jak wyprzedaż u Saksa i przy okazji zasypałyby cię kasą.

— Tiaaa. — Cooper odwraca twarz, odkłada narzędzia i przekłada rzeczy na ławie, jakby chciał zająć czymś ręce. — Bez kapitału, żeby rzucić pracę, nie mam czasu produkować tyle, żeby stworzyć z tego firmę, która zacznie zarabiać. Sprzedam coś to tu, to tam. Dorabiam trochę, żeby wepchnąć w remont domu. To tylko hobby.

Kładę rękę na biodrze.

— Musisz mi coś sprzedać.

W mgnieniu oka Cooper podchodzi do mebli i zarzuca na nie jakąś szmatę.

— Nie rób tego — mówi, nie patrząc mi w oczy.

— Czego? — odpowiadam, nie rozumiejąc.

— Tego. Kiedy tylko zaczynasz patrzeć na mnie jak na kolejny projekt, to — przesuwam ręką między nami — przestaje działać. Nie potrzebuję twojej pomocy. Nie pokazałem ci tego, żeby cię naciągać na zakupy.

— Wiem. — Łapię go za ramię i zmuszam, żeby na mnie spojrzeć. — To nie dobroczynność. Nie potrzebujesz litości, Cooper. Uważam to za inwestycję w nieodkryty talent.

Cooper parska krótko.

— Serio. Kiedy się wybijesz, będę się wszystkim przechwalać, że to ja byłem pierwsza. Bogaczki uwielbiają być trendsetterkami.

Cooper mierzy mnie badawczym spojrzeniem ciemnych oczu. Emanuje intensywnością uczuć; to naturalna aura, zarówno pociągająca, jak i niebezpieczna. Im bardziej nakazuję sobie trzymać się na dystans, tym bardziej mnie pociąga.

W końcu uśmiecha się niechętnie.

— Pieprzone klony.

— Dobrze. Zastanów się nad ceną ławy i krzesel. Meble w akademiku i tak są paskudne. Chciałyśmy z Bonnie coś sobie kupić, ale zajęły nas wykłady.

Podskokiem siadam na najbliższej ławie roboczej i macham nogami. Wiem, powinnam sobie pójść, ale za bardzo lubię jego towarzystwo.

I to się staje prawdziwym problemem.

Cooper wciąż mierzy mnie wzrokiem z nieprzeniknioną twarzą. Odwraca spojrzenie dopiero wtedy, kiedy dostaje wiadomość. Wyjmuje telefon i czyta coś, po czym zaczyna śmiać się do samego siebie.

— Co cię tak bawi?

— Nic. Moja koleżanka Steph właśnie wrzuciła zabawny post na nasz czat grupowy.

Patrz. — Siada obok mnie; on nie musi się w ogóle wysilać, żeby podciągnąć swoje wielkie ciało i posadzić tyłek obok.

Pochyłam się bliżej niego, żeby spojrzeć na ekran, dzielnie próbując ignorować jego przyjemny zapach. Mieszanka przypraw, trocin i oceanu — to nie jest coś, co przychodzi do głowy jako pierwsze skojarzenie z afrodyzjakiem i feromonami, a jednak sprawia, że kręci mi się w głowie, a po skórze chodzą dreszcze.

Dziwne, ale w otwartym czacie widzę zrzut ekranu mojej własnej strony. To post z *WpadekDziewczyny*, historyjka o dziewczynie, która późną nocą jedzie do domu chłopaka poznanego w barze. Śpią ze sobą, ale kiedy chłopak zasypia, ona uświadamia sobie, że właśnie dostała okres, a nie ma przy sobie tamponu ani podpaski. Przemierza więc mieszkanie w poszukiwaniu łazienki z nadzieją, że coś tam znajdzie. W pierwszej łazience nie ma żadnych środków higienicznych, więc dziewczyna nie ma wyjścia, zakrada się do drugiej sypialni i wślizguje do tamtejszej łazienki. W chwili, kiedy pod umywalką znajduje pudełko tamponów, ktoś ją zaskakuje. To mama chłopaka, wymachująca lampą jak bronią, gdyż wzięła dziewczynę za włamywacza. Wrzeszczy jak potępiona, chce się dowiedzieć, co niemal naga dziewczyna w T-shircie i bieliźnie robi w jej łazience o czwartej nad ranem.

— Wyobrażasz to sobie? — Cooper uśmiecha się szeroko. — Niemal się cieszę, że nie ma tu mojej mamy.

Powinnam mu prawdopodobnie wyznać, że to ja stworzyłam stronę, która dostarczyła mu tyle radości. Nie mam jednak odwagi powiedzieć mu: „Tak, to moja strona. Stworzyłam ją i zarobiłam pierwszy milion, kiedy jeszcze chodziłam do liceum. Ale opowiedz mi o twojej firmie meblarskiej, która walczy o przetrwanie”. Wyszłabym na prawdziwą świnię.

Ogólnie nie chwalę się swoim sukcesem, ale teraz wyjątkowo nie powinnam się odzywać na ten temat. Chwytam się więc słów o matce.

— Gdzie ona jest? — pytam.

— Nie mam pojęcia. — W jego głosie pojawia się ostra nuta. Żal i gniew.

Uświadamiam sobie, że dotknęłam czułej struny, więc zaczynam pospiesznie szukać nowego tematu. Cooper jednak wypuszcza powietrze z płuc i zaczyna opowiadać:

— Kiedy byliśmy z Evanem dziećmi, prawie nigdy jej nie było. Wracła co dwa miesiące, a potem odchodziła, za każdym razem z innym gościem. Jednego dnia zniknęła, a potem pojawiała się niespodziewanie, szukając kasy. — Wzrusza ramionami. — Shelley Hartley nigdy nie nadawała się na matkę.

Ciężar, jaki niesie, i to od dawna, widać w jego przygarbionych ramionach i zmarszczonym czole, kiedy skubie nitki w džinsach.

— Przykro mi — mówię szczerze. — A twój tata?

— Zmarł. Zginął, jadąc po pijaku, kiedy mieliśmy po dwanaście lat, ale wcześniej zadłużył się po uszy kartami kredytowymi, a potem spadło to na nas. — Cooper bierze do ręki dłuto, bawi się nim chwilę, po czym z roztargnieniem przesuwa po płycie pilśniowej stołu. — Jedyna rzecz, jaką kiedykolwiek dostaliśmy od rodziców, to długi. — Po czym z nagłą gwałtownością wbija dłuto w płytę. — Ale niech mnie szlag trafi, jeśli też tak skończę. Prędeż rzucę się z mostu.

Przełykam ślinę. Chwilami Cooper budzi we mnie strach. Nie odbieram go jako zagrożenie. Jest raczej nieprzewidywalny, nakręca go nerwowa energia demonów, które go torturują. Cooper Hartley ma w sobie głębię, ciemną i zdradliwą, a nierozważna część mojej osobowości — impulsy, które zwykle głęboko skrywam — chce nade wszystko zagłębić się w nią i wyciągać to, co się w niej kryje.

Kolejny powód, dla którego widzę, że wypłynęłam na naprawdę głęboką wodę.

Kładę dłoń na jego dłoni.

— Z tego, co widzę — mówię, gdyż w tej chwili Cooper potrzebuje tego, by przyjaciel potwierdził, że go słyszy i rozumie — w ogóle ich nie przypominasz. Jesteś pracowity, uzdolniony i inteligentny. Masz ambicję. Wierz mi, większość ludzi nie ma tego wszystkiego. Facet z odrobiną fartu i wielką inicjatywą może pokierować swoim życiem tak, jak zechce.

— Łatwo ci mówić. Ile kucyków kupili ci rodzice na urodziny? — Cooper ironicznie udaje, że celuje we mnie dłutem; wiem, że robi to tylko dlatego, iż jestem jedynym celem w pomieszczeniu.

Odpowiadam melancholijnym uśmiechem.

— Mam szczęście, jeśli uda mi się przebić przez asystentkę, kiedy dzwonię do mamy. Kartki urodzinowe piszą do mnie ich pracownicy. Wszystkie pozwolenia do szkoły i świadectwa podpisali inni.

— Uczciwa wymiana za to, że na kiwnięcie palcem dostajesz wszystko, czego zechcesz.

— Naprawdę tak myślisz? — Kręcę głową. — Owszem, mam wielkie szczęście, urodziłam się w bogatej rodzinie. Ale pieniądze stały się wymówką we wszystkich sprawach. Stworzyły mur między nami. Co do jednego trafiłeś idealnie: jesteśmy klonami. Od dnia, kiedy się urodziłam, rodzice próbują mnie ukształtować na swój obraz i podobieństwo. Nie widzą we mnie osoby posiadającej własne poglądy i opinie. Jestem rekwizytem. Przysięgam, czasami się zastanawiam, czy nie urodziłam się tylko po to, żeby spełniać polityczne ambicje ojca.

Cooper rzuca mi pytające spojrzenie.

— Mój ojciec jest kongresmenem — wyjaśniam. — Jak wiadomo, wyborcy wolą kandydatów z rodzinami. Tak przynajmniej pokazują sondaże. No i proszę: postarali się o mnie. Urodziłam się i dorastałam tylko po to, żeby pozować do zdjęć przy kampaniach. Uczyli mnie uśmiechać się ładnie do aparatu i opowiadać o kochanym tatusiu na imprezach dobroczynnych. A ja to wszystko robiłam, bez pytania i bez narzekania. Bo miałam nadzieję, że pewnego dnia mnie pokochają. — Wrywa się ze mnie gorzki śmiech. — Szczerze mówiąc, chybaby nie zauważyli, gdyby ktoś mnie podmienił na całkowicie inną córkę. Odgrywam własne życie jak rolę. Rodzice w ogóle nie interesują się mną jako człowiekiem.

Po raz pierwszy wyrzuciłam z siebie to wszystko; po raz pierwszy dopuściłam kogokolwiek tak blisko. No owszem, wielokrotnie zwierzałam się Prestonowi, ale nie tak otwarcie. Oboje pochodzimy z tej samej sfery. Dla niego to normalne, on nie widzi powodów do narzekania na swój los. I dlaczego miałby narzekać? Jest mężczyzną. To on pewnego dnia przejmie imperium rodzinne. Ja zaś? Ja mam tłumić swoje aspiracje i siedzieć cicho, żeby moi rodzice nie zorientowali się, że nie mam zamiaru zostać cichą panią domu, kiedy w końcu wyrosnę z moich „nastoletnich zabaw”.

Dla nich moje strony internetowe to kompletna strata czasu. „Chwilowe szaleństwo”, jak nazywała to moja matka w czasie mojego roku przerwy po maturze — roku, który musiałam sobie wywalczyć zębami i pazurami. Kiedy z dumą oświadczyłam tacie, że stan mojego konta bankowego liczy siedem cyfr, on tylko prychnął. Powiedział, że milion dolców to kropla w morzu. W porównaniu z setkami milionów, które zarabia jego firma co kwartał, zapewne moje zarobki wydają się żałosne — ale mógł chociaż udawać, że jest ze mnie dumny.

Cooper przez kilka długich sekund przygląda mi się w milczeniu. Potem, jakby nagle powrócił do rzeczywistości, spogląda na mnie bardziej przenikliwie swoimi świdrującymi oczami.

— No dobrze. Przyznaję, rodzice emocjonalnie nieobecni nie są o wiele lepsi niż rodzice nieobecni fizycznie.

Wybucham śmiechem.

— No to jakie mamy wyniki w zawodach: kto ciągnie za sobą gorsze traumy z dzieciństwa?

— Ee tam, biję cię na głowę, ale przynajmniej nie odpadasz z konkurencji.

— Racja.

Wymieniamy uśmiechy; rozumiemy, jak próżne są takie porównania. Nie miałam zamiaru zamieniać rozmowy w zawody, nigdy nie lekceważyłabym bólu, jaki przeżył-

Cooper, ale chyba narosło we mnie więcej frustracji, niż sobie uświadamiałam, i teraz wszystko się ze mnie wylało.

— Masz plany na dzisiejszy wieczór? — pyta Cooper, wstając.

Waham się. Powinnam spytać Prestona, czy nie umówił się na wieczór z chłopakami.

Mówię jednak tylko:

— Nie.

Bo jeśli chodzi o Coopera, to mój rozsądek znikł dawno temu.

Jego spojrzenie przesuwa się po mnie, wywołując falę gorąca.

— Dobrze. Zabieram cię na miasto.

13. Cooper

— Zawsze chciałam tego spróbować — mówi Mac, ciągnąc mnie za ramię w stronę jakiegoś obrotowego potwora wystrzelającego na trzydzieści metrów w górę.

Mówi poważnie? Unoszę oczy do nieba.

— Jak będę chciał się nabawić zawrotów głowy i zadławić własnym pawiem, mogę to równie dobrze zrobić na ziemi.

Mac odwraca się do mnie gwałtownie; jej szeroko otwarte oczy błyszczą w wielokolorowych światłach.

— Chyba nie tchórzysz, co, Hartley?

— Nigdy! — odpowiadam, gdyż nieumiejętność odrzucenia wyzwania jest jedną z moich wad.

— No to już, pokaż, że nie peniasz.

— Pożałujesz — ostrzegam, gestem puszczając ją przodem.

Doroczny festyn na bulwarach to kulminacja sezonu jesiennego w Avalon Bay. Teoretycznie ma upamiętniać założenie miasta lub coś w tym stylu, ale w rzeczywistości przekształcił się w pretekst do zrobienia imprezy. Restauracje stawiają własne food trucki i stoiska spożywcze, bary sprzedają drinki z wózków, a na bulwarze upakowały się strzelnice i karuzele.

Kiedyś razem z Evanem i znajomymi zaczynaliśmy od wypalenia trawki z bonga, doprawienia się i latania od jednej karuzeli do drugiej, żeby sprawdzić, kto pierwszy pozbędzie się obiadu. Jednak od dwóch lat chyba się tym zmęczyliśmy.

Nie wiem czemu czuję się w obowiązku zapoznać Mac z festynem.

Chodniki są zatłoczone. Dżingle dobiegające z wesołego miasteczka konkurują z zespołami grającymi na trzech scenach rozstawionych na starym mieście. Aromaty corn dogów i waty cukrowej, smażonych lanych ciastek i udek indyjskich mieszają się w powietrzu. Po dwóch drinkach: wave flingerze i moon shocie wchodzimy na piętnastometrową zjeżdżalnię i próbujemy studni grawitacyjnej. Mac cały czas podskakuje z szerokim bananem na twarzy. Ani chwili wahania. Ta dziewczyna naprawdę lubi ryzyko. Podoba mi się to.

— Co teraz? — pyta, kiedy odpoczywamy po kolejnej przejażdżce. Nie uważam się za tchórza, ale ta chojraczka obok mnie jest godną przeciwniczką.

— Może tak coś spokojniejszego? — mówię burkliwie. — Na przykład pięć sekund,

żebym się znów przyzwyczył do grawitacji.

Mac uśmiecha się szeroko.

— Coś spokojnego? Boszsz, dziadersie, co na przykład? Posiedzimy spokojnie na diabelskim młynie albo może pojedziemy pociągiem przez tunel miłości? On wolniutko jedzie...

— Jeśli chcesz jechać przez tunel miłości z dziadersem, to odkrywam w tobie kolejne pokłady problemów, o których powinniśmy porozmawiać.

Mac pokazuje mi środkowy palec.

— To może przerwa na watę cukrową?

— Jasne. — Idąc spacerkiem w stronę budek gastronomicznych, dodaję konwersacyjnym tonem: — Wiesz, kiedyś w tym tunelu jedna dziewczyna zrobiła mi laskę.

Mac nie wydaje się zdegustowana, wręcz przeciwnie, w jej oczach błyska iskra zachwyty.

— Naprawdę? Opowiedz mi ze szczegółami.

Stajemy w kolejce za kobietą, która usiłuje opanować troje dzieci poniżej piątego roku życia. Zachowują się jak szczeniaki: nie mogą ustać spokojnie, skaczą wokół, pewnie po cukrze, którego się opchały.

Przesuwam językiem po dolnej wardze i puszczam oko do Mac.

— Później ci powiem. Na osobności.

— Droczyś się.

Docieramy do lady, kupuję dwie torebki waty cukrowej. Mac łapczywie chwytając swoją, odrywa wielki, puchaty, różowy kłęb i wpycha go do ust.

— Aaale pyszne! — bełkocze z całkowicie zapchanymi ustami.

Na widok Mac ssącej i połykającej słodki przysmak mój mózg niemal wybucha mi obrazami z filmów dla dorosłych.

Pod zamkiem u spodni fiut mi twardnieje, utrudniając skoncentrowanie się na jej paplaninie.

— Wiesz, że watę cukrową wynalazł dentysta?

Wracam do rzeczywistości.

— Serio? To dopiero znalazł sposób na zapewnienie sobie dopływu klientów.

— Genialne — przyświadcza Mac.

Sięgam do torebki i odszczypuję kawałek. Wata natychmiast topnieje mi na języku, a prosto do mojego krwioobiegu przenika fala nostalgii. Znów czuję się jak dziecko w czasach, kiedy oboje rodzice byli przy mnie i jeszcze trochę się kochali. Przeprowadzali nas z Evanem na bulwar, napychali słodkimi i słonymi śmieciowymi przekąskami

i pozwalali nam poszaleć. Wracaliśmy do domu roześmiani, rozbawieni, czując się prawdziwą rodziną.

Obaj z Evanem nie skończyliśmy jeszcze sześciu lat, kiedy rodzice już zaczęli ze sobą walczyć. Tata popijał, mama szukała uwagi i potwierdzenia własnej wartości u innych mężczyzn. Rozstali się, a Evan i ja znaleźliśmy się na końcu ich listy wartości, po gorzałce i seksie.

— Nie — rozkazuje Mac.

Spoglądam na nią wyrwany z zamyślenia.

— Co nie?

— Znów masz tę minę. Popadasz w melancholię.

— Nieprawda.

— Właśnie że tak. Z twojej twarzy można wyraźnie wyczytać: „Zatopiłem się w melancholijnych myślach, bo jestem OKROPNIE nieszczęśliwym łobuzem”. — Rzuca mi surowe spojrzenie. — Wróć do rzeczywistości, Hartley. Właśnie mieliśmy dokonać ważnych odkryć.

— Rozmawialiśmy o wacie cukrowej — odpowiadam oschle.

— No i co z tego? To też pretekst do odkryć. — Mac z zadowoloną miną unosi brew.

— Wiedziałaś, że naukowcy próbują wykorzystać watę cukrową do stworzenia sztucznych naczyń krwionośnych?

— To już chyba absolutny i całkowity fejk — odpowiadam pogodnie.

— Nieprawda. Czytałam o tym — upiera się dziewczyna. — Włókna waty cukrowej są niewiarygodnie cienkie, mają rozmiar naszych naczyń krwionośnych. Nie pamiętam, jak wygląda cały proces, ale chodzi w nim o to, że wata cukrowa to praktycznie przełom w medycynie.

— Śmieciowa medycyna.

— Przysięgam!

— Skąd czerpiesz tę wiedzę?

— Z czasopisma.

— Oooo, no jasne! Czasopismo, najbardziej rzetelne źródło wiedzy.

Mac rzuca mi oburzone spojrzenie.

— Dlaczego nie potrafisz uznać, że mam rację?

— A dlaczego nie potrafisz uznać, że się mylisz?

— Nigdy się nie mylę.

Wybucham śmiechem, czym zarabiam sobie na jeszcze bardziej oburzone spojrzenie.

— Kłócisz się dla zasady — stwierdzam.

— Nieprawda!

Śmieję się mocniej.

— Widzisz! Jesteś uparta jak osioł.

— Kłamca!

Mijająca nas właśnie wysoka blondynka prowadząca za rękę małego chłopca marszczy brwi. Na okrzyk Mac w jej oczach błyska zaniepokojenie.

— Nic się nie stało — zapewnia ją Mac. — Jesteśmy przyjaciółmi.

— Jesteśmy rywalami — poprawiam. — Psze pani, ona wciąż na mnie wrzeszczy. Proszę, niech mi pani pomoże wyrwać się z tego toksycznego związku.

Kobieta rzuca nam spojrzenie typu „jesteście niepoprawni”, które ma w zanadru każdy człowiek po czterdziestce na widok niedojrzałych dzieci. Trochę jej nie wyszło, oboje mamy po dwadzieścia kilka lat.

Idziemy bulwarem dalej; przystajemy, przyglądając się, jak jakiś frajer rzuca strzałkami w ścianę baloników, próbując wygrać dla swojej dziewczyny gigantycznego pluszaka. Czterdzieści docłów później nadal jeszcze nie zdobył wielkiej pandy, jego dziewczyna zaś bardziej skupia się na rzucaniu mi spojrzeń niż zagrzewaniu go do boju.

— Widzisz, co ona wyprawia? — odzywa się Mac, kiedy się oddalamy. — Na pewno w myślach już cię rozbierała, podczas gdy jej biedny chłopak za chwilę całkowicie się dla niej spłucze.

— Zazdrosna? — Uśmiecham się do niej.

— Nie, tylko jestem pod wrażeniem. Przystojniak z ciebie, Hartley. Chyba każda dziewczyna, jaką minęliśmy, śliniła się na twój widok.

— Cóż mogę powiedzieć... Podobam się kobietom. — Nie silę się na nonszalancję. To fakt. Mój bliźniak i ja jesteśmy przystojni, a przystojni faceci mają powodzenie u kobiet. Ktoś, kto twierdzi inaczej, jest naiwny jak dziecko. Jeśli chodzi o nasze pierwotne, zwierzęce instynkty, o przyciąganie seksualne, to wygląd ma znaczenie.

— Dlaczego nie masz dziewczyny? — pyta Mac.

— Nie chcę.

— A, rozumiem. Nie chcesz się wiązać.

— Nie. — Wzruszam ramionami. — Po prostu na razie nie szukam. W tej chwili mam inne priorytety.

— Ciekawe.

Nasze spojrzenia spotykają się na jeden, pełen żaru moment. Jeszcze kilka sekund i zacząłbym się zastanawiać nad zmianą priorytetów, kiedy Mac wyraźnie przełyka ślinę i zmienia temat.

— No dobrze, czas na kolejną przejażdżkę — oznajmia. — Już wystarczy tego zwlekania.

— Proszę o łagodne traktowanie — mówię błagalnie.

Mac tylko parska i biegnie w kierunku naszej kolejnej mrożącej krew w żyłach przygody.

Odprowadzam ją wzrokiem rozbawiony. I odrobinę zadziwiony. Ta dziewczyna jest inna. Nie przypomina znudzonych klonów z Garneta. Nie dba o wygląd — ma rozczochrane włosy, makijaż spływa jej od potu. Jest spontaniczna i swobodna — tym bardziej się dziwię, dlaczego jest z tym palantem Kincaidem. Co, do jasnej, ten gość ma w sobie, że jest taki odjazdowy?

— Wyjaśnij mi coś — mówię, kiedy podchodzimy do olbrzymiej konstrukcji z gumami, która wyrzuca w powietrze mały kosz z dwiema wrzeszczącymi ofiarami na wysokość sześćdziesięciu metrów.

— Jeśli próbujesz odwlec nieuniknione, to nie działa. — Mac podchodzi do operatora i podaje mu bilety.

— Chodzi mi o twojego chłopaka — zaczynam, obchodząc ją, żeby wejść do kosza jako pierwszy.

Operator zapina mi pasy i zaczyna swoją śpiewkę, którą można sprowadzić do: „Trzymajcie ręce i nogi w koszu, a jeśli zginiecie, to my nie ponosimy odpowiedzialności”.

Po raz pierwszy tego wieczoru Mac wydaje się nieco zdenerwowana, kiedy wsiada obok mnie.

— Co z moim chłopakiem?

Starannie dobieram słowa.

— Co nieco się słyszy. Nic dobrego. Twierdzisz, że nie chcesz być małą księżniczką i protegowaną mamusi i tatusia, więc zastanawiam się, dlaczego miałabyś spełnić ich oczekiwania i zostać przy kolejnym klonie z Garneta.

Gruby kłęb lin, które za moment wyrzucą nas w nocne niebo, unosi się na ramionach maszyny, które wyrastają pod kątem nad naszymi głowami.

— To jednak nie jest twoja sprawa. — Twarz Mac nie zdradza żadnych uczuć, jej głos brzmi zaczepnie. Poruszyłem czułą strunę.

— Daj spokój, jeśli łączy was dziki seks albo coś w tym rodzaju, to powiedz. Zrozumiem. Każdy ma swoje hobby. Szanuję to.

Mac spogląda prosto przed siebie, jakby miała szansę zignorować mnie w tej metalowej puszcze szerokości metr dwadzieścia.

— Nie będę rozmawiać na ten temat.

— Wiem, że nie chodzi o kasę — mówię. — Ale fakt, że nigdy o nim nie wspominasz, świadczy o tym, że nie jest ci wyjątkowo bliski.

— Pudło. — Mac przenosi spojrzenie na mnie i wyzywająco unosi brodę. W tej chwili

walczy wszelkimi sposobami. — Szczerze, żenujesz mnie.

— O, czyżby, księżniczko? — Nie mogę się powstrzymać. Takie popychanie jej sprawia, że sam się zaczynam napalać. — A kiedy to ostatnio dotykałaś się, myśląc o nim?

— Odpierdol się. — Jej policzki różowieją. Widzę, jak przygryza policzek od środka i przewraca oczami.

— Powiedz mi, że nie mam racji. Powiedz mi, że kiedy wchodzi do pokoju, robi ci się gorąco i mąci ci się w głowie.

Żyłka na szyi zaczyna jej pulsować. Mac poprawia się na siedzeniu i krzyżuje nogi w kostkach. Zerka na mnie przelotnie, oblizuje usta i wiem, że myśli o tym samym co ja.

— Są rzeczy ważniejsze od chemii — mówi, a w jej głosie słyszę niepewność.

— Założę się, że od dawna to sobie powtarzasz. — Przechylałam głowę. — Ale może nie z takim przekonaniem jak kiedyś.

— A czemu to niby?

— No dobrze — oznajmia facet z obsługi — trzymajcie się. Odliczam od dziesięciu. Gotowi?

Szlag.

— Żądam spłaty długu — oznajmiam.

— Jakiego długu?

— Osiem... siedem... — odlicza operator.

— Pamiętasz nasz zakład? Tego wieczoru, kiedy się poznaliśmy? Wygrałem i wiem, jaką chcę wygraną.

— Sześć... pięć...

— Cooper...

— Cztery... trzy...

— Pocałuj mnie — mówię ochryple. — Albo powiedz, że wciąż mnie nie pragniesz.

— Dwa...

— Jak będzie, Mackenzie?

— Jeden!

14. Cooper

Zostajemy wyrzuceni w powietrze; na kilka chwil, kiedy serce przestaje bić, a żołądek zwija się w supeł, czas jakby się zatrzymał. Prędkość nas unieruchamia, ziemia pod stopami znika. Krótki, spektakularny moment nieważkości unosi nas z siedzeń, po czym napięte liny puszczają lekko i podskakujemy — raz, dwa — mijając najwyższy punkt konstrukcji. Obracam głowę i wtedy usta Mac znajdują moje wargi.

Przenika mnie prąd, jakby od jej ust prosto do moich lędźwi przeskoczyła iskra elektryczna.

Mac chwyta mnie, łapie w garść moje włosy i całuje szaleńczo. Smakuje watą cukrową i niekończącymi się letnimi nocami. Jestem spragniony jednych i drugich; mój język nasuwa się na jej, oboje lecimy tak wysoko, że mam wrażenie, jakbyśmy mieli nigdy nie trafić z powrotem.

Jej urywany oddech ogrzewa moje wargi.

Sięgam głębiej w jej usta, połykam jej cichy jęk.

Kosz podskakuje znów, po czym powoli opada, a my wracamy na ziemię. Odrywamy się od siebie i dyszymy z zaskoczenia; muszę sobie przypomnieć, gdzie się znajdujemy, żeby nie poddać się pokusie zerwania z niej ubrania. Jestem napalony i pełen pożądania.

— Nie powinniśmy tego robić. — Mac poprawia ramiączka koszulki i ściera z ust rozmazaną szminkę.

— Nie jest mi przykro — odpowiadam. I to prawda. Od tygodni tego pragnąłem. Teraz karty leżą na stole. Udawanie poszło z dymem, możemy tylko iść dalej.

Wychodzimy z kosza, Mac milczy. Może zareagowałem zbyt gwałtownie. Wystraszyłem ją.

Widzę, jak prowadzi nas do wyjścia; tłumię westchnienie.

Tak.

Naprawdę się wystraszyła.

— Jeśli chcesz, zabiorę cię do domu — proponuję, idąc za nią w kierunku ciężarówki.

— Najpierw chcę się pożegnać z Daisy.

Nie zadaję sobie trudu, by ją poprawić. Tę bitwę chyba wygrała.

— Od ciebie wezmę taksówkę — dodaje.

Przez całą drogę do mnie jestem przekonany, że nigdy jej już nie zobaczę i że schrzaniłem cały plan. W głowie mi się kręci; próbuję znaleźć jakieś słowa, coś, co

złagodziłoby rozstanie. Jednak przychodzą mi tylko kolejne słowa na to, jak bardzo chciałbym się z nią kochać do utraty tchu. To mi nie pomaga.

— On daje mi grunt pod nogami.

Na jej ciche stwierdzenie zerkam w jej stronę zaskoczony.

— Co takiego?

— Preston. Jestem z nim z wielu powodów, ale ten akurat to jeden z ważniejszych. On daje mi grunt pod nogami. — Kątem oka widzę, jak splata ręce. — Przypomina mi, żebym się powstrzymywała.

— A po co ci to? — pytam ochryple.

— Chociażby dlatego, że mój ojciec jest osobą publiczną.

— I co z tego? To on o tym zdecydował. Nie musisz zamieniać się w manekina tylko dlatego, że on kiedyś dokonał takiego wyboru. — Patrzę na nią, marszcząc brwi. — I nie musisz godzić się z tym, że chłopak trzyma cię na smyczy.

Oczy jej błyskają.

— Nie jestem na smyczy.

— A cóż innego znaczy „powstrzymywać”? — odpowiadam sarkastycznie.

— Powiedziałam, że on mi przypomina, żebym powstrzymywała samą siebie. To nie on mnie ogranicza. Nieważne. Nie rozumiesz. — Mac zaciska usta i odwraca spojrzenie w kierunku okna pasażera.

— Masz rację. Nie rozumiem. Przez ostatnie dwie godziny przyglądałem się, jak wybierasz najbardziej szaleńcze karuzele na festynie. Pragniesz dreszczu emocji. Pragniesz życia. Płonie w tobie ogień, Mac.

— Ogień — powtarza dziewczyna z powątpiewaniem.

— O tak. Ogień. A ty wolisz być z kimś, kto go gasi? Odpuść sobie. Potrzebujesz mężczyzny, który ten ogień podtrzyma.

— Aha, a ten mężczyzna to ty? — pyta Mac ostro.

— Tego nie mówiłem. Twierdzę tylko, że twój aktualny wybranek ma wiele braków.

Podjeżdżamy pod ciemny dom. Evan miał się spotkać ze znajomymi, przynajmniej tak mówił, ale może oni też trafili na festyn. Wchodzimy do domu; między nami zapada kolejna cisza.

Pstrykam włącznikiem światła.

— Słuchaj — zaczynam. — Nie żałuję tego pocałunku. Oboje go chcieliśmy, wiesz o tym. Jednak jeśli ta nasza przyjaźń ma być teraz dla ciebie dziwna...

Zerkam do tyłu; Mac stoi przyciśnięta do drzwi — wygląda tak, że mógłbym ją zjeść. Nie odzywa się, tylko przyciąga mnie za koszulkę. Nim zdążę mrugnąć, staje na palce i całuje mnie.

— Kurwa — wyrywa mi się zduszonym głosem prosto w jej spragnione usta.

W odpowiedzi ona unosi nogę, zarzuca mi ją na biodro i gryzie w wargę.

Mój mózg na sekundę przestaje pracować, po czym budzę się i odpowiadam. Łapię ją za udo, wciskam się między jej nogi i całuję mocniej. Jej dłonie wsuwają się pod mój T-shirt.

— Boże, co za mięśnie. Nie mogę nawet... — Jej dłonie przesuwają się na moją pierś, gładzą ją, potem wędrują na plecy; paznokcie, łagodnie drapiąc, zjeżdżają mi po kręgosłupie.

Jej namiętny dotyk sprawia, że krew z całego ciała spływa mi do lędźwi. Przepadłem. Jestem twardy. Dyszę. Pragnę jej tak bardzo, że dech mi zapiera.

Pod zamkniętymi powiekami bardzo wyraźnie rysuje mi się fantazja, w której pochylam Mac nad moim łóżkiem. Już mam wziąć ją na ręce i przerzucić sobie przez ramię, kiedy w kuchni rozlega się głośnie szuranie — ktoś zamknął szklane drzwi przesuwne.

Nasze usta odrywają się od siebie.

— Och, sorki, nie chciałam przeszkadzać. — W drzwiach do kuchni staje Heidi i przygląda nam się z sarkastycznym uśmiechem. — Nie wiedziałam, że wróciliście.

Wciąż jeszcze dyszę ciężko i trudno mi wydobyć z siebie głos.

Heidi pochodzi do lodówki i wyciąga kilka piw.

— Nie przeszkadzajcie sobie, wracajcie do zabawy. Już znikam.

I puszcza do mnie oko, po czym wychodzi tak, jak weszła.

Cudownie.

— Powinam lecieć. — Mac momentalnie odsuwa się ode mnie, stwarza dystans między nami. Pies do nas nie wybiegł, czyli jest z Evanem na plaży, zapewne też z Heidi i całą resztą grupy.

— To moja koleżanka Heidi — wyjaśniam pospiesznie; nie chcę, żeby Mac odeszła. — Przepraszam za to. Nie wiedziałem, że ktoś tu jest.

— Nic się nie stało. Muszę iść.

— Zostań. Reszta jest pewnie na plaży. Przyprowadzę ci Daisy.

— Nie, wszystko w porządku. Zadzwońię po taksówkę.

— Zawiozę cię — sprzeciwiam się.

Mac wysłizguje się na zewnątrz, zanim zdołam ją zatrzymać.

Cholera.

— To przynajmniej z tobą zaczekam.

Na to się zgadza, ale chwila minęła. Znow dzieli nas ogromna przepaść. Czekamy w milczeniu, a na pożegnanie, kiedy taksówka odjeżdża, dostaję tylko machnięcie ręką.

Przesuwam dłonią po włosach i z oporami wracam do domu. Jasna cholera. Jeden krok do przodu, dwa do tyłu.

Moje życie w pigułce.

W kuchni wyjmuję piwo dla siebie, otwieram i pociągamy długi łyk, po czym wychodzę na taras. Tam stoi Heidi. Nie ma już butelek w rękach, zatem pewnie zaniósła je na plażę i wróciła, żeby zaczekać na mnie.

— Hej — mówię szorstko.

— Hej. — Heidi opiera się o balustradę, jedną ręką szarpie wystrzępiony brzeg dżinsowej spódniczki. — No to co, złowiłeś klona na haczyk.

— Chyba tak. — Z pośpiechem popijam piwo. Szczerze mówiąc, cały plan, zakład, zasady... w ogóle o tym nie myślałem wtedy, w tamtej chwili. Cały mój świat skurczył się do Mackenzie i tego, jak wspaniale było czuć ją przyciśniętą do mnie.

— Chyba? Patrzyła na ciebie oczami jak gwiazdy. Spodobałeś się jej.

Zamiast odpowiadać, zmieniam temat.

— A przy okazji podobania się: Jay West o ciebie pytał.

Heidi mruży oczy.

— Kiedy?

— Kilka dni temu. Powiedział, że przeszedłby się z tobą do baru albo coś.

— A tak, wpadliśmy na niego i Kellan u Joego.

Unoszę brew.

— Chce się z tobą umówić.

Heidi milczy. Mierzy mnie badawczym spojrzeniem.

— Odrzucisz go?

— A powinnam?

W gardle narasta mi westchnienie. Wiem, czego by chciała: żebym zawalczył o swoje prawo, rzucił się jej do stóp i błagał, by umawiała się tylko ze mną. Ale tego nie zrobię. Przy pierwszym naszym razie oznajmiłem jej, że nie chcę się pakować w związek. Miałem nadzieję, że będzie to jednonocna przygoda, każde z nas się rozładuje, a potem wrócimy do przyjaźni. Jednak wykazałem się naiwnością. Z jednej nocy zrobiło się kilka kolejnych, a teraz w naszą przyjaźń wkradło się wyraźne napięcie, którego dotąd w niej nie było.

— Rób, co chcesz, Heidi — mówię w końcu.

— Rozumiem. Dzięki za radę, Coop. — Każde słowo ocieka sarkazmem. Potem Heidi z frustracją kręci głową i tupiąc, schodzi na dół.

Wypuszczam wstrzymywany dotąd oddech i połykam resztę piwa. Na języku wciąż czuję smak Mackenzie. Cukier i seks, można się uzależnić od takiej mieszanki. Wchodzę

do domu, chwytam następną butelkę w nadziei, że alkohol pomoże mi zmyć z ust smak kobiety, którą do bólu chciałbym znów pocałować.

Dołączam do reszty siedzącej na plaży. Czuję ulgę — po chwili sam się jej wstydzę — kiedy spostrzegam Heidi jakieś dziesięć metrów dalej, nad samą wodą. Pisze coś w telefonie. Może do Jaya? Wątpię jednak. Nigdy nie pociągali jej mili chłopcy, tylko odpały takie jak ja.

Siedzące przy ognisku Steph i Alana przekomarzają się z Evanem na temat jakiejś dziewczyny, którą wczoraj poderwał po tym, jak wdał się w bójkę z jej chłopakiem. Pierwszy raz o tym słyszę, lecz Evan rzadko się chwali swoimi wyskokami. Z tego, co rozumiem, zadarł z kilkoma klonami z Garneta, którzy odmówili zapłaty za lekcję poola w barze.

— Dzisiaj znów przyszła, z wielkimi oczami, pytała, gdzie cię może znaleźć — mówi Alana.

Evan blednie.

— Chyba nie dałaś jej mojego numeru?

Alana odczekuje kilka sekund, żeby się dobrze spocił, po czym obie ze Steph szczerzą zęby w uśmiechu.

— Jasne, że nie. Tego się nie robi przyjaciółom.

— A przy okazji tego, czego się nie robi przyjaciółom, czy można narażać przyjaciół na oglądanie z bliska sesji mokrych pocałunków? — wtrąca Steph, ręką wskazując winowajców.

Po drugiej stronie ogniska nasz przyjaciel Tate rozłożył się na starym leżaku, a na nim jak koc leży apetyczna ciemnowłosa dziewczyna. On trzyma rękę w jej włosach, a język w jej ustach, ona zaś ociera się o niego jak kotka w rui. W ogóle nie zwracają na nas uwagi.

— Bezwstyd! — woła do nich Evan z udawanym oburzeniem. Po czym uśmiecha się szeroko, gdyż mój brat sam ma skłonności do ekshibicjonizmu.

Tate żartobliwie klepie dziewczynę w pośladek, oboje dźwigają się z leżaka. Policzki mają czerwone, usta spuchnięte.

— Coop — odzywa się przeciągle. — Możemy wejść do domu i pooglądać telewizję? Przewracam oczami.

— Jasne. Ale w moim pokoju nie ma telewizora, więc lepiej, żebyś tam nie znalazł.

Kocham moich przyjaciół, ale nie mam ochoty udostępnić im łóżka do seksu. Poza tym dopiero co rano zmieniłem pościel.

Kiedy Tate z brunetką znikają, Alana i Steph zbliżają głowy do siebie i zaczynają

szeptać.

— Podzielcie się z nami — kpi Evan, grożąc im palcem.

Z ognikiem złośliwej radości w oczach Steph wskazuje kciukiem Alanę.

— Ta niedobra dziewczyna spała z Tate'em w zeszły weekend — oznajmia.

Unoszę brwi.

— Poważnie?

Evan beznamiętnie wzrusza ramionami.

— W końcu przejechałaś się Tatemobilem, co? Dziwię się, że tak długo to trwało.

Brat ma rację. Odkąd Tate z rodziną przeprowadził się do Bay — nastąpiło to, kiedy byliśmy w gimnazjum — wszystkie miejscowe dziewczyny oszalały na jego punkcie. Jeden jego uśmiech, a one tracą rozum.

Alana nie okazuje cienia wstydu czy żalu; wzrusza ramionami.

— Właściwie mogłam to zrobić wcześniej. Ma niezły sprzęt. I dobrze całuje.

— Nie jest zły — przyznaje Evan. Nie mogę się powstrzymać, wybucham śmiechem.

— Cholera — jęczę — zawsze zapominam o tej nocy, kiedy się zeszlście.

Evan unosi oczy do nieba.

— To był tylko pocałunek.

— Taak, ale trwał pełne trzy minuty. — Zalewają mnie wspomnienia, żywe obrazy Evana i Tate'a wessanych w siebie na jednej z imprez u Alany. Mieliśmy wtedy po szesnaście lat. Dziewczyny ich zagrzewały, faceci gwizdali. To była dziwaczna noc.

— Na obronę Evana muszę przyznać, że ten pocałunek z Tate'em to był jedyny sposób, żeby skłonić mnie i Genevieve do zdjęcia bluzek... — Alana przerywa w pół słowa.

Ożeż cholera. Zrobiła to. Wymówiła imię Genevieve, będącej Voldemortem w naszym kręgu. Muszę teraz zakładać, że dziewczyny wciąż są w kontakcie. Steph, Alana, Heidi i Gen były zwariowaną czwórką.

Evan i ja czytamy sobie nawzajem w myślach, lecz podczas gdy ja posiadam odrobinę samokontroli, on nawet nie wie, co to jest. Pyta więc:

— Wciąż do niej piszecie?

Alana waha się wyraźnie.

Steph otwiera usta, jednak przerywa jej nadejście Heidi.

— Co się dzieje? — pyta Heidi, przyglądając się nam uważnie po kolei. — O, Cooper wam powiedział.

Genevieve natychmiast idzie w zapomnienie, wszystkie spojrzenia zwracają się na mnie.

— Co nam powiedział? — pyta Steph.

Wzruszam ramionami — zatem Heidi oczywiście, nie tracąc ani sekundy, opowiada im, jak to wpadła na mnie i Mackenzie wtulonych w siebie przy drzwiach wejściowych.

— Muszę przyznać, Cooper, nie sądziłam, że dotrzesz aż tak daleko — mówi Alana, salutując mi piwem. — Imponujesz mi.

— Przy okazji zmieniłam zdanie. — Heidi mierzy mnie wzrokiem przez płomienie. — Całkowicie popieram ten plan. Nie mogę się doczekać widoku miny tej laski, kiedy się dowie, co zrobięś.

— Jak masz zamiar to zrobić? — pyta z ożywieniem Steph.

Dziewczyny nie bawiły się tak dobrze, odkąd nie wyładowały się na samochodzie jakiegoś kłona, który ukradł bikini Alanie, opalającej się topless.

— Tak, musimy omówić, jak to zakończyć — przytakuje Evan. — Szkoda marnować taką szansę.

— Właśnie — zgadza się Heidi. — Musisz zwabić ją i Kincaida w to samo miejsce, niech on was zobaczy razem, a potem rzuć ją przy ludziach. Jak najwięcej dramatu. — Dzisiaj Heidi ma jeden ze swoich nastrojów. Wiem, to moja wina, lecz naprawdę nie wiem, jak naprawić nasze stosunki. — Może zorganizujemy imprezę.

Steph w entuzjazmie chłapie piwem w ogień.

— Niece, to za grzeczne. To musi być na ich terenie. Kincaida trzeba upokorzyć przed jego kumplami, inaczej nie będzie zabawy.

— Wiem, gdzie można zdobyć wiadro świńskiej krwi — mówi Alana, na co reszta zgina się wpół ze śmiechu.

Śmieję się z nimi; udaję, że się zgadzam. Przecież kilka tygodni temu kompletnie by mnie nie obeszło, co się stanie z jakąś klonowatą dziewczyną bogatego palanta, który wszedł mi w drogę.

Teraz jednak, kiedy poznałem Mac bliżej... szczerze ją lubię. Ona nie zasługuje na pogardę tylko dlatego, że związała się z takim dupkiem jak Kincaid. Po tym pocałunku wiem, że między nami jest coś prawdziwego, nawet jeśli ona się tego boi. Nie mogę jednak przyznać się przed grupą, że zaczynam wątpić. Rozszarpaliby mnie na strzępy.

Teraz, kiedy w wodzie rozeszła się strużka krwi, nie spoczną, póki nie dostaną w zęby ofiary.

15. Mackenzie

— Trzy dni z rzędu facet w barze smoothie puszcza drzwi, żeby mi trzasnęły przed samym nosem. Ani razu nie przeprosił. Zaczynam się zastanawiać, czy nie robi tego celowo. Jestem staromodna, tak? Cenię dobre maniery. Otwórz pani drzwi, dobrze? No więc czwartego dnia widzę, jak idzie. Jestem gotowa. Stoję wewnątrz, chwytam za klamkę, zanim on zdąży ją złapać, i przekręcam zatrzask. Wszyscy klienci zostają uwięzieni, bo ja nie wpuszczę tego gościa. Po moim trupie.

Jest poniedziałek rano, obie z Bonnie ledwie zwlekamy się z łóżek. Ona krzyczy do mnie z łazienki, nakładając makijaż, a ja robię dla nas kawę w aneksie kuchennym. Słucham jej półtuchem; udaje mi się wylać sobie mleko na koszulkę.

— I jak długo tak go trzymałaś? — krzyczę z pokoju, przebierając się. Jestem dzisiaj umówiona z Prestonem na obiad u niego w domu, więc muszę dopilnować, żeby porządnie wyglądać. Nie ze względu na niego, tylko na jego matkę. Owszem, ona mnie lubi — chyba — ale... przywiązuje wielką wagę do szczegółów. A koszulka bez rękawów i dzinsy nie spełniają standardów Coraline Kincaid.

— Tak długo, że wyskoczył menedżer i kazał mi wypuścić ludzi. Ja na to: oczywiście, z przyjemnością, pod warunkiem że gostek przeprosi albo sobie pójdzie. W końcu chyba zdał sobie sprawę, że mówię serio, bo poszedł. Następnego dnia zamknął drzwi do baru z kanapkami i wpuścił mnie dopiero wtedy, kiedy zgodziłam się z nim umówić. W piątek po mnie przyjeżdża.

— Wspaniale! — krzyczę, po czym odwracam się i widzę Bonnie stojącą tuż za mną z naszą kawą w dwóch termokubkach. — Sorki!

— Chyba jesteś podenerwowana. — Współlokatorka wbija we mnie wzrok. — Coś ukrywasz.

— Nieprawda.

Jej oczy przybierają rozmiary dwóch niebieskich spodków.

— Całowałaś się!

Czarownica.

— Kto to? — pyta.

Zaprzeczanie nie ma sensu. Bez zastrzeżeń wierzę w nadnaturalne moce Bonnie. Będzie mnie cisnąć, póki nie dowie się tego, co chce wiedzieć.

— Tutejszy — odpowiadam. Formalnie to prawda. Bonnie nie musi wiedzieć, że ten

miejscowy to Cooper.

Uff. Na samo wspomnienie jego imienia serce bije mi szybciej.

Co, do licha, narobiłam? Pocałunek na karuzeli — to mogę złożyć na karb haju po cukrze. Ale ta cała sesja obmacywania i całowania w jego domu?

Na to nie ma wymówki.

Jestem okropna. Okropna, egoistyczna, paskudna dziewczyna, która nie zasługuje na tak wartościowego chłopaka jak Preston.

Po tym, co zrobiłam w piątkowy wieczór, nie ma już odwrotu. Wiem o tym. A jednak pomimo poczucia winy kotłującego się w żołądku czuję też jednego głupiego motylka, który trzepocze we mnie skrzydełkami i ożywia wspomnienia głodnych ust Coopera i jego rozgorączkowanych oczu.

Jego języka w moich ustach.

Moich palców przesuwających się po twardych mięśniach niewiarygodnie wyrzeźbionej klatki piersiowej.

Wspominam nie tylko doznania fizyczne, ale też wszystko, co zdarzyło się przedtem. Rozmowę o naszych rodzinach, kiedy siedzieliśmy w warsztacie, gonitwę po bulwarze, kiedy zachowywaliśmy się jak para rozbrykanych dzieciaków. Przy nim nie muszę nakładać maski. Nie muszę udawać porządnej, dobrze wychowanej damy, którą powinnam być według oczekiwań otoczenia. Przy Cooperze czuję się sobą. A to... to mnie przeraża.

— I tyle? — Z niepokojących rozważań wyrywa mnie głos Bonnie. — Nieee, niemożliwe. Proszę o więcej szczegółów.

Z zakłopotaniem wzruszam ramionami.

— Nie ma wiele do opowiadania. Tak jakoś wyszło.

— A czy znów tak jakoś wyjdzie? — Z jej miny wyczytuję, że ma nadzieję na odpowiedź twierdzącą.

— Nie. Absolutnie nie. Czuję się okropnie. Preston...

— Nie musi o niczym wiedzieć — kończy Bonnie. — Przyznawanie się nie doprowadzi do niczego dobrego. Jeśli to był błąd... a nawet jeśli nie... dziewczyna ma prawo do sekretów. Uwierz mi.

Wiem, że ma dobre intencje, lecz ja już za dużo ukrywam przed Prestonem. Cała znajomość z Cooperem zaszła zbyt daleko. Nie jestem kłamczuchą, nigdy w życiu nie uznałabym się za zdolną do pocałowania kogokolwiek poza moim chłopakiem. To upokarzające: przekonać się, że nie jest się takim wzorem cnót, za jaki uważało się samą siebie.

Bonnie się myli. Preston ma prawo wiedzieć, co zrobiłam nam obojgu.

Muszę wyznać prawdę i ponieść konsekwencje. Tak będzie właściwie.

Później po południu Preston zabiera mnie ze szkoły i jedziemy na obiad. Przez cały dzień ćwicyłam, co mam mu powiedzieć. Jak mu to powiedzieć. Jednak kiedy Preston całuje mnie w policzek i otacza ramieniem w talii, tracę odwagę i nie otwieram ust.

— Wyglądasz wspaniale — mówi, kiwając aprobowująco głową.

Czuję ulgę. Dzięki Bogu. Przymierzyłam trzy różne stroje, w końcu wybrałam jedwabną bluzkę i luźne granatowe spodnie z wysokim stanem. Moja matka nie przyprawia mnie o taki stres.

— Freddy szykuje udziec jagnięcy — dodaje Preston. — Mam nadzieję, że jesteś głodna.

— Umieram z głodu — kłamię.

Preston wprowadza swoje porsche na parking przy boisku Garneta i zatrzymuje je. Jako dżentelmen wyskakuje z kabrioletu i przebiega na moją stronę, żeby otworzyć mi drzwi. Potem wyciąga rękę, ja ją ujmuję i idziemy oboje do helikoptera.

Tak. Jego helikoptera.

Na ogół Preston właśnie tak dojeżdża na zajęcia. Rodzina zbudowała lądowisko za stadionem piłkarskim, kiedy dostał się na pierwszy rok. To nieco nonsensowne nawet w naszym kręgu, a widok lśniąco białego pojazdu każe mi zadać sobie pytanie, co powiedziałby Cooper, gdyby zobaczył...

Nie. Koniec. Nie myślę o tym. Dzisiaj oczyszczę sumienie.

Po chwili lecimy już nad rezydencją Kincaidów — ogromnym terenem nad morzem. Nieskończone trawniki i dęby porastające całe akry ziemi; nad oceanem stoi rozległy biały pałac. Znajduje się tu basen, kort tenisowy, boisko do koszykówki i ogród kwiatowy. Wszystkim opiekuje się przynajmniej tuzin pracowników, i to na jednej zmianie.

Jego matka wita nas na patio za domem. Jak zawsze jest nieskazitelnie ubrana. Prada od stóp do głów. Nie jestem pewna, po co się tak stara, skoro na ogół nie ma powodów, by wychodzić z domu. Jak moja mama, Coraline nie pracuje, za to zatrudnia personel, który zajmuje się w całości jej domem i jej sprawami.

— Cześć, mamo. — Preston pochyla się i całuje matkę w policzek.

— Witaj, słonko. — Matka z uśmiechem zwraca spojrzenie na mnie. — Mackenzie, kochana. — Obejmuje mnie, ale lekko, jak ktoś, kto może się potłuc przy silniejszym dotyku. Jest drobna. Krucha, ale nie słaba. Byle tylko jej nie rozwścieczyć. — Przepięknie wyglądasz.

— Dziękuję, pani Kincaid. Te nowe róże wokół altany są wspaniałe.

Dawno się nauczyłam, że najłatwiej wprawić ją w dobry nastrój, komplementując coś

nowego w rezydencji. Inaczej cały wieczór spędzi, komentując moje rozdwijające się końcówki włosów lub rozszerzone pory w skórze.

— Och, dziękuję, złotko. Raul zasadził je w tym tygodniu. To prawdziwy artysta.

— Zje pani z nami obiad? — pytam. *Proszę, powiedz, że nie, proszę...*

— Niestety nie, niedługo mam spotkanie z architektem. Ma tu być lada chwila. Czy Preston ci wspominał, że budujemy nowy pawilon przy basenie?

— Nie, nic nie mówił. To ciekawe. — Szczerze mówiąc, w tym wszystkim ciekawa jest jedynie wiadomość, że matka Prestona nie będzie nam towarzyszyć przy obiedzie.

I całe szczęście, gdyż przy posiłku panuje wyjątkowo niezręczna atmosfera. Co prawda Preston niczego nie zauważa. W reprezentacyjnej jadalni, przy udźcu jagnięcym na doskonałej porcelanie, opowiada o jakimś profesorze, który jakoby się na niego uwziął, podczas gdy ja grzebię widelcem w talerzu i zbieram się na odwagę, by wyznać swoje grzechy.

— Jasne, mógłbym skoczyć do dziekana i kazać mu wszystko załatwić. Gość straciłby pracę. Ale potem pomyślałem sobie: do licha, to żadna zabawa. Wymyślę coś bardziej kreatywnego. To właśnie problem z tymi typkami: okażesz im odrobinę szacunku i już zapominają, gdzie ich miejsce. Wtedy musimy ich odpowiednio ustawić. Poproszę o dokładkę, Martho — zwraca się do pokojówki. — Dziękuję.

W końcu już nie mogę znieść ucisku w żołądku.

— Muszę ci coś powiedzieć — wyrzucam z siebie.

Preston odkłada widelec i podsuwa talerz Marcie.

— Dobrze się czujesz?

Nie. Ani trochę. Dopiero w tej chwili uświadamiam sobie, że naprawdę zależy mi na Prestonie. Nie tylko dlatego, że od tak dawna jesteśmy razem; nie tylko ze względu na lojalność.

Może Cooper wydobywa moje ukryte „ja” czy cokolwiek w tym rodzaju, lecz Preston robi dokładnie to, co opisałam Cooperowi pewnego wieczoru: daje mi zaczepienie. Jest stałą w moim życiu. Zna ten świat, wie, jak poradzić sobie z naszymi rodzicami, co jest ważne po to, byśmy nie popadli w szaleństwo. Przy nim nie czuję się jak kulka niepokoju i przerażenia.

A ja potraktowałam go niesprawiedliwie.

Odczekuję, aż Martha wyjdzie z jadalni, po czym z drżeniem wypuszczam powietrze.

Teraz albo nigdy.

— Całowałam się z kimś. Z chłopakiem.

Preston czeka, przyglądając mi się, jakbym mogła coś jeszcze dodać.

Powinnam. Dodam. Tak chyba najłatwiej było zacząć. Teraz jednak żałuję, że nie

znajdujemy się w bardziej ustronnym zakątku. Gdyby jego matka nagle wmaszerowała do pokoju, mogłabym nie wyjść stąd żywa.

— To wszystko? — pyta Preston.

— Nie. To znaczy tak. Tylko się całowaliśmy, jeśli o to ci chodzi. — Zagryzam wargę. Mocno. — Ale jednak cię zdradziłam.

Preston wstaje z krzesła po drugiej stronie stołu, podchodzi do mnie i siada obok.

— Znam go?

— Nie. To miejscowy, poznałam go w barze, kiedy wyszliśmy z Bonnie. To było głupie. Piłyśmy, przestałam myśleć i... — Nie mogę się powstrzymać, łagodzę cios kolejnym kłamstwem. Chciałam opowiedzieć mu wszystko. Teraz jednak, kiedy patrzę mu w oczy, nie mogę go tak zranić. Chociaż przyjmuje to lepiej, niż przypuszczałam. — Pres, tak cię przepraszam. Nie zasługujesz na to. Postąpiłam źle, nie mam na to wytłumaczenia.

— Mała — mówi Pres, ściskając mnie za rękę; uśmiecha się jakby rozbawiony. — Nie jestem zły.

Spoglądam na niego.

— Nie?

— Oczywiście, że nie. Za dużo wypiłaś i pocałowałaś lokalsa. Witamy na pierwszym roku. Widzę, że już dostałaś nauczkę, jak pić.

Chichocząc, cmoka mnie w czubek głowy, po czym podaje rękę i pomaga wstać od stołu.

— Jakim cudem tak łatwo to znosisz? — Jestem całkowicie ogłuszona. Wyobrażałam sobie najróżniejsze jego reakcje, ale na pewno nie taką.

Preston prowadzi mnie na werandę na tyłach domu. Siadamy na huśtawce ogrodowej, przy której pokojówka już postawiła dwie szklanki z mrożoną herbatą.

— Proste. Patrzę z szerszej perspektywy. Mackenzie, mamy przed sobą wspólną przyszłość. Nie mam zamiaru tego zaprzepaścić z powodu jednej chwili zapomnienia, a ty?

— Na pewno nie. — Jednak przypuszczałam, że czeka mnie przynajmniej wysłuchiwanie wyrzutów.

— Cieszę się, że powiedziałaś mi prawdę. Nie jestem zachwycony, lecz rozumiem i wybaczam ci. Było, minęło. — Preston podaje mi napój. — Nie za dużo cukru, tak jak lubisz.

No to w porządku.

Spodziewam się, że na resztę popołudnia Preston się ode mnie odsunie. Przypuszczam, że będzie oziębły, niezadowolony, chociaż twierdził, że nic się nie stało.

A jednak nie dzieje się nic takiego. Wręcz przeciwnie, Preston okazuje mi więcej uczucia. Cała ta próba jeszcze bardziej nas zbliżyła, co w pewnym sensie pogarsza moje samopoczucie. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, jak bym sobie z tym poradziła, gdyby role się odwróciły, lecz jestem przekonana, że nie wzruszyłabym ramionami i nie skwitowała sytuacji krótko „było, minęło”. Preston jest chyba lepszym człowiekiem niż ja.

Muszę brać z niego przykład. Być lepsza. Mocniej skupić się na naszym związku. Patrzeć z szerszej perspektywy, jak on to ujął.

Dlatego wieczorem jestem gotowa na wiadomość od Coopera. Czekałam cały dzień, cały wieczór, aż Cooper się odezwie. Wiedziałam, że napisze, i wiem, co muszę zrobić.

Cooper: *Musimy porozmawiać.*

Ja: *Nie ma nic do powiedzenia.*

Cooper: *Pozwól mi przyjechać.*

Ja: *Nie mogę. Przyznałam się Prestonowi do pocałunku.*

Cooper: *I?*

Ja: *Wybaczył mi. Nie mogę się z tobą więcej widywać.*

Następuje nieznośnie długa przerwa, niemal pięć minut, i dopiero wtedy Cooper przesyła kolejną wiadomość. Przez ten czas siedzę jak na szpilkach i niemal wychodzę ze skóry.

Cooper: *Naprawdę tego chcesz?*

Z rozpaczą wpatruję się w ekran, czując dławiącą gulę w gardle. W końcu zmuszam się, by dotknąć klawiatury.

Ja: *Tak. Żegnaj, Cooper.*

Z jednej strony czuję się okropnie, że tak go odcięłam. To nie jego wina, że wszystko popsułam. Jednak przy nim nie mogę zaufać mojej samokontroli, a już kilka tygodni temu powinnam była podjąć tę decyzję. Byłam głupia. Myślałam, że zdołam się z nim zaprzyjaźnić. Myślałam, że będę mogła mieć ciasteczko i zjeść ciasteczko. Teraz dokonuję wyboru.

Wybieram Prestona.

16. Cooper

W niedzielę wieczorem siedzę w garażu, kiedy dzwoni wujek z wiadomością, że zaraz wpadnie. Przy każdym brzęczyku telefonu w kieszeni przez sekundę czy dwie spodziewam się, że to Mackenzie. Potem spoglądam na ekran i przypominam sobie, że wszystko schrząniłem. Całkowicie źle ją odczytałem.

Żegnaj, Cooper.

Tak. Zapewne dobrze się bawiła w miejscowych slumsach z miejscowym śmieciem, wierząc, że żyje na krawędzi. Ale kiedy tylko okazało się, że to coś prawdziwego, uciekła. Głupio z mojej strony, że miałem nadzieję na jakiegokolwiek inne zakończenie.

Ale, do cholery, nie potrafię pozbyć się z języka jej smaku. Od tygodnia budzę się co rano cały napalony wizjami jej nóg owiniętych wokół mnie. Przy każdej okazji, kiedy walę konia, obraży Mac tłoczą mi się pod czaszką. Ta dziewczyna działa jak powolna trucizna. Wiem tylko jedno: chcę więcej i więcej.

Dzisiaj, dzięki Evanowi, mam zbić nową ławę. Stół, który „sprzedałem” Mackenzie, wciąż stoi pod przykryciem, gdyż jakoś nie wypada się go pozbywać — może jeszcze po niego wróci. Sam sobie powtarzam, że chodzi tylko o pieniądze, i na tym poprzestaję. W każdym razie będzie to szybka, ale brudna robota. Cholerny Evan. Wczoraj w trakcie spontanicznej imprezy, która rozkręciła się w naszym domu, wpadł na nią z jakimś koleśkiem jeszcze z liceum. Nie wiem, jak się zaczęło, ale skończyło tak, że jeden z nich walnął drugim w stół, zostawiając przed moimi drzwiami ścieżkę z kropel krwi. Evan upiera się, że nic mu nie jest, ale zaczynam się o niego martwić. Ostatnio coraz częściej szuka wymówek, by wszcząć bójkę. Chodzi poirytowany. Więcej pije. To się już powtarza zbyt często.

Wchodzi Levi, podaje mi świeżą kawę, którą kupił po drodze, a ja odkurzam dla nas dwa stołki.

Levi to brat ojca. Wysoki, szorstki, ma krótką brązową brodę i kwadratową twarz. Mimo zewnętrznego podobieństwa z ojcem całkowicie się od niego różni. Ojciec nigdy nie stracił okazji, by spieprzyć, co mógł, a swój gnój zrzucić na nas, Levi zaś naprawdę panuje nad swoim życiem.

— Masz tu gdzieś brata? — pyta.

— Wszedł niedawno. — Zapewne po tłuste lekarstwo na kaca z pobliskiej jadłodajni.
— Co tam?

— Nic. — Wzrusza ramionami. — Chciałem tylko wpaść po drodze, przywitać się. Od paru miesięcy nie byłem tu w domu, chciałem sprawdzić, jak wam idzie. — Levi mierzy wzrokiem mój powstający stół. — Pracujesz nad czymś?

— To nic ważnego.

— Coop, kiedy zaczniesz traktować to poważnie? Pamiętam, jak kiedyś mówiłeś, że spróbujesz jakoś to rozwinąć.

— Chyba to jednak odłożyłem.

— A niesłusznie. Dobrze sobie radzisz. Cieszę się, że ze mną pracujesz, ale powinieneś zrobić coś więcej dla siebie.

Kiedy skończyliśmy liceum, Levi dał nam pierwszą etatową pracę. Sam dobrze z niej żyje. Nie śpi na kasie, skądże znowu, ale wciąż ma zlecenia. Jak wielu ludzi wskutek huraganu ma tyle pracy, że się z nią nie wyrabia.

Wzruszam ramionami i popijam kawę.

— Kilka sztuk wstawiłem do sklepów meblowych na wybrzeżu. Zaoszczędziłem może z dziesięć kawałków, ale to kropla w porównaniu z kosztami, które wiążą się z rozpoczęciem działalności z prawdziwego zdarzenia.

— Dałbym ci te pieniądze, gdybym tylko miał tyle — mówi Levi zupełnie szczerze, wiem to. Od śmierci ojca zawsze mogliśmy na niego liczyć. Kiedy matka sobie nie radziła albo odchodziła, kiedy lodówka ziała pustką, kiedy musieliśmy odrobić lekcje. — Wszystko, co mam, władowałem w firmę. Super, że mam co robić, ale zaspokojenie popytu też kosztuje.

— Nie ma problemu. I tak nie mógłbym wziąć twoich pieniędzy, i tak już dość zrobiłeś dla Evana i dla mnie. — Nigdy dotąd nie prosiłem o pieniądze i teraz też nie zamierzam. U Leviego zarabiam wystarczająco. Jeśli dalej będę tak pracował i oszczędzał, spełnię moje plany. W końcu.

— A może kredyt z banku? — podsuwa Levi.

Nigdy nie podobał mi się ten pomysł. Jednym z powodów był fakt, że po śmierci taty musiałem sobie radzić z bankami, a w każdym z nich spotykałem tylko krwiopijców, którzy prędzej przemieliłoby nas na mączkę kostną, niż pomogli odnieść sukces.

— Nie wiem — odpowiadam wreszcie. — Nie podoba mi się perspektywa ładowania się w kolejne długi albo zastawiania domu. — Wiem, że marudzę jak stara baba. Przyjdzie czas, kiedy będę musiał podjąć decyzję: albo na poważnie zająć się rozwinięciem firmy, albo przestać jęczeć.

— Co racja, to racja. Zarabianie pieniędzy kosztuje. Zastanów się jednak. Jeśli naprawdę chcesz na tym budować firmę, mogę pomóc. Podżyruję ci kredyt.

To wielkoduszna propozycja, nie lekceważ jej. Nawet jeśli teraz taka możliwość nie

wzbudza mojego zachwytu, nie mam zamiaru otwarcie odrzucać szlachetnych intencji Leviego, więc powoli kiwam głową.

— Dzięki, Levi. Zastanowię się

Levi spędza ze mną zaledwie kilka minut. Wypija kawę i odjeżdża na spotkanie z klientem w sprawie kolejnego zlecenia, ja zaś wracam do mierzenia deski cedrowej. Jednak nie potrafię się tym zająć. Nigdy nie powinno się korzystać z narzędzi elektrycznych, jeśli ma się problemy z koncentracją, więc kończę pracę i wychodzę z warsztatu. Nieważne. Evan może zjeść sobie dzisiaj kolację z podłogi, jak jego ukochana Daisy.

À propos Daisy: kiedy wracam do domu, psica próbuje podszczypywać mnie w pięty. Przez kolejne dziesięć minut ćwiczymy z nią komendę „siad-zostań”, ale ja też nie bardzo się do tego przykładam.

Żegnaj, Cooper.

Jest mi... ciężko. Jakby stufuntowa kotwica wciągała mnie pod wodę za łańcuch owinięty wokół szyi. To dla mnie nic nowego; całe życie czuję, jak coś mnie ciągnie w dół: długi rodziców, odpały brata, poczucie, które mnie czasami ogarnia, jakbym był uwięziony we własnej głowie.

— Sorki, złotko, muszę zniknąć — mówię do psa, pochylając się i drapiąc ją za jedwabistym uchem. — Wracam za minutkę. Słowo.

Kłamię. To, do czego tak mocno mnie gna, zajmie mi więcej niż minutę. Jednak Daisy sobie poradzi; po powrocie Evan zaleje ją wyrazami uczucia i okaże mnóstwo zainteresowania. W taki sam sposób, jak robiła to Mackenzie. Zastanawiam się, czy jeszcze wpadnie odwiedzić Daisy.

Wątpię. Zapewne już zapomniała o nas obojgu.

Muszę przyznać: nie spodziewałem się, że okaże się tak oziębła. Jak widać, w ostatecznym rozrachunku to kolejna przedstawicielka klonów z Garneta. Zimna do szpiku kości.

I dobrze mi tak, szczerze mówiąc. Wszedłem w to w złych zamiarach, chciałem się nią posłużyć do tego, by zemścić się na Kincaidzie.

Karma to suka.

Z trudem zmuszam się do tego, by przestać o niej myśleć. Dziesięć minut później parkuję ciężarówkę niedaleko bulwaru. Wchodzę do salonu tatuażu; panuje w nim pustka, jeśli nie liczyć Wyatta, chyba zmordowanego, który siedzi przy ladzie z podkładką do pisania.

— Hejka. — Na mój widok twarz mu się rozjaśnia.

— Hejka. Masz czas na klienta z ulicy?

Wyatt robi mi tatuaże, odkąd jako szesnastoletni punk zażądałem wizerunku grobowca na lewym bicepsie. Fakt, wtedy miał ledwie rok więcej niż ja, a na sobie tatuaż pistoletu, który kupił w komisie, więc moja pierwsza dziara nie okazała się arcydziełem. Jeśli będę miał dzieci, przede wszystkim wbiję im do głowy, żeby nigdy nie dały sobie wbijać igieł w ciało swoim porypanym nastoletnim kumplom. Na szczęście u mnie wyszło dobrze. Wyatt się wyrobił, teraz prowadzi ten salon do spółki z kimś jeszcze, a mój schrzaniony grobowiec zrećźnie przerobił na wielki obraz zalanego wodą cementarza i fal bijących o brzeg Avalon Bay.

— Zależy — odpowiada Wyatt. — Co chcesz?

— Coś prostego i małego. Kotwicę. — Pocieram palcami kark. — O tutaj.

— Jaką kotwicę? Patentową? Admiralską?

Nie jestem wodniakiem, więc tylko unoszę oczy.

— A skąd mam wiedzieć, do cholery? Kotwicę rybacką. No wiesz, o czym mówię.

— Admiralską — rzy Wyatt. — Chodź na zaplecze. Zmieścimy się w godzinie.

Niemal od razu siadam okrakiem na krześle, podczas gdy Wyatt przygotowuje narzędzia. Tak to działa w Bay. Jeśli dobrze traktujesz znajomych, oni odpłacają ci tym samym. Wyatt zapewne nawet nie każe mi płacić za nowy barwnik, choćbym nie wiem jak się upierał. Za kilka miesięcy czy za rok pojawi się u mnie i poprosi o jakąś przysługę, a ja chętnie ją wyświadczę.

— Co cię tak gryzło, kiedy wszedłem? — pytam.

Wyatt wydaje z siebie pełen frustracji jęk.

— Aaa, to. Próbowałem zaprojektować tak seksowny obrazek, żeby Ren musiała, po prostu musiała do mnie wrócić.

Tłumię śmiech.

— Znów cię rzuciła?

— Nic nowego, co?

Ma rację. Wyatt i Lauren, czyli Ren, zrywają ze sobą przynajmniej co drugi miesiąc, zwykle z jakichś cudaczkich powodów, które trudno mi zrozumieć. Ale przez to dostarczają niezłej zabawy.

— O co poszło tym razem?

— Pochyl się do przodu — rozkazuje Wyatt, popychając mnie jednocześnie; zginam się nad oparciem, wystawiając tył głowy na jego łaskę i niełaskę.

Po sekundzie czuję na karku zimną mgiełkę. Wyatt czyści mi skórę miękką szmatką, po czym sięga po maszynkę.

— No dobrze — odzywa się, kiedy zaczyna golić mi krótkie włosy na szyi. — Chcę, żebyś sobie coś wyobraził. Gotowy?

Mój chichot tłumi przedramię, o które się opieram.

— Jasne. Gotowy.

— Jesteś na wyspie.

— Bezludnej czy turystycznej?

— Bezludnej. Samolot ci się rozbił. Albo łódka zatonięła. Nieważne.

— Jak to nieważne? — oponuję. — Jeśli to łódka, to pewnie lepiej się znam na wyspach, pływach i innych pierdołach, czyli mam większe szanse na przeżycie.

— O Boże, nie o to chodzi — buczy Wyatt. — Hartley, czemu musisz to komplikować? Jesteś na bezludnej wyspie. Koniec, kropka.

— Superhistoryjka, gościu.

— Zdajesz sobie sprawę, że w tej chwili trzymam ci brzytwę nad karkiem?

Tłumię kolejny wybuch śmiechu.

— No dobrze. Jestem na bezludnej wyspie. Co teraz?

— Mam rysować z szablonu czy od ręki?

— Od ręki, ufam ci. — Poza tym, nawet jeśli tatuaż nie wyjdzie, przynajmniej nie będę go oglądał.

Wyatt gada, przygotowując barwnik. Tylko czarny, lubię prostotę.

— No i utknąłeś. Teraz twoje życie to ta wyspa. Ale... dobra wiadomość! Będziesz miał towarzystwo. Pojawiają się dwie łodzie...

— Super! To co, uratują mnie?

— Nie! — odpowiada z urazą. — Powiedziałem, tkwisz na wyspie.

— Ale te łodzie...

— Za pięć minut wylecą w powietrze, czaisz? Nie ma łodzi. Jezu!

Przychodzi mi do głowy, że może lepiej nie stawiać się komuś, kto ma w ręce igły. Ale, cholera, podpuszczanie Wyatta to niezła zabawa.

— Na pierwszej łodzi znajduje się twoja dziewczyna, partnerka, nieważne. Ale tylko ona. Nic więcej. W drugiej łodzi nie ma ludzi, za to wszystko, czego potrzebujesz, by przetrwać na wyspie. Przynajmniej do rozniecenia ognia, budowy schronienia, pożywienia, broń, dosłownie wszystko.

Usta mi drgają.

— Czy to Ren zadała ci ten eksperyment myślowy?

— Taaa — odpowiada Wyatt ponuro.

Wykręcam głowę, żeby na niego spojrzeć.

— Ty idioto. I pewnie wybrałeś zapasy zamiast niej?

— A ty byś zrobił inaczej? — pyta oskarżycielsko.

W piersi czuję śmiech.

— Coop, to sprawa życia i śmierci. Potrzebuję pożywienia i schronienia! Pewnie, wspaniale byłoby mieć przy sobie Ren, ale jeśli nie znajdziemy narzędzi, które pomogą nam przetrwać, za pięć sekund umrzemy. Poza tym skoro mam to wszystko do dyspozycji, to zbuduję tratwę i popłynę do niej. Tak mówi rozsądek.

— I Ren rzuciła cię z tego powodu? Serio?

— Co? Nie, to by było bez sensu. Rzuciła mnie, bo o godzinę spóźniłem się na kolację urodzinową jej siostry. Akurat siedziałem z Tate'em, opowiadałem o jej durnym eksperymencie myślowym i straciłem poczucie czasu.

Wbijam w niego spojrzenie. Jak to możliwe, że to moi przyjaciele?

Tylko że Wyatt robi mi darmowy tatuaż, a ta absurdalna opowiadka pomogła mi zapomnieć o Mackenzie.

Żegnaj, Cooper.

Albo i nie.

17. Mackenzie

Staram się, jak mogę. Od dwóch tygodni nie rozmawiam z Cooperem. Trzymam się z dala od bulwaru. Uznałam, że jeśli miałabym gdzieś wpaść na niego przypadkowo, to właśnie tam, więc najlepiej będzie odsunąć od siebie pokusę. Jednak ta powściągliwość nie powstrzymała marzeń — ani zakazanych wspomnień, które mnie zalewają zwłaszcza na zajęciach.

Na literaturze angielskiej łapię się na tym, że wspominam nasz pierwszy pocałunek.

Na biologii wspominam jego dłonie, trzymające mnie mocno przy drzwiach jego domu.

Na historii Europy myślę o jego twardej piersi pod moimi dłońmi; nagle oblewam się rumieńcem i zaczynam ciężko oddychać, zastanawiając się, czy ktokolwiek to zauważył.

Mimo to moja więź z Prestonem jest silna jak nigdy; w końcu nawiązałam też przyjaźń z kimś innym z Garneta niż Bonnie. Ma na imię Kate, a chociaż jest przy okazji młodszą siostrą Melissy, w ogóle jej nie przypomina. Kate jest przezabawna, sarkastyczna i nie znosi żagli — wszystko to dobrze mnie do niej nastroja. Poznałyśmy się na kolacji w Kappa Nu, na którą zaciągnął mnie Preston, gdyż według niego powinnam bardziej zacieśniać więzi z Melissą i Chrissy i ich koleżankami z bractwa. Zamiast zacieśniać więzi, połowę wieczoru spędziłam w kącie z Kate, omawiając wartości artystyczne programu „The Bachelor”.

Dlatego kiedy Kate pisze do mnie w czwartek wieczorem z pytaniem, czy mam ochotę na drinka w mieście z nią i jej znajomymi, w pierwszej chwili przygnębia mnie całkowicie. Wyjście na miasto oznacza ryzyko, że wpadnę na Coopera, lecz nie mogę odrzucić pierwszego zaproszenia od kogoś innego niż Bonnie.

— Chcesz iść z nami? — pytam ją, splatając włosy w naszej wspólnej łazience.

W lustrze za mną ukazuje się głowa Bonnie.

— Chciałabym, ale dzisiaj wychodzę z Toddem.

Szczerzę się do jej odbicia.

— Znowu? Chyba zaczyna się robić poważnie... — Ostatnio bardzo często spotyka się z gościem z baru z kanapkami. Tyle zostało z jej uwielbienia dla łobuzów. Poznałam Todda, nie zauważyłam na nim ani piercingu, ani tatuażu.

— Poważnie? Phi! — Bonnie macha lekceważąco ręką. — To jeden z trzech, którymi

zongluję, Mac. Jutro wieczorem wychodzę z Harrym, a w sobotę na kolację z tym jednym, o którym ci opowiadałam... Jasonem. Tym, który wygląda jak Edward.

— Edward? — powtarzam tępo.

— No ten ze *Zmierzchu*. — Bonnie wstrząsa się radośnie. — Och, jaki to przystojniak! Mógłby się nawet okazać prawdziwym wampirem, też bym to zniosła. Wyobrażasz sobie takie szaleństwo? Chociaż na widok krwi robi mi się trochę niedobrze.

Prycham.

— To z całą pewnością nie wampir — odpowiadam, choć jeszcze nie wykluczyłam możliwości, że Bonnie jest czarownicą.

Życzę jej udanej randki, po czym wychodzę z akademika i kieruję się na parking, gdzie czeka na mnie kierowca ubera. Jestem umówiona z Kate i jej znajomymi w „Rip Tide”. Kiedy samochód zbliża się do lokalu na brzegu, przez głowę przebiegają mi wspomnienia z ostatniej bytności w tej okolicy, a serce przyspiesza. Wtedy poznałam-Coopera. Tej nocy, kiedy Bonnie poderwała jego bliźniaka — my zaś przesiedzieliśmy całą noc, rozmawiając o wszystkim i o niczym.

Wystarczy — odzywa się surowy głos. *Zapomnij o nim*.

Muszę koniecznie o nim zapomnieć. Jestem z Prestonem. Rozmyślanie o Cooperze nie służy mojemu związkowi.

Dziękuję kierowcy i wysiadam z samochodu. Poprawiając spleciony z boku warkocz, omiadam spojrzeniem zrujnowany hotel, który po raz pierwszy ujrzałam ponad miesiąc temu. Wciąż stoi, na oko nadal pusty. W brzuchu czuję dziwne poruszenie, kiedy tak wpatruję się w hotel, jego smaganą wiatrami, białą fasadę odbijającą światło pojedynczej latarni ulicznej.

Z zadziwiającym wysiłkiem odrywam od niego wzrok. Cudownie. Najpierw mój mózg nie chce się odczepić od Coopera, teraz obsesyjnie zatrzymuje się na opuszczonym hotelu. Naprawdę mam coś z głową.

W barze znajduję Kate przy stoliku z boku sceny. Jest z trzema innymi dziewczynami, dwóch z nich nie rozpoznaję, trzecia to Melissa. Tłumię westchnienie; nie spodziewałam się, że Melissa również przyjdzie. Nie mam nic przeciwko niej, lecz to plotkara, przy niej muszę zważać na słowa.

— Cześć — wita mnie Kate.

Tak jak siostra ma jasne włosy i duże szare oczy, jednak całkowicie różni się od niej stylem. Ma na sobie kusą niebieską sukienkę, która ledwie zakrywa jej uda, oprócz niej klapki i szerokie bransoletki na obu rękach. Melisa ma różową sukienkę do kolan, zapiętą po szyję, a w uszach dwa duże migoczące brylanty.

— Cześć — rzucam im zakłopotany uśmiech. — Cześć, Melisso.

Kate przedstawia mnie swoim dwóm koleżankom — Alishy i Sutton. Postanawiamy zamówić daiquiri, gdyż Melissa się na nie uparła, lecz kiedy razem z Kate idziemy do baru z zamówieniem, Kate puszcza do mnie oko i zamawia dla nas także dwie wódki.

— Nie mów mojej siostrze — ostrzega, po czym wychylamy drinki z konspiracyjnymi uśmiechami.

Po powrocie do stołu błyskawicznie kończymy pierwszą kolejkę daiquiri, więc szybko zamawiamy kolejne. Przy trzeciej kolejce tematy rozmowy skręcają z zajęć i planów na przyszłość w stronę żenujących historyjek i mężczyzn. Kate opowiada nam o asystencie, który się za nią ugania i okazuje jej miłość, przyszywając suchy kwiat na ostatniej stronie każdego referatu, który mu oddaje.

Wybucham śmiechem.

— Niemożliwe!

— Poważnie! A jeśli uważasz, że dzięki tym jego gorącym uczuciom mam przynajmniej lepsze oceny, to się mylisz. Za ostatnią pracę dał mi C minus. — Kate wygląda na oburzoną. — Christopher, chrzanić te twoje idealnie wyprasowane płatki petunii, ja chcę dostać A!

Alisha przebija jej opowieść historyjką o profesorze, który przez pomyłkę wysłał do niej namiętny list miłosny przeznaczony dla żony, która go zostawiła.

— Miała na imię Alice, więc zapewne kiedy facet wpisał „Al”, komputer uzupełnił resztę, a on kliknął, nie patrząc. — Dziewczyna chichocze i miesza słomką drinka. — W tym e-mailu wymienił wszystkie powody, dla których nie powinni się rozwodzić. Sprowadzało się to głównie do jednego: udowadniał jej, dlaczego jest taki wspaniały.

Melissie szczęka opada.

— O mój Boże. I co jej wypisywał?

— Nie pamiętam wszystkiego, ale jako pierwsze wymienił... czekajcie... — Alisha przerywa dla lepszego efektu. — Jest... odpowiednim kochankiem.

Cały nasz stół wybuchają gromkim śmiechem.

— Odpowiednim? — Kate krztusi się chichotem. — Biedna żona!

Wysiorbuję resztę drinka. Przychodzi mi do głowy, że od liceum nie wyszłam z żadnymi dziewczynami do baru; uświadamiam sobie, że okropnie idzie mi utrzymywanie kontaktu z koleżankami ze Spencer Hill. Fakt, one też się nie odzywają, co wiele mówi o naszej przyjaźni. O przyjaźni ze studiów chcę zadbać lepiej.

Rozmowa toczy się dalej; Sutton proponuje, żebyśmy zagrały. Nawet nie w grę, raczej w ocenianie atrakcyjności każdego faceta, który przejdzie obok.

— Oo, no to co powiecie o nim? — pyta Alisha głośnym szeptem.

Mierzymy wzrokiem długowłosego surfera w czerwonej koszulce i pomarańczowych

szortach kąpielowych.

— Za wycucie mody dwa na dziesięć — ocenia Melissa, unosząc nos. — Czerwony z pomarańczowym? No daj pan spokój. Trochę szacunku dla siebie, proszę pana.

Mimo woli prychem śmiechem. Wstawiona Melissa jest wciąż nadęta, ale też uszczypliwa, co niezmiernie mi się podoba.

— Za to tyłek dziewięć na dziesięć — uznaje Kate. — Świetny tyłek.

— Jakbym rzuciła w niego monetą, pewnie by się odbiła — przyznaje Alisha.

Owszem, traktujemy tych chłopaków jak obiekty seksualne. Podbite dziewczyny nie mają ani wstydu, ani skrępowań.

— Ogólnie siedem — podsumowuje Sutton.

— Trzy — sprzeciwia się Melissa, wysuwając podbródek. — Nie mogę przeżyć tego zestawienia czerwieni z pomarańczem. Nie mogę.

— Uu, dziewczyny... — syczy konspiracyjnie Alisha, pochylając się do nas — na godzinie szóstej przy końcu baru... właśnie znalazłam gościa na dziesiątkę.

Wszystkie odwracamy się w stronę baru i natychmiast się krztuszę.

Idealna dziesiątka Alishy to Cooper Hartley.

— Ho ho — gwizdże cicho Kate — nooo... Podoba mi się.

— Uwielbiam! — poprawia Alisha, przybierając rozmarzoną minę.

Nie dziwię się jej. Cooper wygląda dzisiaj świetnie. Ma na sobie ten wystrzępiony T-shirt, który lubię, ten z logo Billabong, który opina mu szerokie bary i podkreśla umięśnioną klatkę. Do tego rozwichrzone ciemne włosy, ramiona całe w tatuażach, bojówki otulające tyłek nawet bardziej jędrny niż u surfera — i mamy przed sobą naprawdę doskonały okaz mężczyzny.

Jakby wyczuwając damskie zainteresowanie, Cooper gwałtownie odwraca głowę i po sekundzie jego wzrok pada na nasz stolik. Nasze spojrzenia spotykają się; oblewa mnie gorąco. Cholera. Czyżbym się zaczerwieniła? Mam nadzieję, że nie.

Na mój widok Cooper mruży oczy i na sekundę zaciska wargi, po czym unosi ich kąćki w krzywym grymasie.

Siedząca obok mnie Alisha się zachłystuje.

— Gapi się na ciebie — mówi oskarżycielsko. — Znasz go?

— Hm... — Gorączkowo zaczynam szukać jakiejś prawdopodobnej przyczyny, dla której atrakcyjny lokals mógłby utrzymywać ze mną dłuższy kontakt wzrokowy.

— Mackenzie. — Przenikliwe spojrzenie Melissy wierce dziurę w moim policzku. — Znasz tego faceta?

W gardle zasycha mi kompletnie. Odrywam wzrok od Coopera i sięgam po drinka. Popijanie kolejnego łyka daje mi kilka sekund, żeby w panice wymyślić jakąś wymówkę.

Melissa jest nie tylko wścibska, ale i inteligentna. Jeśli przyznam się do znajomości z - Cooperem, nawet czysto przyjacielskiej, z całą pewnością puszcze w ruch machinę plotkarską. Melissa zacznie mnie wypytywać, a jeśli któraś odpowiedź się jej nie spodoba, powtórzy wszystko Benjiemu, który z kolei opowie to Prestonowi, a on przecież dopiero co wybaczył mi całowanie się z innym chłopakiem.

Nie. Nie ma mowy, żeby przyznawać się do znajomości z Cooperem, chociażby najbardziej odległej.

— To Evan — wyrzucam z siebie.

— Co? — Melissa marszczy brwi.

Odstawiam plastikowy kubek po daiquiri. Przyływ geniuszu sprawia, że zalewa mnie fala ulgi i satysfakcji.

— To Evan Hartley. Moja współlokatorka poderwała go na początku semestru.

Melissa odpręża się lekko, wypielęgnowanymi palcami bawi się brylantem w uchu.

— Naprawdę? Mała Bonnie rzuciła się na coś takiego?

— O tak. — Zmuszam się do śmiechu z nadzieją, że nikt nie usłyszy w nim nuty napięcia. — Porzuciła mnie na pół nocy na plaży dla randki w świetle księżyca.

Idealnie. Teraz, jeśli Melissa spróbuje mnie sprawdzić, Bonnie z pewnością to potwierdzi. Dopóki tylko Cooper zostanie tam, gdzie stoi i nie...

Podejdzie do nas.

Szlag by to trafił, idzie w naszą stronę.

Serce zaczyna mi bić szybciej niż muzyka grzmiąca z głośników. Co on wyprawia? Powiedziałam mu, że nie możemy się widywać. Przecież wyraziłam się jasno, do cholery. Nie może po prostu podchodzić do mojego stolika, jakby nic się nie stało i...

— Evan! — wołam zbyt głośno, ze zbyt szerokim uśmiechem.

Cooper zatrzymuje się na moment, po czym jego długie nogi znów się ruszają — i swobodnie podchodzi do nas. Wsuwa ręce w kieszenie i przybiera leniwą pozę.

— Mackenzie — mówi powoli.

— Cześć, Evan, co u ciebie? — pytam przyjaźnie i nonszalancko, jakbyśmy się w ogóle nie całowali, jakbym nie czuła pulsowania jego twardego penisa wbijającego się w mój brzuch. — Nie widziałam cię od tej nocy, kiedy porwałś i uwiodłeś mi współlokatorkę.

Kate parska śmiechem.

Wbijam wzrok w Coopera z nadzieją, że oczami wyrażam wszystko, czego nie mogę wypowiedzieć na głos. *Proszę, potwierdź. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby te dziewczyny rozpuściły plotki i żeby Pres się dowiedział. Proszę, potwierdź.*

Czuję się winna, gdyż nie zwróciłam się do niego jego prawdziwym imieniem, lecz to

nic w porównaniu z moim paskudnym samopoczuciem po tym, jak zdradziłam Prestona. Pocałunek z Cooperem to pomyłka. Jednak przyznałam się chłopakowi, mam czyste sumienie i chcę żyć dalej. A to się nie uda, jeśli Melissa wywęszy potencjał do plotek. Dlatego milcząco błagam Coopera, który nie daje po sobie nic poznać.

Jego uśmiech pogłębia się, w ciemnych oczach migoczą iskry, których nie umiem odczytać.

Kiedy się w końcu odzywa, jestem kłębkim nerwów oblanym potem.

— Nie wydaje mi się, żeby Bonnie narzekła na tamtą noc — mówi, puszczając do mnie oko.

Niemal słabnę z ulgi; mam nadzieję, że nikt nie zauważy drżenia dłoni, którą sięgam po drinka.

— Bo to nie ona musiała wzywać ubera, żeby o drugiej w nocy wracać na kampus. — Upijam pospieszny łyk, po czym dokonuję prezentacji. — Alisha, Sutton, Kate, Melissa. Dziewczyny, to Evan.

Ciekawe, aż do teraz, kiedy Cooper przeistoczył się w Evana, nigdy tak wyraźnie nie uświadomiłam sobie, jak bardzo się obaj różnią. Jego zwykle nieodgadnione, melancholijne oczy błyszczą łobuzersko; język przesuwają się drażniąco po dolnej wardze, wargi unoszą się w pewnym sobie uśmiechu skierowanym do moich koleżanek.

— No to... — Nawet jego głos brzmi teraz inaczej: jest lżejszy, zalotny. — Którą koleżankę Mackenzie mam uwieść dzisiaj?

Wydawałoby się, że tak zgrany tekst wywoła jęk politowania — a jednak dziewczyny niemal omdlewają. Nawet Melissa dała się zauroczyć — twarz jej poróżowiła, usta rozchyliły się lekko.

Nie dziwię się im. Ten facet to uosobienie seksu. Nieważne, czy jest ponurym sobą, czy udaje swojego puszczańskiego brata, biją od niego fale seksualnej energii.

— Evan, nie wyskakuj ze spodni — mówię; ma to zabrzmieć jak przekomarzanki, lecz w moim głosie pojawia się nuta ostrzeżenia.

Cooper uśmiecha się szerzej.

— No dobrze. — Sutton wzdycha przesadnie i zeskakuje ze stołka. — Chyba poświęcę się dla drużyny. — Z jej rozmarzonej miny domyślam się, że już wyobraża sobie seks z Cooperem. — Może najpierw zatańczymy, a potem porozmawiamy o tej ofercie podrywku?

Wszystkie mięśnie w moim ciele napięły się jak postronki. Palce oplatam wokół kubka i mocno zaciskam. Boję się, że go zgniotę. Dobrze, że jest plastikowy, bo inaczej wokół posypałyby się odłamki szkła.

Spoglądający drwiąco Cooper zauważa moją reakcję i nie odrywając ode mnie

wzroku, mówi do Sutton:

— Taniec, świetny pomysł. Prowadź, mała.

Trzy sekundy później Sutton owija się wokół niego na parkiecie tuż przed sceną. Ramionami otacza jego szyję, szczupłym ciałem przywiera do jego mięśni. Cooper przesuwając dłońmi po jej koronkowej koszulce, jedną rękę zsuwa niżej i opiera na plecach tuż nad zakrzywieniem pośladków. Drugą dłoń przenosi do góry i zatrzymuje ją na jej ciemnym kucyku, po czym obejmuje dziewczynę za szyję.

W gardle rośnie mi gorzka gula. Sięgam po daiquiri z nadzieją, że spłuczę ten paskudny smak, ale okazuje się, że kubek mam pusty.

— Uch, nie wierzę, co ona wyprawia — mówi Alisha.

Ona? Ja nie wierzę w to, co on wyprawia. Co to jest, taniec erotyczny z kompletnie nieznaną dziewczyną?

Kate gładzi Alishę po ręce.

— Przykro mi, złotko. Następnym razem musisz być szybsza.

— Boże, co za ciacho — zauważa Melissa, która nie odrywa wzroku od Coopera i Sutton. — Gdybym nie była z Benjimą, na pewno zaczęłabym się zastanawiać, czy nie poderwać lokalsa na jedną noc.

Unoszę brwi.

— Myślałam, że zajęcia dodatkowe są w pełni akceptowalne?

— Hm, nie — śmieje się Melissa. — Nie dla nas, kochana. Przynajmniej do czasu, kiedy powiemy sakramentalne „tak”. Potem możesz sobie do upojenia obściskać chłopców od basenu i ogrodników.

Kate unosi oczy do nieba.

— Jesteś suką wyższego rzędu, Mel.

Melissa wzrusza ramionami.

— No co? Tak to działa.

Przestaję ich słuchać zapatrzona w pokaz erotyczny rozgrywający się trzy metry od naszego stolika. Sutton wspięła się na palce i szepcze coś Cooperowi do ucha.

Cooper chichocze; ja sztywnieję. Co to za chichoty? O czym oni rozmawiają?

Cooper powinien zdjąć ręce z jej tyłka. I to zaraz. Wiem, że ten pokaz jest dla mnie, ale nie pozwolę na to. Zagryzam policzek od środka, mocno.

— Trzeba było rzucić się na niego, kiedy tylko do nas podszedł — jęczy Alisha. Ona również obsesyjnie gapi się na parkiet taneczny.

— Kto rano wstaje, ten dostaje fiuta — podsumowuje Kate poważnie.

— Ech... Trudno. — Alisha z rozmachem stawia kubek na stole i wydyma usta. — Ona

i tak tylko gada. Sutton nie uznaje przygód na jedną noc. Na pewno nie wskoczy do łóżka z jakimś gościem, którego nawet nie... — Alisha przerywa nagle, szczęka jej opada.

Podążam za jej spojrzeniem — akurat w tej chwili Cooper i Sutton wychodzą razem z baru.

18. Mackenzie

Następnego poranka przepadają mi zajęcia z kultury mediów. Profesor wysłał nam e-maila, który zdecydowanie zaprzecza prawom dyskrecji, z informacją, że jego jelita zbuntowały się przeciwko pieczeniu rzymskiej przygotowanej przez żonę na kolację dzień wcześniej.

Łączę się w bólu, bracie. Mój żołądek jest zaciśnięty w supeł od chwili, kiedy ujrzałam Coopera wychodzącego z „Rip Tide” z Sutton, obejmującego ją ramieniem.

Czy uprawiali seks? Na samą myśl ogarniają mnie mdłości. I odrobina gniewu. Jak mógł wskoczyć do łóżka z dziewczyną poznaną dwie i pół sekundy wcześniej? A może jednak się nie przespalili? Może po prostu zrobiła mu laskę?

Na myśl o Sutton zbliżającej się do Coopera czerwona mgła przesłania mi wzrok. Mam ochotę wyrwać mu fiuta za to, że pozwolił jej go dotknąć.

Hm... no dobrze.

Może jestem nieco bardziej niż trochę zła.

Jednak nie wolno mi się tak czuć. Cooper nie jest moim chłopakiem. Jest nim Preston. Nie wolno mi interesować się tym, kogo Cooper podrywa, a już zdecydowanie nie powinnam sięgać teraz po telefon, otwierać naszego wątku na czacie i...

Ja: Nie musiałeś tego robić tylko po to, by mi dokuczyć. Mówiąc „robić tego”, mam na myśli Sutton.

Cholera. Co się ze mną dzieje? Kiedy tylko wiadomość pojawia się na ekranie, już żałuję, że ją wysłałam. Gorączkowo stukam w wyświetlacz w poszukiwaniu opcji cofnięcia, ale wiadomości tekstowe tak nie działają.

Teraz Cooper pisze odpowiedź.

Z bijącym szaleńczo sercem siadam na łóżku, w myślach przeklinając samą siebie za brak opanowania.

Cooper: O, to znów rozmawiamy?

Ja: Nie. Nie rozmawiamy.

Cooper: Okej. To do później.

Sfrustrowana wbijam wzrok w telefon; frustracja dotyczy jednak bardziej mnie samej niż jego. Powiedziałam mu, że nie możemy się przyjaźnić. Dosłownie powiedziałam: „Żegnaj, Cooper”. Wczoraj wieczorem nazwałam go Evanem i właściwie wepchnęłam w ramiona moich wolnych koleżanek, żeby Melissa nie podejrzewała mnie o nic i nie

powiedziała Benjiemu. To moja sprawka. Nic dziwnego, że Cooper nie chce ze mną rozmawiać.

Jednak moje głupie palce mają własne zdanie.

Ja: Tak tylko mówię. Dzięki, że zgodziłeś się być Evanem, ale nie musiałeś ciągnąć tego udawania aż tak daleko.

Cooper: Hej, księżniczko, a może tak zajmiesz się futem swojego chłopaka, a przestaniesz interesować moim?

Mam ochotę wrzeszczeć. Żałuję, że w ogóle poznałam Coopera Hartleya. Gdyby nie to, nie czułabym się teraz tak poskręcana wewnątrz. Nie wspominam już o palącej gardło zazdrości, która ogarnęła mnie po jego odpowiedzi. Czyżby dawał do zrozumienia, że jednak jego fiut miał coś do roboty zeszłej nocy?

Już niemal mam prosić Kate o numer do Sutton, żeby sprawdzić, co dokładnie zaszło wczoraj, kiedy włącza się zdrowy rozsądek. Jeśli miałam dopilnować, by Melissa nie nabrała podejrzeń, wpadanie we wściekłość z powodu Sutton na pewno nie pomoże mi tego dokonać.

Mobilizuję całą siłę woli, jaką mam, odsuwam telefon i biorę laptop. Brak zajęć oznacza więcej czasu na pracę, a praca zawsze pomaga mi się oderwać od innych spraw.

Przeglądam e-maile, lecz nie ma w nich nic pilnego do załatwienia. Sprawa Tada i jego mikropenis na szczęście ucichła, dzięki Bogu. Moi moderatorzy i kierownicy donoszą, że wrzesień przyniósł nam największe przychody w historii. Każdy właściciel firmy z ogromną radością powitałby taką wiadomość; nie zrozumcie mnie źle, jestem zadowolona. Jednak zajmując się przez kolejne dwie godziny prostymi pracami domowymi, czuję powracającą frustrację, łapiącą mnie za gardło. Nagle ogarnia mnie przemożna chęć, by wyjść za kampus na spacer. Mam dość ciągle tego samego otoczenia, dość obsesyjnego zajmowania się Cooperem.

Dziesięć minut później siedzę w taksówce zmierzającej do Avalon Bay. Potrzebuję świeżego powietrza, słońca. Wsiadam niedaleko mołu i idę w stronę bulwaru. Wsuwam dłonie w kieszenie krótkich, obciętych spodni. Niewiarygodne, że w październiku panują takie temperatury, ale nie narzekam. Gorący wiatr na twarzy witam jak niebiańską rozkosz.

Nogi niosą mnie do samego hotelu i wtedy nagle uświadamiam sobie, dlaczego tu dzisiaj przyjechałam. W żyłach czuję to samo poruszenie na myśl o możliwościach, jakie stwarza przede mną hotel, który wciąż stoi pusty. Czekam.

To szaleństwo, jednak wpatrując się w zniszczony budynek, czuję pulsowanie w całym ciele. Nawet palce zaczynają mnie świerzbić, jakby dawały znać, że bardzo chcą się do

czegoś zabrać. Czy takiego wyzwania szukałam? Czy to ten potępiony hotel, który wciąż nawiedza moje fantazje?

Nawet nie jest na sprzedaż, mówię sobie. A jednak to się chyba nie liczy; wciąż czuję poruszenie.

Wracając przez miasto do kafejki, do której wstępuję napić się czegoś, czuję, jak w mojej głowie rodzi się pomysł. Kobieta za ladą podaje mi szprycera z sokiem; waham się przez moment. Avalon Bay to małe miasteczko. Jeśli mam je osądzać na wzór miasteczek, które widziałam w programach telewizyjnych typu „Gilmore Girls”, to wszyscy wiedzą tu wszystko o wszystkich i o wszystkim.

Ryzykuję więc pytanie:

— Co pani wie o tym opuszczonym hotelu na bulwarze, „Latarni”? Wie pani może, dlaczego właściciel nic z nim nie zrobił?

— Niech ją pani sama zapyta.

Patrzę na barmankę ze zdziwieniem.

— Słucham?

Kobieta głową wskazuje stolik przy oknie.

— To jest właścicielka.

Podążam za jej spojrzeniem ku starszej kobiecie w kapeluszu o szerokim rondzie i wielkich ciemnych okularach zasłaniających większość twarzy. Nieznajoma strojem bardziej wygląda na osobę przeszukującą plażę niż właścicielkę hotelu.

Jakie mam szanse? Dreszcz się nasila, w końcu czuję się tak, jakby całe moje ciało zostało podłączone do prądu. To musi coś znaczyć.

Biorę napój i powoli podchodzę do stołu pod oknem.

— Przepraszam, że przeszkadzam. Czy mogłabym porozmawiać o pani hotelu? Czy mogę usiąść?

Kobieta nie unosi wzroku znad herbaty i ciastka kawowego.

— Jesteśmy zamknięci.

— Tak, wiem. — Wciążam powietrze. — Miałam nadzieję, że mogłabym to zmienić.

Kobieta drobnymi palcami odłamuje kawałek ciasta. Kruszy je na małe kawałki i powoli, delikatnie wkłada do ust.

— Proszę pani, chodzi o pani hotel. Czy mogę zadać pani kilka pytań?

— Jest zamknięty.

Nie wiem, czy kobieta mnie ignoruje, czy nie do końca kontaktuje, o czym mówię. Nie chcę się okazać źle wychowana czy ją zdenerwować, próbuję więc po raz ostatni.

— Chcę kupić pani hotel. Czy byłaby pani zainteresowana?

Kobieta w końcu unosi głowę i spogląda na mnie. Spoza okularów nie widzę jej oczu,

lecz zaciśnięte w zamyśleniu usta dają znać, że ją zainteresowałam. Popija wolno łyk herbaty, odstawia filiżankę i stopą odsuwa dla mnie krzesło.

Siadam z nadzieją, że nie okazuję zbyt widocznego entuzjazmu.

— Nazywam się Mackenzie. Cabot. Studiuję w Garnecie, ale także prowadzę firmę. Naprawdę interesuje mnie pani hotel.

— Lydia Tanner. — Po długiej chwili kobieta zdejmuje okulary słoneczne i kładzie je na stole. Przeszywa mnie spojrzenie zaskakująco przenikliwych oczu. — Co chce pani wiedzieć?

— Wszystko — odpowiadam z uśmiechem.

Przez ponad godzinę rozmawiamy o historii hotelu. Jak kobieta zbudowała go z mężem po wojnie. Jak trzy razy hotel został praktycznie zniszczony i odbudowany, po czym jej mąż zmarł dwa lata temu. Po ostatnim huraganie kobieta była już zbyt zmęczona, by znów go odbudowywać, wiek też robił swoje. Nie miała do tego serca, a jej dzieci nie interesowało ratowanie budynku.

— Dostawałam różne oferty — mówi mi; głos ma pewny i równy. W żadnym wypadku nie jest to nieśmiała starsza pani, za jaką można by ją wziąć. — Niektóre hojne, inne nie. Niektóre od deweloperów, którzy chcą go zburzyć i postawić jakiś paskudny wieżowiec, inne od ludzi, którzy od lat próbują zniszczyć bulwar i zamienić ulicę w Miami czy coś w tym stylu, zabudować ją betonem i szkłem.

Pogardliwe prychnięcie wyraźnie pokazuje jej uczucia wobec takich projektów.

— To miasto nigdy nie zamieni się w Miami, ma zbyt wiele uroku — zapewniam ją.

— Deweloperom nie zależy na uroku, oni widzą jedynie dolary. — Lydia unosi filiżankę. — Mój jedyny warunek brzmi: ktoś, kto kupi mój hotel, musi zachować jego pierwotny cel. I charakter. Chcę przenieść się bliżej wnuków, spędzić z rodziną czas, który mi pozostał — wzdycha. — Ale nie mogę, po prostu nie mogę wyjechać, nie upewniwszy się, że „Latarnia” jest pod dobrą opieką.

— Mogę to pani obiecać — mówię szczerze. — Zakochałam się w tym miejscu właśnie dzięki jego urowi. Mogę się zobowiązać, że odnowię wszystko tak, by możliwie jak najbardziej przypominało wygląd pierwotny. Zmodernizuję elektrykę i rury, wzmocnię strukturę. Dopilnuję, by przetrwał kolejne pięćdziesiąt lat.

Lydia mierzy mnie wzrokiem, jakby zastanawiając się, czy ma mnie zignorować jako głupią studentkę, która marnuje jej czas.

Mija kilka sekund, po których powoli kiwa głową.

— No dobrze, młoda damo, napisz mi kwotę.

Kwotę? Nie mam zielonego pojęcia o rynku hoteli, więc całkowicie na czuja wpisuję

w notatniku telefonu kwotę. Według moich wyobrażeń tyle mogłaby kosztować tego typu nieruchomości, lecz kwota ta nie wyczyści mi do zera rachunku firmowego.

Przesuwam telefon w jej stronę. Lydia uważnie ogląda ekran, unosi jedną brew jakby zaskoczona, że naprawdę mogę złożyć jej realną ofertę.

Przez kolejne dziesięć minut przerzucamy się kwotami. Muszę się nieco targować. Może i dałam się nieco zmiękczyć zdjęciami jej wnuków, lecz w końcu dochodzimy do porozumienia.

I w ten prosty sposób staję się dumną właścicielką mojego absolutnie własnego hotelu na bulwarze.

Po zawarciu pierwszej udanej umowy biznesowej unoszę się nad ziemią, w żyłach krąży mi, szumiąc, krew. Co to za emocje. Ale czy nie oszalałam? Mam dwadzieścia lat, właśnie kupiłam hotel. Może wydaje się to szaleństwem, ale też mam wrażenie, że postąpiłam całkowicie słusznie. Mój mózg natychmiast wybiega kilka kroków do przodu. Momentalnie widzę przyszłość, widzę, jak rozrasta się moje imperium. Obiecałam rodzicom, że skupię się na nauce, i wciąż taki mam plan — lecz jednocześnie będę się skupiać na mojej nowej roli właścicielki hotelu. Mogę pogodzić jedno i drugie.

Chyba.

Miejmy nadzieję.

Nawet kiedy już podamy sobie z Lydią ręce, a ja dzwonię do mojego prawnika, żeby zabrał się do przygotowania papierów, wciąż jeszcze nie czuję, że to się stało, dopóki nie namówię Prestona, by przyjechał obejrzeć hotel następnego dnia.

Jednak Preston nie podziela mojego entuzjazmu, wręcz przeciwnie, przekłująca balonik szczęścia.

— Co to? — Z nachmurzoną miną spogląda na wybebeszony hotel o poniszczonych ścianach i wyglądających z wnętrza, uszkodzonych przez wodę meblach.

— Mój nowy hotel.

Preston przechyla głowę i patrzy na mnie zmrużonymi oczami, jakby mówił: „Wytłumacz się”.

— Wiem, że teraz wygląda kiepsko. Musisz wyobrazić go sobie po remoncie generalnym. — Niemal kulę się na ton desperacji, który słyszę we własnym głosie. — Chcę całkowicie go odnowić, w starym stylu. Odtworzyć cały luksus powojenny. Zamienię go w pięciogwiazdkowy kurort.

— Nie mówisz poważnie. — Jego twarz nieruchomieje, usta zaciskają się twardo. Nie takiej reakcji się spodziewałam.

— No dobrze, rozumiem, nie znam się na hotelach, lecz przecież się nauczę. O tworzeniu strony internetowej i prowadzeniu firmy też niczego nie wiedziałam, ale

przecież mnie to nie powstrzymało, prawda? Może zmienię sobie kierunek studiów na hotelarstwo albo coś w tym stylu.

Preston nie odpowiada.

Każda sekunda milczenia powoli wysysa ze mnie coraz więcej radości.

— Preston, co się dzieje? — pytam słabo.

Preston kręci głową i rozkłada rękę.

— Naprawdę nic nie rozumiem, Mackenzie. To z pewnością najbardziej nieodpowiedzialna, niedojrzała rzecz, jaką zrobiłaś.

— Co takiego?

— Słyszałaś.

Mówi jak mój ojciec, co bynajmniej mnie nie cieszy. Owszem, nie przemyślałam transakcji, poszłam w nią z rozpędu, gdyż często działam pod wpływem instynktu. Jednak sądziłam, że Preston ucieszy się choćby ze względu na mnie.

— Szczerze mówiąc, bardzo mnie rozczarowałaś. Myślałam, że po naszej rozmowie... po twoim drobnym błędzie... mamy ten sam cel. Ten sam plan. Naszą przyszłość.

— Preston, to nieuczciwe. — Rzucanie mi w twarz wspomnienia tego pocałunku to cios poniżej pasa. Obie te rzeczy nie mają ze sobą nic wspólnego.

Nie zwracając na mnie uwagi, Preston kończy:

— Ten plan nie obejmuje hotelu. — Wykrzywia usta w pełnym potępienia grymasie.

— Nie widzisz tu potencjału? Ani trochę? — pytam zgnębiona.

— Potencjału? Przyjrzyj mu się. To ruina. W najlepszym razie można go rozebrać. Może dostaniesz coś za działkę, ale remont? Oszalałaś. Nie masz bladego pojęcia o tym, jak się do tego zabrać. Czy zastanowiłaś się chociaż przez dwie sekundy, zanim zmarnowałaś swój fundusz powierniczy na tak głupią rozrywkę?

Przeszywa mnie dreszcz oburzenia.

— Jestem zdolniejsza, niż ci się wydaje. I nie wydałam pieniędzy z funduszu. Jeśli chcesz wiedzieć, mam gotówkę.

— Skąd? — pyta Preston.

Unoszę brodę.

— Z moich stron internetowych.

Pres robi zdumioną minę.

— Z tej śmiesznej firemki technologicznej?

Teraz już mnie wkurza. Czuję, jak fala gorąca wylewa mi się na twarz, wbijam paznokcie w dłonie.

— Tak, z tej śmiesznej firemki technologicznej — powtarzam z goryczą.

Nigdy nie opowiadałam mu dokładnie, ile zarabiam na moich stronach, a on nigdy

nie interesował się szczegółami, jedynie z nich żartował. Myślałam, że to typowo męskie podejście — niegroźne kpinki. Czasami, kiedy zastawał mnie przy pracy nad *WpadkamiChłopaka*, mówił, że słodko wyglądam z tak wielką koncentracją na twarzy. Uśmiechał się i nazywał mnie swoją „seksowną rekiną biznesu”. Myślałam, że jest ze mnie dumny, że jest dumny z pracy, którą wkładam w moje przedsięwzięcie.

Dopiero w tej chwili uświadamiam sobie, że nie uśmiechał się z dumą. Nie widział we mnie kobiety biznesu.

On się ze mnie śmiał.

— To miało być twoje hobby — mówi Preston bez ogródek. — Gdybym wiedział, że na nim zarabiasz, to bym...

— Co byś zrobił? — rzucam wyzywająco. — Zmusiłbyś mnie, żebym z nimi skończyła?

— Pokierowałbym cię we właściwą stronę — poprawia Preston. Jego protekcyjny ton sprawia, że krew zaczyna we mnie wrzeć. — Mówiliśmy o tym. Wielokrotnie. Razem pójdziemy na studia. W tym czasie ty będziesz się zajmować tym, co zechcesz. Ja kończę pierwszy, przejmuję bank taty. Ty kończysz studia, wchodzisz do rad fundacji twojej mamy. — Kręci nade mną głową. — Uzgodniliśmy, że ja będę zarabiał na nas dwoje, a ty skupisz się na pracy charytatywnej i opiece nad rodziną.

Szczęka mi opada. O mój Boże. Zawsze dotąd opowiadał o tym głosem kpiącym, brzmiało to jak żart.

Czy on faktycznie mówił poważnie?

— Wycofasz się z tej transakcji. — Stanowczość tego rozkazu sprawia, że coś we mnie pęka. — Masz szczęście, że tu jestem i mogę cię powstrzymać, zanim dowiedzą się twoi rodzice. Nie wiem, co ostatnio w ciebie wstąpiło, Mackenzie, ale musisz wziąć się w garść.

Wbijam w niego wzrok oszołomiona. W życiu bym nie przypuszczała, że tak gwałtownie sprzeciwi się mojemu pomysłowi. Spodziewałam się, że przynajmniej — absolutne minimum! — przynajmniej mnie poprze. To, że tak nie postąpił, wprawia mnie w oszołomienie.

Skoro do tego stopnia go nie znałam, jakie inne rzeczy rozumiałam na opak?

19. Cooper

— Procenty się skończyły.

Przewracam oczami; Evan leży na kanapie w salonie, z jednym ramieniem przerzuconym przez krawędź. Ława, którą zbiłem w zeszły weekend, już jest poznaczona plamami po piwie i zaśmiecona petami. Zapewne zeszłego wieczoru, w trakcie kolejnej spontanicznej imprezy Evana, ktoś przewrócił przepelnioną popielniczkę.

— Jest niedzielne południe — mówię do brata. — Nie potrzebujesz procentów. Napij się wody, do cholery.

— Nie twierdzę, że muszę teraz pić. Jednak ktoś musi pojechać po piwo. Jutro urządzamy wieczór pokera.

„Ktoś” oczywiście oznacza mnie, gdyż Evan od razu zamyka oczy i dodaje:

— Weź Daisy, ona lubi jazdę ciężarówką.

Zostawiam go, żeby zaliczył drzemkę dla urody, i gwizdę na psa. Zwykle nie daję bratu rządzić, lecz szczerze mówiąc, czuję się całkowicie wytrącony z równowagi.

Wczoraj nie dołączyłem do popijawy. Większość wieczoru spędziłem w warsztacie, poszedłem spać przed północą, po czym obudziłem się nagle o siódmej rano pod wpływem niepokojącego snu z Mackenzie, zdecydowanie z kategorii „tylko dla dorosłych”. Byłem z nią w łóżku, leżałem na niej, wchodziłem w nią, a ona jęczała z ustami przy moich ustach. Potem podniosłem głowę, a twarz Mac przeobraziła się w tę dziewczynę, Sutton — i to mnie właśnie tak gwałtownie obudziło.

Na Boga, ta dziewczyna naprawdę całkowicie zamąciła mi w głowie. Nieważne, we śnie czy na jawie, myśli o Mackenzie Cabot zatruwają moją świadomość i budzą całą masę emocji, których wolałbym sobie oszczędzić.

Czuję gniew, gdyż Mac wybrała Kincaida, a nie mnie.

Frustrację, gdyż wiem, że między nami narodziło się coś autentycznego.

Poczucie winy, gdyż moje pierwotne intencje były całkowicie nieuczciwe.

Przez ostatnie dwa dni zaś czuję niesmak. Żeby ukryć przed koleżankami naszą znajomość, Mac zmusiła mnie do udawania mojego brata bliźniaka, po czym miała jeszcze czelność wypominać mi, że poderwałem inną. Sutton i ja bynajmniej nie wylądowaliśmy w łóżku — poszliśmy na spacer, potem wsadziłem ją do taksówki. Mimo to jednak Mackenzie nie miała prawa się złościć. To ona najpierw doprowadziła mnie pocałunkami do wrzenia, po czym pożegnała się ze mną.

— Chodź — mamroczę do Daisy. — Kupimy piwo twojemu chłopakowi.

Widząc, jak sięgam po smycz, golden retriever zaczyna radośnie tańczyć u moich nóg. Wychodzimy do ciężarówki. Otwieram drzwi po stronie pasażera, żeby Daisy mogła wskoczyć — właśnie niedawno się tego nauczyła. Przedtem była za mała, teraz jednak wyrosła na tyczkowatą psią nastolatkę o łapach tak długich, że może się wybić do wyższego skoku. Cholernie szybko rośnie.

— Szkoda, że Mac cię nie widzi — mówię do psa, który odwraca się do okna i wygląda na świat z ciekawością i entuzjazmem. Za każdym razem, kiedy wiatr połaskocze ją w nos, wydaje z siebie wysoki pisk. Czerpie radość z najprostszych przyjemności.

W mieście kupuję kilka skrzynek piwa, butelkę tequili i przekąski. Pakuję zakupy do samochodu i w tej chwili słyszę, jak ktoś mnie woła.

Odwracam się — w moim kierunku idzie chodnikiem Tate. W jednej ręce ma okulary, w drugiej klucze i telefon.

— Cześć — witam się z nim. — Jak tam?

— Dobrze. Jeśli chcesz dołączyć, to umówiłem się z Wyattem u Sharkeya na obiad.

— To idę z tobą. — Nie mam absolutnie ochoty jechać do domu i sprzątać bałaganu, jaki zostawił po sobie Evan. — Wezmę tylko Daisy.

— Jasne! — przytakuje Tate na widok głowy psa wyglądającego oknem po stronie pasażera. — Przynieś ten magnes na laski.

Większość barów i restauracji w mieście akceptuje psy, zwłaszcza u Sharkeya, gdzie personel przynosi miski z wodą i przegryzki dla psich gości. Tate i ja wchodzimy po skrzypiących drewnianych schodach na piętro baru, gdzie Daisy zostaje podjęta jak królowa, którą przecież jest.

— A co to? — wykrzykuje kelnerka stojąca obok; w oczach ma czysty zachwyt. — Co za słodziak! Jak ma na imię?

— Daisy — odpowiada za mnie Tate i wyjmuje mi smycz z ręki, jakby był właścicielem szczeniaka. — A ty...?

— Jessica — ćwierka kelnerka. Teraz jej oczy przybierają rozmarzony wyraz, gdyż dziewczyna zauważa Tate'a i jego wygląd złotego aniołka. Gość bez pudła potrafi oszołomić każdą kobietę, którą spotka.

Nie oznacza to, że mnie spojrzenia kobiet omijają. Tyle że ja budzę inne skojarzenia.

Patrząc na Tate'a, kobiety zaczynają marzyć romantycznie o ślubach i dzieciach.

We mnie widzą czysty, nieskrępowany seks. Co prawda myślą się całkowicie. To Tate jest największym puszczalskim w Bay. Jessica jest tu zapewne nowa, inaczej zdawałaby sobie z tego sprawę.

— Zaprowadzę was do stolika — mówi Jessica, po czym ona, Tate i mój pies odchodzą.

Z szerokim uśmiechem ruszam za nimi, w milczeniu zakładając się sam ze sobą, że Tate zdobędzie jej numer, zanim jeszcze weźmiemy karty do ręki.

Przegrywam. Dostaje jej numer dopiero wtedy, kiedy Jessica przynosi nam wodę.

— Dobra robota, partnerko — mówi Tate do Daisy, która siedzi u jego stóp i spogląda na niego z uwielbieniem.

Wyatt nadciąga jakieś dziesięć minut później. Ponieważ nie ma z nim Ren, zakładam, że wciąż jeszcze nie są razem.

— Nie ma Ren? — Tate marszczy czoło. — Nie przyjęła cię jeszcze z powrotem?

— Nie. — Wyatt na powitanie głaszcze Daisy po głowie, po czym pada na stołek naprzeciwko mnie i sięga po kartę, jednak odkłada ją, nie czytając. — I kogo ja nabieram? Wszyscy wiemy, że zamówię kanapkę z rybą.

— Dlaczego Ren tak długo nie chce ci wybaczyć? — pyta Tate, szczerząc zęby. — Na ogół szybko dochodzi między wami do imponującego pojednania.

— Tym razem przeciąga — odpowiada Wyatt z nieszczęśliwą miną. — Wczoraj wyszła z jakimś głupkiem ze swojej siłowni i przysłała mi selfie ich obojga, jak oglądają „Bachelorette”, bo wiedziała, że mnie tym wkurzy.

Unoszę brew.

— Dlaczego miałyby cię tym wkurzyć?

— Bo to nasz ulubiony program, kretynie. Ona mnie zdradza telewizyjnie z facetem, który nosi siatkowy podkoszulek.

Tate prycha śmiechem.

— Bardziej wkurza cię fakt, że Ren ogląda głupie reality show bez ciebie, czy to, że być może posuwa gościa z siłowni?

Wyatt macha ręką.

— Nie posuwa go, to tylko randka z zemsty. Jak wtedy, kiedy umówiłem się z dziewczyną ze szkoły surfingu, bo Ren wyrzuciła wszystkie moje koszulki zespołu i nawet nie zapytała, czy może.

— A nie przeleciałeś w końcu tej dziewczyny od surfingu? — pyta Tate zdezorientowany.

Wyatt wbija w niego spojrzenie.

— To byłeś ty, przychłaście.

Po kilku sekundach zatopiony we wspomnieniach Tate z przekonaniem kiwa głową.

— Fakt, masz rację. — Uśmiecha się szeroko. — To była wariatka! Namówiła mnie do wzięcia viagry, to był mój pierwszy raz. To była długa noc.

Śmiech łapie mnie za gardło.

— Wziąłeś viagrę beze mnie, bracie? — pyta oskarżycielsko Wyatt.

Śmieję się jeszcze mocniej.

— A co, to jakiś sport zespołowy? — pytam Wyatta między atakami śmiechu.

Jessica wraca, przyjmuje nasze zamówienia i bezwstydnie flirtuje z Tate'em.

— Czy ten słodziak lubi spacerować?

Tate puszcza do niej oko.

— Ten słodziak uwielbia spacerować.

— Chodziło mi o psa.

— Mnie też — odpowiada niewinnie Tate.

— Za jakąś godzinę kończę, może przyjdziecie do mnie z Daisy na plażę, kiedy wy skończycie jeść, a ja pracować?

Zanim zdołam przypomnieć Tate'owi, że Daisy to nie jego pies, on już czaruje kelnerkę dołeczkami w policzkach i mówi:

— No to jesteśmy umówieni.

Jessica odchodzi, a ja unoszę oczy do nieba.

— Naprawdę używasz mojego psa, żeby wskoczyć z dziewczyną do łóżka?

— Oczywiście. Mówiłem ci, szczeniaki to magnes na dziewczyny. — Tate odsuwa z czoła kosmyk włosów. — Pożycz mi ją na kilka godzin. Wiesz, że dobrze sobie radzę z psami, w domu mam trzy.

— No dobrze, ale nie będę siedział w mieście tylko ze względu na ciebie. Podrzucić mi ją później do domu. Kolację jada o siedemnastej. Nie spóźnij się, dupku.

Tate szczerzy do mnie zęby.

— Dobrze, tatusiu.

— Myślisz, że jakbym wziął ze sobą Daisy i pojechał do Ren, to miałbym większe szanse, że do mnie wróci? — pyta z namysłem Wyatt.

— Bez wątpienia — odpowiada Tate.

Wyatt gwałtownie odwraca do mnie głowę.

— Mogę ją pożyczyć jutro?

Moi kumple to idioci.

Ale ja też — bo kiedy brzęczy mi telefon, a na wyświetlaczu pojawia się imię Mac, nie robię tego, co byłoby rozsądne, czyli nie ignoruję wiadomości.

Odpowiadam na nią.

20. Mackenzie

Latem po skończeniu liceum wyruszyłam sama w podróż po Europie. To był prezent od rodziców. Właśnie wracałam z Watykanu do Koloseum, kiedy pod wpływem szaleńczego impulsu minęłam mój hotel i poszłam na dworzec kolejowy. Nie wiedziałam, dokąd zmierzam, po prostu kupiłam bilet w pierwszej klasie na kolejny pociąg, który akurat jechał do Florencji. Stamtąd pojechałam do Bolonii. Potem do Mediolanu. Potem przejechałam Szwajcarię, Francję i Hiszpanię. Dwa dni po wyjeździe z Włoch zadzwoniłam do hotelu z prośbą, by przesłali moje bagaże do Barcelony.

Do dzisiaj nie wiem, co wtedy we mnie wstąpiło. Była to nagła, paląca potrzeba wyrwania się na wolność, zagubienia się, zburzenia uporządkowanego życia i udowodnienia sobie, że żyję i panuję nad moim przeznaczeniem. Zmierzam do tego, że nie przypominam sobie, kiedy postanowiłam zadzwonić do Coopera — a jednak pewnego dnia po tym, jak Preston zniszczył moje marzenie o hotelu, dwa tygodnie po naszym z Cooperem pocałunku, kiedy zabrałam mu jakiegokolwiek kontaktu ze mną, oraz piętnaście minut po moim telefonie Cooper stoi obok mnie na bulwarze i wbija wzrok w zniszczoną fasadę „Latarni”.

— Tak go po prostu... kupiłaś? — Speszony przesuwa dłonią po ciemnych włosach.

Momentalnie rozprasza mnie jego opalone przedramię i wyraźnie zarysowany biceps. Cooper ma na sobie czarny T-shirt i dżinsy luźno zwisające na biodrach. Mam wrażenie, jakbym ponownie widziała go po raz pierwszy. Nie zapomniałam, jak reaguję na jego widok, lecz teraz, kiedy moja tolerancja spadła, jego efekt jest jeszcze silniejszy. Serce bije mi szybciej, dłonie są wilgotniejsze, w ustach bardziej zasycha.

— Pozostała robota papierkowa i raport due diligence. Jeśli jednak wszystko pójdzie dobrze...

Jestem teraz mocniej zdenerwowana niż w chwili, kiedy składałam ofertę Lydii i kiedy pokazałam hotel Prestonowi. Nie wiem czemu chcę, żeby Cooper się ucieszył. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tego potrzebuję.

— Możemy się rozejrzeć?

Nie zdradza po sobie niczego — ani nudy, ani dezaprobaty. Ani entuzjazmu. Powitaliśmy się zdawkowo, nie wspomnieliśmy ani słowem o naszych pocałunkach i naszym sporze. Tylko: *Cześć, wiesz, kupuję hotel. Co o tym myślisz?* Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle tu przyjechał.

— Jasne — mówię. — Inspektor stwierdził, że parter wytrzyma, ale jednak nie powinniśmy wchodzić na górę.

Razem obchodzimy nieruchomość, stąpając po rozrzuconych przez huragan meblach i spleśniałych dywanach. Niektóre pokoje od strony wewnętrznej zachowały się w niemal doskonałym stanie, lecz te z widokiem na plażę przypominają ruinę wystawioną na łaskę żywiołów — ściany się zawaliły, a porywy wichru dawno porwały ich zawartość do morza. Kuchnia sprawia wrażenie, jakby dała się uruchomić już jutro. Sala balowa przypomina scenografię do horroru rozgrywającego się na statku widmie. Fasada hotelu od strony ulicy maskuje zniszczenia zewnętrzne, jest wciąż w dobrym stanie, pomijając brakujące dachówki i zasłaniające ją liście.

— Co planujesz z nim zrobić? — pyta Cooper, kiedy zaglądamy za ladę recepcji. Na półce na ścianie obok kluczy do pokoi leży staroświecka księga gości z nazwą „Latarnia” wytłoczoną złotymi literami. Niektóre klucze pospadały, inne wciąż wiszą na haczykach.

— Poprzednia właścicielka ma tylko jedno życzenie: żeby go nie burzyć i nie stawiać brzydkiego wieżowca.

— Często przyjeżdżałem tu za dzieciaka. Z Evanem wskakiwaliśmy do basenu i przesiadywaliśmy w kabinach na plaży, aż nas stamtąd przeganiaли. Steph pracowała tu latem przez liceum. Pamiętam wszystkie te drewniane meble i mosiężne okucia.

— Chcę go całkowicie odrestaurować — mówię. — Ocalić, ile się da, resztę uzupełnić antykami.

Cooper gwizdże cicho.

— To będzie kosztować: meble z drewna wiśniowego, repliki na zamówienie... ręcznie robione lampy. Kamienne płytki na podłodze i blatach; to nie masówka, tylko krótkie serie.

Kiwam głową.

— Wiem już, że elektryka jest do wymiany. Trzeba zerwać wszystkie tynki.

— Ale ja to widzę. — Cooper niespiesznie idzie przez korytarz do paradnej klatki schodowej; gładzi ręką misternie rzeźbioną poręcz. — Porządny remont i pieniądze... To miejsce ma potencjał.

— Naprawdę?

— O tak. Aż się w nim gotuje.

— Wiem, że brzmi to głupio — odzywam się, siadając u stóp schodów — lecz kiedy po raz pierwszy ujrzałam ten hotel, w mojej głowie pojawił się obraz gości siedzących na werandzie w bujanych fotelach. Popijają wino i wpatrują się w morskie fale. Zobaczyłam to bardzo wyraźnie.

— To nie jest głupie. — Cooper siada obok mnie.

Nie czuję napływającej od niego wrogości; moglibyśmy znów być przyjaciółmi — lecz kolejny raz czuję tę nieprzewycięzoną chęć, by przesunąć mu palcami po włosach.

— Kiedy biorę na warsztat drewno wyrzucone na plażę, nie planuję, co z niego będzie. Siadam przy nim. Czekam, aż samo się wyrazi. Ono praktycznie buduje się w moim umyśle, a ja idę za jego wskazówkami.

Zagryzam wargi.

— Rodzicom się to nie spodoba.

Ostatnio ojciec z byle powodu traci cierpliwość. To głównie stres związany z pracą, lecz wydaje się, jakby toczył z czymś nieustanną bitwę. Zapewne po nim mam ducha walki. Problem w tym, że kiedy bitwa idzie nie po jego myśli, jego frustracja objawia się tym, że ojciec głośno wyraża swoje rozczarowanie mną.

— A kogo to obchodzi? — parska Cooper.

— Łatwo ci mówić.

— Poważnie. Od kiedy przejmujesz się tym, co mówią inni?

— Nie rozumiesz, jak trudno się od nich uwolnić. Kontrolują praktycznie wszystkie sfery mojego życia.

— Bo im na to pozwalasz.

— Nie, ale...

— Słuchaj. Odkąd cię poznałem, przez cały czas jesteś głównie upartym, przemądrzałym wrzodem na dupie.

Ze śmiechem przyznaję przed sobą, że większość naszych rozmów przekształcała się w spory, z których nie było wyjścia.

— Nie moja wina, że zawsze się mylisz.

— Uważaj, Cabot — odpowiada Cooper z żartobliwie groźnym spojrzeniem. — Ale serio... panujesz nad swoim życiem lepiej niż większość ludzi, których znam. Do diabła z niezadowoleniem rodziców. Rób swoje.

— Nie znasz ich.

— Nie muszę ich znać. Znam ciebie. — Cooper odwraca się do mnie i mierzy poważnym spojrzeniem. — Mac, jesteś siłą, z którą trzeba się liczyć. Nie dajesz sobą rządzić, potrafisz ustawić innych. Nie zapominaj o tym.

Cholera. Niech to ciężki szlag.

— Dlaczego musisz to robić? — mamroczę, podnosząc się na nogi. Nie potrafię zapanować nad mięśniami. Muszę się ruszyć, zaczerpnąć powietrza.

— Co robić? — Cooper też wstaje i idzie za mną, kiedy zaczynam chodzić po pomieszczeniu.

— Być takim... — Nieskładnie wskazuję dłonią w jego stronę. — No takim.

— Pogubiłem się.

Łatwiej mi, kiedy zachowuje się jak palant: flirtuje i robi z siebie twardziela. Albo spiera się ze mną i przeżywa księżniczką. Łatwiej go wtedy zlekceważyć jako kolejnego zbyt pewnego siebie przystojniaka, którego nie ma co brać poważnie. Po czym nagle Cooper staje się słodki, życzliwy i mąci mi w głowie. A moje serce, kopiąc i wrzeszcząc, wrywa się do niego.

— Nie bądź dla mnie miły — wyrzucam z siebie z frustracją. — To mi miesza w głowie.

— No tak, wiem, mnie też zmąciłaś, kiedy przejechałaś mi paznokciami po plecach, ale okej, przecież nie protestowałem.

— I dobrze — odpowiadam, odwracając się do niego. — Właśnie tak. Z tym sobie radzę. Lepiej mi, kiedy jesteś palantem.

— Więc o to chodzi? Boisz się zaangażować, bo nie możesz wciąż się okłamywać co do nas?

— Nie ma „nas” — odpalam natychmiast. — Tylko się pocałowaliśmy. To nic wielkiego.

— Dwa razy, księżniczko.

— I poszło nam tak dobrze, że przez dwa tygodnie nie rozmawialiśmy.

— Hej, to ty zadzwoniłaś. — Cooper wbija we mnie wyzywający wzrok. Rzuca wyzwanie.

— Widzę teraz, że to był błąd.

Zgrzytając zębami, maszeruję przed siebie z oczami utkwionymi w łuku drzwi wyjściowych. To jednak wymaga przejścia obok Coopera, który łapie mnie za nadgarstek, zanim zdążę go minąć.

W mgnieniu oka znajduję się w jego ramionach, przyciśnięta mocno do jego piersi. Czuję dokładnie każdy cal jego ciepłego, silnego ciała przytulonego do mnie. Zapada cisza; Cooper pochyla głowę i spogląda na mnie. Zapiera mi dech. Zapominam, kim byłam, zanim się poznaliśmy. W tej bańce, w tej ciszy, w której nikt nas nie znajdzie, możemy być całkowicie sobą.

— Więc... — szepczę, czekając, aż on coś powie. Cokolwiek. Oczekiwanie mnie dobija, a on chyba o tym wie.

— Możesz odejść w każdej chwili — mówi ochryple Cooper.

— Wiem. — Jednak moje stopy nie chcą się ruszyć. Serce wybija mi werbel o żebra. Duszę się, lecz pragnę jedynie zapaść głębiej w jego ramiona.

Przechodzi mnie dreszcz, kiedy jego kciuk lekko gładzi mnie z boku przez cienki

materiał luźnej białej koszulki. Potem dotyk nabiera siły — mocne palce zaciskają się na moim biodrze, kolana uginają się pode mną. W jego ramionach rozpływam się całkowicie, zamieniam w dym.

— Co my wyprawiamy, Mac? — Jego głębokie, ciemne oczy przeszywają mnie na wskroś.

— Myślałam, że wiesz.

Jego usta łapczywie przylegają do moich, palce wbijają się w moje biodra, a moje wsuwają w jego włosy i przyciągają go do mnie. To pocałunek pełen pragnienia i desperacji. Jego język dotyka moich warg, szukając wejścia do ust, a ja z cichym jękiem daję mu to, czego chce. Nasze języki spotykają się, omal znów nie osuwam się na ziemię.

— Nie bój się, trzymam cię — szepcze i zanim się zorientuję, co się dzieje, już mnie unosi, a ja oplątam go nogami.

Cooper prowadzi nas do tyłu, w końcu opiera o wystający fragment betonowej ściany. Czuję jego twardość na sobie. Nie potrafię zwalczyć fali pożądania, każącego mi ocierać się o niego w poszukiwaniu kontaktu, który wreszcie rozluźni napięcie stłumionej tęsknoty, gromadzącej się we mnie od tygodni. Nie jestem sobą. Nie jestem typem dziewczyny, która traci głowę dla chłopaka, która wczesnym popołudniem wikła się w seksualne rozrywki niemal na oczach ludzi. A jednak to właśnie robimy — usta nie chcą się oderwać od siebie, ciała szukają bliskości.

— Cholera — jęczy Cooper; jego dłonie wsuwają się pod moją koszulkę, zgrubiałe palce wślizgują się pod stanik.

W chwili, kiedy dotyka moich sutków, nagle jakby ktoś odsunął zasłony w całkowicie ciemnym pokoju; zalewa mnie oślepiające światło słońca.

— Nie mogę — szepczę z ustami przy jego ustach.

Cooper natychmiast się odsuwa i stawia mnie na nogi.

— Co się dzieje?

Wargi ma obrzmiałe i wilgotne, włosy rozwichrzzone. Próbując uspokoić oddech, czuję, jak przez myśli przebiegają mi rozliczne fantazje. Jestem w stanie ustać tylko dzięki ścianie za plecami.

— Wciąż mam chłopaka — mówię przeprasząco, bo chociaż w tej chwili może i nie czuję się szczęśliwa z Prestonem, to jednak nie zerwaliśmy ze sobą oficjalnie.

— Mówisz poważnie? — Cooper odsuwa się gwałtownie, po czym odwraca się i wbija we mnie niedowierzający wzrok. — Obudź się, Mackenzie! — Unosi rękę. — Jesteś inteligentna, jak możesz być tak ślepa?

Nie rozumiejąc, marszczę brwi.

— Co to ma znaczyć?

— Twój chłopak cię zdradza — wyrzuca z siebie Cooper.

— Co?

— Popytałem ludzi. Od dwóch lat wszyscy w mieście widzą, jak ten palant posuwa wszystko, co się rusza.

Krzywię się gniewnie.

— Kłamiesz.

Jeśli wydaje mu się, że dam się nabrać na taki oczywisty podstęp, to wybrał niewłaściwą dziewczynę. Mówi to tylko dlatego, że chce się do mnie dobrać, chce, żebym się wściekła na Prestona i uległa niezaprzeczalnej chemii, która jest między nami. Przecież Cooper nawet go nie zna. Gdyby go znał, wiedziałby, że Pres w życiu nie uganiałby się za przypadkowymi podrywkami.

— Chciałabyś, żebym kłamał. — Cooper podchodzi do mnie wyraźnie wzburzony. Nie jestem pewna, które z nas jest teraz bardziej wkurzone. — Obudź się, księżniczko. Twój księżę na białym koniu zaliczył więcej dup niż stołek w barze.

Coś mnie zalewa.

Ślepa, rozpalona furia.

Uderzam go w twarz. Mocno. Tak mocno, że ręka mnie piecze.

Plaśnięcie odbija się echem w pustym hotelu.

W pierwszej chwili Cooper tylko wbija we mnie wzrok. Wstrząśnięty. Rozgniewany.

Potem z jego gardła wydobywa się niski, drwiący śmiech.

— Wiesz co, Mac? Możesz mi nie wierzyć. — Znów się śmieje; brzmi to jak chrapliwe, złowieszcze ostrzeżenie. — Nieważne. To i tak ja będę się z boku przyglądał, kiedy wreszcie dopadnie cię rzeczywistość.

21. Mackenzie

Oskarżenie Coopera pod adresem Prestona gnębi mnie przez kolejną dobę. Zasnuwa cieniem moje myśli, zatruwa umysł. Na poniedziałkowych zajęciach w ogóle nie uważam, tylko wciąż obracam w głowie słowa Coopera, przerzucając się między gniewem, niepokojem a wątpliwościami.

Od dwóch lat wszyscy w mieście widzą, jak ten palant posuwa wszystko, co się rusza.

Obudź się, księżniczko. Twój książę na białym koniu zaliczył więcej dup niż stołek w barze.

Czy mówił prawdę? Nie mam powodu, by mu wierzyć. Mógł rzucać te oskarżenia bez pokrycia tylko po to, żeby mnie wytrącić z równowagi. To mu akurat dobrze idzie.

Tylko po co miałby kłamać? Nawet gdybym rzuciła Prestona, to nie po to, by od razu rzucić się na Coopera.

Na pewno?

Kiedy wczoraj po naszej kłótni wróciłam do domu, musiałam się zmusić, by nie zadzwonić do Prestona i wywalić mu wszystkiego w oczy; nie zadać pytań i zażądać odpowiedzi. Wciąż jestem na niego wściekła za reakcję na mój hotel. Wkurzona, bo zdałam sobie sprawę, że on nie bierze mnie poważnie jako kobiety interesu, za to przyszłość, jaką przede mną roztoczył, odbiera mi wszelką możliwość działania.

Jeszcze zanim Cooper wysunął te oskarżenia, miałam mnóstwo powodów, by kwestionować mój związek z Prestonem. Teraz już do reszty się pogubiłam. Mózg mi się topi, wewnątrz skręcam się w supeł.

Wychodzę z wykładu ze spuszczoną głową, nie zatrzymuję się na pogawędki z ludźmi z grupy. Na dworze wdycham świeże powietrze, teraz rześkie i nieco chłodniejsze, gdyż po przedłużonym lecie wreszcie zaczyna się jesień.

W płóciennej torbie na ramię odzywa się brzęczyk telefonu. Sięgam po niego — to SMS od Bonnie z pytaniem, czy mam ochotę iść z nią na obiad. Moja współlokatorka ma niesamowitą zdolność czytania mi w myślach, więc odpisuję, że mam naukę, po czym znajduję pustą ławkę na podwórzu i wyjmuję laptop.

Potrzebuję zajęcia, ucieczki od chaosu rozbieganych myśli. Takie wytchnienie daje mi układanie planów dla hotelu.

Przez kilka kolejnych godzin przeczesuję internet w poszukiwaniu wykonawców, których potrzebuję do rozpoczęcia remontu. Sporządzam listę firm, kontaktuję się z nimi,

proszę o przyjazd na miejsce, żeby mogli mi przygotować konkretną ofertę ceny, jaką będzie kosztowało doprowadzenie budynku do świetności. Przeszukuję miejscowe przepisy i zasady dotyczące budów i pozwoleń. Oglądam kilka filmików o instalacjach wodno-kanalizacyjnych w lokalach usługowych. Czytam o najnowszych konstrukcjach odpornych na huragany i cenach ubezpieczeń.

Dużo tego.

Matka dzwoni w chwili, kiedy wsuwam laptop z powrotem do torby i wstaję, żeby rozprostować nogi. Trzy godziny na ławce z kutego żelaza nie pomogło mi na mięśnie.

— Cześć, mammo — witam ją.

Nie bawiąc się w uprzejmości, mama od razu przechodzi do rzeczy:

— Mackenzie, twój tata i ja chcielibyśmy zabrać ciebie i Prestona na kolację, dzisiaj wieczorem, pasuje ci dziewiętnasta?

Zaciskam zęby. Jej przekonanie, że ma prawo mną rozporządzać, naprawdę potwornie mnie irytuje. Mówi tak, jakbym miała jakiś wybór, chociaż obie wiemy, że tak nie jest.

— Nie wiem, czy Preston jest wolny — mówię spięta. Unikam go od dwóch dni, odkąd tak brutalnie potraktował moje marzenia, a mnie uznał za nieodpowiedzialną i niedojrzałą.

Wspomnienie jego szorstkich słów i protekcyjnego głosu na nowo budzi mój gniew. Nie. W żadnym wypadku nie zabiorę go na kolację, ryzykowałabym gwałtowną awanturę, i to przy rodzicach. Jednemu chłopakowi już dałam w twarz. Może nie powiększajmy tej liczby.

Jednak matka niweczy moje plany.

— Ojciec już rozmawiał z Prestonem, chętnie do nas dołączy.

Wstrząśnięta otwieram usta. Serio? Umówili się z moim chłopakiem, nie dzwoniąc do mnie, własnej córki?

Mama nie daje mi czasu na sprzeciw.

— Do zobaczenia o siódmej, kochanie.

Rozłącza się, a ja natychmiast się mobilizuję i dzwonię do Prestona. Odbiera po pierwszym sygnale.

— Hej, kotku.

„Hej, kotku”? Mówi poważnie? Od sobotniego popołudnia nie odbieram jego telefonów i nie odpisuję na wiadomości. W niedzielę rano, kiedy zagroził, że przyjedzie do mnie do akademika, odpisałam, że potrzebuję chwili oddechu i zadzwonię, kiedy będę gotowa.

A teraz nazywa mnie kotkiem?

Czy on sobie zdaje sprawę, jak jestem wściekła?

— Cieszę się, że wreszcie zadzwoniłaś. — Skrucza słyszalna w jego głosie potwierdza, że zdaje sobie sprawę z mojego nastroju. — Wiem, że przeżyłaś naszą różnicę zdań, więc próbowałem dać ci trochę spokoju, jak prosiłaś.

— Czyżby? — pytam z goryczą. — I dlatego umówiłaś się na kolację z moimi rodzicami, nawet mnie nie pytając?

— A odebrałaabyś, gdybym zadzwonił? — odpowiada pytaniem Preston.

Słuszna uwaga.

— Poza tym właśnie przed chwilą skończyłem rozmawiać z twoim tatą. Zadzwoniłaś, jeszcze zanim zdążyłem wybrać twój numer.

— W porządku. Nieważne. Ale, Preston, nie chcę się z nimi dzisiaj spotykać. Po tym, co zaszło w sobotę, muszę ochłonać.

— Wiem. — Nuta żalu w jego głosie wydaje się szczerą. — Źle zareagowałem, przyznaję. Ale musisz zrozumieć, wzięłaś mnie całkowicie z zaskoczenia. W życiu bym się nie spodziewał, że ni stąd, ni zowąd oznajmisz mi, że kupiłaś hotel. Musiałem to przetrwać, Mac.

— Rozumiem. Ale potraktowałaś mnie jak niegrzeczne dziecko. Zdajesz sobie w ogóle sprawę, jak upokarzające... — przerywam i dla uspokojenia wciągam powietrze. — Nie, nie chcę tego znów przerabiać. Musimy porozmawiać, ale nie teraz. I nie mogę iść na tę kolację. Naprawdę nie mogę.

Zapada krótka chwila ciszy.

— Mackenzie, wiemy oboje, że nie sprzeciwisz się rodzicom.

Tak.

Tu mnie ma.

— Przyjedź po mnie za kwadrans siódma — mamroczę.

W Tally Hall prasuję odpowiednią sukienkę, której mama nie skrytykuje od razu spojrzeniem, i przygotowuję się do wyjścia. Wybieram granatową z dekoltem w łódkę, która jest raczej trochę zbyt wyzywająca na to, by nazwać ją skromną — to mój milczący protest przeciwko psuciu mi wieczoru. Preston, który przychodzi po mnie do akademika, od razu proponuje, żebym narzuciła sweter.

Siedzę w milczeniu przez całą drogę do ekskluzywnej nowej restauracji ze stekami niedaleko kampusu. Prestonowi starcza inteligencji, by nie zmuszać mnie do konwersacji.

W lokalu dostajemy osobną salę — asystentka ojca zadzwoniła wcześniej. Po drodze tata jak zwykle szczerzy się do wyborców i ściska im ręce, potem pozuje do zdjęcia z kierownikiem — wkrótce zawiśnie ono na ścianie, a jutro pojawi się w miejscowej

gazecie. Przy moim ojcu nawet kolacja staje się wydarzeniem, gdyż jego rozdęte ego nie pozwala mu na anonimowe zjedzenie kolacji na mieście w gronie rodzinnym.

Przez ten czas matka stoi obok z rękami uprzejmie złożonymi przed sobą i sztucznym uśmiechem przylepionym na twarzy. Nie wiem, czy wciąż tak bardzo się jej to podoba, czy po botoksie przestała już czuć cokolwiek.

Preston stojący obok mnie przygląda się oczami lśniącymi wielką nadzieją.

Przy aperitifach i przystawkach ojciec wciąż gada o jakiejś nowej ustawie budżetowej. Nie potrafię zdobyć się nawet na udawanie zainteresowania; grzebię widelcem w sałatce z buraków. Preston rozmawia z gorliwością, która nie wiem dlaczego wyjątkowo mnie dzisiaj irytuje. Zawsze doceniałam tę jego umiejętność zagadywania rodziców, bo w ten sposób zdejmował ze mnie częściowo ciężar podtrzymywania konwersacji. Rodzice go uwielbiają, więc dzięki jego obecności zapewniam sobie ich dobry humor. Jednak w tej chwili Preston okropnie mnie drażni.

Przez moment się zastanawiam, czy nie zebrać się na odwagę i nie zastrzelić rodziców nowiną. *Nigdy nie zgadniecie, co zrobiłam. Kupiłam hotel!* Jednak kiedy mama zaczyna mówić, że nie może się doczekać, kiedy zaangażuję się w jej organizacje charytatywne, nabieram przekonania, że zareagowaliby nie lepiej niż Preston.

— Miałem nadzieję, że pozwolą mi państwo zabrać Mackenzie latem do Europy — odzywa się Preston, kiedy przynoszą nam danie główne. — Tata w końcu ugiął się pod presją i zgodził się zabrać mamę na poszukiwanie nowego domu letniego. Bierzemy jacht i przepłyniemy od Hiszpanii do Grecji.

To dla mnie nowość. Jestem niemal pewna, że ostatnio nie rozmawialiśmy o moich planach na lato, a gdybyśmy nawet o nich rozmawiali, to było przedtem, zanim wyłoniła się konieczność remontu hotelu. Preston doskonale wie, że latem nie mogę wyjechać z Avalon Bay.

A może jest pewny, że potrafi przekonać swoją niedojrzałą, nieodpowiedzialną dziewczynę, która stanowi dobry materiał na żonę, by jednak wycofała się z tej transakcji.

Czuję gorycz w gardle. Przełykam ją razem z kęsem soli przyprawionej cytryną i czosnkiem.

— To doskonały pomysł — mówi mama z ledwo dostrzegalną nutą irytacji w głosie.

Jedną z wielkich wad kariery męża, nad którą ubolewa — chociaż naprawdę podoba jej się bycie żoną kongresmena — jest zmuszenie jej do ubóstwa w postaci tylko dwóch domów letnich, podczas gdy wszystkie jej przyjaciółki przemieszczają się między domkami w Zermatt a willami na Majorce. Jak twierdzi tata, niedobrze byłoby kłuć oczy podatników swoim bogactwem, nawet jeśli większa część pieniędzy rodzinnych to spadek i zyski z korporacji, z której ojciec zrezygnował, kiedy objął urząd, mimo że nadal

zasiada w zarządzie. Jednak kiedy przyciąga się uwagę wyborców, zaczynają się pytania, a tego tata nie znosi.

— Ona naprawdę musi wiele przy nim znieść — żartuje Preston, uśmiechając się do mamy. — Tak jak ta tutaj — wskazuje mnie głową, a pod stołem znajduje moją dłoń i ściska ją.

Wyrywam mu swoją rękę i sięgam nią po szklankę z wodą.

Cierpliwość już mi się praktycznie wyczerpała. Kiedyś bez problemu potrafiłam się wyłączyć z tych rozmów; ignorowałam je jako nieszkodliwe przekomarzanie, żeby sprawić przyjemność rodzicom. Dopóki Preston ich zabawiał i wszyscy się dogadywali, moje życie było znacznie łatwiejsze. Teraz jednak najwyraźniej nie wystarcza mi już to, co jest.

— A co zamierzasz zrobić po dyplomie? — pyta tata Prestona. Do mnie ledwie się dzisiaj odezwał, jakbym stanowiła tylko powód, żeby mogli zobaczyć swoje prawdziwe dziecko.

— Ojciec chciałby mnie zatrudnić w centrali banku w Atlancie.

— To spora zmiana tempa pracy — ocenia tata, krojąc swój krwisty stek.

— Bardzo się cieszę na nowe wyzwania. Mam zamiar poznać naszą firmę od samego dołu, od przyjmowania poczty do przejęć i fuzji.

— Jak też poznać proces legislacyjny — dodaje ojciec. — Powinniśmy coś zorganizować w przyszłym semestrze, zaprosić cię do Kapitolu. Komisja ma pracować nad ważnymi ustawami, obecność na czytaniach projektów będzie dla ciebie bezcennym doświadczeniem. Zobaczysz to wszystko od kuchni.

— To doskonała propozycja! — Preston rozjaśnia się cały. — Byłbym bardzo wdzięczny, proszę pana.

Mnie ojciec nigdy w życiu nie zaproponował wyjazdu do Waszyngtonu, do jego biura, żebym zobaczyła, co robi. Byłam na Kapitolu jeden jedyny raz na sesji fotograficznej. Kiedy ojciec składał przysięgę, wprowadzono mnie do pokoju z rodzinami innych świeżo wybranych kongresmenów, ustawiono do zdjęcia i szybko wypchnięto za drzwi. Razem z innymi niesfornymi dzieciakami polityków biegaliśmy po barach i klubach budynku, aż synalek jakiegoś senatora zaczął się szarpać z bachorem dyplomaty, co przekształciło się w konfrontację między służbami specjalnymi a międzynarodowymi siłami bezpieczeństwa.

— Szkoda, że spędzicie w Garnecie tylko rok i znów będziecie musieli się rozdzielić. Wiem jednak, że dacie radę — wtrąca mama.

— Właściwie — odpowiada Preston — Mackenzie dołączy do mnie w Atlancie.

Czyżby?

— Garnet oferuje pełen program nauki zdalnej, będzie mogła skończyć studia, nie zmieniając uczelni — ciągnie Preston. — Jeśli będzie musiała tu przyjechać, to tylko krótki lot z Atlanty.

Co do cholery?

Wytrzeszczam oczy na Prestona, ale on albo nie zauważa, albo się tym nie przejmuje. Moi rodzice również nie widzą, że coraz gorzej to znoszę.

— To doskonały pomysł — mówi tata do Prestona.

Mama przyświadcza, kiwając głową.

Po co tu w ogóle siedzę, skoro moje uczestnictwo w rozmowie i moje życie właściwie wcale się nie liczą? Jestem czymś niewiele więcej niż ozdobą, meblem, który przestawia się między pokojami. To moi rodzice. Mój chłopak. Ludzie, którzy rzekomo troszczą się o mnie najbardziej ze wszystkich.

A jednak czuję się niewidzialna — i to nie po raz pierwszy.

Podczas gdy oni gawędzą sobie przy drugim daniu całkowicie niepomni mojego kryzysu egzystencjalnego, ja nagle widzę rozciągające się przede mną kolejne pięć, dziesięć, dwadzieścia lat życia.

Nie tyle przyszłość, ile groźba.

Nie możliwości, lecz więzienie.

Wtedy jednak uderza mnie pewna myśl. Nie jestem już dzieckiem. Nie muszę tu być. Właściwie kompletnie nic nie trzyma mnie na tym krześle. Przypomina mi się obiad ze znajomymi Prestona, dziewczyny, które całkowicie akceptowały rzekome wycieczki Seba w stronę ubocznego fellatio. I potem, kiedy Preston z taką łatwością wybaczył mi moje potknięcie. Wskazówki zaczynają się układać, a ja widzę wszystko wyraźnie.

Cholernie wyraźnie.

Odsuwam talerz, rzucam serwetkę na stół i odsuwam krzesło.

Matka patrzy na mnie, lekko marszcząc brwi.

— Przepraszam — rzucam w przestrzeń. — Muszę iść.

Bez sekundy wahania rzucam się do drzwi, zanim ktokolwiek zdąży zaprotestować. Przed restauracją próbuję się ukryć w krzakach niedaleko postoju i pośpiesznie dzwonię po taksówkę, lecz moja kryjówka jest kiepska i Preston zauważa mnie natychmiast po wyjściu z budynku.

— Co to było, do jasnej cholery? — pyta.

Powoli wciągam powietrze.

— Nie chcę się z tobą kłócić. Wracaj do środka, Pres. Ja mam dość.

— Nie podnoś głosu — ucisza mnie, chwyta za łokieć i ciągnie za róg, poza zasięg głosu, jakbym była dzieckiem, a on mnie karcił. — Do diabła, co w ciebie wstąpiło?

Wyrywam łokieć z jego uścisku.

— Już dłużej nie mogę. Ty, oni, to wszystko... mam tego powyżej uszu, apatia mnie rozwała. To... tam... absolutnie ostatni raz wpieprzyłam się w coś takiego.

— Do reszty ci odbiło? — Preston wbija we mnie rozogniony wzrok. — Bo tak to wygląda. Sceny, ten idiotyzm z hotelem... to stres. Dopadł cię stres pierwszego roku. Zaczynasz się uginać pod presją. Kiwa głową. — Rozumiem. Zorganizujemy ci pomoc, wyślemy cię do spa czy gdzieś. Na pewno da się dogadać z dziekanem, żebyś skończyła semestr...

— Spa? — Nie mogę się powstrzymać, wybucham mu śmiechem w twarz. W tej chwili widzę, że on chyba kompletnie nie ma pojęcia, kim jestem.

Preston mruży oczy na mój szyderczy śmiech.

— To nie stres. To jasność. — Wesołość mi przechodzi, patrzę mu prosto w oczy. — Preston, zdradzasz mnie.

Preston marszczy brwi.

— Kto ci to powiedział?

To jego odpowiedź? Jeśli wcześniej wątpiałam, czy to prawda, teraz pozbywam się wątpliwości. Facet nawet nie potrafi zdobyć się na to, by zaprzeczyć?

— Twierdzisz, że to kłamstwo? — rzucam wyzywająco. — Że nie jesteś taki, jak twój kumpel Sebastian, który sypia na prawo i lewo z dziewczynami, które nie są materiałem na żonę, a jednocześnie przysięga Chrissy miłość do grobowej deski? Chrissy nawet nie przejmuje się tymi jego podrywkami. — Z niedowierzaniem kręcę głową. — Spójrz mi w oczy i powiedz, że jesteś inny.

— Jestem inny.

Jednak nie patrzy mi w oczy.

Śmieję się ochryple.

— I dlatego tak ci nie przeszkadzały wyczyny Seba, zgadza się, Preston? Jesteś dokładnie taki jak on. I wiesz co? Nawet się nie wściekłam. Powinam — mówię, gdyż nie okazując mi żadnego szacunku dzisiaj wieczorem, dostarczył mi mnóstwa powodów do gniewu. — Powinam się wkurzyć. Jednak dzisiaj sobie uświadomiłam, że już mi nie zależy.

— Nie możesz ze mną zerwać — mówi surowo Preston, jakby mi oznajmiał, że nie dostanę cukierka, bo mi zęby spróchnieją.

— Owszem, mogę. I właśnie to zrobiłam.

— Zapomnij o tym, co podobno zrobiłem. To tylko dodatkowe bzdury...

Znów to słowo.

— To nie ma żadnego wpływu na nasz związek. Kocham cię, Mackenzie. Ty też mnie

kochasz.

Przez lata żyłam w złudzeniu, biorąc za miłość to, co nas łączyło. Fakt, kocham Prestona. A przynajmniej kochałam przez jakiś czas. Tak się zaczęło, tego jestem pewna. Jednak nigdy nie byliśmy zakochani. Pomyliłam znudzenie z wygodą, a wygodę z romantyzmem, gdyż nie znałam prawdziwej namiętności. Nie wiedziałam, co mnie omija, jak to jest czuć, że uczucia się wylewają, kiedy pożądanie drugiej osoby tak całkowicie cię pochłania; kiedy doceniasz kogoś i kochasz całkowicie i bezwarunkowo.

— Przestań, Mackenzie. — Ups, teraz się wkurzył. Pośle mnie do pokoju bez deseru.
— Robisz scenę, to nie jest sympatyczne. Wracaj do środka, przeproś rodziców. Zapomnimy o tym, co zaszło.

— Nie rozumiesz. Podjęłam decyzję. Kończę z tym.

— Nie możesz.

Nie chcę sięgać do broni masowego rażenia, ale Preston nie daje mi wyboru.

— Jest ktoś inny.

— Co, do cholery? Kto? — warczy Preston z rumieńcem gniewu na twarzy.

Przy chodniku zatrzymuje się taksówka. Chwała Bogu.

— Nie dowiesz się — mówię chłodno. — A teraz odjeżdżam. Nie jedź za mną.

Po raz pierwszy tego wieczoru usłuchał.

22. Mackenzie

Po piętnastu minutach stoję przed drzwiami Coopera. Odchodząc od stołu w restauracji, chyba już wiedziałam, dokąd trafię. Wiedziałam to, kiedy wczoraj rozstałam się z Cooperem, kiedy całymi godzinami obracałam w myślach jego słowa, przypomiinałam sobie nasze żarłoczne pocałunki — wiedziałam, że jeśli znów tu trafię, to w określonym celu.

Cooper otwiera drzwi, a ja niemal tracę odwagę. Ma na sobie T-shirt i podarte dzinsy. Włosy wilgotne, jakby świeżo spod prysznic. Jego twarz, ciało, tatuaże to czysta pokusa. Nie podoba mi się, że on nie musi robić ani mówić nic, a ja i tak całkowicie się przy nim zapominam i mąci mi się w głowie. To niesprawiedliwe.

— Cześć. — Przetykam ślinę, gdyż w gardle nagle mi zaschło.

Cooper bez słowa wpatruje się we mnie twardym spojrzeniem. Spodziewałam się gniewu. Może nawet tego, że mnie wypędzi i każe nie pokazywać się więcej w tych stronach.

To jest jeszcze gorsze.

— Przyszłam przeprosić.

— Tak? — Cooper zajmuje sobą całe wejście, silne ramiona kładzie na biodrach.

— Przesadziłam — mówię ze skrucą. — Nie powinnam była oskarżać cię o opryszczkę. Stygmatyzowanie kogoś chorobami wenerycznymi i oskarżanie o puszczalstwo jest złe. Przepraszam.

Mimo wszelkich wysiłków Cooperowi nie udaje się całkowicie ukryć uśmiešku w kąciku ust. Opuszcza ramiona.

— No dobrze, wchodź.

Prowadzi mnie przez pusty dom na oświetlony balkon z tyłu, z widokiem na zatokę. Żadne z nas nie wie, od czego zacząć, więc oboje opieramy się o balustradę i udajemy, że oglądamy fale w ciemności.

— Nigdy dotąd nikogo nie spoliczkowałam — wyznaję, gdyż to do mnie należy przełamanie lodów; nie wiem, czemu przychodzi mi to z większym trudem, niż się spodziewałam.

— Masz talent — odpowiada Cooper oschle. — Bolało jak cholera.

— Jeśli cię to pocieszy, to wczoraj rano ręka wciąż mnie bolała. Masz twardą twarz.

— Owszem, pociesza mnie — przyznaje Cooper z uśmiechem w głosie. — Trochę.

— Przepraszam. Zareagowałam o wiele za mocno, poniosło mnie. Potem czułam się okropnie. Nadal się tak czuję.

Cooper wzrusza ramionami.

— Nie biczuj się, bywało gorzej.

Z jednej strony chciałabym, żeby się na mnie wydarł, wyzwiał od rozpuszczonych bachorów i zepsutych suk. A on jest taki chłodny i spokojny. Nieodgadniony, niczego nie odkrywa, przez co cała sytuacja robi się jeszcze trudniejsza. Mimo wszystkiego, czego dowiedziałam się o Cooperze, tak naprawdę wcale go nie znam. Czasami wydaje mi się, że coś nas łączy, po czym zaczynam się zastanawiać nad tym intensywnie, aż w końcu samą siebie przekonuję, że sama sobie to wymyśliłam. Jakbym przy każdym naszym spotkaniu budziła się ze snu i nie pamiętała jawy.

— Chcesz zapytać, gdzie dzisiaj byłam? — Nie wiem, co mnie skłoniło, by to powiedzieć; owszem, chcę, żeby wiedział, jednak wychodzenie z tym tak od razu wydaje się... bezcelne.

Cooper unosi brew.

— No więc po pierwsze: sprzeciwiłam się rodzicom.

— Budynek jeszcze stoi? — pyta Cooper, nawet nie próbując ukryć rozbawienia.

— Nie wiadomo. Uciekłam w środku kolacji — przerywam na moment. — Wiesz, co jeszcze zrobiłam?

— No co?

— Zerwałam z chłopakiem.

To przyciąga jego uwagę. Odwraca się tyłem do balustrady, opiera o nią i krzyżuje ramiona. Śmieje się i kręci głową.

— No tak, to ma sens. Uciekłaś i szukałaś kryjówki, a gdzie znajdziesz lepszą? Nie ma opcji, żeby ktoś cię tu szukał. Mam rację?

— Coś w tym rodzaju — odpowiadam zmieszana.

Nie zaplanowałam tego tak dokładnie, kiedy podawałam taksówkarzowi adres-Coopera, jednak z pewnością zareagowałam instynktownie.

— Jak długo masz zamiar się kryć? Nie chcę wyjść na chama, ale nie prowadzę hotelu, księżniczko.

— Punkt.

Spowija nas milczenie głośniejsze niż huk fal rozbijających się o brzeg.

Rano obudziłam się spocona. Mrugając oczami oślepiionymi słońcem, czułam, jak obrazy Coopera przytrzymującego mnie przy ścianie — moich nóg wokół jego bioder, jego dłoni wypalających mi skórę — jak to wszystko znika niczym rosa na parapecie. Co mam z tym zrobić? To dla mnie zupełnie nowe emocje. Nigdy dotąd tak nie

przeżywałam faceta. No dobrze, on również okazał mi zainteresowanie, ale jeśli nie zrobi następnego kroku, to nie wiem, co to wszystko znaczy.

— Z jednej strony żałuję, że w ogóle się spotkaliśmy — odzywa się w końcu Cooper; na jego twarzy tańczą cienie padające z lamp na balkonie.

— Dlaczego? — Chyba chodzi mi o powody inne niż te oczywiste. Stanowią dla niego sporą udrękę życiową i zapewne sprawiam więcej kłopotu, niż przynoszę pożytku.

— Bo zaraz zrobi się bałagan. — Z opuszczonymi po bokach rękami Cooper pokonuje te kilka dzielących nas kroków i przyspila mnie do poręczy jedynie swoimi wzrokiem.

W jego twarzy następuje leciutka zmiana; jakby dźgnięte podprogowo moje ciało nagle zostaje postawione w stan gotowości.

— Co się...

Jeszcze nie dokończyłam zdania, a już jego wargi są na moich ustach.

Cooper opiera mnie o poręcz i całuje namiętnie. Żarłocznie. Cały ten czas, od kilku tygodni, aż do tej chwili, wstrzymywaliśmy oddech. Ulga. Jego dłonie znajdują moje biodra, przyciskają mnie do nierównego drewna, a ja zapominam się całkowicie, poddaję się pożądaniu. Całuję go tak, jakbym umierała z głodu, jękiem reaguję na jego nogę, która rozsuwa moje; czuję przy sobie jego erekcję.

— Powiedz mi teraz — mruczy, przesuwając ustami po mojej szyi. — Kazesz mi przestać?

Powinnam zastanowić się nad tym pytaniem, nad możliwymi komplikacjami w przyszłości. Jestem pod każdym względem i całkowicie nieprzygotowana na to, co się stanie, kiedy obudzę się jutro i zacznę się zastanawiać nad szkodami, które przyniosła ta noc.

Jednak tego nie robię.

— Nie — odpowiadam. — Nie przestawaj.

Cooper idzie na całość, bez wahania. Szarpnięciem zsuwa mi górę sukienki, by odsłonić piersi. Otacza wargami jeden nabrzmiały sutek, a mnie zalewa fala podniecenia, adrenalina rozlewa się w mojej piersi, oszałamia. Przy nim jestem kimś innym. Nieokiełznanym. Chwytam jego dłoń i pociągam w dół, aż znajduje drogę pod sukienkę. Jego palce odsuwają moje bikini, przesuwają się po łechtaczce, wchodzą we mnie.

— O cholera — szepcze Cooper z ustami przy rozpalonej skórze na mojej szyi. — Jaka mokra.

Dwa palce poruszają się we mnie, a kciuk pięści wiązkę nerwów, które pulsują z podniecenia. Trzymam go za szerokie ramiona, zagryzam wargi tak mocno, że czuję na nich krew, aż nogi zaczynają mi drżeć w chwili orgazmu.

— Mmm, moja dziewczyna. — Cooper z uśmiechem pochyla się i całuje mnie w usta, chwytając powietrze, które wyrzucam z siebie urywanym oddechem.

Jego słowa przeszywają mnie dreszczem. Jego dziewczyna. Wiem, że nie ma na myśli niczego specjalnego, po prostu taki zwrot, lecz perspektywa należenia do niego, całkowicie do niego tej nocy wywołuje we mnie kolejną falę pożądania.

W pośpiechu rozpinam mu dzinsy i wydobywam go. Gładzę dłońią. Jęk, jaki wydaje w odpowiedzi, jest dla mnie najpiękniejszą muzyką. Jego dłonie przesuwają się do tyłu, ściskają mnie za pośladki, a ciemne oczy płoną żarem.

— Wejdźmy do środka — ponaglęm.

— Mam kondom w kieszeni — odpowiada ochryple; ja trzymam go dłońią, w której czuję pulsowanie.

— Naprawdę? Po co?

— Nie zadawajmy pytań.

Racja. W końcu jeszcze godzinę temu miałam chłopaka. Jakiegokolwiek wybryki-Coopera, czy też jego plany, nie były moją sprawą.

Cooper rozrywa opakowanie z prezerwatywą, nasuwa ją na siebie, po czym unosi moją nogę i otacza nią sobie biodro. Nagle siedzę na poręczy i przywieram do niego, on zaś wchodzi we mnie powoli i boleśnie. Gdyby mnie teraz puścił, spadłabym na ziemię. Ale mu ufam. Poddaję się całkowicie, ufam jego silnym objęciom, otwieram się na grubo, twardego kształtu wchodzący we mnie.

— Mac, co za wspaniałe uczucie. — Znowu mnie całuje, pcha mocno, sprawia, że tracę rozum z pożądania.

Włosy rozwiewa mi ciepły wiatr. W tej chwili w ogóle mnie nie obchodzi, że ktoś może nas przyłapać. Nie wiem nawet, czy jego brat jest w domu. Może ktoś obserwuje nas w cieniach otaczających budynek. Nie dbam o nic oprócz tych nowych wrażeń, które przetaczają się przez moje ciało, oprócz poczucia pełni, tego, że jest tak, jak powinno.- Cooper wsuwa palce w moje włosy i odchyła mi głowę do tyłu, żeby pocałować mnie w szyję — nic nie odwraca mojej uwagi od długich, głębokich pchnięć i szaleńczej, zwierzęcej żądzy, która popycha nas oboje.

— Dojdiesz jeszcze raz? — szepcze mi w ucho.

— Może.

— Spróbuj.

Wycofuje się tak, że we mnie zostaje tylko jego końcówka, po czym znowu się wbija. Mocno, z premedytacją. Otacza mnie jednym silnym ramieniem, drugą dłoń wsuwa między moje nogi, palcami przesuwa po mojej łechtaczce. Z rozkoszy tracę oddech.

— Jeszcze, nie przerywaj — proszę.

Jego ochryply śmiech łaskocze mnie w usta, gdy Cooper pochyła głowę i znów mnie całuje. Jego usta poruszają się, lecz teraz wolniej, drażniąco, prowadzą mnie znów na krawędź. Z rozmysłem wielbi moje ciało, a mnie wkrótce znów ogarnia fala przyjemności, po czym moje ciało spina się, sztywnieje i wybucha w oślepiającym blasku.

— Tak — syczy Cooper i przyspiesza. Jego pchnięcia stają się chaotyczne, w końcu on też z jękiem kończy wstrząsany dreszczem, dyszy nierówno.

Przełykam i wciągam głęboko powietrze, żeby uspokoić nierówne bicie serca.

— To było... — Nie znajduję słów.

Cooper stęka niezrozumiale, również nie potrafi nic powiedzieć.

— To było... tak.

Śmiejąc się słabo, odrywamy się od siebie. Niezgrabnie zsuwam się z barierki. Poprawiam sukienkę. Cooper bierze mnie za rękę i prowadzi do środka.

Biorę prysznic i pożyczam od niego ubranie, po czym zabieramy Daisy na spacer plażą w świetle księżyca. Palce wciąż mam lekko odrętwiałe, nogi ociężałe. Cooper okazał się tym, czego się spodziewałam, i nie tylko. Okazał się pełen nagiej żądzy i entuzjazmu.

Uderza mnie, jak swobodnie się teraz czujemy. Nigdy nie byłam z nikim innym niż Preston, więc nie miałam pojęcia, czego oczekiwać po... nie wiem, co to jest. Jednoczna przygoda? Schadzka? Coś, o czym rano nie wspomnimy ani słowem? Nieważne, nie obchodzi mnie to. W tej chwili jest nam dobrze.

Wracamy do domu; Cooper drażni się z Daisy długą trzcina.

— Chcesz zostać na noc? — pyta.

— Tak.

Nie mam zamiaru przesadzać z myśleniem — i zaczynam od teraz. Niezapisana tablica. Zaczynam od początku.

Czas, żebym wreszcie zaczęła się bawić.

23. Cooper

W głowie mam miszmasz. Budzę się w jednym łóżku z Mac i pierwszą moją myślą jest to, żeby znów podjąć błędne decyzje. Wtedy przypominam sobie, w co się wpakowałem. Chodzi mi o wczorajszy wieczór, kiedy Mac praktycznie sama nabiła mi się na fiuta. Potem jednak wydarzyło się coś naprawdę dziwnego: nie chciałem, żeby odeszła. Zacząłem myśleć: cholera, a jeśli pojedzie do domu, a potem znów przyśle mi coś w rodzaju: „Sorki, mój błąd, pomyliłam się, wracam do mojego popieprzonego chłopaka”?

Wtedy uświadamiam sobie, że wpadłem po uszy.

— Dzień dobry — mamrocze Mac, nie otwierając oczu.

Przewraca się i zarzuca mi udo na nogę, dotykając mojego sztywnego penisa; nie mogąc się powstrzymać, łapię ją za pośladek.

— Dzień dobry — odpowiadam.

Na to ona całuje mnie w lewy mięsień na piersi, po czym lekko go gryzie.

Ta dziewczyna jest inna. Dziewczyny z dobrych domów zawsze zaskakują, zgadza się? Skromne sweterki, dobre maniere — dopóki nie znajdziesz się z nimi sam na sam. Wtedy wciskają ci twarz między swoje nogi i wychodzą z krwią za paznokciami.

Leżymy przytuleni przez kilka minut, rozgrzani i rozleniwieni. W końcu Mac podnosi głowę i rzuca mi spojrzenie.

— Mogę cię o coś zapytać?

Widzę, że się trochę boi.

— Jasne.

— To dość wścibskie pytanie.

— No dobrze.

— I w ogóle nie moja sprawa.

— Zadasz to pytanie czy omówimy najpierw cały proces zadawania pytań?

Mac znów przekornie chwyta mnie zębami za bark.

— No dobrze. Uprawiałeś seks z Sutton?

— Nie. Przeszliśmy się po molo, potem ona puściła pawia przez barierki, więc odprowadziłem ją do taksówki.

Mackenzie wypytuje dalej:

— Ale gdyby nie zwymiotowała, coś byś zrobił? Pocałował ją? Przywiózł ją tutaj?

— Może. Prawdopodobnie. — Czuję, jak Mac sztywnieje obok mnie; wplatom palce w jej długie włosy. Inni faceci pewnie by coś wymyślili, ale ja nie jestem jak inni. Zadała pytanie, odpowiedziałem. — Chciałaś wiedzieć.

— Owszem. I skoro to ja ją do ciebie popchnęłam, chyba nie powinnam być zazdrosna — burczy cicho. — Ale jestem, jak cholera.

— Witam w klubie — odpowiadam burkliwie. — Myśl, że ktokolwiek poza mną miałby cię dotykać, wywołuje we mnie mordercze chęci.

Mac się śmieje.

— Mówił ci ktoś, że trochę cię ponoszą emocje?

Wzruszam ramionami.

— Przeszkadza ci to?

— Absolutnie nie.

Owijam sobie na palcu kosmyk jej włosów.

— Wiesz — mówię powoli — chociaż tamtej nocy naprawdę się na ciebie wkurzyłem, przypomniałem sobie wtedy, jak fajnie było wcielać się w Evana. Od dawna nie zamienialiśmy się miejscami.

Mac z ciekawością przechyla głowę.

— Często to robiliście?

— Non stop. On pisał za mnie wszystkie klasówki z geografii, bo przysięgam, ma niewiarygodną pamięć do stolic stanów. Czasami jeden z nas zrywał z dziewczyną drugiego.

Mackenzie wciąga powietrze.

— To okropne.

— Nie były to nasze najlepsze chwile — przyznaję. — Zamienialiśmy się także miejscami, żeby zamącić w głowach znajomym, chociaż większość z nich nas rozróżnia, nawet jeśli upodobnimy się do siebie od stóp do głów. Ale owszem, czasami miło jest oderwać się od siebie i być Evanem. Życ, w ogóle nie przejmując się konsekwencjami. Robić, co zechcesz, posuwać, kogo zechcesz, żadnych wyrzutów sumienia.

— Nie wiem... ty mi się akurat podobasz. — Jej dłoń powoli przesuwa się w dół mojej nagiej klatki piersiowej. — Nawet nieco bardziej.

— Zaczekaj. Chcę ci zrobić śniadanie. — Powstrzymuję jej dłoń, kiedy dociera do moich bokserek.

— A nie możemy zacząć od tego? — Mac unosi wzrok i oblizuje wargi.

Do licha. Tak, księżniczko, naprawdę bardzo bym chciał zobaczyć, jak wyglądasz z moim fiutem w ustach, lecz próbuję czegoś nowego, mianowicie staram się być dżentelmenem, jeśli mi pozwolisz.

Jak powiedziałem: mam totalny mętlik w głowie.

— Jeśli zaczniesz — ostrzegam — nie wyjdziemy z łóżka.

— Mnie pasuje.

Z jękiem zsuwam ją z siebie i wstaję.

— Kuszące. I uwierz mi, zgodziłbym się z radością, ale dzisiaj przyjeżdżają do nas materiały do remontu domu. Musimy z Evanem wstać wcześniej.

Mac wydyma usta; z opalonego ramienia zsuwa się jej mój T-shirt. Jej nagie nogi błagają, bym wrócił do łóżka. Cholera jasna, naprawdę mnie to zabije.

— No dobrze. Może być śniadanie. Masz bułeczki?

— Odwal się. — Ze śmiechem idę do łazienki.

Z szafki wydaję zapasową szczoteczkę, Mac otwiera opakowanie. Myjemy zęby, stojąc obok siebie, ale to koniec. Mac wypędza mnie z łazienki, żeby się wysikać, więc wychodzę i odpisuję na wiadomość od Billy'ego Westa dotyczącą zamówienia na drewno. Wciąż jeszcze piszę SMS-y, kiedy Mac wychodzi z mojego pokoju i idzie do kuchni.

Kończę, kiedy po domu roznosi się aromat świeżo mielonej kawy.

— Jasne, złotko, nalej sobie — słyszę przeciągłe słowa Evana.

Wychodzę zza rogu i widzę Mac stojącą przy ekspresie z kubkiem w ręce.

— Pomyślałam, że nastawię dla wszystkich, którzy chcą się napić — wyjaśnia Mac, gdyż ona również dostrzegła nutę sarkazmu w jego głosie. — Mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego.

— Jasne, że nie — odpowiadam, zwracając się do Evana. Nie rozumiem jego nagłej zmiany nastawienia. — Siadaj. Zrobię jajka. Chcesz bekon?

— Mam posłać pokojówkę po najlepszą porcelanę czy też wasza wysokość woli karmienie łyżeczką? — pyta Evan, biorąc pudełko płatków.

— Hej. — Popycham go, kiedy próbuje stanąć mi na drodze do lodówki. Pieprzony smark. — Opuść, człowieku.

Mac czuje się niekomfortowo, to widać.

— Wiesz, właściwie muszę wracać do akademika, będę się zbierać.

— Daj spokój, zostań — namawiam. — Po śniadaniu cię odwiozę.

Jednak już za późno. Evana coś ugryzło, a Mac zdążyła się wystraszyć. Nagle zaczyna się wyjątkowo spieszyć, biegnie do mojej sypialni, stamtąd dzwoni po taksówkę, jednocześnie przebierając się w sukienkę, którą miała na sobie wczoraj wieczorem.

— Przepraszam za niego — mówię, łapiąc ją w pasie, zanim zdąży wyjść przed dom. — Nie lubi porannych pobudek.

— Nic się nie stało. Naprawdę.

Wpatruję się w jej twarz. Makijaż się zmył, włosy ma związane luźno na czubku głowy. Nigdy nie wyglądała tak pięknie. Dochodzę do wniosku, że trzeba było zrealizować jej plan i cały dzień spędzić w łóżku.

— Gdybym miała rodzeństwo, na pewno też by mnie wkurzali. — Mac wspina się na palce i całuje mnie. Rozumiem z tego, że nadal ze sobą rozmawiamy.

Po jej wyjściu idę do Evana do garażu.

— O co ci chodzi? — pytam krótko.

— Lepiej sam sobie zadaj to pytanie — odpala Evan, przemykając obok mnie z pasem na narzędzia przerzuconym przez ramię. — Od kiedy to zostałeś lokajem księżniczki? Według planu miałaś ją doprowadzić do tego, żeby zerwała z Kincaidem, a nie bawić się w dom.

— No i właśnie to zrobiłem. — Idę za bratem przez podwórko z powrotem do domu; decyduję się nie zwracać uwagi na fakt, że słyszalna w jego głosie nienawiść działa mi na nerwy. — Wczoraj wieczorem z nim zerwała.

— Super — odpowiada Evan, otwierając piwo z lodówki na werandzie. O siódmej rano. — No to czas odstawić ją od piersi. Doprowadzimy ich w to samo miejsce, niech on zobaczy was razem, a potem: zegnajcie, klony. Koniec.

Wrywam mu piwo z ręki i wylewam na ziemię.

— Możesz skończyć te idiotyzmy? Nie mam ochoty dać ci się spić i strzelać do mnie śrutem.

— Jasne, tato — odpowiada Evan, przytkając palcami.

— Hej! — Dźgam go palcem w pierś; doskonale wie, co właśnie zrobił. — Jeszcze raz to powiesz, a będziemy mieli problemy.

Evan trzepnięciem odsuwa moją dłoń.

— Taa, jak tam chcesz.

Evan jest na lekkiej bani, a ja mam dość jego wygłupów. Nie mogę się jednak martwić, co się z nim dzieje, gdyż muszę pomyśleć, jak, do diabła, mam poukładać sprawy z Mackenzie. Mój brat i reszta na pewno nie dadzą mi spokoju. Cała czwórka kołuje nad nami jak sępy czatujące na okazję do uczyty. Pragną krwi.

Przez cały czas obracam to sobie w głowie, lecz nie przychodzi mi na myśl żaden pomysł. Kiedy później spotykamy się u Joego, akurat w czasie zmiany Steph, jeszcze nie wymyśliłem nic lepszego niż gra na zwłokę, w nadziei, że nikt nie wspomni o naszym planie.

Z Joem znów jesteśmy w dobrych układach. Wciąż jeszcze czuję rozczarowanie, że tak łatwo dał się zmusić do wyrzucenia mnie z pracy, jednak rozumiem jego motyw. Trudno gniewać się na kogoś, kto ma na głowie spłatę kredytu hipotecznego i pożyczki

studenckie dziecka. Nie mogę wymagać, by bił się za mnie, skoro musi chronić własną rodzinę.

Zajmujemy ustronny stolik niedaleko baru; Evan siada obok mnie, a Heidi i Alana naprzeciwko. Steph podchodzi z kartą napojów, których nie potrzebujemy i na które nawet nie spoglądamy. Dziewczyny zamawiają wódkę, Evan i ja trzymamy się piwa. Dzisiaj wzięliśmy wolne na naprawę werandy frontowej, co oznacza, że jutro odrabiamy u Leviego podwójną szychkę. Musimy wstać o świcie, a wolę obudzić się bez kaca. Jestem przekonany, że Evanowi to zwisa.

Oczywiście braciszek, nie tracąc czasu, opowiada dziewczynom o rozwoju wydarzeń z Mackenzie.

— Teraz już na maksa się nakręciłam — mówi Alana z szatańskim uśmieszkiem, który naprawdę budzi lekki dreszcz zgrozy. Chwilami bywa przerażająca. — Patrzcie — wyciąga ku nam rękę — mam gęsią skórę.

Heidi przegląda na telefonie Instagram Kincaida.

— Teraz wystarczy tylko pilnować, gdzie znajdzie się któregoś wieczoru. Gdzieś wśród ludzi. Ty przyprowadzisz jego byłą, a my upokorzymy go publicznie. Cholera, powinniśmy sprzedawać bilety na ten show.

— I niech to będzie niedługo. — Steph uśmiecha się szeroko. — Jeśli gość nadal będzie tu przychodził, nasypię mu środków przeczyszczających do drinka. Chcę, żeby bał się pokazać ludziom na oczy.

— Może w ten weekend? — podsuwa Evan, trącąc mnie łokciem. Skupiam całą uwagę na piwie, próbując ich zignorować. — Jutro. Umów się z księżniczką. Steph, namówisz Maddy'ego czy kogoś innego, żeby go wyciągnął z domu, i wtedy go osaczymy.

W końcu decyduję się włączyć do rozmowy.

— Nie.

— Co? — Evan marszczy czoło.

Jego złośliwe uwagi o Mac przeważają szalę. Mam dość tego głupiego planu i po uszy udawania, że wciąż chcę go wprowadzić w życie. Odłączyłem się od nich w chwili, kiedy uświadomiłem sobie, jak fajna jest Mac. Inteligentna, seksowna i intrygująca. Nie przypomina żadnej kobiety, z którą dotąd byłem.

— To koniec — mówię przyjaciółom, spoglądając na nich znad butelki. — Zapomnijcie o tym planie.

— Co to znaczy: zapomnijcie? — Evan wrywa mi butelkę z ręki.

Czuję, jak ramiona mi sztywnieją. Naprawdę powinien uważać, kiedy następnym razem spróbuje się do mnie doczepić.

— Mieliśmy umowę — warczy.

— Nie. Wymyśliliście sobie wendetę, a ja nie chcę już brać w tym udziału. To ja straciłem pracę, nie wy, w takim razie to ja decyduję, co dalej. A ja chcę to zakończyć.

Evan z niedowierzaniem kręci głową.

— Wiedziałem. Zawróciła ci w głowie, co? Laska od pieprzonych klonów owinęła cię sobie wokół palca.

— Dość! — Uderzam dłonią w stół; szklanki odpowiadają szczękaniem. — To dotyczy was wszystkich — zwracam się do dziewczyn. — Ona jest nietykalna. Jeśli o was chodzi, nie wolno wam z nią zadzierać.

— Kiedy się to stało? — Steph patrzy na mnie zdumiona. Nie dziwię się jej. Aż do tej chwili nikomu nie wspomniałem o mojej zmianie planów.

— Dlatego właśnie nie możemy mieć nic fajnego — dodaje Alana.

— Mówię poważnie. Słuchajcie. Lubię Mac. — Wypuszczam powietrze. — Nie spodziewałem się tego, ale tak wyszło. Podoba mi się.

Siedząca naprzeciwko mnie Heidi wykrzywia niechętnie usta.

— Faceci — mamrocze pod nosem.

Ignoruję jej przytyk.

— Nie wiem, co z nami będzie, ale chcę, żebyście byli dla niej mili. Zapomnijcie o tym naszym durnym pomysłem. Nie ma o nim mowy. I żadnych obleśnych komentarzy — dodaję, zwracając się do brata, po czym mówię do dziewczyn: — I żadnych knozań za jej plecami. Jesteście moją rodziną, palanty, na dobre i na złe. Proszę, zróbcie to dla mnie.

Zapada cisza, w której wszyscy po kolei krótko kiwają głowami.

Potem Evan odchodzi wkurzony — no pewnie, jak to on. Steph wzrusza ramionami i idzie sprawdzić gości przy stolikach. Heidi i Alana wbijają we mnie wzrok, jakby w życiu nie spotkały takiego kretyna. Nie jest to entuzjastyczna zgoda, jakiej bym chciał, ale i tak zareagowali lepiej, niż się spodziewałem. Mimo wszystko nie robię sobie złudzeń: nie przejdzie nam to bezboleśnie. Nikomu z nas.

Heidi przeczesuje dłonią krótkie włosy, nie spuszczając ze mnie wzroku. Przez jej twarz przemyka błysk gniewu. I cień litości. I coś jeszcze. Jakby chęć zemsty, niepokojąca.

— Ani słowa o tym wszystkim do Mac — ostrzegam Heidi. — Nigdy.

24. Mackenzie

Przez cały następny tydzień zrećnie unikam Prestona. Szkoda, że zrodzone ze wstydu wykręty nie są dyscypliną olimpijską. Gdyby były, Bonnie też została by mistrzynią. Pewnego wieczoru otwiera Prestonowi drzwi topless, żeby mnie kryć, a jego odstraszyć. Niezależnie od tego, co wyczynia w czasie wolnym, Pres wciąż panicznie boi się kompromitacji przy ludziach, więc kiedy Bonnie zaczyna krzyczeć na całe gardło, a sąsiedzi stopniowo wyglądają zza drzwi, sprawdzając, co to za hałasy, Preston zmywa się pospiesznie.

Z łatwością ignoruję jego SMS-y i telefony, lecz unikanie go na kampusie jest trudniejsze. Zaczęłam przemykać się tylnymi drzwiami na zajęcia, kilka minut przed ich rozpoczęciem lub spóźniać się kilka minut, by się upewnić, że Pres na mnie nie czeka. Proszę zaprzyjaźnionych ludzi z grupy, żeby dawali mi SMS-ami znać, kiedy go widzą w pobliżu. To spory wysiłek, ale bezpośrednia konfrontacja sprawiłaby mi znacznie więcej problemów.

Moje życie jakby sprowadziło się teraz do przemykania bokami. Unikania Presa. Pracy przy hotelu za plecami rodziców. Przekradania się ulicami miasta na spotkania z - Cooperem. Nie mogę ryzykować, że rozpozna go ktoś na kampusie i doniesie Prestonowi, ale wydaje mi się, że i Cooper kryje mnie przed Evanem, zatem zdobywamy się na coraz większą kreatywność w umawianiu naszych rendez-vous.

Chociaż dotąd jeszcze nie odbyliśmy poważnej rozmowy na temat tego, co między nami jest, nie potrafimy utrzymać rąk z dala od siebie. Uzależniłam się; beznadziejnie się od niego uzależniłam. Bonnie nazywa ten stan szaleństwem na tle fiuta. Pewnie bym się z nią spierała, gdyby nie fakt, że odkąd się poznałyśmy, ma rację absolutnie we wszystkim.

W sobotę wieczorem spotykam się z Cooperem w jednym z naszych zwykłych miejsc na plaży niedaleko jego domu. Ta część Bay najmocniej ucierpiała w ostatnich dwóch huraganach i od lat jest praktycznie opuszczona. Stoją tam jedynie puste domy i rozpadające się nadmorskie restauracje; stary pomost wędkarski, w większości już pochłonięty przez ocean. Spuszczamy Daisy ze smyczy, żeby sobie pobiegała, a ona nie tracąc czasu, zaczyna siać terror wśród małych krabów i gonić za ptakami.

Przystajemy, by usiąść na kawałku drewna wyrzuconego przez morze. Cooper

pociąga mnie sobie na kolana. Siadam twarzą do niego. Jego dłonie obejmują moje pośladki, a ja lekko drapię go paznokciami po karku — wiem, że to go podnieca.

— Jeszcze trochę — ostrzega Cooper — i przelecę cię tutaj, na oczach mew.

— Zwierzę — odpowiadam i gryzę go w wargę.

— Flirciara. — Całuje mnie. Silne dłonie przesuwają się po moich żebrach, drażniąco ściskają moje piersi, po czym obejmują mnie w talii. Cooper odsuwa nieco usta i spogląda na mnie.

— Zastanawiałem się. Dzisiaj wieczorem jest impreza. Chodź ze mną.

Unoszę brwi.

— Nie wiem... to by oznaczało, że się ujawniamy. Na pewno jesteś na to gotów?

— A dlaczego nie?

Nasze uniki nie stały się tematem otwartej rozmowy, lecz raczej bezsłownego porozumienia. Wiadomo, że w końcu trzeba będzie zmienić zachowanie, jednak to pociągnie za sobą mnóstwo kolejnych konsekwencji. Ale formalne wystąpienie jako para w żaden sposób mnie nie martwi. Może tylko zaskakuje.

— Czyli... — Przesuwam dłońmi po jego piersi, czując każdy twardy mięsień; w końcu moje dłonie opierają się na jego pasku. — Coś jak randka.

— Jak randka, pewnie. — Cooper znów czyni swój nawykowy gest, czyli oblizuje usta. Wydaje mu się, że to urocze — a to irytująco seksowne.

— Co by oznaczało, że randkujemy.

— Ujmijmy to w ten sposób. — Cooper odsuwa mi włosy z ramienia, owija je sobie wokół pięści i pociąga. Odrobinę. To delikatny, wymowny gest, który między nami nabrał znaczenia: „Chcę zedrzeć z ciebie ubranie”. Jak wtedy, kiedy gryzę go w wargi lub pociągam za przód dżinsów... albo spoglądam na niego, albo oddycham. — Nie posuwam nikogo innego. Nie chcę posuwać nikogo innego. Jeśli ktokolwiek spojrzy na ciebie nieodpowiednio, przefasonuję mu twarz. Tak może być?

Nie jest to poezja w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz chyba nigdy nie słyszałam z ust faceta tak romantycznego wyznania. Cooper bywa nieco nieokrzesany i szorstki po wierzchu, lecz mnie się to podoba.

— Dla mnie w porządku.

Z szerokim uśmiechem Cooper zsuwa mnie sobie z kolan.

— Chodź, zabierzemy potworę do domu. Chcę wziąć szybki prysznic przed wyjściem. Naprawdę wydaje mi się, że wciąż mam na sobie warstwę pyłu.

— Mnie się to podoba. To męskie.

Cooper unosi oczy do nieba.

Idziemy do niego, wchodzimy przez tylny taras. Dolewam Daisy wody do miski,-

Cooper zaś idzie do siebie, pod prysznic. Idę za nim, lecz przed wyjściem wymodelowałam włosy, więc nie chcę ich teraz zniszczyć, zwłaszcza że wychodzimy na imprezę.

— Hej — wita się burkliwie Evan; jego wysoka, barczysta postać pojawia się w drzwiach kuchni. Jest boso, ma na sobie powycierane dżinsy i czerwony T-shirt. — Nie wiedziałem, że tu jesteś.

Siadam na wysoki stołek i przyglądam się Daisy hałaśliwie chłepczącej wodę.

— Owszem. Jestem. Cooper poszedł pod prysznic.

Evan otwiera szafkę i wyjmuje torebkę chipsów. Otwiera ją i wrzuca sobie kilka do ust. Gryzie je i mierzy mnie podejrziwym spojrzeniem.

— Co dzisiaj planujecie?

— Cooper wspomniał coś o imprezie. Pewnie pójdziemy.

Evan unosi brwi.

— Zabiera cię do Chase'a?

— Tak — mówię i milknę na moment. — Przeszkadza ci to?

— Skądże znowu, księżniczko.

— Naprawdę?

— Czas, żebyś zaczęła z nami wychodzić — dodaje Evan, wzruszając ramionami. — Skoro jesteś z moim bratem, to prędzej czy później poznasz całą paczkę. Musisz ich sobie zjednać.

O, do licha. Teraz już zaczęłam się denerwować. Dlaczego musiał ująć to w takie słowa?

A jeśli przyjaciele Coopera mnie nie polubią?

Natychmiast zapominam o niepokoju, gdyż Daisy zaczyna nagle wściekle ujadać. Spoglądam na szczeniaka i widzę, że stoi odwrócona do ściany i obszczekuje ją zajadle.

— Daisy! — gromię ją.

— Nie martw się — mówi Evan. — To pewnie tylko duch.

Rzucam mu wymowne spojrzenie.

— Cooper nie mówił ci o naszym duchu? — Evan przechyla głowę. — Naprawdę? Ja zwykle od razu wszystkim o nim opowiadam. Mieszkanie w nawiedzonym domu to jak odznaczenie honorowe.

— Wasz dom jest nawiedzony? — pytam sceptycznie. No bez przesady, nie jestem aż tak łatwowierna.

— Tak jakby. Nie przeszkadza nam to — wyjaśnia Evan. — Właściwie to ona nas nie nawiedza, ale na pewno się tu kręci.

— Ona? Czyli kto?

— Patricia jakaś tam. Dziewczynka, która utonęła jakieś sto lat temu. Miała sześć, siedem lat, nie pamiętam dokładnie. Jednak w czasie burzy słycać jej krzyki, a od czasu do czasu światła w całym domu zaczynają migać, zwykle kiedy ona ma ochotę na żarty...

Przerywa raptownie, gdyż lampa nad wyspą kuchenną zaczyna migać. Przysięgam.

No nie.

Evan łapie mnie za ramię i się uśmiecha.

— Widzisz? Bawi się z nami. Nie martw się, księżniczko, Patricia to przyjazny duch. Jak Casper. Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej, w starej prasie w bibliotece miejskiej na pewno znajdziesz jakieś artykuły. — Podchodzi do Daisy, która już ucichła. — Dobry piesek. Powiedz o tym duchowi małej dziewczynki.

Notuję w pamięci, by odwiedzić bibliotekę Avalon Bay. Nie wierzę w duchy, ale naprawdę lubię historię, a teraz, skoro mam tu swój hotel, tym bardziej ciekawi mnie przeszłość miasta.

— Pojadę z wami, okej? — dorzuca Evan, po czym wychodzi z kuchni, zanim zdołam odpowiedzieć. Zapewne było to pytanie retoryczne.

Z westchnieniem wbijam wzrok w puste drzwi. Na razie muszę chyba zjednać sobie tylko jedną osobę, czyli bliźniaka Coopera.

Chase, kumpel Coopera, ma w mieście dom z półpiętami oraz wielkim podwórkiem wychodzącym na las. Od samego przyjazdu nieco przytłacza mnie liczba gości. Jest ich tu mrowie. W środku grają w beer ponga, na zewnątrz siedzą przy ognisku. Muzyka ryczy. Rozlegają się grzmiące śmiechy. Chodzimy od grupy do grupy, Cooper mnie przedstawia. Byłoby sympatycznie, gdyby nie to, że wszyscy się na mnie gapią. Cooper, który niczego nie zauważył, rozmawia ze znajomymi, obejmując mnie jedną ręką w talii. Zewsząd kierują się na mnie ukośne spojrzenia, ludzie odwracają głowy i zaczynają szeptać. Na ogół nie deprymują mnie imprezy towarzyskie, lecz trudno czuć się swobodnie, kiedy wszyscy wyraźnie dają mi wzrokiem do zrozumienia, że według nich nie pasuję do nich. To naprawdę szarpie nerwy i sprawia, że zaczyna mi brakować tchu.

Jeśli mam przetrwać ten wieczór, potrzebuję alkoholu.

— Idę po drinka — zwracam się do Coopera, który rozmawia z wytatuowanym gościem o imieniu Wyatt. Wyatt marudzi, bo dziewczyna nie chce go przyjąć z powrotem. Nieopodal mała grupka gości ogląda partię twistera rozgrywaną na podwórku w bikini i kąpielówkach.

— Przyniosę ci — proponuje Cooper. — Czego się napijesz?

— Nie, daj spokój. Rozmawiajcie sobie, zaraz wracam.

Po czym umykam, zanim Cooper zdąży zaprotestować. Krętą alejką idę do domu;

trafiam do kuchni, a tam znajduję samotną, nieotwartą butelkę czerwonego wina. Uznaję, że po tym chyba najmniej grozi mi rano kac gigant.

— Jesteś Mackenzie, zgadza się? — pyta wystrzałowa dziewczyna z długimi włosami i ciemną skórą. Ma na sobie biustonosz od bikini i szorty z wysokim stanem. Miesza drinki przy ladzie. — Mackenzie od Coopera.

— Owszem, to ja. Mackenzie od Coopera. — Brzmi to jak kwestia z kryminału z lat siedemdziesiątych albo czegoś w tym stylu.

— Przepraszam — odpowiada dziewczyna z życzliwym uśmiechem, przykrywa shaker i energicznie nim potrząsa, unosząc nad ramieniem. — Chciałam tylko powiedzieć, że słyszałam o tobie od Coopera. Jestem Steph.

— O! Steph od kozy?

Jej usta drgają.

— Słucham?

Śmieję się z zakłopotaniem.

— Przepraszam, tak mi się wyrwało. Cooper i Evan opowiedzieli mi o tym, jak za dzieciaka ratowali kozę na prośbę ich koleżanki Steph. To byłaś ty?

Dziewczyna wybuchła śmiechem.

— Boże, faktycznie! Wielki skok na kozę. Tak, mój pomysł. — Nagle kręci głową. — Chwila, a opowiedzieli ci do końca? O tym, jak zostawili tę kozę w lesie? Nożeż do jasnej!

— Właśnie! — podchwytuję. — To samo mówiłam! Biedne zwierzę na pewno zginęło w pysku lwa górskiego albo innego zwierza.

Dziewczyna się śmieje.

— Mieszkamy nad morzem, więc może nie był to lew górski. Ale na pewno rozszarpał ją jakiś drapieżnik.

Stawiam na blacie butelkę wina i otwieram szufladę w poszukiwaniu korkociągu.

Steph nalewa swój drink do dwóch czerwonych kubków, podaje mi jeden.

— Odpuść sobie wino, to paskudztwo. Spróbuj tego. — Podsuwa mi drinka. — Uwierz mi. Jest dobry, niezbyt mocny.

Nie powinnam zrażać do siebie jedynej osoby, która przez cały wieczór odezwała się do mnie. Upijam łyk i czuję przyjemne zaskoczenie lekko słodkim smakiem pomarańczy i ziół.

— To jest dobre, naprawdę dobre. Dzięki!

— Nie ma za co. Nie przyznawaj się nikomu, skąd to masz — odpowiada, postukując palcem o skrzydełko nosa, jakby mówiąc: jeśli gliny tu wpadną i zastaną niepełnoletnich pijących alkohol, nie donieś na mnie. — Miałam nadzieję, że Cooper wkrótce się tobą podzieli. Bardzo chcieliśmy cię poznać.

— My?

— Nasza paczka.

— Aha.

Evan także użył tego słowa. Zastanawiam się, kto jeszcze wchodzi w skład paczki. W tym tygodniu Cooper i ja niewiele się o sobie nawzajem dowiedzieliśmy — z wyjątkiem budowy ciała.

Przy okazji budowy ciała — do kuchni wchodzi nieprzytomnie atrakcyjny, idealnie zbudowany facet. Wysoki, jasny, z dołeczkami w policzkach. Rzuca uśmiech w stronę Steph.

— Kim jest twoja koleżanka? — pyta, mierząc mnie zaciekawionym spojrzeniem niebieskich oczu.

— Mackenzie — odpowiadam, wyciągając do niego rękę.

— Tate. — Ujmuje moją dłoń, potrząsa nią i jeszcze przez kilka sekund przytrzymuje.

— Złotko, nie wyskakuj ze spodni — parska Steph. — Ona jest z Cooperem.

— Serio? — Tate jest pod wrażeniem; przesuwa po mnie wzrokiem, powoli, oceniając każdy fragment. — Szczęściarz Coop. — Z lodówki wyjmuje kilka wysokich butelek. — Idziecie na ognisko, dziewczyny?

— Za chwilę — odpowiada Steph.

— Super. — Kiwa nam głową i wychodzi z kuchni.

Po jego wyjściu Steph opisuje mi go krótko. Tate najwyraźniej skacze od łóżka do łóżka, lecz przy takich dołeczkach i swobodnym uroku trudno uznać go za puszczalskiego.

— Jest naprawdę cholernie sympatyczny, wiesz? — wzdycha Steph. — Nie cierpię takich typów.

— Przesympatyczne kutasy — przyświadczam solennie.

Rozmawiamy dalej, popijając drinki. Im dłużej rozmawiamy, tym bardziej ją lubię. Okazuje się, że obie przepadamy za parkami rozrywki i zespołami jednego przeboju pop z początku wieku.

— Widziałam ich w zeszłym roku w Myrtle Beach. Byli suportem dla... — Steph zastanawia się, po czym śmieje sama do siebie. — No tak, nie pamiętam. Teraz są po pięćdziesiątce.

— Boże. Niewiarygodne, że jeszcze grają razem.

— To było dziwaczne — przyznaje, nalewając nam po jeszcze jednym drinku.

— Co takiego? — obok Steph pojawia się dziewczyna o platynowych włosach, w krótkim czarnym T-shircie z odciętymi rękawami.

— Nic — odpowiada Steph z uśmiechem, ale w tej chwili zauważa twarde wyraz

twarży blondynki. Cały jej humor znika. — Heidi, to jest Mackenzie.

Moje imię wypowiedziała ze zbyt wielkim naciskiem; mimo woli zaczynam się zastanawiać, co im Cooper opowiedział. Jestem w zdecydowanie gorszym położeniu niż one.

— Miło mi poznać — próbuję rozładować napięcie. Jak zakładam, Heidi jest kolejną członkinią tej ich paczki.

— Miło — odpowiada dziewczyna, natychmiast przyjmując znudzoną minę. — Steph, możemy porozmawiać?

Ruda dziewczyna stojąca obok uśmiecha się półgębkiem; najwyraźniej nie rozumiem ich żarciku, jeśli to żarcik.

Wyraźnie czuję, że nie jestem tu już mile widziana.

— Chyba pójdę poszukać Coopera — mówię do Steph. — Fajnie było was poznać.

Nie czekając na odpowiedź, odchodzę powoli; kubek zostaje na blacie.

Cooper wciąż jest na podwórku, tyle że teraz stoi przy ognisku tuż obok słodziutkiej brunetki, której tyłek próbuje wydobyć się z szortów. Kiedy dziewczyna dotyka ręką piersi Coopera, mam ochotę zaszarżować jak rozjuszony byk. Mimo wszystko zachowuję spokój, podchodzę do niego niespiesznie i łapię za szlufki od paska. Tym zwracam jego uwagę; kącik jego ust unosi się lekko.

— Chodź — mówię, nie zwracając uwagi na poirytowane spojrzenie brunetki. — Mam ochotę poobmacywać cię trochę w ciemności.

Cooper bez chwili wahania odstawia butelkę na rząd cementowych bloczków otaczających ognisko.

— Dobrze.

Razem obchodzimy dom dookoła; wychodzimy na ulicę, gdzie Cooper zaparkował swoją ciężarówkę. Teraz unosi mnie i sadza na otwartej pace, po czym z pożądanym uśmiechem staje między moimi nogami.

— Przyszłaś się wyżyć, co? — Końcami palców przesuwam w dół i w górę moich odsłoniętych ud. Skąpa żółta sukienka podjechała mi niemal do pasa, ale Cooper swoim masywnym ciałem zasłania mnie przed ludzkim wzrokiem.

— Może nie tak dokładnie, ale owszem, chyba tak.

— Wchodzę w to — mówi z krzywym uśmiechem. — Trochę cię nie było. Wszystko w porządku?

— W porządku, zawierałam znajomości. Poznałam twojego kumpla Tate'a. — Puszczam oko. — Słodziaczek.

Ciemne oczy patrzą na mnie podejrzliwie.

— Próbował się przystawiać?

— Przez sekundę. Kiedy się dowiedział, że przyszłam z tobą, natychmiast się wycofał.

— Dobrze, nie muszę go zabijać. Kogoś jeszcze poznałaś?

— Kilka innych osób — mówię ogólnikowo, bo nie chcę wchodzić w szczegóły.

Szczerze mówiąc, dzisiejszy wieczór okazał się niewypałem i niepokoję się o to, jak Cooper i ja zdołamy wpasować się nawzajem w swoje życie. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym więcej wątpliwości rodzi się w moim mózgu. Nie chcę myśleć. Chcę, by Cooper wszystko to przegonił. Wpłatom więc palce w jego włosy i przyciągam do siebie, całuję mocno, aż czuję cichutki jęk w jego piersi, a on sam otacza mnie ramionami i pogłębia pocałunek.

— Co się dzieje? — słyszę i podskakuję zaskoczona; to Evan podkradł się do nas i zaświecił nam telefonem w oczy. — Na imprezie brakło już dom perignona?

— Odwal się. — Cooper trzepnięciem odsuwa telefon. — Znajdź sobie kogoś do zabawy.

— Ale ja się bawię. Przyszedłem sprawdzić, co u was, szalone dzieciaki.

Evan błyska zębami w uśmiechu i macha do mnie butelką piwa. Przy pierwszym nocnym spotkaniu na plaży wydawał mi się sympatyczny. Od tamtego czasu okazał się niemiły i celowo nieprzyjazny. Nie wystarczy, że zachowuje się wobec mnie jak kutas; chce, żebym wiedziała, iż specjalnie się o to stara. Drażni mnie właśnie ten jego wysiłek.

— No to sprawdźleś. — Cooper mierzy brata spojrzeniem; między nimi rozgrywa się cała bezsłowna rozmowa, której nie potrafię zrozumieć. — Spadaj.

— Powiedz mi coś, Mac.

— Odpuść, koleś. — Cooper odsuwa się od mnie i próbuje odprowadzić wyraźnie pijanego brata w stronę domu.

Evan spogląda na mnie znad butelki, pociąga łyk i odpycha brata.

— Już dawno chciałem cię o to zapytać. Czy bogate cizie lubią anal?

— Wystarczy, dupku. Zostaw ją.

— Czy płacicie innym, żeby to robiły za was?

Wszystko rozgrywa się w mgnieniu oka.

W jednej sekundzie Evan śmieje się ze swojego mało zabawnego żartu.

W kolejnej leży jak długi na ziemi, z ust płynie mu krew.

25. Cooper

Powaliłem go na glebę jednym ciosem. Evan już chwiał się na nogach, inaczej nie dałby się tak zaskoczyć. Na widok krwi spływającej na asfalt czuję lekkie ukłucie żalu, lecz cała skrucha pryska, kiedy Evan gramoli się na nogi i rzuca na mnie.

Wbija mi bark w żołądek i otacza ramionami w pasie; zataczamy się do tyłu, na moją ciężarówkę. Słyszę skądś głos Mackenzie krzyczącej do nas, ale to na nic. Evan się rozpędził; po kilku silnych ciosach w żebra już przestaje mnie interesować, kim jest. Coś we mnie pęka, a cały świat kurczy się do jednego celu: skopania tyłka bratu. Wymieniamy ciosy, potem turlamy się po ziemi na środku ulicy, zdzierając sobie skórę. Nagle ktoś mi unieruchamia ramiona i rozdziela mnie i Evana.

— Pierdol się! — wrzeszczy do mnie Evan.

— Sam się prosiłeś! — warczę.

Evan znów próbuje na mnie skoczyć.

Unoszę pięści.

Między nami robi się nagle tłok i zostajemy siłą rozdzieleni.

— Co wam strzeliło do łba! — krzyczy Heidi. Razem z Jayem Westem blokują Evana, stojąc między nami; ja odpycham ręce przynajmniej trzech innych gości z imprezy.

— Nic mi nie jest — burczy Evan. — Puśćcie mnie. — Wyrывa się z ich uścisku i gniewnie rusza ulicą.

— Ja po niego pójde — mówi Steph z lekkim westchnieniem.

Widząc, że walka się skończyła, wszyscy oprócz moich najbliższych przyjaciół wracają powoli do domu.

— Nie, niech ochłonie — radzi Alana.

Heidi rzuca mi spojrzenie z ukosa, po czym odchodzi sztywno. Jay drepcze za nią jak zakochany szczeniak. Ciekawe, czy przyszli razem. Mam nadzieję. Może wtedy Heidi przestanie tak mi docinać.

Steph i Alana z podobnie zachmurzonymi twarzami przyglądają mi się uważnie. No i co z tego. Mam głęboko w dupie, co o mnie teraz myślą. Evan zasłużył na każdy cios, jaki mu zadałem.

Mac ujmuje moją twarz i sprawdza obrażenia.

— Wszystko w porządku?

Krzywię się, kiedy jej palce przesuwają się po szybko puchnącym miejscu pod lewym

okiem.

— W porządku. — Sam równie uważnie wpatruję się w jej twarz. — Wszystko z nami dobrze?

Nie żałuję, że przywaliłem Evanowi za to, co nagadał — nikt nie będzie się tak odzywał do Mac — jednak przykro mi, że ona to widziała.

Cholera, jeśli to ją zniechęci...

Mac całuje mnie w policzek.

— Idź za nim.

Waham się.

— Zaczekam tu, aż wrócisz — obiecuje, jakby czytała mi w myślach.

Nie mam wyjścia, muszę jej uwierzyć. Poza tym Evan naładowany złością i alkoholem, wędrujący samotnie nocą po mieście, to przepis na katastrofę. Ruszam więc na poszukiwania. Dwa razy oglądam się za siebie — Mackenzie faktycznie stoi tam, przy ciężarówce.

W końcu doganiam Evana — zastaję go na ławce na placyku zabaw oświetlonym jedynie dwiema słabymi latarniami.

— Masz jeszcze wszystkie zęby? — pytam, siadając obok.

— Taaa. — Evan maca się po szczęce. — Bijesz jak dziesięcioletni dzieciak.

— Ale i tak skopałem ci tyłek.

— Miałem cię w garści.

— Gówno miałeś — odpowiadam, przyglądając mu się z uśmiechem.

Siedzimy w milczeniu przez jakiś czas, patrząc na huśtawki poruszane przez wiatr. Od lat nie stoczyliśmy tak zaciętej walki. Od lat nie okładaliśmy się naprawdę. Skłamałbym, gdybym twierdził, że nie czułem, na co się zanosi. Od dawna już mu się zbierało. Może jestem dupkiem, że nie porozmawiałem z nim o tym wcześniej. Ale przecież wylewanie swoich frustracji na Mac jest słabe, a ja nie mam zamiaru pozwolić mu na to.

— Pojechałeś po bandzie.

— No daj spokój, było trochę śmiesznie. — Evan garbi się na ławce i rozkłada nogi, jakby mógł się z niej ześlizgnąć do basenu.

— Mówię poważnie. Mac nic ci nie zrobiła. Masz problem ze mną, to dorośnij i powiedz mi o tym. Te kąśliwe uwagi i pasywna agresja muszą się skończyć.

— Chyba stawiasz mi ultimatum. — Evan patrzy na mnie z przechyloną głową. — To do tego już doszło?

— Do licha! Jesteś moim bratem. Jesteśmy jednej krwi. Tego nic nie zmieni. — Zniecierpliwiony kręczę głową. — Dlaczego tak ci odwala z jej powodu?

— Chodzi o zasadę. Coop, to klon. Ci ludzie mieszają nam w życiorysie od dzieciaka.

A może już zapomniałeś? Dupki, które ujeżdżały na wózkach golfowych, oblewały nas drinkami i spychały nasze rowery z drogi.

Raz Evan złamał przez nich rękę, kiedy jeden z klonów walnął go w oponę, a on przeleciał nad kierownicą i wpadł do rowu. Po tygodniu wróciliśmy i przecięliśmy im wszystkie cztery opony. To trwa latami. Walki. Wet za wet.

— To inni — przypominam mu — nie ona. Nie możesz karać Mac za wszystko, co zrobił ci każdy klon. Właśnie coś takiego bym jej zrobił, gdybym nie zrezygnował z tego planu. I też okazałbym się łajdakiem. Dlaczego nie możesz się na to zgodzić? — pytam z jękiem.

Jego ramiona sztywnieją.

Do cholery, wszyscy byliśmy widzami telenoweli pod tytułem „Evan i Genevieve”. Ich ciągłych sprzeczek przy ludziach; zmuszania nas do stawania po którejś ze stron w kłótniach, chociaż wcale nie chcieliśmy się do nich mieszać. Ich zerwań, sypiania z innymi, powrotów, jakby nic nie zaszło. Nigdy nie robiłem zamieszania z tego powodu i już z pewnością nie traktowałem Genevieve paskudnie w nadziei, że zniknie z naszego życia. Skoro Evan się w niej zakochał, to już jego osobisty problem.

Dlaczego więc teraz, kiedy znalazłem kogoś, na kim mi zależy, on zachowuje się jak dupek?

Evan wzdycha. Przesuwa dłońmi po włosach.

— Nie potrafię sobie z tym poradzić, wiesz. To mnie zżera. Dlaczego musi to być jedna z nich? Wystarczy, że zakrzywisz palec, a dziesięć lasek padnie przed tobą na kolana.

— Nie wiem, co ci powiedzieć. Ona jest inna. Gdybyś dał jej szansę, też byś to dostrzegł.

Nie ma powodu, żeby nam się z Mac udało. Nie potrafię go przekonać. I do licha, może się nam nie uda. Mac jest uparta i pewna siebie, kilka razy założyła mi za skórę. Lecz jest także atrakcyjna, zabawna, spontaniczna i ambitna. Jak się okazuje, to mój typ. Doprowadza mnie do szaleństwa. Nigdy nie spotkałem dziewczyny, która po randce zaprzęta mi głowę całymi dniami i tygodniami. Wbiła mi się w pamięć. A chociaż pod wieloma względami całkowicie się różnimy, ona mnie kręci jak rzadko która dziewczyna.

Jeśli się łudzę, jeśli to wszystko rozpadnie mi się w palcach — to trudno. Przynajmniej próbowałem.

— Nie dasz się przekonać, co? — odzywa się Evan, mięknąc powoli.

— Proszę cię, jako brata, żebyś to zaakceptował.

Evan zastanawia się chwilę — za długą jak na mój gust. Po raz pierwszy w życiu stajemy po przeciwnych stronach, co zmusza mnie do zadania sobie pytania, czy jednak

nie ma w nim zbyt wiele zaciekłości, zbyt wiele zapiekłej nienawiści do klonów, by dał mi się przekonać.

W końcu jednak znów wzdycha i podnosi się z ławki.

— No dobrze. Chyba nie da się uratować ciebie przed samym sobą. Wycofam się.

Biorę od Evana, co mi daje, i uznaję, że jesteśmy kwita. Wracamy na imprezę, pakuję brata do samochodu Alany i odsyłam do domu, by mieć pewność, że dotrze bezpiecznie, sam zaś zawożę Mac do akademika.

— Przykro mi z tego powodu — odzywam się po kilku minutach milczenia. Mac wygląda przez okno po swojej stronie, zatopiona w myślach. Martwi mnie to. — Nie miało to nic wspólnego z tobą. Evan ma w sobie sporo złości, wyrzuca ją, gdzie popadnie.

— Bracia nie powinni walczyć.

Czekam niepewny, czy to zdanie kryje w sobie coś więcej. Przeciągająca się cisza martwi mnie jeszcze bardziej.

— Mackenzie, porozmawiaj ze mną — mówię lekko schrypniętym głosem.

— A jeśli to zły pomysł?

— Nie.

— Poważnie. — Kątem oka widzę, jak mi się przygląda. — Nie chcę, żebyś pokłócił się z nim przeze mnie. To nikomu nie wyjdzie na dobre. Ty będziesz się przejmował tym, że on jest obrażony, a ja będę się przejmować tym, że ty się martwisz. Wszyscy przegramy.

I właśnie z tego powodu Evan powinien wziąć się w garść i zostawić nas w spokoju. Mac nie jest tą osobą, którą sobie wyobraził, a jeśli w ogóle kiedyś ją zrozumie, przekona się, jak niesprawiedliwie ją potraktował.

— Evanowi to przejdzie.

— A jeśli nie? Takie rzeczy mogą długo siedzieć w człowieku.

— Nie martw się tym, Mac. Naprawdę. — Nie interesuje mnie, czy brat chce się zachowywać jak obrażony smarkacz, pod warunkiem że przy Mac się postara i zachowa swoje uwagi dla siebie. Całe życie poświęciłem nam dwóm — Evanowi i mnie. Jednak tę jedną rzecz chcę mieć dla siebie.

Widocznie niespecjalnie mi idzie pocieszanie Mac, gdyż słyszę jej zmartwione westchnienie.

— Cooper, nie chcę stawać między tobą a twoim bratem.

Rzucam na nią spojrzenie. Surowe.

— Dokonałem wyboru. Chcę, żebyśmy byli razem. Evan sobie poradzi.

W jej oczach odbija się niepokój.

— Co to w ogóle znaczy: być razem? Wiem, wcześniej uznaliśmy, że randki, a chociaż wydawało mi się, że to mi nie przeszkadza...

— Wydawało ci się? — pytam burkliwie.

— Potem jednak poszliśmy na imprezę; widziałeś, jak wszyscy się na nas gapili? Nie, nie na nas. Na mnie. Jakbym była z innej planety. Ta jedna... Heidi... spojrzała na mnie tak, że mróz mnie obleciał. Podśluchałam też dwie dziewczyny, które nazwały mnie bogatą snobką; mówiły, że moja sukienka jest niedorzeczna.

— Dlaczego miałyby być niedorzeczna? — Ze swojego miejsca widzę tylko, że jej krótką żółta sukienka jest niedorzecznie seksowna.

— Bo to Givenchy, a jak się domyślam, na domówkę nikt nie wkłada sukienki za tysiąc dolarów. — Policzki Mac czerwienieją z zażenowania. — Większość ubrań kupuje mi asystentka mamy. Jakbyś nie zauważył, moda mnie nie obchodzi. Chodzę w dzinsach i T-shirtach. — Jej głos nabiera coraz bardziej rozpaczliwego tonu. — Włożyłam tę głupią sukienkę tylko dlatego, że jest słodka, letnia i krótka, wiedziałam, że doprowadzi cię do szału.

Tłumię śmiech. Tłumię też cisnący się na usta komentarz na temat żółtej szmatki zakrywającej jej wspaniałe ciało, kosztującej tysiąc dolców.

— Ale może wyszłam na taką, co się obnosi z kasą? Nie wiem. Wcale tego nie chciałam. Wiem tylko, że nikt mnie tu dzisiaj nie chciał.

— Ja chciałem.

— Ty się nie liczysz — mówi z niezadowoleniem.

Wyciągam rękę nad konsolą i chwytam jej dłoń; zmuszam ją, by splotła palce z moimi.

— Tylko ja się liczę — poprawiam.

— Oni też — sprzeciwia się Mac. — Masz całą paczkę przyjaciół, znacie się od lat. Ja mam całą dwójkę przyjaciół, jedna z nich to moja współlokatorka, więc, powiedzmy, że musi mnie lubić z urzędu.

Teraz już śmiech wrywa mi się z gardła.

— Chciałabym mieć tylu przyjaciół co ty. Zazdrozczę ci — mówi szczerze. — Naprawdę chciałam się im dzisiaj spodobać.

Puszczam jej dłoń i zjeżdżam ciężarówką na pobocze. Hamuję i odwracam się do Mac ze stanowczym spojrzeniem.

— Złotko. Mnie się podobasz. W porządku? A moi przyjaciele w końcu się przekonają i też cię polubią. Obiecuję.

Mac marszczy brwi.

— Nie obiecuj, jeśli nie możesz tego dotrzymać.

— Naprawdę. Trochę czasu — mówię szorstko. — Nie uciekaj ode mnie, od tego wszystkiego, tylko dlatego, że dzisiaj nie powitano cię z otwartymi ramionami, a kilka dziewczyn oplotkowało ci sukienkę, która, jeśli chcesz wiedzieć, jest niewiarygodnie atrakcyjna; najchętniej zdarłbym z ciebie zębami tę szmatkę za tysiaka.

Mac śmieje się, chociaż słabo.

— Proszę. — Niemal żenuje mnie nuta błagania, jaką słyszę w moim głosie. — Nie uciekaj ode mnie, księżniczko.

Cienie w kabinie tańczą na jej ładnej twarzy; Mac siedzi chwilę w milczeniu. Zanim da odpowiedź, upływa cała wieczność.

Zielone oczy błyskają w reflektorach przejeżdżającego samochodu; Mac przechyla się i całuje mnie. Mocno. Z dużą ilością języka. Potem odsuwa się zdyszana.

— Nie ucieknę od ciebie — szepcze.

26. Mackenzie

Trochę czasu, powiedział.

Przekonają się do ciebie, powiedział.

No cóż, teraz ja mam ochotę złapać Coopera na ściemnianiu. Od katastrofalnej imprezy moje serce walczy z mózgiem; ze wszystkich sił staram się podbić „paczkę”-Coopera. Chociaż się nigdy nie przyzna, wiem, że martwią go tarcia z przyjaciółmi z mojego powodu; nie chcę, żeby przeze mnie odsunął się od bliskich mu ludzi. Oni wszyscy są w jego życiu obecni o wiele dłużej ode mnie. Według mnie nie ma przeszkód, żebyśmy nie mogli się wszyscy dogadać.

Zatem próbuję. Naprawdę próbuję ze wszystkich sił. Czy to w barze, grając w strzałki, czy na plaży przy ognisku. W ciągu ostatnich kilku tygodni staram się zrobić wyłom w ścianie. Większość kolegów Coopera — Tate, Chase, Wyatt — chyba już się całkowicie do mnie przekonała. Pewnego wieczoru poszliśmy nawet na kolację z Chase’em i jego chłopakiem, sympatycznym słodziakiem o imieniu Alec, także studentem Garneta. Tylko że oni się nie liczą, bo to nie ich chcę podbić. Chcę zdobyć sympatię paczki, kręgu wewnętrznego.

Oprócz Steph, która nadal jest moją sojuszniczką, nie potrafię przebić żelaznej kurtyny, którą wzniosły Alana i Heidi. Ostatnio Evan nie odnosi się do mnie z otwartą wrogością, jednak chyba wybrał opcję milczącego traktowania. *Jeśli nie możesz powiedzieć nic miłego...* i tak dalej.

Dlatego właśnie miałam nadzieję, że dzisiaj trafi się doskonała okazja do spotkania w mniejszym gronie. Tylko paczka. Pianki z ciastkami pieczone nad ogniskiem, jakieś horrory, może jakaś gra w stylu „pytanie czy zadanie” albo „czy kiedyś w życiu”... nawiązywanie więzi i takie tam.

No i oczywiście wczesnym popołudniem przelotne deszcze zapowiadane na wieczór zamieniają się porządną burzą, po czym przez obie Karoliny przebiegają ostrzeżenia przed tornadem.

Cudownie. Nawet pogoda mi nie sprzyja.

Godzinę temu Cooper z Evanem wyjechali pomóc Leviemu zabezpieczyć jeden z jego placów budowy. Siedzę więc sama u nich w domu z pięcioma kilogramami zimnych skrzydełek na ostro i chlebem czosnkowym z serem; za przesuwanymi szklanymi drzwiami niebo nad zatoką ciemnieje złowieszczo. Nie mam wiele do roboty, a ponieważ

tak się składa, że uwielbiam burze — to przenikające jak prąd przecucie chaosu — otwieram drzwi od podwórza, by wpuścić chłodne powietrze, a sama zwijam się na kanapie z podręcznikiem. W tle cicho gada telewizor nastawiony na wiadomości lokalne; w nich prezenterzy pogody stoją przed obrazami z radarów pełnymi czerwonych i pomarańczowych plam, przerzucając się sformułowaniami w rodzaju „szukać schronienia przy ziemi”.

Czytam tekst zadany na antropologię, oglądam na laptopie filmiki na zajęcia z medioznawstwa — nagle tuż za drzwiami oślepiająco błyska piorun, a tuż po nim następuje grzmot, który wstrząsa domem. Nagłe uderzenie wiatru z deszczem niemal pozbawia mnie tchu. Daisy, dotąd zwinięta w kłębek pod kocem w moich stopach, wyskakuje z pokoju i pędzi do swojej ulubionej kryjówki pod łóżkiem Coopera. Na zewnątrz leją się potoki wody, skrywając świat za srebrną kurtyną. Zeskakuję z kanapy i szybko zasuwam drzwi, po czym ścierką do naczyń wycieram wodę, która zdążyła przecieknąć do pokoju.

I wtedy to słyszę — słaby jęk z oddali.

— Daisy! — krzyczę, rozglądając się wokół. Czyżby psica wybiegła na dwór, korzystając z mojej nieuwagi?

Nic z tych rzeczy. Szybko zaglądam do pokoju Coopera — Daisy leży pod łóżkiem, przednie łapy położyła płasko na deskach, a między nie wcisnęła pyszczek.

— Czy to ty płakałaś, malutka? — pytam i jednocześnie podskakuję, gdyż dźwięk rozlega się znowu. To raczej wrzask niż jęk. Zdecydowanie dobiega z zewnątrz.

W czasie burzy słychać jej krzyki...

Po głowie tłuką mi się słowa Evana, puls mi przyspiesza. Czy poważnie mówił o tym, że dom jest nawiedzony? Jak on ją nazwał, do licha...

— Patricia? — mówię słabym głosem, ostrożnie rozglądając się po pokoju. — Czy to ty?

Lampa nad moją głową zaczyna migać.

Z gardła wyrывa mi się zdławiony krzyk zaskoczenia; Daisy cofa się jeszcze głębiej, w końcu znika pod łóżkiem.

Wychodzę z pokoju Coopera, serce wali mi jak młotem. Świece. Powinny gdzieś tu być świece na wypadek awarii prądu. W tej chwili nic nie wydaje się gorsze od siedzenia po ciemku i nasłuchiwania krzyków dziecka, które zginęło sto lat temu.

Jakby na rozkaz przenikliwe odgłosy znów zaczynają — kakofonia dźwięków miesza się z trzaskiem grzmotów obok starego domu na plaży.

— Patricia! — wołam. Głos mi już nie drży, w przeciwieństwie do rąk. — Słuchaj, może się uspokoimy? Wiem, bycie martwą to pewnie kiepska sprawa, ale to nie znaczy,

że masz wrzeszczeć na całe gardło. Jakbyś tak zaczęła używać normalnego głosu, to chętnie usiądę i wysłucham, co masz do...

Powietrze przeszywa kolejny wrzask.

— Albo nie — wycofuję się. — Dobrze. Wygrałaś, Patricio. No to strasz mnie dalej.

W kuchni zaczynam otwierać dolne szafki w poszukiwaniu świec lub latarek. Znajduję paczkę podgrzewaczy do herbaty; oddycham z ulgą. Dobrze. Teraz złapię tylko jedną z niezliczonych zapalniczek z ławy i mam wszystko.

Kiedy wracam do salonu, moją uwagę przykuwa dzwonek. Najpierw biorę go za dźwięk mojego telefonu, ale po chwili uświadamiam sobie, że wciąż mam go w kieszeni. Kierując się słuchem, idę do kuchni — na blacie właśnie przestał podskakiwać telefon-Coopera. Cholera. Zapomniał go. Na wciąż podświetlonym ekranie widzę kilka nieodebranych połączeń i SMS-ów. Nie przyglądam im się tak długo, by je przeczytać, nie chcę wścibiać nosa w sprawy Coopera, widzę jednak imiona Steph i Alany.

Przy takiej liczbie połączeń i wiadomości to musi być coś pilnego. Skontaktowałamby się z Evanem i przekazała im wiadomość, lecz nie mam jego numeru, a nie mogę odblokować telefonu Coopera, żeby go sprawdzić. Jeśli to ważne, dziewczyny w końcu zadzwonią do Evana, rozumiem logicznie. Zajmuję się więc swoimi sprawami i wracam do nauki.

Jednak dzwonienie nie ustaje. Przez następne pół godziny mniej więcej co pięć minut telefon Coopera podskakuje na blacie w kuchni. Cholera. Przy kolejnym dzwonku łapię za niego i tym razem odbieram.

— Halo, Steph — mówię, gdyż na ekranie wyświetliło się jej imię.

— Kto mówi?

— Mackenzie. Cooper wyjechał z Evanem i Levim. Zostawił telefon.

— Cholera — wzdycha Steph z frustracją. — Próbowałam się dodzwonić do Evana, ale on też nie odbiera.

— Co się dzieje?

— Cieknie nam sufit w łazience. Usłyszałyśmy trzask, jakby na dach spadło drzewo, i nagle woda zaczęła spływać po ścianie.

— Nic wam nie jest?

— Nam nie, ale musimy coś z tym zrobić, zanim cały dom nam zaleje. Porozkładałyśmy ręczniki, ale wody jest za dużo, nie mamy jak tego zatrzymać.

Cholera. Skoro nie mogą dodzwonić się do Evana, to znaczy, że obaj bliźniacy wciąż pomagają wujowi. W tym momencie burza naprawdę szaleje, raz po raz rozbłyskuje błyskawica i trzaska grom, wiatr z deszczem siecze okna. Z radaru w telewizji wynika, że szybko to nie minie — a w takim razie Steph i Alana niedługo będą potrzebować tratwy.

Zastanawiam się przez chwilę. Przypominam sobie, że ciężarówka Coopera wciąż tu jest, kluczyki leżą na ławie. Na pewno w garażu są wszystkie narzędzia, jak również drabina i papa.

W głowie zaczyna mi kiełkować plan.

— Dobrze. Zapisz mój numer telefonu i prześlij mi adres — mówię do Steph. — Jadę do was.

— Hm... — W tle słychać stłumiony głos; zapewne to Alana. — Nie wiem, czy to...

— Zabiorę kilka rzeczy z garażu Coopera i jadę do was. Uwierz mi, zadziała.

— No dobrze — ulega w końcu Steph, być może nawet z nutą ulgi w głosie.

Rozłączamy się, a wtedy pożyczam z szafy Coopera płaszcz przeciwdeszczowy, chwytam kluczyki i biegnę przez deszcz i błoto do garażu. W środku pod ścianą Cooper poustawił wszystkie możliwe materiały budowlane pozostałe z remontów, które prowadzili z Evanem w domu. Między nimi znajduję jakiś czarny materiał podobny do winylu i sznurek. Na szczęście Cooper trzyma porządek w rzeczach, więc bez większego trudu znajduję młotek, gwoździe i duży pistolet do gwoździ. Nada się.

Dziesięć minut po zakończeniu rozmowy ze Steph podjeżdżam ciężarówką Coopera pod drzwi garażu, ładuję wszystko na pakę, mocuję się z czterometrową drabiną, po czym ruszam do domu Steph i Alany.

Kiedy stoję pod małym niebieskim budynkiem, wszystko wydaje się w porządku. Od przodu nie widać żadnych uszkodzeń. Dzwonię do drzwi, Steph otwiera i wciąga mnie do środka; za mną wdziera się deszcz i tworzy kałużę wokół moich stóp.

— Tędy — mówi Steph po szybkim powitaniu. Prowadzi mnie na osłoniętą siatką tylną werandę — stamtąd widzę konary zwisające z tylnego rogu domu. — Mamy szczęście, że poprzedni huragan udało nam się przetrwać bez szwanku, gałęzie wisały nad domem. To była kwestia czasu.

— Evan wciąż obiecywał, że przyjedzie je przyciąć. — Na werandę wychodzi Alana z naręczem mokrych ręczników. — Ale oczywiście zapomniał.

Steph zerka na nią przelotnie.

— Może wrzucić je do suszarki, będziemy miały na wymianę, kiedy tamte przemokną. Alana wzdycha.

— Mam nadzieję, że nikt nie chciał dzisiaj iść pod prysznic.

— Pomóżcie mi tu na zewnątrz — mówię do nich. — Przede wszystkim musimy wejść na dach i ściągnąć te gałęzie. Przy takim wietrze i deszczu mogą narobić jeszcze więcej szkody, jeśli tam zostaną.

— Co takiego? — Steph patrzy na mnie przerażona. — Chyba nie chcesz tam wejść?

— A czego się spodziewałaś? — Śmieję się ironicznie. — Chyba nie chciałaś, żeby-

Cooper przywiózł wam ręczniki?

— Ale to niebezpieczne. Jest burza.

Oczywiście Steph ma rację. Jednak alternatywą jest zalanie całego domu i ogromna dziura w dachu. Zresztą trzy lata w liceum spędziłam na robieniu dekoracji do teatryku szkolnego. Kiedy trzeba, potrafię całkiem sprawnie majsterkować.

— Wejdę na dach, obwiążę liną gałęzie i spuszczę je na dół, wy je odbierzecie. Potem zaniosę tam coś, żeby zakryć dziurę. Pójdzie szybko — kłamię. Nie pójdzie szybko. Jednak trzeba to zrobić, a im dłużej Steph będzie nas tu trzymać i martwić się, tym trudniej będzie to naprawić.

— Mów, co robić — odpowiada Alana, kiwając głową. To chyba najdłuższa jej wypowiedź do mnie pozbawiona sarkastycznego uśmiechu. Może robimy postępy.

We trójkę przedzieramy się w deszczu po materiały złożone na podwórku i opieramy drabinę o ścianę domu. Dywan w salonie już pójdzie na straty. Wiem, że wchodząc po metalowej drabinie w czasie burzy, ryzykuję życie, lecz od ostatniej błyskawicy minęło kilka minut, więc korzystam z okazji i wspinam się z liną zarzuconą na ramię.

W pożyczonych od Steph butach górskich wchodzę na spadzisty dach. Każdy krok przypomina pierwsze kroki na łyżwach, tyle że tutaj nie mogę chwycić barierki, żeby się podeprzeć. Uważnie unikając gwałtownych ruchów, wiążę linę wokół ogromnego, rozwidlonego konaru, po czym zwijam jej luźną część i mamrocząc zdrowaśki, zarzucam ją na wystającą gałąź, żeby posłużyła jako bloczek. Udaje mi się za pierwszym razem. Naprawdę.

Steph i Alana z całych sił starają się podtrzymać ciężar, ja zaś ostrożnie spycham konar na bok domu. Kiedy dziewczyny ściągają go na ziemię, od razu dostrzegam kilka brakujących dachówek i szeroką na stopę dziurę wybitą w dachu — wlewa się przez nią woda.

Ostrożnie schodzę na ziemię, gdzie dziewczyny już rozwiązały linę.

— Bardzo źle? — pyta Steph, na próżno wycierając sobie zalewaną deszczem twarz. Stoimy w błocie głębokim na jakieś cztery cale. Podwórko właściwie już zalało, moje stopy piszczą w butach Steph przy każdym ruchu.

— Niezbyt duża, ale dziura z pewnością jest — donoszę.

Musimy do siebie praktycznie krzyczeć przez ogłuszający ryk wichru i deszczu walącego w metalowy dach werandy i szumiącego w drzewach.

Odsuwam z czoła mokre włosy.

— Na razie trzeba jakoś ją zakryć i mieć nadzieję, że niedługo przestanie padać.

— Czego potrzebujesz? — Alana mierzy mnie niespokojnym spojrzeniem spod daszka bejsbolówki. Płomiennorude włosy przylepiły się jej do karku.

— Wezmę pistolet do gwoździ, młotek i gwoździe. Potem wy ze Steph przywiążecie do liny plandekę, a jak wejdem, to ją wciągnę.

— Uważaj — przypomina mi Steph po raz piąty.

Doceniam jej troskę, ale naprawdę chcę już to skończyć i móc się wysuszyć. Palce zaczynają przypominać suszone śliwki, w tyłku mam cały nasiąknięty wodą klin, chłód przenika mnie do kości. Dziewczyny pomagają mi wciągnąć plandekę, nożem Alany odcinam odpowiedniej wielkości kawałek, mocuję pistoletem do gwoździ, żeby się nie przesuwiała, kiedy będę wbijać mocniejsze gwoździe. Trzęsę się mocno, zęby mi szcękają, wbijanie gwoździ trwa w nieskończoność.

— Wszystko dobrze? — woła Steph z ziemi.

Wbijam gwóźdź do połowy, po czym nie trafiając, bo młotek się obsuwa i zaginam draństwo. A niech tam. Wystarczy.

— Schodzę! — krzyczę.

W pośpiechu schodzę po drabinie i wszystkie wpadamy do wewnątrz, zostawiając plandekę i linę na podwórku — akurat w tej chwili chyba tuż nad naszymi głowami rozlega się przeraźliwy trzask.

W pralni rozbieramy się do bielizny i wrzucamy do pralki mokre i zabłocone ciuchy.

— O mały włos. — Alana obdarza mnie szerokim, pełnym ulgi uśmiechem, który odwzajemniam z całego serca; obie, jak widać, zdajemy sobie sprawę, że uniknęłyśmy niebezpieczeństwa o włos.

— To było ryzykowne — mówi Steph z niespokojnym spojrzeniem. — Co bym powiedziała Cooperowi, gdyby cię tam poraziło?

— No coś ty. — Alana wyciąga z szafki trzy koce, żebyśmy się rozgrzały. — Musiałybyśmy ukryć ciało i powiedzieć Cooperowi, że wyjechałaś — mówi, a ja rzucam jej spojrzenie spod uniesionych brwi, na co ona z beztroskim uśmiechem wzrusza ramionami. — No co! Nie widziałas, jak Cooper potrafi się wściec. Wtedy to już będzie samoobrona.

Razem z Alaną wchodzę do salonu. Steph nastawia kawę w dzbanku. Trzęsę się, zwijam się na kanapie i otulam kocem. Dzwoni telefon Alany.

— Hej — mówi Alana. — Tak, domyśliłyśmy się. Jest tutaj. Jasne. No to narka. — Odkłada telefon i siada obok mnie. — Już tu jadą.

— Pożyczyłybyście mi ciuchy na drogę do domu? — pytam. Moje rzeczy właśnie się piorą, a wolałabym wyjść stąd ubrana w coś więcej niż tylko bieliznę i przeciwdeszczówkę Coopera.

— Nie ma problemu.

Wraca Steph z kawą. Zwykle piję ze śmietanką i ogromną ilością cukru, lecz w tej

chwili nie jestem wybredna; niemal wrząca kawa doskonale wypędza ziąb z ciała.

— No dobrze, naprawdę dałaś czadu — przyznaje Steph, wciskając się na kanapę między Alanę i mnie. — Nie posądzałabym cię o zdolności do pracy fizycznej. — Uśmiecha się nieco przepraszająco, kiedy uświadamia sobie, że mogłabym uznać jej słowa za obraźliwe.

— W drugiej klasie liceum miałam chemika, którego obsesją było podnoszenie średniej za pomocą niewiarygodnie trudnych kartków. Jedynym sposobem na dodatkowe punkty było udzielanie się w szkole, więc zgłosiłam się do pomocy przy budowaniu scenografii do przedstawień szkolnych. Nawet mi się to podobało, z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy Robbie Fenlowe o mało nie przewiercił mi palca. — Pokazuję Steph bliznę na palcu wskazującym. — Rozszarpał mi go trochę.

— Faj, to paskudne.

— Ale serio — odzywa się Alana, której policzki czerwienieją tak mocno, że niewiele różnią się od włosów — dzięki, że przyjechałaś. Bez ciebie byłybyśmy w głębokiej dupie.

— Noo — śmieje się Steph. — Alana nie nadaje się do niczego, panicznie boi się wysokości.

Alana obrzuca ją gniewnym spojrzeniem i unosi środkowy palec.

— Dzięki, suko.

— No co! — Steph wzrusza ramionami. — To prawda.

— Jestem miła, widzisz? Odczep się ode mnie.

Nie znam Alany, lecz wydaje mi się, że nastąpił przełom. Żeby do niej dotrzeć, wystarczył akt heroizmu i rzucenie śmierci wyzwania. Dwie trzecie sukcesu. Jeśli jeszcze zdołam wymyślić, jak zmiękczyć Heidi, to jestem wygrana.

Przez kolejne piętnaście minut rozmawiamy. Mówię im o hotelu, który kupiłam, wtedy Steph zarzuca mnie wszelkimi możliwymi informacjami, zebranymi w ciągu trzech letnich sezonów, które tam przepracowała. Zdaję sobie sprawę z tego, jak bezcenna to wiedza, więc zapisuję w pamięci, by zaprosić ją na miejsce, kiedy już przejmę hotel w posiadanie. Jej wiedza naprawdę się przyda.

— Pomoc przybyła! — Chwilę później do pokoju wpada Evan, bez koszuli, ociekający wodą. — Gdzie się pali?

Na pewno ktoś o czymś takim mógłby fantazjować. Co jest dziwne, gdyż chociaż sypiam z jego bliźniakiem, półnagi Evan w ogóle na mnie nie działa.

— Spóźniliście się jakieś dwie godziny — odpowiada bez ogródek Alana, na której wielkie wejście nie zrobiło żadnego wrażenia.

— Przepraszam. — Evan z wdziękiem zmokłego psa otrzepuje włosy z wody i rzuca

jej sarkastyczne spojrzenie. — Zapewne obetniesz mi to z pensji, bo przecież nie stawiałem się na pierwsze zawołanie.

Cooper musi praktycznie przepchnąć brata przez drzwi, żeby wejść do środka, a nie stać na deszczu. Wydaje się nieco skonsternowany, widząc mnie na kanapie u swoich koleżanek, owiniętą kocem jak przemoczony corn dog.

— Zauważyłem moją ciężarówkę przed domem — mówi, unosząc brwi. — Sama przyjechałaś z pomocą, co?

W odpowiedzi na jego krzywy uśmiech wzruszam ramionami.

— I jeszcze ukradłam ci trochę materiałów. Chyba masz na mnie zły wpływ.

Cooper wybucha śmiechem.

— Czyżby?

Błysk w jego oku sprawia, że zaczynam się czuć jak przy grze wstępnej. Tak szybko się to dzieje w jego obecności. Od zera do „przeleć mnie” w ciągu całych dziesięciu sekund. Mimo woli zaczynam się zastanawiać, czy wszyscy to widzą, a jednak nie obchodzi mnie to. Cooper Hartley wchodzi do pokoju, a ja tracę rozum. Nie znoszę tego. Uwielbiam to.

— Mamy szczęście, że przyjechała — mówi Steph, podczas gdy panowie nalewają sobie kawę w kuchni.

— Ta wariatka weszła na dach i sama załatała dziurę. — Alana wyciąga swój kubek do Evana; ten dolewa jej kawy, przewracając oczami na widok naszej trójki zawiniętej w kokony z koców. — A przy okazji — dodaje — nie korzystajcie z łazienki dla gości. Zamieniła się w akwarium.

— Tapeta i tak była tam okropna — zauważa Steph, co z niewiadomego powodu wywołuje atak chichotu u Alany i u mnie.

— Chwila. — Cooper zatrzymuje się w miejscu, na środku salonu i odszukuje mnie nieufnym spojrzeniem. — Weszłaś na dach?

— Chyba odkryłam w sobie nowe powołanie — mówię, popijając łyčzkami kawę. — Sama odnowię hotel, jak ci ludzie w telewizji.

— Oo! — Steph klepie mnie w ramię. — Zaklepuję sobie prowadzenie reality show.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że kupiłaś „Latarnię” — dziwi się Alana. — To tak zupełnie niespodziewane.

Cooper z rozmachem stawia kawę na stoliku z telewizorem; płyn wychlapuje się, zapada pełna zdziwienia cisza.

— Żadna z was nie próbowała jej zatrzymać?

— Coop, nic się nie stało — odpowiada Steph, nie zwracając uwagi na jego wybuch.

— To było tylko trochę deszczu.

— To nie twoja dupa tam siedziała.

Uderza mnie natężenie jadu w jego głosie. Nie wiem, skąd ten nagły gniew. Czy to, co zrobiłam, było naprawdę rozsądne? Nie. Ale nikt nie ucierpiał... oprócz tyłka Coopera, jak widać.

Odwracam się do niego z lekko skrzywioną miną.

— Hej, nic się nie stało. Nic mi się nie stało. Dziewczyny potrzebowały pomocy, więc zaproponowałam, że przyjadę. To była moja decyzja.

— Mam w dupie, kto zdecydował o tej głupocie. Powinnaś być mądrzejsza — odpowiada Cooper protekcyjnym tonem, nieco podobnym do tego, jaki przybrał Preston, kiedy pokazałam mu hotel.

Teraz już mnie wkurzył. Dlaczego każdy facet, z którym się umawiam, wchodzi w rolę mojego ojca? Nie zerwałam z Prestonem po to, żeby ktoś inny traktował mnie jak dziecko.

— A wy dwie — Cooper ze złością spogląda na dziewczyny — powinnyście być ją powstrzymać.

— Koleś, wyluzuj. — Alana ze znudzonym westchnieniem odrzuca głowę do tyłu. — To duża dziewczynka. A my się cieszymy, że tu jest. — Czuję, że to najszczerze przeprosiny, na jakie mogę u niej liczyć. Nasze dzisiejsze zmagania stopiły chłód, jakim mnie dotąd darzyła; teraz chyba jesteśmy już w dobrych układach.

— Wal się, Alana. Ona to zrobiła tylko po to, żebyście ty i Heidi zaczęły ją lepiej traktować.

— Nie przypominam sobie, żebym cię wybrała na mojego rzecznika — mówię ostro. Dzięki, głupku. Już do czegoś doszłam, a ty naprawdę nie pomagasz.

Cooper podchodzi do kanapy i staje nad nami wyprostowany.

— Mogłaś zginąć — warczy w odpowiedzi. — Jakbyś nie zauważyła, to wokół szaleje huragan.

Szczęka mi spada.

— Jaja sobie robisz? Jakbym nie zauważyła? Nagle zacząłeś się martwić o moje bezpieczeństwo? To ty zostawiłeś mnie samą u siebie w domu w szalejącym huraganie. Całkiem samą! Tylko z Patricią, która wyła jak potępieniec!

Cooper spogląda na mnie jak na wariatkę.

— Ona ma na imię Daisy.

Z trudem wstaję z sofy owinięta kocem jak togą.

— Nie mówię o psie! Mówię o Patricii!

— Nie mam pojęcia, kto to jest Patricia, wariatko!

— Ta dziewczynka, co sto lat temu utopiła się koło waszego domu i...

Urywam nagle i wściekle spojrzenie przenoszę na Evana. Jego usta drgają mocno.

— Ty dupku! — wybucham. — Serio?

Evan zakłada ręce na piersi.

— Mackenzie, złotko. Nie mam zamiaru przeproszać za to, że okazałaś się łatwowierna. Tym razem twoja strata.

Alana i Steph pokładają się ze śmiechu. Steph ze łzami w oczach wydobywa z siebie wyrażenie „dziewczynka, która się utopiła”, po czym znów zanosi się śmiechem.

Stojący przede mną Cooper najwidoczniej bardzo stara się powstrzymać śmiech.

— Nawet nie próbuj — ostrzegam, dźgając palcem przestrzeń między nami.

— Właściwie — Cooper trzęsie się z tłumionego śmiechu — to on ma rację. Tym razem przegrałaś.

Rzucam mu oburzone spojrzenie.

— To sadysta! A ty jesteś świrem.

— Ja świrem? A przypomnij mi, kto to wszedł na dach i o mało nie oberwał piorunem?

— Boże, nic takiego się nie stało. Teraz naprawdę się wygłupiasz. — Z oburzeniem kładę ręce na biodrach, zapominając o owijającym mnie kocu.

Koc opada na mokry dywan, a ja zostaję tylko w czarnym sportowym staniku i różowych odblaskowych majtkach bikini.

Evan oblizuje dolną wargę.

— O tym właśnie mówię.

Pomimo chwilowego żaru widocznego na twarzy Cooper wciąż mówi spokojnym głosem.

— Bierz ciuchy, Mac. Jedziemy.

— Nie — odpowiadam z uporem.

Cooper mruży oczy.

— Jedziemy.

— Nie. Teraz tu mieszkam.

Alana prycha.

— Mackenzie — Cooper robi krok do przodu — chodź.

— Nie. — W gardle nagle mi zasycha. W powietrzu drży napięcie. Nie wiem, czy Cooper jest zły, czy napalony, lecz jego strzelające iskrami oczy wysysają tlen z całego pokoju.

Przelotnie zerka na brata.

— Evan, daj kluczyki. Możesz wrócić moją ciężarówką.

Z domyślnym uśmiechem Evan sięga do kieszeni i rzuca bratu kluczyki.

Wysuwam szczękę.

— Nie wiem, co sobie wyobrażasz, ale ja nie jadę...

W następnej sekundzie Cooper przerzuca mnie sobie przez ramię i idzie do drzwi, a ja mam przed oczami jego mokre buty.

— Postaw mnie! — wrzeszczę, lecz ulewa, która dopada nas natychmiast za drzwiami, zagłusza moje wściekłe protesty.

Cooper bezceremonialnie wpycha mnie na siedzenie pasażera w jeepie Evana, po czym biegnie na miejsce kierowcy. Zapala silnik i odwraca się, by na mnie spojrzeć — a ja już znam odpowiedź na pytanie: zły czy napalony.

Jego spojrzenie topnieje.

— Jak tylko wrócimy do domu, natychmiast w ciebie wejdem.

Groźba. Obietnica.

Napalony.

Zdecydowanie napalony.

27. Mackenzie

— Pod prysznic. Już.

Szorstki rozkaz Coopera przyprawia mnie o dreszcz. Dopiero co wpadliśmy biegiem z jeepa do domu, w tym czasie przemokliśmy do suchej nitki. Wciąż jestem tylko w bieliźnie i znów zaczynam szcząkać zębami. Na szczęście już niedługo kończy się ziąb. Cooper odkręca gorącą wodę w swojej łazience i po chwili znad kabiny prysznicowej wydobywają się kłęby pary.

Zrzucam stanik sportowy i majtki i wchodzę pod prysznic; jękiem radości witam ciepło otaczające moje ciało. Za moment temperatura skacze o kolejne sto stopni, gdyż do kabiny wchodzi nagi Cooper.

Silne ramiona otaczają mnie i przytulają. Plecami opieram się o szeroką klatkę piersiową. Na pośladkach czuję długie wyrzuszenie jego wzvodu.

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa. — Jego ochryple słowa toną w szumie prysznic.

— Naprawdę? A mnie się wydaje, że to ty doprowadzasz mnie do szaleństwa. — Dreszczem rozkoszy reaguję na jego duże dłonie przesuwające się po moich żebrach i obejmujące piersi. Sutki mi twardnieją.

— Mogłaś na tym dachu zrobić sobie krzywdę.

— Ale nie zrobiłam.

— Naprawdę bałaś się siedzieć tu sama? — pyta z nutą poczucia winy.

— Tak jakby. Słyszałam jęki na zewnątrz, a światła wciąż mrugały.

Cooper śmieje się cicho.

— Wiatr faktycznie głośno tu wyje. Musimy też wymienić większość elektryki, bo już ledwo działa.

— Głupi Evan — mamrocze wkurzona, że udało mu się doprowadzić do tego, iż zakwestionowałam swoją dotychczasową niewiarę w duchy.

— A może przestaniemy rozmawiać o moim bracie, kiedy oboje jesteśmy nago? — proponuje Cooper.

— Racja. — Odwracam się, wsuwam rękę między nas i ujmuję go w dłoń.

Cooper wstrząsa się.

— Taaak. Rób tak dalej.

— Jak? Tak? — Zaciskam palce na penisie i głaszczę go drażniąco.

— Mmm...

— Albo... — Ściskam znów, po czym powoli przesuwam palce, a potem opadam na kolana. — Albo może... to?

Zanim Cooper zdąży odpowiedzieć, biorę go w usta i zaczynam lekko ssać.

Cooper z jękiem wyrzuca biodra do przodu.

Czuję w żyłach nagłą falę czystej mocy. Mogłabym się do tego przyzwyczaić — do pełnej satysfakcji świadomości, że to ja wywołałam ten głodny, rozpaczliwy wyraz na tej surowej twarzy. Że teraz, w tej chwili, mam go całkowicie w garści — a raczej na końcu języka. Liżę go krótko, a on wydaje ochryply dźwięk, na który reaguję uśmiechem.

— Drażnisz się — mamrocze.

— Mhm... — Znów go liżę; jedno długie, mokre pociągnięcie po całej długości. — Fajne.

Cooper sięga jedną ręką w dół, długie palce wplata w moje mokre włosy. Woda chłoszcze nas cały czas. Na jego piersi przez chwilę drżą krople, po czym staczają się po mięśniach i ścięgnach.

Jedną dłonią opieram się o jego twarde udo, drugą obejmuję sztywny penis i wciągam go głęboko w usta. Cooper prowadzi mnie bez słów, zachęca, otaczając dłonią moją głowę od tyłu. Całe moje ciało płonie i spina się z pożądania. Zerkam na Coopera — widzę pokryte tatuażami ramiona, lekki cień zarostu na twarzy, czuję jego pulsowanie na języku — i nie żałuję ani jednego kroku na drodze, która doprowadziła mnie do tego miejsca.

Masz w sobie ogień, Mac. Powiedział mi tak w czasie festynu. Stwierdził, że pociąga mnie dreszcz emocji. Życie. Nie mylił się. Odkąd zerwałam z Prestonem, a zaczęłam się spotykać z Cooperem, czuję się tak, jakbym zaczęła żyć.

— Nie chcę skończyć w ten sposób — mówi niewyraźnie Cooper, po czym pociągnięciem podnosi mnie i całuje tak mocno, że tracę dech.

Jego spragnione dłonie błądzą po moim ciele, język bawi się z moim. Jestem rozpalona, obolała i całkowicie na niego gotowa. Jednak pomimo upodobania do emocji nie szukam seksu bez zabezpieczenia, a z Cooperem dopiero zaczęliśmy się spotykać.

— Kondom — szepczę mu przypomnienie w spragnione usta.

Bez słowa sprzeciwu Cooper zakręca wodę i oboje biegniemy do sypialni, ociekając wodą i zaśmiewając się z naszego pośpiechu.

— Na łóżko — rozkazuje, pozerając wzrokiem moje nagie ciało.

Mokrymi włosami natychmiast moczę poduszkę, na której się kładę, lecz jestem zbyt podniecona, by się przejąć, a Cooper chyba nie zwraca na to uwagi. W mgnieniu oka

nakłada prezerwatywę i kładzie się na mnie. Całuje mnie znów; gorący i pełen pożądania wsuwa język w moje usta i jednocześnie pcha głębo.

Wzdycham gwałtownie; wstrząsa mną dreszcz rozkoszy biegnący w górę kręgosłupa. Przesuwam paznokciami po jego wilgotnych plecach i oplatom go nogami, by wciągnąć głębiej.

— Jesteś niesamowita — chrypi z ustami przy moich ustach.

— Ty też. — Unoszę biodra, wychodzę na spotkanie jego pospiesznym pchnięciem, kołyszę się pod nim. Pożądanie sprawia, że zapominam o wszystkim. — Szybciej — błagam.

Cooper przyspiesza i niedługo później przed oczami migają mi gwiazdy, a ciałem wstrząsa dreszcz zaspokożenia. Cooper nie potrzebuje dużo więcej czasu; wkrótce wsuwa się we mnie mocniej, wciąż mnie całuje i zagryzając wargi, dochodzi.

Potem leżymy na plecach i łapiemy oddech. Zalewa mnie uczucie czystej satysfakcji. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam się tak zaspokojona po seksie. W ogóle kiedy czułam się zaspokojona.

— Wciąż jestem wkurzony za to, że weszłaś na ten dach.

Obracam głowę i rzucam mu spojrzenie.

— Poważnie?

— To był idiotyczny pomysł.

— Ja tak nie uważam — odpowiadam wyniośle.

— Pewnie. — Mam wrażenie, że Cooper stara się powstrzymać śmiech. Albo też stara się mnie nie udusić.

Najwyraźniej oboje nie potrafimy wycofać się z kłótni. To pewnie nie leży w naszej naturze. Ale mogę z tym żyć. Inaczej bym go nie szanowała. Zdecydowanie nie potrzebuję faceta podnóżka.

Z drugiej strony takie ciągle utarczki to chyba nic dobrego, prawda?

Wzdycham.

— Często się kłócimy. Mam wrażenie, że to drugi punkt na naszą niekorzyść.

— A jaki jest pierwszy? — pyta z ciekawością Cooper.

— Całkowicie się różnimy. Wiem, podobno przeciwieństwa się przyciągają, a kłótnia jest zdrowa, bo pozwala wyrzucić emocje i tak dalej, ale pochodzimy z zupełnie różnych światów. — Waham się, w końcu wyznaję: — Czasami nie mam pojęcia, jak moglibyśmy odnaleźć się nawzajem w swoim życiu. Dodajmy do tego fakt, że jesteś kłótliwym draniem i bardzo często mam ochotę ci strzelić i... — Wrywa mi się kolejne westchnienie. — No właśnie, dwa punkty przeciwko.

— Mac. — Materac zapada się, kiedy Cooper siada. Patrzą na mnie z góry ciemne

oczy — pełne uczuć, z lekkim rozbawieniem. — Przede wszystkim: podobno? Kto tak mówi? Kogo to obchodzi? Każdy związek jest inny. Niektórzy się kłócą, inni nie. Niektórzy potrzebują spokoju, inni gwałtownych uczuć. To my określamy nasz związek. Po drugie... bardzo niechętnie ci to mówię, ale oboje jesteśmy kłótliwymi palantami.

Śmieję się szeroko.

— Jedyne, co nas różni, to stan naszych kont bankowych. Mamy ze sobą więcej wspólnego niż ty z tym swoim byłym sztywniakiem.

— Naprawdę?

— Absolutnie. Wiesz, co myślę?

— Ależ nie krępuj się — odpowiadam łaskawie.

— Myślę, że byłaś z tym kutasem, bo to było bezpieczne. Sama tak powiedziała: dzięki niemu miałaś ograniczenia. A ty ich potrzebowałaś, gdyż w swoim świecie musisz być zawsze grzeczna, nie możesz być sobą, nie możesz stawiać rodziny w złym świetle, prawda? No widzisz, przy mnie nie musisz się tym przejmować. Te dwa punkty, które wymieniłaś, może liczyłyby się w twoim świecie, lecz tutaj ty i ja jesteśmy dokładnie tacy, jacy musimy być.

Serce mi podskakuje. Do licha. Kiedy mówi takie rzeczy, cholernie trudno jest obronić się przed uczuciami.

Bonnie: *Nie wracam na noc! Próbuje nie tęsknić za bardzo, ok? Wiem, to trudne, ale wierzę w siebie!*

Uśmiecham się na widok tego SMS-a. Bonnie jest świetna. Siadam na łóżku i piszę szybką odpowiedź.

Ja: *Oooch, nocujesz poza domem w ciągu tygodnia? Niegrzeczna dziewczyna. Zaraz, niech zgadnę... bal pijamowców z... Edwardem?*

Bonnie: *Masz na myśli Jasona. On przypomina Edwarda. I nie.*

Ja: *Todd?*

Bonnie: *Wypadł z obiegu.*

Przebiegam myślą wszystkich innych, których widywałam przez kilka ostatnich tygodni. Jednak moją spostrzegawczość osłabiał nieco dziki seks z Cooperem.

Bonnie: *Powiem ci coś, kochana. Zdradź mi imię twojego lokalsa, a ja opowiem ci wszystko o moim nowym wielbicielu.*

Naprawdę jak pies w pogoni za kością. Bonnie nie ustaje w wysiłkach, by poznać tego, z kim się spotykam. Niewygodnie mi z tym, że ukrywam przed nią Coopera — przecież ona była świadkiem samego początku — lecz wiem także, że wiedza w niewłaściwych dłoniach zamienia się w broń. Nie jestem pewna, czy chcę już nabijać tę armatę.

Ja: *Mój lokals to mój drobny świński sekret.*

Bonnie: *JAK CHCESZ! To mój też jest tajemnicą.*

Po dwóch sekundach pisze ponownie.

Bonnie: *I kogo ja oszukuję? Obie wiemy, że nie potrafię nic przed tobą ukryć. Ma na imię Ben i jest piękny!*

Po czym dostaję zrzut ekranu ze zdjęciem z Instagrama, a na nim wysokiego chłopaka o twarzy boga nordyckiego.

Ja: *Miluuusi. Przyjemności.*

Bonnie: *Będzie przyjemnie. Do jutra!*

Odkładam telefon na szafkę nocną i biorę podręcznik antropologii. Jest poniedziałkowy wieczór, a chociaż wolałabym w tej chwili leżeć nago w łóżku Coopera, to przecież spędziliśmy razem cały weekend, więc zmuszam się, żeby dzisiaj zostać w akademiku. Nie tylko muszę nadrobić naukę, ale też spędzanie zbyt wiele czasu razem może doprowadzić do wypalenia, a mnie nie zależy, żeby Cooper szybko się mną znudził. Bóg wie, że mnie jeszcze daleko do znudzenia nim. Bardzo ostrożnie licząc, spędzam codziennie trzy pełne godziny na fantazjach o nim.

Zatem jak grzeczna dziewczyna kończę czytanie tekstu na antropologię i biologię, piszę plan wypracowania na literaturę angielską i idę spać o rozsądnej godzinie, czyli za piętnaście jedenasta.

Niestety wbrew nadziejom nie dane mi jest porządnie się wyspać.

Okolo drugiej w nocy brutalnie wrywają mnie trzy telefony od Evana.

Po których dostaję SMS: *Nieważne. To nic pilnego.*

Gdyby ktokolwiek inny najpierw wydzwaniał do mnie w środku nocy, a potem stwierdził, że to nic pilnego, kazałabym się mu odwalić. Jednak fakt, że to Evan, skłania mnie do zastanowienia. Dopiero niedawno — po wieczornej burzy, kiedy nie mogłam się z nim skontaktować — wymieniliśmy się numerami. Jestem więc prawie pewna, że nie nadużywałby tego, gdyby faktycznie sprawa nie była pilna. A przynajmniej dość poważna.

Odsuwam włosy z oczu i dzwonię do niego.

— Wszystko dobrze? — pytam, kiedy odbiera.

— Niezupełnie. — To tylko jedno słowo, ale wisi ciężko w powietrzu.

— Gdzie jesteś?

— Przed Sharkeyem. Mogłabyś po mnie przyjechać? — mamrocze. — Wiem, już późno, nie chciałem dzwonić, ale...

— Evan — wpadam mu w słowo. — Nic się nie stało. Siedź tam, już jadę.

28. Mackenzie

Piętnaście minut później wyskakuję z ubera i przeszukuję spojrzeniem chodnik przed barem Sharkeya dla fanów sportu. Po chwili zauważam Evana, który siedzi na krawężniku, a wygląda jak zawartość śmietnika stojącego przez miesiąc na deszczu.

— Co ci się stało? — pytam na widok smugi krwi na policzku, rozdartej na ramieniu koszulki, podrapanych i popuchniętych rąk. O metr od niego czuję odór alkoholu.

Evan siedzi z rękami opartymi na kolanach. Wygląda na wykończonego, a nawet pokonanego. Na powitanie ledwie unosi głowę, odzywa się słabym, pełnym napięcia głosem:

— Możesz mnie stąd zabrać?

Wtedy uświadamiam sobie, że jestem jego ostatnią deską ratunku. Wezwanie mnie na pomoc sprawiło mu większy ból niż to wszystko, co przeżył dzisiejszego wieczoru, teraz więc najbardziej potrzebuje miłosierdzia.

— Tak. — Schylam się, biorę go za ramię i przerzucam je przez ramiona, żeby przejąć część jego ciężaru. — Podeprę cię.

Wstajemy i w tym momencie zza rogu wychodzi trzech facetów. Na T-shirtach mają greckie litery; podchodząc do nas, krzyczą bełkotliwie jakieś nonsensy.

— O, cześć, mała — odzywa się jeden z nich, kierując na mnie mętny wzrok. — Co tam masz? Znalazłaś sobie kogoś w rynsztoku?

— Odwal się, dupku — mamrocze Evan, ale bez nacisku. Ledwie stoi na nogach, opiera się na mnie, żeby nie stracić równowagi, lecz to go nie zniechęca, jak widać, do szukania zaczepki. Trudno nie podziwiać takiej waleczności.

— To znów ten złamas? — Najwyższy z przedstawicieli stowarzyszenia studenckiego chwiejnie podchodzi bliżej, przygląda się Evanowi, po czym odwraca do kumpli. — Patrzcie, panowie, kto wrócił.

Rzucam całej trójce groźne spojrzenie.

— Dajcie nam spokój.

— Człowieku, nie wystarczy ci? — Trzeci facet podchodzi bliżej, pochyla się, by spojrzeć w oczy Evanowi, który z trudem unosi głowę. — Myślałeś, że taki jesteś cholernie zabawny, kiedy próbowałeś nas wykiwać, co? Teraz jakoś się nie śmiejesz? Lokalny śmieć.

W oczach mam śmierć. Jestem zmęczona, w złym nastroju, muszę użerać się

z Evanem. Dla tych idiotów nie zostało mi już ani krzty cierpliwości.

— Hej, ja cię znam — odzywa się nagle wysoki, patrząc na mnie zmrużonymi oczami.

— Wątpię — odpowiadam ostro.

— Nie, naprawdę. Znam cię. Jesteś dziewczyną Prestona Kincaida. — Gość śmieje się radośnie. — Taa, dziewczyna Kincaida. Jestem w jego stowarzyszeniu, jakiś czas temu widziałem was razem na naszej imprezie.

W gardle czuję ucisk niepokoju. Cudownie. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, jest to, by wiadomości o moich dzisiejszych działaniach dotarły do Prestona. Zacieśniam uścisk wokół Evana.

— Nie mam pojęcia, kim jesteś, gościu. A teraz proszę, przepuście nas.

— Kincaid wie, że za jego plecami obmacujesz innych? — Facet zaczyna się śmiać jak obłąkany. — I to jeszcze z tym śmieciem! Jezu. Baby to szmaty.

— Szmaty — powtarza drugi z nich pijackim głosem.

Obaj próbują podejść bliżej, ale ja mam już całkowicie dość.

— Odwalcie się, skurwysyny. — Mój głos brzmi jak trzaśnięcie biczem objającego się o ceglana ścianę baru.

— Bo co? — pyta drwiąco ten wysoki.

Z niecierpliwym, wściekłym warknięciem wsuwam dłoń do torebki i wyszarpuję pojemnik z gazem pieprzowym. Celuję nim w chłopaków ze stowarzyszenia; obaj się cofają.

— Zapewniam, że jestem bardziej szalona, niż na to wyglądam. Chcecie się przekonać?

Gdzieś w oddali rozlega się wycie syreny. Wystarczy, żeby ich wystraszyć.

— Człowieku, daj sobie spokój z tą suką. Spadamy.

Wszyscy w pośpiechu ładują się do samochodu stojącego po drugiej stronie ulicy i uciekają. Od razu zawracają z piskiem opon.

— Skąd to się wzięło, do licha? — Evan zdobywa się na słaby śmiech, wciąż wspierając się na mnie jednym ramieniem.

— Wszystkie kobiety to drapieżcy.

— Jak widać.

— Trochę jeździłam sama, a to najbardziej nauczyło mnie przygotować się na to, co może kryć się w ciemności. — Z tymi słowami praktycznie wlokę go do jeepa i wydaję mu kluczyki z kieszeni. Evanowi udaje się wdrapać na siedzenie pasażera, ja zasiadam za kierownicą.

— Nie mogę wracać do domu — mówi. Zamyka oczy i opiera głowę o szybę, jakby mu ciążyła na szyi.

Przesuwam fotel, by dopasować go do moich krótszych nóg.

— No dobrze... do Steph i Alany?

— Nie. Proszę — mówi Evan urywanie, oddychając nierówno. — Coop nie może się dowiedzieć.

Nie jestem pewna, dlaczego ani co dokładnie ma na myśli, lecz rozumiem jego desperację. Nie mam więc wyjścia, muszę go zawieźć do Tally Hall.

Wciągnięcie go do pokoju na trzecim piętrze okazuje się trudne, lecz udaje nam się do niego dostać bez wypadku. Wchodzimy do środka, sadzam Evana na krawędzi wanny, by go umyć. Uderza mnie poczucie *déjà vu*. Co też ci Hartleyowie w sobie mają, hę?

Mokrym ręcznikiem zmywam mu krew z twarzy. Nie umiem zignorować jego spojrzenia śledzącego każdy mój ruch. Evan ma kilka siniaków i drobnych skaleczeń, ale to nic poważnego. Wystarczy odrobina maści i kilka plastrów.

— Cieniasy — odzywa się.

— Hę?

— Tamci goście. Pobitem ich w bilarda, ale nie przyjęli tego dobrze. Jak nie umieją przegrywać, to nie powinni grać na pieniądze.

— Zawsze zaczepiasz tych, którzy mają przewagę liczebną?

Evan śmieje się cicho, ale zaraz skrzywiony z bólu chwyta się za bok.

— Myślałem, że na własnym terenie mam przewagę. Jak się okazało, jeszcze kilku miało do mnie urazę.

Rzucam mu spojrzenie spod uniesionych brwi.

— Czy wy, lokalsi, nie macie powiedzonka o sranu w miejscu, które daje ci jeść?

— Noo, coś o tym słyszałem.

— Musisz zmienić lokal.

— Przystosowani przeżyją dłużej, co?

— Coś w tym rodzaju. — Kończę opatrunek, podaję mu szklankę wody i aspirynę, a potem przynoszę woreczek z lodem. — Możesz odespać to w pokoju Bonnie — proponuję. — Dzisiaj jej nie będzie, wiem, że by się zgodziła.

— No chyba. Tamtej nocy trzy razy doszła dzięki mnie.

Tłumię śmiech.

— Jakie to miłe.

Rany, od chwili, kiedy Evan i Bonnie odeszli plażą, minęły stulecia. Następnego dnia Bonnie już goniła za kolejną ofiarą. Nic się nie zdarzyło, żadnych zranionych uczuć.

Sadzam Evana na łóżku Bonnie i rozbieram go na sposób pielęgniarski. Staram się nie gapić na jego ciało i nie porównywać z Cooperem, ale to trudne. Czuję jego klatkę piersiową, tak, jest tak samo umięśniona jak u brata. Tylko bez tatuaży. Dopiero kiedy

pomagam mu się przewrócić na bok, widzę wielki tatuaż na plecach, jednak po ciemku trudno mi rozróżnić rysunek.

— Dzięki — mówi Evan, już leżąc.

Chociaż to wszystko, wiem, że mówi szczerze. Cokolwiek dzieje się między nim a - Cooperem, jest tak poważne, że wolał zwrócić się o pomoc do mnie. Uznaję to za krok we właściwym kierunku. Evan mi zaufał. To kroczyki maleńkie, dziecięce.

Łagodnie głaszczę go po głowie, jak dziecko z gorączką.

— Nie ma za co.

Rano szykuję się na zajęcia, kiedy z pokoju Bonnie wypada Evan z telefonem przy uchu.

— Tak, wiem, wiem. Już jadę. Tak, kurwa, słyszałem.

Miota się po pokoju, starając się naciągnąć spodnie, a jednocześnie szuka czegoś w pokoju Bonnie.

— Dziesięć minut.

Rzucam mu pytające spojrzenie, wtedy on składa palce, jakby poruszał kluczykami. Kluczyki do jeepa! Wciąż mam je w pokoju. Biegnę do siebie, chwytam je i rzucam Evanowi. Z łatwością łapie je w locie.

— Nie — mówi do telefonu. — Człowieku, już wyjeżdżam, wyluzuj, do cholery.

Cooper? — pytam bezgłośnie, na co Evan kiwa głową. Wyciągam dłoń po telefon. W pierwszej chwili Evan wydaje się sceptycznie nastawiony, ale za moment ulega.

— Księżniczka chce z tobą rozmawiać. — Tym razem zamiast sarkastycznej drwiny w oczach ma uśmiech. Może prośbę.

— Hej — zaczynam, nie dając Cooperowi szansy, by mi przerwał. — Zaprosiłam Evana na śniadanie, ale kafejka była zamknięta, zapomniałam, która godzina. Musiałam zamówić suflet, wiesz.

— Śniadanie? — Oczywiście Cooper jest nieufny. Powinien.

Jednak twardo brnę dalej.

— Tak, pomyślałam, że będzie okazja porozmawiać, wiesz, trochę jak w rodzinie.

Niemal czuję, jak Cooper przewraca oczami przy telefonie.

— Nieważne. Każ mu spadać do pracy.

— Okej, buziaki, pa! — szczebioczę słodko, gdyż im bardziej zbiję Coopera z pantałyku, tym bardziej uwierzy w tę całkowicie nieprawdopodobną historyjkę. Rozłączam się i oddaję Evanowi telefon. — Chyba to kupił.

Evan rzuca mi spojrzenie pełne niepewnego rozbawienia.

— Ratujesz mi życie.

— Wiem. A teraz czy mogę zapytać, dlaczego okłamuję twojego brata?

Evan z westchnieniem przesuwa dłoń po włosach. To typ, który nie znosi się tłumaczyć. Rozumiem. Jednak coś mi się należy.

— Coop już ma na mnie oko — mówi niechętnie. — Jeśli dowie się o zeszłej nocy, zmusi mnie do leczenia albo innego takiego kretynstwa.

— A potrzebujesz leczenia? — Wiem, że Cooper bał się, iż Evan się nakręca, lecz nie powiedział mi nic dokładniejszego. Sądząc po wczorajszej nocy, winowajcy to alkohol i walki.

— Na pewno nie — zapewnia Evan.

Nie jestem pewna, kogo próbuje przekonać, ale nie działa to na żadne z nas.

Wypuszczam powietrze.

— Obiecuj mi coś.

Evan przewraca oczami; w takich chwilach zapominam, jak bardzo różni się od-Coopera.

— Będę cię kryła, dopóki będziesz grał ze mną uczciwie. Skoro nie rozmawiasz z -Cooperem, będę się czuła lepiej, jeśli przynajmniej ja będę cię miała na oku.

— Nie potrzebuję niańki — odpowiada Evan, podkreślając słowa niechętnym grymasem.

Właśnie. Dlatego tak mocno się kłóć. Cooper jest apodyktyczny, a Evan uparty jak osioł. Razem stanowią przepis na burzę.

— Nie chcę być niańką — mówię. — Może nazwijmy to przyjaźnią. Umowa stoi?

Evan oblizuje usta, żeby stłumić uśmiech. Wygląda niemal czarująco.

— No dobrze, księżniczko. Umowa stoi.

Podajemy sobie ręce. Według mnie jest niewielka szansa, że dotrzyma umowy. Jednak o całe mile posunęliśmy się od punktu wyjścia, a ja jestem wystarczająco inteligentna, by brać, co dają.

29. Cooper

Mac ma dzisiaj kolejną kontrolę hotelu, więc biorę wolne popołudnie i jadę z nią. Mówi, że będę jej tłumaczył, ale według mnie trochę się denerwuje tym, w co się wpakowała. Nie dziwię się. Nawet gdybym miał kupę rodzinnej kasy, rzucanie się na coś tak skomplikowanego jak remont hotelu — nie wspominając już o jego prowadzeniu — też nie dawałoby mi spać po nocach. Podczas kiedy inspektor kontroluje, Mac i ja na chodniku czekamy na werdykt.

— Zaczynam dochodzić do wniosku, że po prostu nie kupuje się przeklętego hotelu — mówi Mac ponuro.

Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

— Czyżby?

— Noo. — Mac pochyla się i głaszcze Daisy, która siedzi u jej stóp. W domu pies nie odstępuje mnie na krok, lecz kiedy tylko pojawia się Mac, całkowicie o mnie zapomina.

— Możesz zrezygnować. — Jak rozumiem, ostateczna transakcja zależy od dobrego wyniku tej ostatniej inspekcji. Dopięcie wszystkiego na ostatni guzik i tak dalej.

— Nie, już się nastawiłam. To mnie tylko nieco przytłacza, wiesz. Myślenie o ogromie tego, co jest do zrobienia, i tego, ile nie wiem na ten temat.

— To się dowiesz.

Mac zagryza wargę.

— Słusznie. — Kiwa głową szybko i zdecydowanie. — Masz rację. Dowiem się.

To właśnie tak mi się w niej podoba: jej pewność siebie, odwaga. To, że wpadła na jakiś pomysł, po czym miała tyle inicjatywy, by go zrealizować. Większość ludzi przez całe życie przekonuje siebie samych, że nie warto spełniać marzeń, znajduje powody, dla których byłoby to zbyt trudne lub niemożliwe. Ale nie Mac.

— Kiedy patrzysz na ten budynek, wciąż czujesz to samo, co na początku, kiedy składałaś ofertę? — pytam.

Mac uśmiecha się i z błyskiem nowej ambicji spogląda na zniszczony hotel.

— Tak.

— Pociągnij za spust. Nie wygrasz, jeśli nie zagraasz.

— To loteria — odpowiada Mac, trącając mnie w ramię.

— Na jedno wychodzi.

Szczerze mówiąc, cieszę się, że poprosiła mnie o przyjazd, chociażby dla wsparcia

moralnego. Niewiele mogę dać dziewczynie takiej jak Mackenzie Cabot — ona ma już wszystko, a jeśli nie ma, to może zdobyć na własną rękę. A przecież wszyscy chcemy czuć się potrzebni. Nie wiem, kiedy się to zaczęło, ale w pewnym momencie zrodziła się we mnie potrzeba, żeby Mac mnie potrzebowała.

Po dwóch godzinach inspektor wychodzi ze swoimi notatkami i razem z Mac przegląda listę. Spodziewaliśmy się większości z jego uwag, niektóre są nowe. Wszystkie oznaczają koszty.

— Ile to wyjdzie razem? — pyta Mac, kiedy inspektor omówił wszystkie punkty.

— Będzie to panią kosztować — odpowiada mężczyzna z bujnymi wąsami. — Ale nie ma powodów, by nie dało się wszystkiego uruchomić. Życzę powodzenia.

Podają sobie ręce, inspektor oddaje jej papiery i odchodzi do samochodu.

— No więc? — zagaduję, biorąc od Mac smycz Daisy.

Mac waha się, ale tylko przez sekundę. Potem uśmiecha się cierpko.

— Chyba zadzwonię do banku.

Muszę przyznać, że nawet mnie kręci fakt, iż Mac może jednym telefonem załatwić kilka milionów — jakby obstawiała wynik meczu Panter. Dobrze jej to idzie.

Kończy rozmowę z bankiem, a wtedy idziemy na plażę i spuszczaemy Daisy ze smyczy.

— Słuchaj. — Mac przesypuje piasek palcami u stóp, szuka ciekawych, zwracających uwagę muszli. Podnosi jedną, podziwia, po czym z powrotem rzuca w piasek. — Wiem, że to nie moja domena. Lepiej idzie mi wypisywanie czeków niż naprawa instalacji.

— Nie ma problemu. Znam wszystkich w promieniu dziesięciu mil, którzy robią tego typu rzeczy.

— O to mi właśnie chodziło. Znasz teren i znasz ludzi.

Widzę, że chce o coś zapytać czy poprosić; nie potrafię odgadnąć, co skłoniłoby ją do takich manewrów.

— No już, gadaj, Cabot.

Mac odwraca się do mnie i unosi brwi.

— Chcę zatrudnić przy remoncie twojego wujka Lewiego.

Marszczę brwi.

— Do czego dokładnie?

— Wszystkiego. Tego, co da radę zrobić. Jeśli czegoś nie będzie mógł, niech znajdzie podwykonawców, którym ufa. Takich, którym zleciłby remont domu swojej matki. Chciałabym zatrzymać to w rodzinie, że tak powiem.

— O rany. Okej... — Spodziewałem się, że będzie chciała się go poradzić. Może poprosi, by jej kogoś polecił. Może rzuci mu jeden czy drugi projekt.

Ale to... to dużo.

— Masz niepewną minę — zauważa Mac.

— Nie, nie, nie o to chodzi. To... hm...

— Duże zobowiązanie? — Mac się uśmiecha. Szeroko. Chyba się ze mnie nabija.

— Nie boję się zobowiązań, jeśli to masz na myśli.

— He, he — odpowiada Mac.

— Przytłoczę cię moimi zobowiązaniami.

— I dobrze. — Myśląc, że już wygrała, obraca się na palcach i rusza przed siebie. — No to umowa stoi. Umów mnie z Levim, omówimy zakres i jakąś rozsądną cenę.

— Momencik, księżniczko. Levi ma już inne zlecenia, całą kolejkę. Nie wiem, ile ma wolnego czasu do dyspozycji. Nie spiesz się tak.

— To szczegóły. — Mac macha niedbale ręką. — Wszystko można dogadać. Kwestia dobrej woli.

— Dobrze, przekażę mu propozycję, jeśli ty oszczędzisz mi tych wszystkich tanich frazesów.

Mac podnosi kawałek drewna i rzuca go Daisy.

— Niczego nie obiecuję.

Za jej plecami unoszę oczy do nieba. Ta kobieta jest nieznośna, ale ja to uwielbiam. Jakimś sposobem wsiąknęłam w nią. Nawet kiedy jest okropna, i tak mi się podoba.

— A tak szczerze — odzywam się, zanim zdążę ugryźć się w język — czy ta cała inwestycja w ogóle nadwerżyła twój fundusz z trustu?

Wolę nawet nie próbować zgadywać, jaką kwotę dysponuje. W pewnym momencie wszystkie te zera zaczynają się mieszać. Różnica między stu a pięciuset milionami jest taka, jak różnica między dopłynięciem do Chin czy do Nowej Zelandii dla kogoś, kto się topi.

Mac milczy przez chwilę, potem kolejną. Z jej twarzy znika pogoda, pojawia się zakłopotanie.

— Właściwie nie wolno mi ruszyć pieniędzy z trustu, dopóki nie skończę dwudziestu pięciu lat.

To mnie zastanawia. W takim razie za co kupiła hotel? Wiem, że nie dostaje pieniędzy od rodziców, często wspominała o tym, że nie popierają jej ambicji.

— Jeśli nie jesteś jakąś mafijną szychą... a gdybyś była, byłbym z tobą... to skąd w wieku dwudziestu jeden lat wzięłaś taki hajs?

— Będziesz się śmiał. — Mac przystaje i wbija wzrok w ziemię.

Zaczynam się denerwować. Nagle wpada mi do głowy myśl, że może nagrywa filmiki erotyczne albo coś w tym rodzaju... czy dałbym sobie z tym radę? Albo, co gorsza, może zaprosi mnie do swojej piramidy finansowej sprzedającej olejki eteryczne?

Na szczęście Mac zdobywa się na odwagę i mówi dalej, zanim wyobraźnia zacznie mnie na dobre ponosić.

— Pamiętasz, kiedy pokazywałeś mi tę śmieszoną historyjkę o chłopaku? Tę, w której dziewczyna szukała tamponów w łazience matki chłopaka?

Unoszę brwi do samych włosów. Co to ma do rzeczy?

— Taaak...

— To ja stworzyłam tę stronę. *WpadkiChłopaka*. Wcześniej były *WpadkiDziewczyny*.

— Moment... serio?

Mac wzrusza ramionami.

— Serio.

Cholera.

— I tak zarobiłeś tyle kasy?

Mac znów zakłopotana wzrusza ramionami. Nie rozumiem. Czego tu się wstydzić?

— Mackenzie, to totalny odlot — mówię do niej.

— Nie uważasz, że to głupie? — Mac spogląda na mnie z nadzieją w wielkich zielonych oczach. Nie jestem pewny, czy nie powinienem czuć się jak palant, skoro uznała, że mógłbym mieć do niej o to pretensje.

— No skąd. Powaliłeś mnie. Kiedy ja miałem dwadzieścia lat, potrafiłem jedynie przypalać makaron z serem. — Właściwie to wciąż jeszcze zdarza mi się przypalić makaron z serem.

— Moim rodzicom bardzo się to nie podoba — mówi Mac kwaśno. Przybiera ten ton za każdym razem, kiedy poruszamy ten temat, ostatnio pojawia się on coraz częściej. — Jakbym zrobiła sobie tatuaż na czole czy coś w tym rodzaju. Czeka ją, aż „wyrosnę z tej dziecinady”. — Gniewnie robi w powietrzu znak cudzysłowu. Kopie piasek. — Nie rozumieją.

— A czego tu nie rozumieć? Ich córka nie może nawet wynająć samochodu, a już samodzielnie zarobiła miliony.

— Wstydzą się. Uważają, że to prymitywne, dziecinada dla licealistów. I owszem, może tak jest. Ale co w tym złego, jeśli bawi ludzi? Dla moich rodziców ta firma to tylko rozrywka. Według nich mam tylko skończyć odpowiednio prestiżowe studia i wyjść bogato za mąż, a potem wzorem mamy zasiadać w organizacjach charytatywnych. Najważniejsze są pozory. Oni dbają tylko o modę.

— Widzisz, to dopiero głupota. — Kręcę głową, bo naprawdę tego nie rozumiem. Bogacze kupujący symbole statusu po to, żeby zrobić wrażenie na innych bogaczach, którzy kupili sobie symbole statusu, żeby zrobić wrażenie na nich. Błędne koło

marnotrawstwa i udawania. — Wydawać setki tysięcy dolców na studia tylko dla pozorów? Chrzanić to.

— Nawet nie chciałam przyjechać do Garneta, ale tylko pod tym warunkiem rodzice sfinansowali mi rok przerwy po maturze. Wykorzystałam go na stworzenie moich apek i rozwój firmy. Odkąd tu przyjechałam, cały czas szukam jakiegoś nowego wyzwania, nowego przedsięwzięcia, które mnie wciągnie tak, jak te dwie strony internetowe, kiedy je tworzyłam.

— Chcesz wiedzieć, co o tym sądzę? Rób swoje i nie oglądaj się na to, co myślą inni.

— Łatwiej mówić, niż zrobić — odpowiada Mac znajomym, niepewnym tonem.

Daisy przynosi nam małego kraba pustelnika schowanego w muszli, Mac bierze go i kładzie z powrotem na piasku, po czym znajduje inny patyk do rzucania psu.

— No to co? — Jeśli chodzi o Mac, to rodzice od zawsze chyba próbowali powstrzymać ją przed odnalezieniem własnego celu w życiu. Jak na kogoś, kto ma tyle możliwości, to jakaś bzdura. Mac ma w sobie tyle siły, by się przeciwstawić. — Jeśli faktycznie tego chcesz, zawalcz. Poobijasz się, trudno. Co mogą ci zrobić? Wydziedziczyć? Jeśli szczerze im powiesz, ile to dla ciebie znaczy, a oni wciąż nie będą chcieli pomagać ci spełniać marzenia, to naprawdę aż tak będzie ci ich brakować?

Mac wzdycha cicho.

— Szczerze mówiąc, czasami się zastanawiam, czy w ogóle mnie kochają. Na ogół jestem dla nich pionkiem na planszy w ich wielkiej grze strategicznej. Jak kawałek plastiku.

— Mógłbym cię zanudzić na śmierć opowieściami o patologicznych rodzinach — odpowiadam. — Więc cię rozumiem. To nie jest to samo, ale uwierz mi, rozumiem, co to znaczy czuć się samotnym i niepotrzebnym. Wciąż próbuje się wypełnić dziurę czymkolwiek, co się nada. Wiesz, niemal mógłbym wybaczyć ojcu to, że okazał się takim draniem. Był nałogowcem. Nałóg spieprzył wszystko, czego się tknął, w końcu go zabił. Nawet się tym nie zmartwiłem, tylko że po jego śmierci została nam jedynie matka, tylko przez pewien czas, bo potem ona też zwiąła. Oboje uciekali od nas, aż się kurzyło. — W gardle mi zasycha. — Mnóstwo czasu spędziłem, martwiąc się tym, że wyrosnę na kogoś podobnego do nich. Bałem się, że cokolwiek próbuję zrobić, płynę pod prąd i w końcu i tak się zabiję albo skończę jako nierób.

Szlag.

Nigdy dotąd nie wypowiedziałem tego na głos.

Przerażające, jak bardzo otwieram się przy Mac. Jak bardzo chcę, żeby mnie poznała. To przerażające, że nie kontroluję własnego serca, które wyrывa się do niej, chce ją

złapać i zatrzymać. Boję się, że w pewnej chwili Mac odzyska zdrowy rozsądek i mnie rzuci.

— Hej. — Mac bierze mnie za rękę; po głowie tłucze mi się jedna myśl: zrobiłbym dla niej wszystko. — Umówmy się: będziemy się nawzajem pilnować, żeby nie zamienić się w naszych rodziców. Przyjaźń działa najlepiej.

— Umowa stoi. — Ten wyświechtany frazes zmusza mnie do słabego śmiechu. — Ale poważnie: nie trać tej chwili. Nie daj nikomu się powstrzymać, życie jest zbyt krótkie. Buduj swoje imperium. Zabijaj smoki.

— Powinieneś nadrukować to sobie na T-shircie.

Wraca Daisy i zwija się w kłębek u stóp Mac. Chyba wreszcie ma dość biegania. Zapinam jej smycz, siadamy z Mac na piasku. Zapada między nami przyjazna cisza. Nie wiem, jak tej dziewczynie udaje się jednocześnie budzić we mnie chaos i spokój. Przy naszych kłótniach mam czasami ochotę ją udusić. Doprowadza mnie do szału. Robi głupoty w stylu wchodzenia po metalowej drabinie w czasie burzy — po czym nagle zdarzają się nam takie chwile, kiedy siedzimy obok siebie, w ciszy, zatopieni we własnych myślach, ale też całkowicie zjednoczeni. Połączeni. Nie wiem, co to znaczy. Dlaczego w jednym momencie wrzeszczymy na siebie, a w drugim panuje między nami całkowity spokój. Może to oznacza, że oboje jesteśmy wariatami.

A może oznacza, że się w niej zakochuję.

30. Mackenzie

Dwa dni po kontroli inspektora spotykam się ze Steph i Alaną w kanapkarni w mieście. Dziwne, jeszcze dwa tygodnie temu ledwie się do siebie odzywałyśmy, a teraz gadamy niemal codziennie. Zaczęło się od tego, że Steph dołączyła mnie do grupy z Alaną i przysłała nam zdjęcia Evana naprawiającego im dach przedziurawiony w czasie burzy. Spodnie mu zjechały, odsłaniając pół tyłka, a Steph opatrzyła zdjęcia podpisem: „Dupy nie urywa”. Później Alana wrzuciła zabawny zrzut ekranu z *WpadekChłopaka*, a potem — chociaż bałam się, że dziewczyny odbiorą to jako przechwałki czy znów potraktują jako kolejną aluzję do pieniędzy — przyznałam im się, że to ja stworzyłam te strony. Na szczęście to jeszcze zwiększyło ich sympatię do mnie.

— Powiedz nam coś — mówi Alana, machając do mnie korniszonem. — To prawda czy kłamstwo, że Cooper ma tatuaż na fiucie?

Omiał nie dławię się frytką.

— Że co?

— Kilka lat temu pojawiła się historia o dziewczynie, którą ktoś przeleciał na dachu posterunku policji w weekend czwartego lipca — wyjaśnia siedząca obok Steph. — W sieć poszło zdjęcie penisa z tatuażem, ale nigdy nie udało nam się dowiedzieć, co to za facet.

— Nie zapytałyście o to Heidi?

Dziewczyny wbijają we mnie niepewny wzrok.

— Co, miała to być tajemnica? — pytam bez zająknięcia. Wydawało mi się oczywiste, że tych dwoje jeszcze niedawno sypiało ze sobą.

Steph i Alana wymieniają spojrzenia, zastanawiając się nad odpowiedzią.

Wzruszam ramionami.

— Nic się nie dzieje. Rozumiem. To wasza przyjaciółka.

— Nie byli parą ani nic takiego — mówi Steph pocieszająco. — Taka, no wiesz, przyjaźń z dodatkami.

Może dla Coopera, jednak w tego typu układach wiem, że jedna osoba zawsze angażuje się mocniej niż druga.

— Heidi wciąż coś do niego czuje — mówi bez ogródek Alana. Ona zawsze wali prosto z mostu.

Podejrzewałam już, że nieodwzajemnione uczucia albo może rozstanie wywołały

irracjonalną nienawiść Heidi. W tych sprawach intuicja rzadko mnie zawodzi, więc potwierdzenie Alany tylko utwierdza mnie w tym przekonaniu.

— Tak myślałam — mówię. — Ale może niedługo uda jej się ruszyć dalej. Cooper mówił, że ktoś się nią interesuje, jakiś Jay?

Wywołuję dwa jęki.

— Nie zaczynajmy tego tematu — mówi Alana niechętnie. — Tak, chciałabym, żeby przeszło jej to uczucie do Coopera, a życie wróciło do normy, ale na miłość boską, brat Genevieve?

— Kto to Genevieve?

— Była Evana — odpowiada Steph. — Teraz mieszka w Charleston.

— Brakuje mi jej. — Alana pochmurnieje.

— Evanowi też — parska Steph. — Inaczej nie próbowałby o niej zapomnieć, posuwając wszystkie inne dziewczyny. — Przerzuca kucyk przez ramię i odwraca się do mnie z uśmiechem. — W Bay właściwie wszystko się kręci w rodzinie. Evan i Genevieve, Heidi i Cooper... chociaż dzięki Bogu to się już skończyło. Przyjaciele nie powinni chodzić do łóżka, to tylko proszenie się o komplikacje. — Znacząco przenosi wzrok na Alanę. — No i mamy tę łachudrę, która wciąż wraca po dokładkę Tate'a... która to już, trzecia? Czy może czwarta?

— Tate? — powtarzam z szerokim uśmiechem. — O, gość jest gorący.

Alana zbywa temat machnięciem ręki.

— Nieee, to już przeszłość. Ja też nie lubię erotycznych przyjaźni.

— Nigdy tego nie przeżyłam. — Z politowaniem dla siebie samej wzruszam ramionami. — Historia moich podrywów to Cooper i czteroletni związek z facetem, który, jak się okazało, sypia ze wszystkim, co się rusza.

Steph się krzywi.

— Szczerze ci się dziwię, że byłeś z tym palantem.

Czuję, jak na czole tworzy mi się zmarszczka.

— Znasz Prestona?

Jej zdanie zabrzmiało niepokojąco, jakby wiedziała coś więcej.

— Co? Nie, skąd. Znacząco... wiem, co o nim mówią. Cooper nam opowiadał, że cię zdradzał, a dla mnie tacy faceci to palanci. — Steph sięga po kawę, na sekundę odwraca twarz, po czym znów patrzy na mnie z uspokajającym uśmiechem. — Słuchaj, nie martw się Heidi. Cooper za tobą szaleje.

— A Heidi ma ostro przykazane, żeby się zachowywała — kończy Alana, po czym marszczy brwi, kiedy Steph robi do niej minę będącą odpowiednikiem kopnięcia w kostkę. Dziewczyny są subtelne jak wiertarka udarowa.

Nie po raz pierwszy przyłapuję je na wymianie znaczących spojrzeń; wydaje mi się, że prowadzą ze sobą całe rozmowy, do których nie jestem dopuszczona. Moje stosunki ze Steph i Alaną ostatnio bardzo się ociepliły — nie wątpię w szczerść Coopera, jeśli chodzi o nas dwoje — ale mam także silne wrażenie, iż mnóstwa jeszcze nie wiem o tej tak mocno związanej ze sobą grupie. Wiadomo, nie mogę tak od razu zdobyć ich zaufania.

Ale skąd to uczucie, że ich sekrety dotyczą mnie?

Nie mam szansy zastanowić się nad tym pytaniem, gdyż w kieszeni wibruje mi telefon. To mama. Znów. Rano po obudzeniu znalazłam w telefonie kilka SMS-ów, których nie odebrałam poprzedniego wieczoru. Zaczęłam blokować jej numer raz na jakiś czas, żeby odetchnąć od ciągłych ataków telefonicznych. Po moim zerwaniu z Prestonem serwowala mi jeden wykład za drugim. A przecież temat został wyczerpany, przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

Jednak, jak się wydaje, matka postanowiła zmusić mnie do rozmowy. Zerkam na telefon i stwierdzam, że zrezygnowała z SMS-ów i teraz do mnie dzwoni. Przerzucam jej telefon na pocztę głosową, a jednocześnie na wyświetlaczu pokazuje się wiadomość od Bonnie: „911”. Nadszedł dzień sądu.

— Co się stało? — pyta Steph, przechylając się nad moim ramieniem, widocznie zaniepokojona moją nagle pobladłą twarzą.

— Moi rodzice tu są.

No dobrze, nie tutaj. W akademiku. Biedna Bonnie wpadła w pułapkę i czeka na dalsze rozkazy.

Bonnie: *Co mam z nimi zrobić?*

Ja: *Wyślij ich do kawiarni, przyjdę do nich.*

Wiedziałam, że coś takiego się wydarzy. Unikałam telefonów i wiadomości, starałam się kontaktować jak najrzadziej, lecz było tylko kwestią czasu, kiedy zjawią się, by odprawić sąd nade mną.

Nikomnie wolno ignorować mojego ojca.

Przepraszam dziewczyny, rezygnuję z posiłku i czując nagły wzrost ciśnienia, wracam na kampus. Po krótkiej rozmowie telefonicznej udaje mi się jedynie zwabić ich w miejsce publiczne. Rodzice nie odważą się robić scen. Tutaj mam przewagę taktyczną — i drogę ucieczki.

Mimo wszystko jednak, kiedy w drzwiach kawiarni widzę ich siedzących przy oknie, czekających na zbuntowaną córkę, zaczynam powłóczyć nogami. Niezależnie od tego, jak bardzo urosłam, wciąż mam sześć lat i stojąc w naszym salonie, wysłuchuję gromów ojca rugającego mnie za polanie sobie sukienki ponczem owocowym akurat przed sesją

fotograficzną do kartki świątecznej, chociaż przecież on pozwolił mi pić tylko wodę. Matka stoi cała spięta w kącie przy wózku z napojami.

— Cześć — witam się z nimi i wieszam torebkę na krześle. — Przepraszam, że musieliście czekać. Byłam w mieście na obiedzie z koleżankami...

Milknę na widok zniecierpliwionej miny ojca. Ojciec ma na sobie garnitur, jeden rękaw podsunęty do góry, żeby było widać zegarek. Odczytuję przekaz, bez najmniejszej wątpliwości. Właśnie miał jechać na spotkanie lub w innym miejscu zmieniać świat, ale musiał zająć się zbłąkanym dzieckiem. Jakie to niemiłe z mojej strony, że zmuszam go do odgrywania roli rodzica.

Obok siedzi najdroższa matka, pukająca wymalowanymi paznokciami w skórzaną torebkę Chanel, jakby ona też się gdzieś spieszyła. Naprawdę nie mam pojęcia, co w ogóle robi całymi dniami. Na pewno ma w planie telefon do firmy cateringowej. Jej tygodnie wypełniają niekończące się dylematy typu „ryba czy kurczak?”.

Przez ułamek sekundy, kiedy oboje wbijają we mnie palący wzrok, pełen rozdrażnienia i pogardy, widzę wzór ich życia nałożony na moją przyszłość — i czuję klucie w boku. W gardle mnie ściska. Całe ciało ogarnia atak paniki. Tak musi się czuć człowiek tonący.

Nie mogę dłużej tak żyć.

— Cieszę się, że przyjechaliście — zaczynam, ale ojciec od razu unosi dłoń. *Zamknij się, z łaski swojej* — mówi ten gest. No dobrze.

— Chyba jesteś nam winna przeprosiny, młoda damo. — Czasami się zastanawiam, czy ojciec używa tego wyrażenia, gdyż akurat zapomniał, jak mam na imię.

— Tym razem posunęłaś się za daleko — przytakuje matka. — Masz pojęcie, jak żenującą sytuację wywołałaś?

— Zrobimy tak. — Ojciec nie patrzy na mnie, przesuwa e-maile na telefonie. Ma już przygotowaną mowę, która nie przewiduje mojego udziału. — Przeprosisz Prestona i jego rodziców za swój wybryk. Potem oni się zgodzą na wasz dalszy związek. Na weekend przyjeżdżasz do domu, tam się zastanowimy, co dalej. Chyba ostatnio daliśmy ci zbyt wiele swobody.

Wbijam w niego wzrok.

Zdaję sobie sprawę, że mówi poważnie, i śmieję się z niepewnym niedowierzaniem.

— Hm, nie. Nie mogę tego zrobić.

— Moment. — Matka poprawia apaszkę; to rodzaj tiku nerwowego, który się pojawia w sytuacjach, kiedy nie może na mnie nakrzyczeć przy tylu świadkach i boleśnie zdaje sobie z tego sprawę. — Ojciec nie daje ci wyboru, Mackenzie.

Przynajmniej jedno z nich wie, jak mam na imię. Próbuję wyobrazić ich sobie, jak

wybierają imię dla dziecka. Jeśli kiedykolwiek się na nie cieszyli, to chyba wtedy, prawda?

— Nie wróć do Prestona — mówię tonem niedopuszczającym sprzeciwu.

Więc oczywiście zaraz go wywołuję.

— Dlaczego? — jęczy mama z żalem. — Nie bądź głupia, kochanie. Ten chłopak będzie wiernym, porządnym mężem.

— Wiernym! — Prycham tak głośno, że ściągam na nas spojrzenia z kilku sąsiednich stolików.

Tata gromi mnie wzrokiem.

— Nie podnoś głosu, ludzie patrzą.

— Uwierzcie mi, Preston jest wierny tylko sobie. Oszczędzę wam szczegółów. — Na przykład tego, że to zdrajca, który zapewne podrywał sobie dziewczyny na boku od początku naszego związku. I tego, że być może uratował nas oboje, bo ja też nie jestem święta. — Wystarczy powiedzieć, że nic nas już nie łączy. — Waham się chwilę, po czym dochodzę do wniosku, że pieprzyć to. — Poza tym spotykam się z kimś innym.

— Z kim? — pyta mama bezbarwnym tonem, jakby Preston był jedynym mężczyzną na ziemi.

— Z kimś z miasta — odpowiadam świadoma, że się wścieknie.

— Dość.

Podskakuję, kiedy ojciec z trzaskiem kładzie telefon na stół. Ha. Kto teraz ściąga uwagę innych?

Ojciec uświadamia sobie, co zrobił, i cichszym głosem mówi przez zaciśnięte zęby:

— Koniec z tym nieposłuszeństwem. Nie będę tolerował żadnych więcej prowokacji. Przepraszam. Przyjmiesz chłopaka z powrotem. I zaczniesz się odpowiednio zachowywać. Jeśli nie, to możesz się pożegnać z kieszonkowym i kartami kredytowymi. — Ramiona trzęsą mu się z powstrzymywanej wściekłości; teraz poświęca mi całą swoją uwagę. — I przysięgam, wydziedziczę cię. Chcesz iść własną drogą? Zobaczysz, jaka jest zimna i ciemna.

Nie wątpię ani przez sekundę, że jest do tego zdolny. Zawsze wiedziałam, że jeśli chodzi o mnie, potrafi być bezwzględny. Żadnego rozpieszczania, żadnych względów. Kiedyś mnie to przerażało.

— Coś ci powiem — mówię, zdejmując torebkę z oparcia krzesła — oto moja propozycja: nie.

Jego oczy, w tym samym odcieniu zieleni jak moje, jarzą się dezaprobatą.

— Mackenzie — mówi ostrzegawczo.

Sięgam do torebki.

— Rób, co musisz, ale ja mam dość życia w ciągłym strachu, że was rozczaruję. Mam

po uszy tego, że nigdy nie osiągnę waszego ideału. Wystarczająco długo stawałam na rzesach, żebyście byli zadowoleni, i wciąż byłam nie dość dobra. Nigdy nie będę córką, jakiej chcieliście, ale już nie będę się starać.

Znajduję w torebce to, czego szukałam. Po raz pierwszy w całym moim życiu widzę, jak rodzicom zabrakło słów. Spoglądają na mnie, kiedy wypełniam czek.

Przesuwam go po stole w stronę ojca.

— Proszę. To powinno pokryć wasze wydatki na mnie w ciągu pierwszego semestru. Doszłam do wniosku, że moje zainteresowania leżą gdzie indziej.

Nie mając już nic więcej do powiedzenia — oraz pewna, że ten wybuch szaleństwa i odwagi nie potrwa długo — wstrzymując oddech, wstaję od stołu i wychodzę, nie oglądając się za siebie.

I w ten sposób rzucam studia.

31. Mackenzie

Kiedy Cooper wraca wieczorem z pracy, czekam na niego przed drzwiami.

Po odejściu od rodziców nie miałam gdzie wyrzucić z siebie nagromadzonej energii, więc przeszłam się bulwarem, później plażą, w końcu dotarłam tutaj. Jakiś czas potem siedzę wciąż na ganku, kiedy ciężarówka Coopera parkuje na podjeździe i obaj bracia wysiadają.

— Co tam, księżniczko? — Evan spacerowym krokiem podchodzi do drzwi, puszcza do mnie oko i wchodzi do środka. Teraz jestem starą kumpelką tego niegrzecznego bliźniaka.

— Jak długo tu czekasz? — Zaskoczony moim widokiem Cooper wchodzi na ganek.

Natychmiast zapominam, o co pytał, gdyż jestem zbyt zajęta wytrzeszczaniem oczu. Za każdym naszym spotkaniem sprawia, że się podrywam. Ciemne oczy i rozwichrzony wiatrem włosy; zarys ciała pod T-shirtem i spleśniałymi džinsami igrają z tym, co kryje się w pamięci. Zapach trocin. Praktycznie tracę opanowanie, całe moje jestestwo sprowadza się do pragnienia, pragnienia, pragnienia.

— Mac! — Budzi mnie jego głos. Na wargach Coopera pojawia się domyślny uśmiech.

— Och, przepraszam. Jakąś godzinę.

— Coś się stało?

— Nie, nic. — Łapię jego wyciągniętą dłoń i pozwalam mu się podnieść. Wchodzimy. Zrzucamy buty i natychmiast prowadzę go do jego sypialni.

— Mam wiadomość — oznajmiam.

— Tak?

Zamykam drzwi i przekręcam klucz, bo ostatnio Evanowi zdarzyło się ruszać klamką, kiedy wiedział, że coś się między nami dzieje — tylko po to, żeby mnie wystraszyć. Ten chłopak naprawdę powinien znaleźć sobie jakieś hobby.

— Rzuciłam studia. — Ledwie mogę powstrzymać podniecenie. Może też i strach. Wszystko topi się w jedną buzującą we mnie masę.

— O cholera, poważne. Jak do tego doszło?

— Rodzice urządzili na mnie zasadzkę na kampusie i w sumie to mnie do tego zmusili.

Cooper zdejmuje T-shirt i wrzuca do kosza. Potem zaczyna rozpinąć pasek, ale wtedy

ja przechodzę przez pokój i odsuwając jego dłonie, sama się za to zabieram. Kiedy rozpinam zamek, czuję, jak mnie obserwuje, a mięśnie brzucha zaczynają mu się spinać.

— Jak poszło? — pyta teraz nieco roztargnionym głosem.

Nie zsuwając z niego dżinsów, wsuwam dłoń w bokserki i zaczynam go gładzić. Już jest niemal twardy. Po chwili jest całkowicie gotowy.

— Kazałam im się gonić. — Przesuwam kciukiem po kropli płynu na końcówce.- Cooper ze świstem wciąga powietrze. — Może nieco innymi słowami.

— A teraz czujesz się cholernie z siebie zadowolona, co? — Jego dłonie przeczesują mi włosy i zaciskają się przy skórze.

Pochyliłam się niżej i całuję go w zagłębienie przy uchu.

— Odrobinę.

Potem prowadzę go tyłem, aż Cooper nogami uderza o łóżko i siada na skraju.

Jego oczy ciemnieją z pożądania.

— Co było przyczyną?

— Głównie ja. — Chwytam prezerwatywę z szafki nocnej i rzucam mu ją, sama zdejmuję sukienkę przez głowę. — I trochę ty.

Mój stanik i majtki lądują na podłodze.

— Niezależność ci służy — mówi ochryple Cooper, przesuwając dłońmi po swoim penisie, śledząc wzrokiem każde moje poruszenie.

Powoli siadam na nim. On szepcze mi w ucho przekleństwa i chwyta obiema rękami za pośladki. Ujeżdżam go z rękami opartymi o jego pierś. Najpierw delikatnie, gdyż wstrząsa mną seria dreszczy. Bycie z Cooperem zawsze przyprawia mnie o wstrząs. Wszystko w nim doskonale do mnie pasuje, jednak wciąż się do niego nie przyzwyczaiłam — i chyba tego nie chcę. Wciąż znajduję coś nowego, wciąż wstrząsem reaguję na jego usta przesuwające się po mojej skórze.

Kołyszę się w przód i w tył. Bezwstydnie. Chcę, żeby wszedł jeszcze głębiej, znalazł się jeszcze bliżej. Głowa opada mi na jego ramię, gryzę go, żeby nie wydać dźwięku, kiedy ocieram się o niego.

— Cholera, nie wytrzymam dłużej — mamrocze Cooper.

— Dobrze — szepczę.

Cooper z jękiem pcha mnie od dołu i otacza mocnym uściskiem.

Uśmiecham się na widok jego zamglonych rozkoszą oczu i słucham ochrypłych dźwięków, które wydaje, dochodząc do końca. Potem Cooper wyrzuca prezerwatywę, kładzie mnie na łóżku i całuje od piersi do brzucha, potem zsuwa się ustami niżej, w końcu układa się między moimi nogami, otwiera i zaczyna pieścić językiem. Pieści mnie

tak długo, aż zaczynam szarpać go za włosy i jęczeć z przyjemności. Za dobrze mu to idzie. Mogę się uzależnić.

Jeszcze później, po prysznicu i jeszcze jednej kolejce orgazmów, siedzimy z Daisy na werandzie, podczas gdy w piecyku grzeje się mrożona pizza.

— Nie wiem, czybym się na to zdecydowała, gdybyśmy się nie poznali — mówię. Nasz szczeniak śpi mu na kolanach. — Mam na myśli porzucenie studiów.

— Owszem, zrobiłabyś to. W końcu. Ja jestem tylko dodatkowym argumentem, który to wszystko przyspieszył.

— Może — przyznaję. — Jednak to ty mnie zainspirowałaś.

Cooper przewraca oczami.

— Przymknij się. Mówię serio. — Tego już się o nim nauczyłam: absolutnie nie umie przyjmować komplementów. To jedna z jego bardziej rozczulających cech. — Ty nie boisz się niczego ani nikogo. Sam tworzysz swoje zasady i nie interesuje cię reszta.

— Mnie jest łatwiej, bo nie mam o co się bić.

— Uwierzyłeś we mnie — mówię. — Ty jedyny z wszystkich ludzi. To wiele dla mnie znaczy. Nie zapomnę o tym.

Jednak nawet ciesząc się swoją świeżo wywalczoną niezależnością, nie jestem aż tak naiwna, by uznać, że rodzice pogodzą się z porażką. Znajdą sposób, żeby mi dać boleśnie po łapach. Nikt nie stawia się ojcu bezkarnie. Na pewno odczuję skutki tego nagłego wybuchu nieposłuszeństwa — pytanie tylko, jak dotkliwie.

Skutki moich poczynań nie dają długo na siebie czekać. Równo sześć dni po rezygnacji ze studiów dostaję e-mail z dziekanatu do spraw studenckich. Jest krótki i węzłowaty, uprzejma wersja „bierz dupę w troki i chodź tutaj”.

Spóźniam się na spotkanie kilka minut — sekretarka wprowadza mnie do gabinetu obitego boazerią z drzewa wiśniowego. Pani dziekan jest zajęta, będzie za chwilę. Czy mam ochotę na wodę?

Jak się domyślam, rodzice wykonali kilka telefonów w nadziei, że neutralna osoba trzecia zdoła mnie w ich imieniu przekonać, żebym jednak nie rzucała studiów. Chociaż jeśli o mnie chodzi, pozostały tylko formalności papierkowe do załatwienia. Fakt, niewiele się zajmowałam dokończeniem spraw związanych z moim odejściem z Garneta, gdyż przez większość czasu zajęta hotelem i moimi stronami pozwoliłam sobie na coś, co według mnie jest lekkim zwolnieniem tempa.

— Najmocniej przepraszam. — Do pokoju wchodzi pani dziekan Freitag, drobna kobieta o stwardniałej skórze opinającej kości i marszczącej się w drobne fałdki. Obchodzi biurko, strzepnięciem strząsa wilgoć z jasnych włosów do ramion, tworzących

kask na głowie. Poprawia żakiet ciemnoczerwonego kostiumu i zdejmuje z szyi jedwabną apaszkę.

— Na dworze gorąco jak w piekle.

Włącza mały wentylator stojący na biurku i kieruje go na siebie; przez moment napawa się wiatrem, po czym znów odwraca się do mnie.

— No dobrze, panno Cabot. — Jej zachowanie zmienia się nieco. — Jak rozumiem, od tygodnia nie pojawiła się pani na żadnych zajęciach.

— Nie. Postanowiłam zrezygnować z tego semestru.

— O? O ile dobrze pamiętam, opóźniła pani rozpoczęcie studiów już o rok? — Jedna cienka brew podjeżdża do góry. — Cóż to za pilne sprawy odsuwają wykształcenie na dalszy plan?

Jej przyjazna ignorancja budzi moją czujność; jakbym wchodziła do pułapki.

— Ściśle rzecz ujmując, całkowicie odchodzę z Garneta. Nie wrócę w przyszłym semestrze.

Pani dziekan mierzy mnie niewzruszonym spojrzeniem przez kilka sekund — tak długo, że mam niemal ochotę coś dodać, byle tylko skłonić ją do reakcji. W końcu się odzywa, a w jej głosie mimo woli wyczuwam nutę mściwości.

— Jak rozumiem, dobrze to sobie pani przemyślała?

— Jak najbardziej.

Przez jej usta przemyka szybki uśmiech typu „jak sobie chcesz”, po czym pani dziekan przesuwa myszą, by komputer zaczął pracować, i mówi dalej, nie odrywając wzroku od ekranu.

— Dobrze, oczywiście pani pomożemy. Sekretarka przygotuje niezbędne papiery. — Rzuci mi spojrzenie niezupełnie uspokajające. — Proszę się nie martwić, to tylko jeden czy dwa podpisy. — Klika myszką. — Oczywiście musi pani zwolnić pokój w Tally Hall w ciągu dwudziestu czterech godzin od złożenia rezygnacji w Wydziale Zakwaterowania. — Obdarza mnie uśmiechem godnym miss letniego festynu melona. — O! Właśnie je wysłałam.

No to mam. Usadzili mnie.

Głośna wiadomość „ja ci pokażę” od taty.

Kobieta ma rację. Nie mogę mieszkać w akademiku, skoro tu już nie studiuję — drobny szczegół, który umknął mojej uwadze. Bez wątpienia rodzice przez cały ten tydzień czekali, aż pokornie wrócę do domu poprosić ich o gościnę.

— Czy coś jeszcze? — Pani dziekan uśmiecha się do mnie, jakbym jej to zrobiła. Osobiste świństwo.

Jednak nie zastanawiam się nad tym ani sekundy. Rozeszliśmy się, na dobre i na złe.

— Nie, proszę pani. — Przywołuję na twarz przesłodzony uśmiech i wstaję. — Pójdę już.

Godzinę później jestem w pokoju i pakuję rzeczy w pudła. Niewiele ponad trzy miesiące. Tyle trwała moja kariera studencka, a jednak... nie jest mi smutno, że się skończyła.

Zdejmuję ubrania z wieszaków, kiedy dobiega mnie brzęk SMS-a. Sięgam po telefon leżący na biurku. To wiadomość od Kate, której nie widziałam od kilku tygodni. Kilka razy proponowałam jej wyjście — nie chciałam okazać się jedną z tych dziewczyn, które zapominają o przyjaciółkach, kiedy tylko na horyzoncie pojawi się nowy facet — ale ona była zajęta próbami z zespołem, do którego dołączyła w zeszłym miesiącu. Jak się zdaje, gra tam na gitarze basowej.

Kate: Heej tam! Uwaga: rozmawiałam przez telefon z siostrą, zgadało się o tobie. Mel mówi, że twój eks rozpytuje, z kim się spotykasz. Chyba ktoś widział cię w mieście z kimś stąd.

Przeklinam na głos. Cholerny Evan! Wiedziałam, że tamten wieczór odbije nam się czkawką.

Ja: Uu, cudownie.

Kate: Właśnie. Preston ruszył na misję. Zostałaś ostrzeżona.

Ja: Dzięki za wiadomość.

Kate: Nie ma za co. Przy okazji — pierwszy koncert gramy w piątek, w „Rip Tide”, scena dla wszystkich chętnych. Przyjdź!

Ja: Prześlij mi szczegóły!

Jeszcze nie wróciłam do pakowania, kiedy telefon w mojej dłoni znów wibruje. O wilku mowa. Tym razem to Preston, chyba niezbyt zadowolony.

Preston: Rzuciłaś studia? Co ci odwala, Mackenzie, czemu marnujesz sobie życie?

Zaciskam zęby. Mam powyżej uszu jego napuszonych bzdur. Tego krytycznego, protekcyjnego odnoszenia się do mnie, jakbym nie potrafiła kontrolować własnego życia.

Ja: A tak z ciekawości: sam mnie śledzisz czy płacisz innym, żeby mieli mnie na oku?

Preston: Twój ojciec do mnie dzwonił. Uważa, że zupełnie ci odbiło.

Ja: Mam w dupie, co on myśli.

Ja: Mam w dupie, co ty myślisz.

Ja: Nie pisz do mnie więcej.

Widzę, że zaczyna odpisywać, więc przełączam telefon w tryb „nie przeszkadzać”. Jeszcze nie potrafię zmusić się do tego, by zablokować jego numer. Chyba ze względu

na naszą wspólną przeszłość. Jednak mam przeczucie, że prędzej czy później zostanę do tego zmuszona.

Kiedy Bonnie wraca po zajęciach popołudniowych, jestem już spakowana. Drobną blondynką staje jak wryta w naszym saloniku i wbija wzrok w sześć kartonów ustawionych pod ścianą.

— Uciekasz? — Zrzuca plecak i wyjmuję wodę z minilodówki, po czym stoi przed nią, nie zamykając drzwiczek, i chłodzi sobie nogi.

— Wykopali mnie — odpowiadam, rozkładając ręce. — Zanosiłoby się na to.

— Cholera. — Bonnie stopą zamyka lodówkę. — Myślisz, że będę mogła zostać tu sama?

Uśmiecham się do niej. Bonnie nie jest może wyjątkowo sentymentalna, ale wiem, że jej zależy.

— Też mi będzie cię brakowało.

— Co zrobisz ze swoimi rzeczami? — Bonnie wskazuje pudła, po czym uśmiecha się przebiegle. — Może poprosimy naszego puszczańskiego byłego, żeby pożyczył swoje porsche?

Uśmiecham się krzywo.

— Na pewno by się zgodził. — Idę do mojej byłej sypialni, po drodze wyjmując telefon z kieszeni. — Poradzę sobie. Znam kogoś z ciężarówką, sprawdzę, czy może mnie odebrać.

— Och, czy to ten lokalsz z magicznym fiutem?

— Może. — Śmiejąc się, chowam się w sypialni i wybieram numer.

— Hej, kochana. Co tam? — Szorstki głos Coopera łaskocze mnie w ucho i przyprawia o dreszcz na kręgosłupie. Nawet głos ma seksowny.

— Hej, wiesz, mam grubą prośbę.

— Dawaj. — Stukoty młotków i świst pił w tle cichną, jakby Cooper oddalił się od miejsca, w którym pracuje.

— Muszę się wyprowadzić z akademika. Właściwie mnie wyrzucili. Nie wolno tu mieszkać, jeśli nie jest się studentem.

— Zdajesz sobie sprawę, że ze strony szkoły to całkiem rozsądne?

— Dali mi dobie na wyprowadzkę — odpowiadam. — To ma być rozsądne?

Cooper śmieje się cicho.

— Potrzebujesz pomocy w pakowaniu?

— Nie, ale mam nadzieję, że po pracy mógłbyś mnie stąd zabrać swoją ciężarówką. Mam kilka kartonów. Większość oddam na przechowanie do skrytki w mieście, dopóki

nie znajdę mieszkania. — Waham się przez chwilę. — I... hm... przydałoby mi się jakieś lokum na trochę, dopóki nie znajdę czegoś na stałe, jeśli to nie za wiele.

Przecież to bardzo poważna prośba. Dopiero co zaczęliśmy się spotykać. Zamieszkanie razem, nawet tymczasowo, to duża uprzejmość. Owszem, z Evanem jestem w dobrych układach, co może złagodzić ewentualne napięcia, lecz przecież obaj nie szukali trzeciej osoby do mieszkania.

— Nie, wiesz co — przerywam, kiedy zaczyna odpowiadać — znajdę hotel. To znacznie sensowniejsze.

Bo faktycznie co ja sobie myślałam? To głupi pomysł. Jak mogłam przypuścić, że od razu wepchnę się do domu Coopera, jakbyśmy znali się dłużej niż od kilku miesięcy? Szaleństwo.

— Na północnej stronie plaży jest motel. Na pewno wynajmują pokoje na tydzień...

— Mac!

— Tak?

— Zamknij się.

Tłumię śmiech.

— Jak ty do mnie mówisz.

— Nie będziesz mieszkać w jakiejś spelunie na plaży. Przenosisz się do mnie. Koniec.

— Na pewno? Nie przemyślałam sobie tego, od razu zadzwoniłam, tylko...

— Kończę o osiemnastej, po pracy przyjadę po ciebie na kampus.

Emocje ściskają mnie za gardło.

— Dzięki. Hm... cholera, Cooper, jestem ci bardzo wdzięczna.

— Załatwione, księżniczko. — Cooper żegna się szybko i rozłącza, a ja stoję, uśmiechając się do telefonu. Nie podejrzewałam, że Cooper zachowa się po świńsku, ale naprawdę bardzo dobrze sobie z tym radzi.

— Chwila, czy mnie uszy nie mylą? — rozlega się rozemocjonowany głos w otwartych drzwiach mojego pokoju. — Czy właśnie usłyszałam, że naszego tajemniczego rozmówcę nazywasz Cooperem?

Gapię się na nią oczami wielkimi z zakłopotania.

— Cooper Hartley?

Kiwam głową.

Bonnie tak mocno wciąga powietrze, że aż podskakuję, chociaż stoi tuż przede mną.

— O, na miłość boską! To jego przede mną kryłaś? — Wpada do pokoju, blond loki podskakują na ramionach. — Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie opowiesz mi wszystkiego ze szczegółami. Chcę wiedzieć wszystko!

32. Cooper

Dziewczyna straciła rozum.

— Co masło orzechowe robi w lodówce? — krzyczę z kuchni.

Przysięgam na Boga, obecność trojga mieszkańców zamieniła nasz dom w cyrk. Kiedyś wiedziałem, gdzie jest Evan, po trzaskach i jękach, jakimi reagował dom wokół niego. Teraz jest ich dwoje i mam wrażenie, jakby stary budynek był nawiedzony — zewsząd jednocześnie dolatują dziwne odgłosy. Do diabła, w tej chwili nawet ja dałbym się przekonać, że Patricia istnieje.

— Hej! — krzyczę znów w próżnię. — Gdzie jesteś, do cholery?

— Tutaj, świrusie. — Obok mnie pojawia się Evan, odpycha mnie bokiem, wyjmując z lodówki dwa sześciopaki piwa i wrzuca do chłodziarki.

— Nie ty. Ona.

Evan wzrusza ramionami i wychodzi z kuchni, niosąc chłodziarkę.

— Co się dzieje? — Nie wiadomo skąd wyskakuje Mac w skąpym bikini. Górą wylewają się jej cycki, a cienki pasek materiału w dole błaga, żebym go zerwał zębami. Cholera.

— Ty to zrobiłaś? — Unoszę słoik masła orzechowego marki, której dotąd nawet nie znałem. Słoik stał sobie na półce na drzwiach przez cały czas, kiedy opróżniałem po kolei szafki kuchenne, szukając słoika marki Jif.

Mac mruży oczy i spogląda na mnie.

— Co takiego?

— Kto wkłada masło orzechowe do lodówki?

— Hm... — Mac podchodzi, bierze ode mnie słoik i obraca go w dłoniach. — Tak napisali na etykiecie.

— Ale wtedy ono twardnieje, robi się obrzydliwe. — Otwieram słoik i widzę stwardniałe masło pokryte calową warstwą oleju. — Co to za gównno?

— Jest ekologiczne — wyjaśnia Mac jak komuś wyjątkowo tępemu. — Rozdziela się, trzeba je trochę przemieszać.

— Po co, do cholery, miałbym mieszać masło orzechowe? Ty to naprawdę jesz?

— Owszem. Jest doskonałe. Wiesz co, chyba mógłbyś odpuścić sobie rzeczy z dodatkiem cukru. Wyglądasz na spiętego.

Czy to udar? Czuję się tak, jakbym tracił zdrowe zmysły.

— Co to ma do rzeczy?

Mac przewraca oczami i cmoka mnie w policzek.

— Zwykłe masło orzechowe jest w spiżarni. — Wychodzi za Evanem na taras, kręcąc tyłkiem pod moim adresem.

— Jakiej spiżarni? — wrzeszczę za nią.

Mac nie zwraca na mnie uwagi, więc odwracam się i rozglądam uważnie; w końcu moje spojrzenie pada na skrytkę na szczotki. W brzuchu czuję nagły ciężar.

Otwieram drzwi skrytki i stwierdzam, że Mac wyrzuciła z niej narzędzia, zapasy na wypadek huraganu i inne graty, które tam ładnie poukładałem — a zastąpiła je prawdziwym jedzeniem, które po jej wprowadzeniu się znikło tajemniczo, gdyż Mac zaczęła zapełniać nam szafki krakersami z siemienia, bez GMO, za to ze znaczkiem fair trade i innymi tego typu świństwami.

— Chodźmy. — Evan wsuwa głowę do wewnątrz.

— Widzisz to? — pytam, wskazując spiżarnię.

— Noo, lepiej, nie? — odpowiada Evan, po czym wraca na zewnątrz, wołając przez ramię: — Spotkamy się przed domem!

Zdrajca.

Mac mieszka z nami ledwie od tygodnia, a już zdołała przewrócić życie domowe do góry nogami. Evan chodzi ostatnio w dziwnie doskonałym nastroju, ale w ogóle mu nie wierzę. Cała przestrzeń na blatach w mojej łazience została zajęta. Jedzenie jest dziwaczne. Papier toaletowy inny. I gdzie się obrócę, Mac coś przestawia.

A potem dzieje się coś takiego: przekręcam klucz w drzwiach, wychodzę na werandę, a tam Mac i Evan, czekając na mnie, rechoczą do rozpuku nie wiadomo z czego. Wydają się zadowoleni z życia, zachowują się tak, jakby znali się od zawsze.

Wciąż nie wiem, kiedy i dlaczego tak się wszystko pozmieniało. Pewnego dnia Evan przestał wychodzić z pokoju, mamrocząc pod nosem, kiedy wchodziła — Mac została przyjęta do wspólnoty braterskiej. Została jedną z nas. Praktycznie weszła do rodziny. Trochę to przerażające, chociażby dlatego, że nie odważyłem się mieć nadziei na coś podobnego. Wyobrażałem sobie, że zaczniemy krwawą wojnę — lokalsi przeciwko klonom, aż będziemy mieli siebie powyżej uszu. Cieszę się, że się myliłem, chociaż nie wierzę całkowicie w to, co się dzieje. Żadna tak gwałtowna zmiana nie trwa długo.

Razem z Evanem niosę chłodziarkę do ciężarówki; wrzucamy piwo na pakę. Mój brat wskakuje obok, podkłada sobie plecak pod głowę i rozciąga się wygodnie, jak prawdziwy nygus.

— Obudźcie mnie, jak dojedziemy — mówi zadowolony; solennie postanawiam sobie wjeżdżać w każdą dziurę, jaką znajdziemy w drodze na bulwar, gdzie umówiliśmy się ze

znajomymi. Wyatt ściągnął wszystkich na turniej siatkarski. Większość z nas chętnie się zgodziła; chcemy wykorzystać dobrą pogodę, zanim się zmieni.

— Hej — mówi do mnie Mac, kiedy sadowię się na siedzeniu kierowcy — wzięłam książkę z twojej półki, jakbyś chciał poczytać między meczami.

Grzebie w wielkiej torbie plażowej, którą ma w nogach. Ku mojemu rozczarowaniu włożyła na siebie koszulkę bez rękawów i szorty — szaleńczo pociągające bikini znikło.

— Dzięki. Jaką?

Mac unosi do mnie książkę w miękkiej okładce: *Od pucybuta do milionera — dziesięciu miliarderów, którzy zaczęli od niczego, a osiągnęli wszystko*. Tytuł jest przeraźliwie tandetny, ale treść to czyste złoto.

— Fajnie — kiwam głową. — To świetna książka.

— Masz fascynujący zbiór — mówi Mac rzeczowo. — Chyba nigdy nie spotkałam kogoś, kto tak lubi biografie.

Wzruszam ramionami.

— Lubię je.

Prowadzę ciężarówkę zapiaszczoną, nieutwardzoną drogą do znaku „stop” na końcu. Wrzucam lewy kierunkowskaz, a kiedy się obracam, by sprawdzić, czy nic nie jedzie, nagle czuję palce Mac muskające mnie po karku.

Natychmiast wybucha we mnie fala gorąca, która spływa w południowe rejony mojego ciała. To normalna reakcja na jej dotyk.

— Dopiero go zauważyłam — mówi Mac zaskoczona, przesuając palcami po moim najnowszym tatuażu. — Zawsze miałaś tę kotwicę?

— Nie, dopiero od dwóch miesięcy.

Kiedy odsuwa dłoń, czuję, jakbym coś stracił. Gdyby to zależało ode mnie, dłonie tej dziewczyny mogłyby mnie dotykać przez całą dobę, siedem dni w tygodniu.

— Podoba mi się. Jest prosty i jasny. — Mac uśmiecha się do mnie. — Lubisz te morskie motywy, prawda?

Odpowiadam szerokim uśmiechem.

— Przecież mieszkam na plaży. Chociaż szczerze mówiąc, to chyba przypadek, że większość moich tatuaży ma związek z wodą. Kotwicę zrobiłem pod wpływem impulsu, kiedy załapałem chwilowy dół. — Rzucam jej spojrzenie z ukosa. — Wtedy, kiedy mi napisałaś, że zrywasz kontakt ze mną i wracasz do byłego.

— Najgłupszy błąd w moim życiu.

— Święte słowa. — Puszczam do niej oko.

— Na szczęście go naprawiłam. — Mac uśmiecha się półgębkiem i kładzie dłoń na moim udzie. — To co ta kotwica ma wyrażać? Że się na mnie wkurzyłeś?

— Czułem się, jakbym miał ją u szyi. Odrzuciła mnie najfajniejsza, najmądrzejsza, najbardziej zabawna dziewczyna, jaką poznałem. Nie chciała mnie. — Wzruszam ramionami. — Czułem się wtedy, jakby całe życie coś mnie tak ciągnęło w dół. To miasto... wspomnienie rodziców... ojciec był nieudacznikiem, mama też. — Znów wzruszam ramionami, tym razem dodaję cierpki uśmiech. — Mam zły nawyk: moje tatuaże są bardzo bezpośrednie, żadnych metafor. Na całym moim ciele nie ma ani jednej subtelnej aluzji.

Tą uwagą wywołuję jej śmiech.

— Tak się składa, że bardzo mi się to ciało podoba. — Mac ściska mnie za udo, bynajmniej nie subtelnie. — Wcale nie jesteś nieudacznikiem.

— W każdym razie staram się nim nie być. — Wskazuję książkę na jej kolanach. — Czytam takie rzeczy jak biografie i wspomnienia tych mężczyzn i kobiet, którzy wydostali się z biedy albo przezwyciężyli trudności i zostali kimś, bo to mnie inspiruje. Chociażby jeden z gości w tej książce. Jego matka owdowiała, została z piątką dzieci, nie mogła ich wyżywić, więc oddała go do sierocińca. Był biedny, sam, szybko poszedł do pracy w fabryce. Robił formy do odlewania części samochodowych i ramki do okularów. W wieku dwudziestu trzech lat otworzył własną odlewnię. — Przechylam głowę do Mac. — W końcu ta odlewnia stworzyła markę Ray-Ban.

Mackenzie sunie dłonią do mojego kolana, ściska je, po czym sięga do mojej dłoni na rączce skrzyni biegów. Splata palce z moimi.

— Inspirujesz mnie — mówi po prostu. — A przy okazji: nie wątpię, że ty też trafisz do takiej książki.

— Może.

Na plaży Wyatt i reszta załogi już zajęli jedną siatkę do piłki. Dziewczyny rozłożyły się w pobliżu z parasolem. Steph czyta książkę, Heidi opala się na brzuchu, a Alana z typowym dla siebie wyrazem znudzenia popija drinka zakamuflowanego w butelce od wody.

Razem z Evanem witamy się z chłopakami żółwikiem. Ledwie skończyliśmy, Wyatt krzykiem każe nam stworzyć drużyny.

— Laska go rzuciła, więc zamienił się w dyktatora, co? — mamrocze Tate, kiedy przyglądamy się naszemu kumplowi, który ustawia nas jak, nie przymierzając, kapral na musztrze.

Odpowiadam chichotem.

— Jeszcze się nie pogodzili?

— Nie. Kto wie, może tym razem faktycznie już się nie zejdą... — Tate przerywa i mruży oczy.

Oglądam się — Wyatt próbuje ściągnąć Alanę z leżaka. Ona wzdycha i bierze go za rękę, żeby wstać. Pewnie zwerbował ją do drużyny. Chociaż dlaczego tak jej szepcze do ucha?

— O co chodzi? — pytam Tate'a.

— Nie mam pojęcia — odpowiada, zaciskając zęby.

Okej, niech będzie.

Zaczyna się rozgrywka, a ponieważ w Bay lubimy rywalizację, szybko robi się gorąco. Mac jest w mojej drużynie; z miłym zaskoczeniem odkrywam, że ma zabójczy serw. Dzięki niej wkrótce zdobywamy przewagę, co pozwala nam wygrać pierwszy mecz. Drużyna Wyatta wygrywa drugi. Przy dogrywce Mac pociąga Steph na swoje miejsce, a sama idzie w stronę wody.

— Zaraz wracam! — woła do mnie. — Trochę się ochłódzę.

Kiwam głową i podejmuję zadanie wdeptania w piach drużyny Wyatta i Evana. Dopiero po godzinie zdaję sobie sprawę, że Steph wciąż gra zamiast Mackenzie.

— Uważaj! — syczy Tate, kiedy przepuszczam ściętą piłkę.

Jednak teraz całą uwagę skupiam na tym, by znaleźć Mac. Błądzą spojrzeniem po plaży, aż w końcu ją dostrzegam. Stoi nad samą wodą. Rozmawia z kimś.

Pomimo słońca świeżącego prosto nad głową i palącego w nagą pierś na widok jej rozmówcy przeszywa mnie zimny dreszcz.

Kincaid.

33. Cooper

— Coop, serwujesz — mówi Steph wyczekująco.

— Schodzę — oznajmiam i unoszę dłonie. Wzrokiem odszukuję brata po przeciwnej stronie siatki.

— Evan! — wystarczy tyle, a on już do mnie podbiega. Głową wskazuję Mac; jego twarz zmierzcha.

— Kurwa — mówi.

— Właśnie.

Starając się robić takie wrażenie, jakbyśmy się nie spieszyli, zmierzamy w ich stronę, zostawiając za sobą nasze drużyny protestujące przeciwko naszemu odejściu. Chrzanić mecz. Jeśli coś pójdzie nie tak, tkwię po uszy w gównie.

— Jak to rozegramy? — mruczy Evan.

— Nie wiem jeszcze. Patrz, co robię. — Kiedy zbliżamy się do wody, świta mi myśl, że trzeba było udawać, iż nie widzę Kincaida i trzymać się z dala, kryć się wśród innych grających w siatkę. Jednak na pewno nie zostawię Mac samej z tym palantem.

— Jakiś problem? — otaczam Mac ramieniem i staję twarzą w twarz z Kincaidem, który najwyraźniej jest sam.

Na mój widok jego twarz wyraża dezorientację; chyba mnie rozpoznał. Byłoby za dobrze, gdybym całkowicie wyleciał mu z pamięci.

Mruży oczy i widać, jak coś oblicza w głowie.

— Zaraz, czy to on? — pyta, gwałtownie odwracając głowę do Mackenzie.

Mac rzuca mi zniecierpliwione spojrzenie; zauważa też Evana stojącego w pobliżu. Wzdycha.

— Tak, to on. A teraz idziemy. Miłego popołudnia, Pres.

— Chwila — odzywa się facet wkurzonym głosem, kiedy się odwracamy i ruszamy przed siebie. — Akurat dobrze się złożyło. Znam tego cieniasa.

Czuję, jak Mac lekko sztywnieje. Zatrzymuje się i odwraca do byłego.

— O czym ty mówisz?

Kincaid z nadętym grymasem patrzy mi w oczy.

— Ona nie ma pojęcia, co?

W ułamku sekundy muszę podjąć decyzję. W głębi duszy jednak wiem, że nie mam wyboru, przynajmniej tutaj, gdzie widownię stanowi Kincaid.

— Znamy się? — pytam więc.

Nikt nie udaje głupiego lepiej niż ktoś, kto na niemal każdej klasówce z matematyki zamieniał się z bliźniakiem miejscami.

— Taa, niezłe — kwituje Kincaid i odwraca się z powrotem do Mac. — Niech zgadnę... facet się napatoczył tuż po tym, jak pojechałaś do miasta? Sympatyczny lokals wpadł na ciebie, kiedy wyszłaś z koleżankami na drinka. Przerwij mi, jeśli to brzmi znajomo.

Mac krzywi nieco usta.

— Cooper, o czym on mówi?

W chwili, kiedy napotykam zaniepokojone spojrzenie jej zielonych oczu, w ustach czuję piasek. W żołądku kwas.

— Nie mam pojęcia — kłamię.

Z przerażeniem stwierdzam, że mogę ją tak łatwo okłamywać. Tak przekonujące słowa wylatują mi z ust. Ani odrobiny wahania.

— Mackenzie, kochanie, posłuchaj. — Kincaid wyciąga rękę, żeby jej dotknąć; muszę się naprawdę dobrze powstrzymać, żeby mu jej nie złamać, kiedy stoję między nimi. Facet zaciska usta i opuszcza rękę. — W weekend przez rozpoczęciem zajęć ten tutaj zaczął mi podskakiwać w barze, doprowadziłem do tego, że z miejsca wyleciał z roboty. Pamiętasz? Kiedy przywiozłem ci rzeczy do akademika, miałem podbite oko.

— Mówiłeś, że to w grze w kosza — odpowiada oskarżycielsko Mac z całkiem sporą dawką jadu w głosie.

— No dobrze, skłamałem — przyznaje niechętnie Kincaid i spieszy z dalszymi wyjaśnieniami, gdyż skrzyżowane ramiona Mac i jej uciekające spojrzenie świadczą o tym, że dziewczyna szybko przestaje się interesować jego słowami. — Ale teraz nie kłamię.

— A skąd mam o tym wiedzieć? — Nikt nie dorówna Mac w wytrwałości na polu bitwy. Mogłaby przez cały dzień spierać się o liczbę chmur na niebie tylko po to, by udowodnić swoją rację.

— Czy to nie oczywiste? — Facet traci cierpliwość, unosi ręce do nieba. — Pieprzy cię tylko po to, żeby odegrać się na mnie.

— Okej, wystarczy tego. — Skoro nie mogę wcisnąć mu buźki w piach i zakończyć sprawy, przynajmniej nie będę stał z boku i przyglądał się, jak mi niszczy życie. — Spadaj stąd, koleś. Daj jej spokój.

— Mackenzie, no co ty — mówi facet prosząco. — Chyba nie wierzysz poważnie w te bzdury, co? Jesteś młoda, wiem, ale chyba nie aż tak głupia.

To wystarczy. Wyraźnie słyszalny ton wyższości wyczerpuje cierpliwość Mac do reszty;

jej twarz przybiera wyraz chmury burzowej.

— Największe głupstwo w moim życiu polegało na tym, że tak długo z tobą byłam — odpala. — Na szczęście jeszcze miałam czas, żeby to zmienić.

Gwałtownie rusza w stronę naszej grupy, niemal muskając Evana. Obaj idziemy za nią; w tej chwili staje mi przed oczami jedna z wielu scen, kiedy szliśmy tak za nauczycielem do biura dyrektora. Raczej czuję, niż widzę pytanie Evana, czy wszystko dobrze, lecz nie umiem odpowiedzieć, dopóki nie dotrzemy do naszego kawałka plaży. Tam Mac odwraca się do mnie gwałtownie.

— Wal — rozkazuje.

— Co?

Mimo uniku zastanawiam się, czy to nie jest właściwy moment, żeby wszystko jej wyznać. Przyznać się, że początkowo moje intencje nie były czyste, lecz kiedy się poznaliśmy, wszystko się zmieniło.

Zrozumiałaby. Może nawet by ją to podkreśliło. Pośmialibyśmy się i zamienili to w wesołą historyjkę do opowiadania na imprezach.

Albo nigdy się do mnie nie odezwie i pewnego dnia po powrocie zastanę dom w płomieniach, przed nim tablicę wetkniętą w piach, a na niej popiołem wypisane: „Trzeba zauważać innych”.

— Nie zbywaj mnie. — Mac dźga mnie palem w pierś. — O czym on mówił? Znaie się?

Po raz kolejny mamy widownię i znów, czując na sobie wzrok przyjaciół, nie umiem zdobyć się na odwagę. Jeśli powiem jej prawdę w cztery oczy, mogę ją stracić. Jeśli powiem jej prawdę przy sześciu innych osobach, stracę ją na pewno. Upokorzona przy świadkach, nigdy mi nie wybaczy.

Tym razem kłamstwo pali mnie w język.

— Wszystko, co o nim wiem, usłyszałem na mieście albo od ciebie. Nie umiałbym go rozpoznać nawet na konfrontacji policyjnej.

Mackenzie dziwnie nieruchomieje, niemal przestaje oddychać. Wbija we mnie spojrzenie.

Czuję narastającą panikę, lecz na zewnątrz zachowuję kamienną twarz. Trzymam się swojej wersji. Dawno temu nauczyłem się, że łapie się tych, którzy się złamią. Kluczem do przekonującego kłamstwa jest uwierzyć w to, co się mówi. A potem zaprzeczać, zaprzeczać i zaprzeczać.

— Biliście się? — Mac przechyla głowę, jakby złapała mnie w pułapkę.

— Mac, gdyby zebrać wszystkich idiotów, którzy się upili i zaczęli rozrabiać, nie starczyłoby stadionu. Jeśli on też się gdzieś pojawił, to szczerze, nie pamiętam.

Wyraźnie zniecierpliwiona zwraca się do Evana.

— Czy Cooper naprawdę stracił pracę?

Przez ułamek sekundy boję się, że ich świeży platoniczny romans mnie wykończy.

— Cooper pracował latem w barze ze Steph. — Swoim niedbałym wzruszeniem ramion Evan przekonał nawet mnie. Chyba jednak przy ważnych okazjach wciąż jesteśmy po jednej stronie. — Ale tymczasowo.

Mac rzuca spojrzenie za Evana, tam, gdzie Steph znów usiadła na leżaku i wzięła książkę.

— Steph — pyta. — To prawda?

Nie unosząc wzroku znad książki, Steph kiwa głową; oczy przysłaniają jej duże ciemne okulary.

— To była robota na lato.

Czuję nieśmiałą ulgę, która mija szybko na widok Heidi zbliżającej się do nas z niezdecydowaną miną.

Szlag.

Znam tę minę. Trzeba namącić dla samej zabawy. Heidi to dziewczyna, która nigdy nie straciła okazji, by wzniecić pożar tylko po to, żeby słuchać krzyków. Wystarczy dodać do tego fakt, że ostatnio najczęściej jest na mnie wściekła, poza tym nie podoba jej się ani ten układ, ani Mac. Jednak kiedy nasze spojrzenia spotykają się na moment, bezgłośnie błagam ją, żeby ofiarowała mi to jedno.

— Wiecie co, umieram z głodu — mówi znudzonym głosem. — Możemy się stąd zabierać?

Wywijam się z opresji w ostatniej sekundzie.

Później każdego dnia wstrzymuję oddech, czekając, aż spadnie wiszący mi nad głową miecz. Oglądam się przez ramię, czy Kincaid znów się nie skrada za naszymi plecami. Mac chyba odpuściła, Evan i ja dokładamy wysiłków, by nie poruszać tego tematu. Jednak było blisko. Za blisko. To przypomnienie, jak kruchy jest nasz związek i jak łatwo można nam to wyrzeć z rąk. Ta świadomość robi na mnie większe wrażenie, niż się spodziewałem. Naprawdę przyzwyczałem się do Mac i coraz bardziej się z nią zżywam.

Wieczorem po konfrontacji z Kincaidem, kiedy Mac poszła już spać, siedzę w warsztacie, szaleńczo zaciągając się papierosem, z nadzieją, że nikotyna osłabi poczucie winy, stres i strach. Zwykle palę tylko wtedy, kiedy piję, a i to nie zawsze. Jednak czuję się zniszczony tym kłamstwem, które wcisnąłem Mackenzie.

Evan zastał mnie w warsztacie o pierwszej w nocy; popielniczkę na ławie roboczej wypełniają niedopałki po połowie paczki.

— Muszę się jej przyznać — mówię rozpaczliwie.

Evan się krzywi.

— Popieprzyło cię? I co przez to osiągniesz? Zrezygnowaliśmy z planu. Jesteś z nią, bo ona ci się podoba.

— Ale zacząłem po to, żeby odegrać się na Kincaidzie. Cały nasz związek opiera się na złych zamiarach.

W końcu Evan przekonuje mnie, żebym milczał. Chociaż co ja gadam, nie musi się wcale mocno starać, żeby mnie przekonać. Myśl o utracie Mackenzie rozdziera mnie na kawałki. Nie mogę jej stracić. Evan się mylił — nie jestem z nią dlatego, że ona mi się podoba.

Zakochałem się w niej.

Usuwać więc wyrzuty sumienia w najdalsze zakątki umysłu. Pracuję nad tym, żeby stać się mężczyzną, którego Mac potrzebuje i na którego zasługuje. Potem, pewnego poranka, leżymy na łóżku, a ja biorę pierwszy swobodny oddech od niemal miesiąca. Mac jeszcze przez sen obraca się i zarzuca mi nogę na biodro. Kiedy wtula się we mnie, ogarnia mnie poczucie spokoju, jakiego nigdy nie zaznałem.

— Dzień dobry — szepcze. — Która godzina?

— Nie wiem. Dziesiąta?

— Dziesiąta? — Mac siada nagle. — O rany. Niedługo przyjedzie twój wujek. Musimy tu trochę sprzątnąć.

Słodkie, że myśli, iż Levi w ogóle się tym przejmie.

Zostawia mnie samego w łóżku, idzie wziąć prysznic i po dziesięciu minutach pojawia się znów z mokrymi włosami i zarumienioną twarzą.

— Uuuch, nie mogę znaleźć niebieskiej sukienki — mamrocze z głową w szafie zajętej w połowie jej ubraniami.

Minęło kilka tygodni, odkąd z nami zamieszkała, a jednak nikt nie wspomina o tym, że mogłaby się wyprowadzić. Z radością unikam tematu. Jasne, przy nowej lokatorce trzeba pójść na ustępstwa. Może wciąż jeszcze uczymy się tolerować swoje dziwactwa. Jednak ona wniosła tu ciepło, z budynku uczyniła prawdziwy dom. Wniosła tu życie po latach pełnych złych wspomnień i pustki.

Pasuje tu.

— No to włóż coś innego. Albo nie wkładaj i wróć do łóżka.

— Ale to moja sukienka pod nazwą „traktuj mnie poważnie” — woła Mac spod góry wieszaków, sądząc po głosie.

Nie ma powodu denerwować się spotkaniem z Levim. Wujek wygląda onieśmialająco, ale to najsympatyczniejszy człowiek, jakiego można spotkać. I owszem, można mieć

wiele przeciwko łączeniu interesów z przyjemnością, lecz wolę patrzeć na tę perspektywę ich wspólnej pracy przy hotelu optymistycznie.

— A może to? — Mac wynurza się z szafy w zielonej bluzce podkreślającej kolor jej oczu i granatowych spodniach, otulających jej pośladki tak, że nic nie poradzę, jestem w połowie gotowy.

— Wyglądasz odlatowo.

Uśmiecha się w odpowiedzi. Przekrzywia głowę, oczy jej błyszczą. Te spojrzenia zarezerwowane tylko dla mnie... trafiają mnie prosto w pierś.

Straciłem głowę dla tej dziewczyny.

— Co? — pyta, stając w nogach łóżka i upinając włosy na czubku głowy.

— Nic. — Mogę jedynie uśmiechnąć się do niej z nadzieją, że tego nie schrzanię. — Chyba jestem szczęśliwy, to wszystko.

Mac podchodzi do mnie i całuje w policzek.

— Ja też.

— Tak? Nawet pomimo tego, że hm... rodzice praktycznie cię wydziedziczyli?

Mac wzrusza ramionami i idzie do łazienki. Ubieram się i przyglądam w lustrze, jak się maluje.

— Nie jest mi miło, że przestaliśmy rozmawiać — przyznaje. — Ale to oni są uparci. Życie na własny rachunek to nie jest powód do ekskomuniki.

Martwiłem się, że im dłużej potrwa ta milcząca bitwa z rodzicami, tym bardziej Mac zacznie żałować decyzji o rzuceniu studiów, kupnie hotelu, byciu ze mną. Jednak na razie nie widzę u niej żadnych oznak żalu.

— W końcu im przejdzie — mówi, odwraca się i spogląda na mnie. — Nie płaczę nad tym, wiesz? Nie dam im tej satysfakcji.

Mierzę spojrzeniem jej twarz w poszukiwaniu śladów oszustwa. Nie znajduję ich. Z tego, co widzę, naprawdę jest szczęśliwa. Staram się nie popadać w paranoję. Wiem, że potrafię wpaść w spiralę i zacząć przewidywać katastrofy. Jednak zawsze tak się działo w moim życiu: kiedy zaczynało się robić zbyt dobrze, spadałem na ziemię.

Mam nadzieję, że tym razem Mac przełamała klątwę.

34. Mackenzie

No dobrze, to nie jest zima jak w Jackson Hole czy Aspen — przez cały weekend temperatura wahała się w okolicach dwudziestu stopni, jakby w całej Karolinie panowała wciąż jesień — lecz kupowanie choinki z Cooperem i Evanem jak dotąd okazało się przygodą. Wyrzucono nas już z trzech placyków z choinkami, gdyż te łobuzy nie potrafią się zachować przy ludziach. Na jednym z nich sprawdzali, który zegnie do ziemi najwyższą choinkę, na środku parkingu przed spożywczym zaczęli się fechtować — w końcu będziemy musieli pojechać po drzewko do innego stanu.

— A może to? — pyta Evan ze środka sztucznego lasu.

Uczciwie przyznaję, że raz wygonili nas przez Coopera i mnie, kiedy złapali nas, jak się całowaliśmy za jodłami. Cooper udowadnia, że nie nauczył się niczego, gdyż zachodzi mnie od tyłu i klepie w tyłek, podczas gdy ja próbuję znaleźć drogę do jego brata.

— Przypomina twoją dziewczynę z ósmej klasy — zauważa Cooper, kiedy znajdujemy Evana obok okrągłej choinki szerokiej na górze i na dole, ale wyraźnie gołej w środku.

Evan uśmiecha się ironicznie.

— Zazdrościsz.

— Ta jest ładna — wskazuję inną choinkę. Jest pełna i puszysta, między gałązkami ma miejsce na ozdoby. Nie zieją w niej dziury ani nie straszą brązowe plamy.

Cooper mierzy wzrokiem drzewko.

— Przeciśniemy ją przez drzwi?

— Możemy spróbować wnieść ją od tyłu — odpowiada Evan. — Chociaż jest wysoka. Może trzeba będzie wybić dziurę w suficie.

— Warto — śmieję się.

Zawsze podobały mi się duże choinki, ale nigdy nie pozwolono mi żadnej wybrać dla siebie. Rodzice mieli do tego ludzi. Co roku w grudniu pod dom podjeżdżała ciężarówka z zawartością sklepu z ozdobami świątecznymi. Wysoka, idealna choinka do salonu i mniejsze do niemal wszystkich innych pomieszczeń. Girlandy, światełka, świece i cała reszta dekoracji. Moja rodzina ani razu nie zebrała się razem, żeby ubrać choinkę; nigdy nie szukaliśmy idealnej gałązki na pamiątkową ozdóbkę, jak chyba robiły to inne rodziny. My mieliśmy jedynie kosztowne, wypożyczone śmieci w stylu, który akurat zainteresował

moją matkę na ten rok. Kolejny gotowiec do ich życia pełnego przyjęć i zabawiania wpływowych ludzi lub darczyńców dla kampanii. Całkowicie sterylne święta.

A jednak mimo to czuję, jak ogarniają mnie emocje na myśl, że w tym roku nie spotkam się z rodzicami. Wciąż niemal się do siebie nie odzywamy, chociaż ojciec przysłał mi kurierem stos kartek świątecznych i kazał je podpisać pod podpisem swoim i matki. To chyba kartki do szpitali i organizacji dobroczynnych w okręgu ojca; uprzejmość idealnej rodziny Cabotów, która tak bardzo dba o człowieka.

Wieczorem po kolacji we troje szukamy na strychu ozdób świątecznych, skrytych pod wieloletnim kurzem.

— Od jak dawna nie ubieraliśmy choinki, co? — pyta Cooper brata, kiedy znosimy pudła do salonu. — Trzy lata, cztery?

— Poważnie? — Stawiam moje pudło na parkiecie i siadam przed choinką.

Evan otwiera pudło z plątaniną sznurów światełek.

— Coś w tym rodzaju. Przynajmniej od szkoły średniej.

— To smutne.

Nawet plastikowe Boże Narodzenie jest lepsze niż żadne.

— Nasza rodzina nigdy nie przejmowała się świętami — mówi Cooper ze wzruszeniem ramion. — Czasami idziemy do Leviego. Zwykle na Dziękczynienie, bo on co drugi rok jeździ na święta do rodziny Tima w Maine.

— Tima? — pytam, nie rozumiejąc.

— Męża Leviego — dopowiada Evan.

— Partnera — poprawia Cooper. — Chyba się nie pobrali.

— Levi jest gejem? Jak to się dzieje, że dopiero teraz się dowiaduję?

Bliźniacy identycznym gestem wzruszają ramionami; w tej sekundzie rozumiem, dlaczego nauczyciele z takim trudem ich odróżniali.

— Właściwie on o tym nie rozmawia — mówi Cooper. — Są razem od jakichś dwudziestu lat, ale nie obnoszą się ze swoim związkiem. Obaj są bardzo skryci.

— Większość ludzi w mieście wie o tym — dodaje Evan. — Albo podejrzewa. Inni zakładają, że po prostu wynajmują razem dom.

— Powinniśmy byli urządzić kolację i ich zaprosić. — Przygnębia mnie myśl o straconej okazji. Jeśli zamierzam zamieszkać w Avalon Bay, niedaleko bliźniaków, byłoby miło nawiązać bliższe relacje.

To dziwne. Chociaż wyrosliśmy w dwóch przeciwnych światach, Cooper i ja nie różnimy się aż tak bardzo. Pod wieloma względami nasze doświadczenia są podobne. Im głębiej go rozumiem, tym lepiej zdaję sobie sprawę, że na nasze porozumienie mocno wpłynęła świadomość zaniedbania.

— Patrz, niektóre z tych ozdób zostały chyba jeszcze po dziadkach! — Evan przywleka pudło bliżej choinki. Chłopcy zagłębiają się w nie, wyjmują maleńkie, ręcznie robione ozdóbki ze zdjęciami. Rok 1953, 1961. Pamiątki z wycieczek po całym kraju. Evan unosi świeczkę, która kiedyś na pewno stała w stajence.

— Co to jest, do jasnej cholery?

Pokazuje nam zawinięte Dzieciątko Jezus, które najbardziej przypomina ziemniak pieczony w folii z dwiema czarnymi kropkami w miejsce oczu i różową linią zamiast ust.

Blednę.

— To się może przyśnić.

— Nie wiedziałem, że one tu są. — Cooper podziwia zdjęcie przedstawiające chłopca, zapewne jego ojca. Potem układa je na dnie pudełka.

Znów czuję gulę w gardle.

— Chciałabym mieć w domu takie pudła pełne starych zdjęć i pamiątek, z ciekawymi historiami, które mogliby mi opowiadać rodzice.

Cooper wstaje i ciągnie jedno z większych pudeł z powrotem na korytarz.

— Nie wiem... służący do ciężkich robót to chyba całkiem fajna sprawa — woła przez ramię.

— Nie wspominając o stosie prezentów w świąteczny poranek — dodaje Evan.

— Pewnie — mówię, wybierając ozdoby wciąż nadające się do użytku i budzące najmniej emocji. — To się wydaje wspaniałe. To jak poranek w warsztacie Świętego Mikołaja. Dopóki nie podrośniesz i nie uświadomisz sobie, że wszystkie karneciki na prezentach wypisali nie rodzice, tylko jacyś obcy ludzie. A zamiast elfów rodzice zatrudniają ludzi, którzy mają utrzymywać jak największy dystans między nimi a czymkolwiek, co nawet z daleka zalatuje sentymentalizmem.

— Ale i tak na pewno prezenty były zajebiste — mówi Evan, puszczając do mnie oko. Już przeszliśmy etap żarcików typu „ile kucyków dostałaś na urodziny”, jednak on wciąż nie może sobie odmówić wbicia mi czasem szpilki.

Ze smutkiem wzruszam ramionami.

— Oddałabym je wszystkie, gdyby moi rodzice zechcieli spędzić czas razem, chociażby raz. Żebyśmy raz poczuli się jak rodzina, a nie przedsiębiorstwo. Tata wciąż pracował, mama bardziej przejmowała się swoimi imprezami charytatywnymi... no wiem, pewnie, nie maltretowała szczeniaków ani nic w tym stylu. Są gorsze rzeczy niż zbieranie pieniędzy na szpital dla dzieci. Ale przecież ja też byłam dzieckiem, czy nie należało mi się trochę świątecznej radości?

— Ech, chodź no tutaj, ty wypierdku. — Evan otacza mnie ramieniem za szyję i całuje

w czubek głowy. — Tylko się z tobą przekomarzam. Rodzice potrafią wszystko spieprzyć, nawet ci bogaci. Wszyscy jesteście popapranymi tak czy inaczej.

— Chciałam tylko powiedzieć, że to, co teraz robimy, we trójkę, wiele dla mnie znaczy — mówię, z zaskoczeniem stwierdzając, że oczy zaczynają mnie piec. Jeśli rozplączę się przy tych chłopakach, nie dadzą mi żyć. — To moje pierwsze prawdziwe święta.

Cooper pociąga mnie do siebie na kolana i otacza ramionami.

— Cieszymy się, że tu jesteś.

Evan znika na moment, po czym wraca z małym pudełkiem.

— No dobrze. Chciałem ci to po kryjomu wrzucić później w skarpetę, ale chyba powinnaś to dostać teraz.

Wbijam wzrok w pudełko. Jest owinięte straszliwie, rogi nierówne, oklejone ilością taśmy znacznie większą niż potrzeba na pudełko wielkości mojej dłoni.

— Nie martw się — dodaje. — Nie jest kradzione.

Uśmiecham się i rzucam na prezent z wdziękiem nadąsanego dzieciaka. Wyciągam ze środka plastikową figurkę dziewczyny w różowej sukience. Włosy ma pomalowane na czarno pisakiem, a na głowie przyklejoną maleńką złotą koronę z papieru.

— Przysięgam, w sześciu sklepach szukałem ozdóbek dla księżniczki. Nie macie pojęcia, jak cholernie trudno je znaleźć. — Evan szczerzy zęby. — No to zrobiłem je sam.

Do oczu napływają mi łzy, w gardle rośnie gęsia łza.

— Chciałem ci coś dać, żeby poświętować.

Dłonie mi drżą.

— No... miało być śmiesznie. Wiesz, nie chciałem się zachować jak palant ani nic takiego.

Zginam się wpół i zanoszę histerycznym śmiechem, tak mocno, że żebra mnie bołą. Cooper nie może mnie utrzymać, staczam się na podłogę.

— Ona płacze czy się śmieje? — pyta Evan brata.

Naprawdę to najśłodszy prezent, jaki ktokolwiek dla mnie zrobił, tym ważniejszy, że Evan włożył w tyle wysiłku, by go dla mnie dobrać. Jego brat będzie musiał mocno się wysilić, jeśli chce mu dorównać.

W końcu udaje mi się opanować, wstaję i obejmuję Evana, który chyba oddycha z ulgą, że nie chcę mu skopać tyłka. Zapewne prezent mógł wywołać także inną reakcję, jednak chyba doszliśmy z Evanem do porozumienia.

— Skoro już się dogadaliście, czy możemy wreszcie skończyć tę przeklętą choinkę? — pyta Cooper lekko nadąsany; pewnie czuje się pominięty.

— Zachowuj się tak dalej, a nie dostaniesz prezentu — ostrzegam go.

— Proszę — mówi Evan, kładąc palec na ustach. — Dzieciątko z ziemniaka was słyszy.

Kilka dni później, po najskromniejszych i najlepszych świętach w moim życiu, siedzę z Cooperem w warsztacie, pomagam mu odkurzać, polerować i owijać niektóre meble. Chyba obserwowanie mnie zarządzającej remontem hotelu dało mu kopa i zmotywowało do energiczniejszego zajęcia się własną firmą. Ostatnio przedreptał kilka chodników i wysyłał zapytania, w tym tygodniu zadzwoniły dwa sklepy, które chcą sprzedać kilka jego mebli. Rano wysłaliśmy im nowe zdjęcia na strony internetowe, teraz zaś szykujemy meble do wysyłki.

— Ale mojego kompletu nie sprzedajesz, co? — pytam z niepokojem.

— Tego, za który nie zapłaciłaś? — Cooper puszcza do mnie oko i podchodzi bliżej. Jest cały w pyłe drzewnym, pokrywającym wszystko wokół.

— Trochę się spraw nałożyło, ale masz rację, jestem ci winna czek.

— Daj spokój, nie mogę wziąć od ciebie pieniędzy. — Cooper słodko wzrusza ramionami. — Te meble były zawsze twoje, czy je kupiłaś, czy nie. Odkąd ich dotknęłaś, nie mógłbym oddać ich nikomu innemu.

Serce mi podskakuje.

— Po pierwsze: to najśłodsze słowa, jakie do mnie powiedziałaś. Po drugie: oczywiście, że możesz wziąć ode mnie pieniądze. O to właśnie z nimi chodzi. Działają wszędzie.

— Mówisz jak prawdziwy klon.

Za te słowa obrywa ścierką do kurzu.

— Ręce, Cabot.

— Właśnie, ja ci pokażę ręce, Hartley.

— Naprawdę? — Z lekkim uśmiechem Cooper przyciąga mnie do siebie i ustami nakrywa moje wargi w zaborczym pocałunku.

Jego język przesuwają się na mój i akurat w tej chwili z otwartych drzwi garażu dobiega nieznaną kobiecy głos:

— Puk, puk!

35. Cooper

Nieruchomieję na ten głos za moimi plecami. Krew ścina mi się w żyłach. Odwracając się niechętnie do źródła dźwięku, mam wciąż nadzieję, że to tylko wyjątkowo żywa halucynacja.

Pech.

W wejściu stoi Shelley Hartley i macha do mnie ręką.

Niech to szlag.

Nie wiem, ile minęło czasu od jej ostatniej przelotnej wizyty w mieście. Kilka miesięcy, może rok. Jej wizerunek w moim umyśle jest wypaczony i wciąż się zmienia. Pewnie wygląda tak samo: źle ufarbowane blond włosy, zbyt mocny makijaż, ubrana jak kobieta o połowę młodsza, która zabłąkała się na koncert Jimmy'ego Buffeta i już tam została. Jednak to przede wszystkim uśmiech, z jakim lekko wchodzi do warsztatu, wkurza mnie najbardziej. Nie zasłużyła na niego.

Myśli gorączkowo skaczą mi po głowie. Ktoś wyjął zawleczkę i dał mi odbezpieczony granat, a ja mam tylko kilka sekund, by się nauczyć, jak nie upuścić go sobie pod nogi.

— Hej, kochanie — mówi, obejmując mnie. Smród ginu, papierosów i perfum o zapachu bzu sprawia, że czuję w gardle palącą żołąć. Niewiele zapachów tak gwałtownie przypomina mi dzieciństwo. — Mamusia się za tobą stęskniła.

Ta, jasne.

Jakieś sześć sekund zajmuje jej zmierzenie wzrokiem Mac i brylantowej bransoletki na jej ręce, pamiątki po prababci. Shelley praktycznie odsuwa mnie z drogi i łapie Mac za nadgarstek pod pozorem podania jej ręki.

— Co to za ślicznotka? — pyta mnie rozpromieniona.

— Mackenzie. Moja dziewczyna — odpowiadam głosem bez wyrazu. Mac zdezorientowana rzuca mi spojrzenie. — Mac, to Shelley. Moja mama.

— Och. — Mac, mrugając, szybko dochodzi do siebie. — Ehm, miło panią poznać.

— Chodźcie, pomóżcie mi to wnieść do domu — mówi Shelley, nie puszczając Mac. — Mam jedzenie na kolację, oby wszyscy byli głodni.

Przed domem nie widać samochodu, tylko na schodach na werandę stoi kilka papierowych toreb. Nie wiadomo, jak matka tu przyszła czy jaki paskudny wiatr przywiął ją do miasta. Pewnie wykopał ją kolejny żaloszny dureń, którego wydoła do ostatniego centa — albo uciekła od niego w środku nocy, zanim się zorientował, że okradła go ze

wszystkiego. Jedno wiem na pewno: to się dobrze nie skończy. Shelley to chodząca katastrofa. Zostawia za sobą zgliszcza, większość z tego rzuca pod nogi synom. Dawno temu się nauczyłem, że z nią nic nie jest takie, jak się wydaje. Jeśli oddycha, to kłamie. Jeśli się do ciebie uśmiecha, pilnuj portfela.

— Evan, kochanie, mamusia przyjechała! — woła po wejściu do wewnątrz.

Na dźwięk jej głosu Evan wychodzi z kuchni. Twarz mu bieleje, kiedy dociera do niego, tak jak do mnie, że to nie wytwór wyobraźni. Evan staje jak wrośnięty w ziemię, niemal jakby się spodziewał, że matka zniknie. W oczach ma niezdecydowanie — zastanawia się, czy to bezpieczne, czy może zostanie pogryziony.

Całe nasze życie.

— Chodź tutaj. — Shelley wabi go wyciągniętymi ramionami. — Uściskaj mnie.

Początkowo z wahaniem, jednym okiem zerkając na mnie w poszukiwaniu wyjaśnień, których nie mam, Evan obejmuje matkę. W przeciwieństwie do mnie faktycznie oddaje jej uścisk.

Czuję coraz większy płomień wewnątrz. Evan ma dla tej kobiety niewyczerpane pokłady cierpliwości, której nigdy nie zrozumiem. Nigdy nie chciał dostrzec prawdy. Za każdym razem, kiedy mama wchodzi do domu, on się spodziewa, że tak już zostanie, że tym razem zamienimy się w rodzinę, pomimo lat rozczarowań i bólu, które nam zgotowała.

— Co się dzieje? — pyta.

— Kolacja. — Mama podnosi dwie torby z zakupami i podaje mu. — Lasagne. Twoje ulubione danie.

Mac proponuje pomoc; naprawdę w końcu źle wyjdzie na tej swojej uprzejmości. Nie musi robić na nikim dobrego wrażenia. Gryzę się jednak w język i trzymam w pobliżu; za żadne skarby nie zostawię Mac z tą kobietą. Shelley byłaby zdolna ogolić Mac, gdyby na czarnym rynku peruk mogła uzyskać dobrą cenę za jej włosy.

Później, kiedy Shelley i Evan siedzą w kuchni, korzystam z okazji i pod pozorem nakrywania do stołu odciągam Mac na bok.

— Zrób mi uprzejmość — mówię — i nie mów nic o swojej rodzinie, kiedy cię zapyta.

Mac marszczy czoło.

— Co to znaczy? Dlaczego mam nic nie mówić?

— Proszę — mówię cicho, z naciskiem. — Nie wspominaj o kasie ani o tym, co robi twój tata. W ogóle nic, co mogłoby podsunąć jej myśl, że są zamożni. Albo że ty jesteś zamożna.

— Na pewno nie postawię twojej mamy w niezręcznej sytuacji, jeśli o to ci chodzi.

Mac naprawdę dobrze idzie ukrywanie swojego bogactwa przed otoczeniem, ale nie

o tym teraz myślę.

— Nie o to chodzi, kochana. Nieważne, co będziesz musiała powiedzieć. Kłam. Zaufaj mi. — Po czym na wspomnienie jej bransoletki ujmuję ją za nadgarstek, odpinam zamek i wsuwam jej bransoletkę do kieszeni dzinsów.

— Co ty robisz? — pyta Mac zaniepokojona.

— Proszę. Do jej wyjazdu. Nie noś tego przy niej.

Nie mam pojęcia, jak długo Shelley planuje zostać ani gdzie chce spać. Jej pokój wygląda tak jak wtedy, kiedy go zostawiła. Nie wchodzimy tam. Jednak jeśli przeszłość może stanowić jakąkolwiek podstawę do snucia przypuszczeń, przed północą matka już ruszy zarzucać się na nowego faceta.

W czasie kolacji zachowujemy się boleśnie uprzejmie. Evan, biedak, chyba nawet się cieszy z wizyty Shelley. Rozmawiają o tym, co porabiała ostatnio; jak się okazuje, mieszkała w Atlancie z jakimś gościem poznanym w kasynie.

— Pokłóciliśmy się przy jednorękim bandycie — mówi, chichocząc — i skończyło się tak, że się zakochaliśmy!

Taaak. Na pewno będą żyli długo i szczęśliwie. Biorąc pod uwagę jej obecność tutaj, zapewne już zerwali.

— Na jak długo przyjechałaś? — przerywam jej love story; słysząc mój szorstki ton, Mac znajduje pod stołem moją rękę i ściska pocieszająco.

Shelley robi urażoną minę. Jak mogłem zadać to pytanie!

Evan rzuca mi mroczne spojrzenie.

— Gościu, wyluzuj. Dopiero co przyjechała.

Mam ochotę warknąć: „Owszem, a ja chcę wiedzieć, kiedy wyjeżdża”. Nadludzkim wysiłkiem udaje mi się zachować milczenie.

— Zatem, Mackenzie — mówi Shelley po dłuższej chwili pełnej napięcia ciszy, jaka zapadła przy stole — jak to się stało, że spotykasz się z moim synem? Jak się poznaliście? Opowiedz mi wszystko.

Przez kolejne piętnaście minut Mac odpowiada wymijająco na niektóre wścibskie pytania i rzuca pierwszej klasy bzdury w odpowiedzi na resztę.

Evan obrzuca mnie ukradkowym spojrzeniem typu „co, do cholery”, ale trzyma buzię na kłódkę i nie prostuje. Mój brat może i jest naiwniakiem, jeśli chodzi o Shelley, niemniej idiotą nie jest. Ja z kolei staram się jak najmniej odzywać. Obawiam się, że w każdej chwili moje opanowanie diabli wezmą i nie zdołam powstrzymać tyrady, która mnie aż rozpiera. Niewiele osób działa na mnie tak jak Shelley Hartley.

Po kolacji stoję sam przy zlewie, płucząc talerze, kiedy dopada mnie matka.

— Byłeś wyjątkowo małomówny — mówi, odbierając ode mnie talerz i odstawiając

go na suszarkę.

— Zmęczony — odpowiadam burknięciem.

— Och, mój biedaku. Za ciężko pracujesz. Powinieneś odpocząć.

Wydaję z siebie jakiś wieloznaczny dźwięk. Kiedy tylko Shelley próbuje odgrywać matkę, skóra mi cierpnie. To do niej nie pasuje.

— Mackenzie wydaje się sympatyczna. — W tym zdaniu kryje się mnóstwo ukrytych znaczeń, żadne z nich nie jest miłe.

Staram się ją ignorować, płuczę talerze i podaję jej z pochyloną głową.

— Tak, fajna jest.

— Widziałam jej bransoletkę. I torebkę w salonie.

Ramiona mi sztywnieją.

— Kosztowna rzecz. Dobra robota, kochanie.

Na widok jej domyślnego uśmiechu czuję krew w ustach — przygryzłem sobie policzek od wewnątrz. Doskonale widać, co matka myśli — że złapałem sobie dojną krowę. Sama od tak dawna jedzie na tej sztuczce, że chyba zapomniała już, jak można inaczej żyć.

— Słuchaj, kochanie...

No i proszę. Oczywiście. Zawsze jest pytanie. Dodatkowy smaczek.

— Wiesz, mało brakowało, a nie dotarłabym tutaj — mówi dalej, nie zdając sobie sprawy z wściekłości bulgoczącej mi w piersi. — Na autostradzie ten mój złom zaczął dymić. Musiałam wezwać pomoc i wziąć go na hol z postoju. Okazało się, że jakaś skrzynka w silniku poszła. — Śmieje się zażenowana. — Udało mi się jakoś ugadać faceta z pomocy drogowej, ale braknie mi pieniędzy na naprawdę.

— Co się dzieje? — Evan wchodzi do kuchni akurat na sam koniec jej ściemniania. Idealnie, cholera. — Samochód ci się zepsuł?

— To już złom, psuje się co chwila, wiesz — mówi mama, przybierając pozę damy w opałach, gdyż Evan nie może się oprzeć pokusie odegrania roli bohatera. — Miałam pracę, ale zwolnili mnie po wakacjach. Ciężko jest znaleźć coś nowego. Naprawa pochłonie wszystkie moje oszczędności.

— My też się spłukaliśmy — mówię, zerkając na Evana. — Wszystko wkładamy w remont domu.

— Wygląda doskonale. — Nie patrzy mi w oczy; ma przecież łatwy cel w postaci Evana. — Potrzebuję dwie stowy, żeby odebrać samochód. Potem mogę się rozejrzeć za pracą gdzieś tutaj. Oddam wam.

— Zostaniesz? — pyta Evan.

Biedny głupek. Nadzieja w jego głosie jest żałosna. Mam ochotę trzepnąć go po łbie.

Shelley podchodzi do niego i obejmuje z boku; jej głowa kryje się pod jego podbródkiem.

— Jeśli mi pozwolicie. Tęsknię za moimi chłopcami.

Evan od razu sięga do kieszeni i wyjmuję kilka dwudziestek. Pewnie to wszystko, co zostało mu z ostatniej wypłaty.

— Tu jest sto pięćdziesiąt — mówi. — Po resztę skoczę do bankomatu. — Czyli chce sięgnąć do oszczędności.

— Dziękuję, kochanie. — Matka całuje go w policzek i natychmiast się od niego odsuwa. — Kto chce koktajl mleczny, taki jak kiedyś kupowaliśmy na bulwarze? Skoczę na papierosa i przyniosę nam po shake'u.

Będę wstrząśnięty, jeśli wróci przed wschodem słońca.

Wieczorem nie mogę zasnąć. Męczy mnie napięcie, wciąż szarpie gniew z powodu Shelley. Nie chciało mi się czekać, żeby sprawdzić, czy wróci z koktajlami. Od razu po jej wyjściu razem z Mac schowaliśmy się w moim pokoju. Właściwie ja się tam schowałem, a ona przyszła dotrzymać mi towarzystwa. Teraz Mac odwraca się i zapala lampę przy łóżku.

— Czuję, jak myślisz — mruczy, widząc, jak gapię się w wentylator na suficie.

— No. Właściwie... przepraszam, że cię o to poprosiłem. Moja matka rzuciła tylko jedno spojrzenie na ciebie, na twoją bransoletkę, torebkę... i uznała cię za bogaczkę. — Niechęć ściska mnie za gardło. — Shelley zadaje się z ludźmi tylko po to, by ich wykorzystać. Nie chciałem, żeby wiedziała o twojej rodzinie, bo z pewnością znalazłaby jakiś sposób, żeby sobie podciągnąć co nieco z twojej kasy.

— No dobrze, ale to nie dotyczy nas. — Mac przesuwając dłoń po mojej piersi i opiera głowę na moim ramieniu. — Ja też bym nie chciała, żebyś mnie osądzał po moich rodzicach.

— Według niej jestem z tobą tylko dlatego, że jesteś bogata.

— Czyżby? No to co, myli się. Wiem, że tak nie jest. Do licha, chyba powinieneś nasłać na mnie komornika za te meble, bo wciąż zapominam ci za nie zapłacić.

— Doliczę odsetki do rachunku. — Całuję ją w czubek głowy i przyciągam bliżej. Mając ją w ramionach, naprawdę się uspokajam. — Ale tak poważnie... nigdy bym cię tak nie wykorzystał. W niczym nie przypominam tej kobiety.

— Cooper — mówi Mac łagodnie i uspokajająco — nie musisz mnie przekonywać.

Być może. Ale chyba wciąż muszę samego siebie o tym przekonywać.

Mac przysuwa się bliżej.

— Jak myślisz, długo tu będzie?

— Daję jej dobrą. Może dwie.

— To właściwie smutne.

Śmieję się cicho.

— Właściwie nie. Może kiedyś, dawno temu, teraz jednak chciałbym, żeby już się tu nie pokazała. Każdy jej powrót to zabawa z uczuciami Evana, mnie to drażni i w końcu zaczynam warczeć na wszystkich wokół. Przez cały czas wstrzymuję oddech, czekam, aż wyjedzie, modlę się, żeby tym razem już nie wróciła.

— Ale wraca. To chyba jednak coś znaczy, prawda? — Mac, dobra dusza, wyraźnie próbuje umotywować wizyty Shelley jakąś czułą matczyną potrzebą spotkania z synami.

— To znaczy, że jej ostatni związek znów się rozsypał albo brakło jej kasy, albo jedno i drugie — odpowiadam po prostu. — Uwierz mi, księżniczko. Od czternastego roku życia przerabiam tę śpiewkę. Shelley nie przyjechała tu dla nas, tylko dla siebie.

Czuję na obojczyku ciepły oddech Mac, która unosi się na łokciu i całuje mnie w policzek.

— Przykro mi, Cooper. Nie zasługujesz na to.

— Tak już jest.

— Przestań — karci mnie. — Przyjmij moje wyrazy współczucia, a teraz pomogę ci zapomnieć na moment. — Ustami zjeżdża w dół mojego ciała i sięga do bokserek.

Zamykam oczy i z cichym jękiem pozwalam sobie na zapomnienie.

Dwie doby.

Postawiłbym na jedną, ale, o rany, dwie też obstawiałem. Równo dwa dni po jej nagłym przybyciu łapię Shelley idącą do tylnych drzwi z płócienną torbą na ramieniu.

Jest dopiero siódma rano, wstałem jako pierwszy. Ledwie nastawiłem kawę w dzbanku po wypuszczeniu Daisy, a Shelley wchodzi po cichu do kuchni.

— Już uciekasz? — pytam znad blatu.

Matka odwraca się zaskoczona, ale pokrywa zmieszanie śmiechem.

— Przestraszyłeś mnie, kochany. Nie chciałam was obudzić.

— Nie chciałaś się nawet pożegnać? — Osobiście mam to gdzieś, jednak dla Evana byłby to niezасłużony cios.

— Może szybko usmażę racuchy? — Matka kładzie torbę przy drzwiach i z typowym dla siebie mylącym uśmiechem podchodzi do mnie. — Zjemy sobie razem śniadanko.

Super. Pewnie to ostatnia piosenka. Mogę się zgodzić, jeśli to oznacza, że niedługo się pożegnamy.

Mac i Evan pojawiają się wkrótce potem — wchodzi do kuchni akurat na czas, żeby dostać śniadanie od Shelley. Wrzucam kilka racuchów do ust i przeżuвам powoli, po czym opieram się na krześle i czekam na kolejne porcje ściemy. Jednak Shelley starannie unika mojego wyczekującego spojrzenia, za to wciska Mackenzie jakąś głupią historyjkę

z naszego dzieciństwa. Niemal kończymy jedzenie, kiedy staje się widoczne, że Shelley nie ruszy się bez delikatnego kopa.

— To dokąd teraz? — pytam z nieruchomą twarzą, przerywając jej kolejną opowieść z czasów naszego dorastania, zapewne w całości wymyśloną, żeby pokazać ją jako matkę w nieco lepszym świetle.

Shelley urywa w pół słowa i ledwie udaje się jej ukryć niezadowolone spojrzenie. Wyciera usta, po czym dopija sok pomarańczowy.

— Wspaniale było was zobaczyć, chłopcy — mówi do Evana, przybierając smutną minę. — Chciałabym zostać dłużej, ale niestety muszę już jechać.

Evan krzywi usta.

— Dlaczego?

— Widzisz, w tej chwili nie znajdę tu pracy. Znam jednak pewnego faceta, poznałam go w Baton Rouge. On ma dla mnie pracę. Praktycznie błagał mnie, żebym wróciła i poprowadziła mu bar. — Wysuwa dolną wargę. — Wiesz, że nie chcę zostawiać moich synów, ale muszę co nieco zarobić. Chcę wam pomóc odnowić dom.

Ściemnia jeszcze trochę w tym stylu. Totalna ściema. Przekonuje samą siebie, że istnieje jakiś szlachetny cel jej ciągłego porzucania nas i łamania obietnic. Kłamie jak najęta — wczoraj sam widziałem w Bay przynajmniej pięć ogłoszeń w rodzaju „Zatrudnię pomoc”. Jestem niemal pewny, że ten gość to jej były, którego jakoś ugadała, żeby jej dał drugą szansę. A może minęło tyle czasu, że spróbuje podejść go po raz kolejny. Nieważne. Jeśli nie jedna wymówka, to inna. Zostawiłaby nas za kanapkę z kiełbasą, gdyby to było odpowiednio daleko.

— Jak już się urządzę, przyjedziecie do mnie — mówi Shelley kwadrans później, obejmując Evana na pożegnanie. — Muszę kupić nowy telefon. Ostatni mi wyłączyli. Zadzwoń, jak tylko go dostanę.

Nie zadzwoni. Nie będzie telefonów ani wiadomości. Ani wakacji rodzinnych. W tej chwili to już rutyna: kłamstwa na pożegnanie i nieszczerze obietnice. Mnie to nie rusza, ale Evan znów musi przez to przechodzić, niech ją szlag.

— Tak, pamiętaj, żeby przesłać nam nowy numer, jak już go dostaniesz — odpowiada Evan, poważnie kiwając głową. — Musimy mieć z tobą jakiś kontakt.

A *po co?* — niemal pytam na głos, ale gryzę się w język. Jeśli Evan chce żyć w złudzeniu, że matka go kocha, kim jestem, by go osądzać?

— Do zobaczenia, kochanie. — Mimo mojej widocznej niechęci Shelley przytula mnie do siebie. Nawet cmoka w policzek. Szybko, dajcie jej nagrodę matki roku. — Do zobaczenia niedługo, obiecuję.

Po czym tak szybko, jak wpadła, Shelley znika. Na szczęście tym razem wyrządziła

niewielką krzywdę.

A przynajmniej tak mi się wydaje.

Dopiero jakiś tydzień później, wieczorem po pracy, odkrywam faktyczny rozmiar szkody, jakiej narobiła matka swoją wizytą. Nadchodzą urodziny Mac — jak się okazuje, przypadają dzień przed moimi — a chociaż powiedziała, żebym jej nic nie dawał, postanowiłem kupić coś super. Mac tak rzadko daje mi okazję, by ją rozpieścić, że podjąłem samodzielną decyzję, by ją zignorować i zamiast tego zrobić, jak uważam.

W moim pokoju przesuwam luźną deskę w podłodze pod komodą i wyjmuję starą puszkę po toffi, w której od jedenastego roku życia trzymam pieniądze i inne rzeczy zakazane. Otwieram wieko, spodziewając się znaleźć pieniądze, które tam schowałem — zaskórniaki, które zarobiłem ze zleceń dodatkowych lub uchroniłem przed chciwymi łapami banku i urzędu skarbowego. Dwanaście tysięcy spiętych dwiema gumkami. To mój fundusz absolutnie ostatniej deski ratunku.

Ale pieniędzy nie ma.

Ani centa.

Znikły.

36. Mackenzie

Z salonu słyszę poruszenie w pokoju Coopera. Coś ostro obja się o ścianę, spada z trzaskiem na drewnianą podłogę. Nagle w korytarzu pojawia się Cooper.

Daisy z ogłuszającym szczekaniem — na godzinę przed posiłkiem zawsze robi się głośna — biegnie za nim, kiedy Cooper na oślep maszeruje przez salon.

— Hej, wszystko dobrze? — Zrywam się z kanapy.

— Tak — odpowiada Cooper przez zaciśnięte zęby; nawet się nie zatrzymuje i nie patrzy na mnie.

— Co się stało?

Nie odpowiada; widzę, jak gwałtownie przesuwa szklane drzwi i wychodzi. Zasuwa je z powrotem tuż przed nosem Daisy, niemal ją uderza, chociaż ona wydaje się tylko rozczarowana, że pan wyszedł bez niej.

Żeby ją uspokoić, podaję jej jedzenie, łapię buty i biegnę za Cooperem. Znajduję go niemal sto metrów dalej na plaży. Rzuca drobne kawałki drewna do wody. Dobiegam do niego, żałując już, że nie złapałam swetra albo przynajmniej nie włożyłam długich spodni, bo wybiegłam w szortach i T-shircie. Zapada ciemność, wiejący jednostajnie wiatr po kilku minutach przyprawia mnie o gęsią skórkę.

— Co się stało? — pytam.

— Wracaj do domu. — Jego głos brzmi dziwnie bezbarwnie, stanowi całkowite przeciwieństwo jego gwałtownych, gniewnych ruchów.

— Na pewno nie. Możemy od razu przejść do tego punktu, kiedy mi opowiesz, co się stało.

— Cholera, Mac, nie teraz, dobrze? Na razie odpuść. — Cooper kopie piasek, szuka czegoś, czym mógłby rzucić, i coraz bardziej się niecierpliwi, nie mogąc nic znaleźć.

— Ale ja chcę, a przynajmniej bym... gdyby to pomogło. Chociaż pewnie nie pomoże, więc...

Przesuwa palcami po włosach; pewnie gdyby mógł ją odkręcić od szyi, wrzuciłby sobie głowę do morza.

— Dlaczego musisz być taka... — Reszta ginie w niewyraźnych stęknieniach.

— Chyba się taka urodziłam. — Nie zwracając uwagi na jego frustrację siadam i zapraszam go na miejsce obok.

Kilka sekund milczenia w końcu go łamie i Cooper pada na piasek.

— Co się stało? — pytam cicho.

— Ukradła je.

— Co?

Cooper unika mojego spojrzenia, wbija wzrok w wodę.

— Moje pieniądze na czarną godzinę. Do ostatniego centa.

— Zaraz... twoja mama? — Czuję zimny dreszcz przerażenia. — Jesteś pewny?

Cooper śmieje się ponuro.

— Całkowicie. Nawet Evan nie wie, gdzie trzymam zaskórniaki.

Cholera. Ciężka sprawa.

— Powiniennem był je schować, kiedy tylko się pojawiła — mówi z jękiem. — Kiedy miałem trzynaście lat, znalazła moje zioło i wypaliła wszystko, kiedy poszedłem do szkoły. Zapomniałem o tym do dzisiaj, zapomniałem, że zna tę kryjówkę. A może za bardzo ufałem, że mimo wszystko nie okradnie własnych dzieci.

— Przykro mi. — Słowa wydają się żałośnie niewystarczające w takich okolicznościach. Jak można przeprosić za życie pełne bólu? — Ile wzięła?

— Dwanaście kawałków — mamrocze Cooper.

Jezu. No dobrze. Mózg przestawia mi się w tryb szukania rozwiązań, bo tak funkcjonuję. Kiedy tylko mam problem z którąś ze stron albo nieprzewidziane potknięcie przy remoncie hotelu, zaczynam analizować. Oceniam problem i próbuję znaleźć na niego sposób.

— To okropne. Wiem, że jesteś wściekły i czujesz się zdradzony, masz prawo się tak czuć. — Ujmuję go pod ramię i opieram o niego głowę. Dla wsparcia, ale i dlatego, że trzęsę się z zimna. Cooper zawsze jest ciepły, chodzący grzejnik. — Ale to przynajmniej tylko pieniądze, prawda? Pomogę ci. Mogę ci dać te pieniądze.

— Serio? — Cooper wyrywa mi swoje ramię. — Dlaczego miałabyś... — Nie może skończyć zdania, zrywa się na nogi. — Co jest, kurwa, Mac! Dlaczego od razu zaczynasz o tym? Zасыpujesz problem kasą.

— Wydawało mi się, że tu właśnie pieniądze są problemem — zauważam.

Jego wściekła mina działa mi na nerwy. Dlaczego za każdym razem, kiedy próbuję coś dla niego zrobić, dostaję piaskiem w oczy?

— Ile razy mam ci to mówić! — krzyczy na mnie Cooper. — Nie chcę twoich pieprzonych pieniędzy! Dociera do ciebie w ogóle, jak ja się czuję, kiedy moja dziewczyna chodzi za mną i sypie forsą? Jak gówniarz!

— Tego nie robię — mówię przez zaciśnięte zęby. Ten facet naprawdę testuje moją cierpliwość do granic. Chce się wściekać na matkę? Dobrze. Chce się wyładować?

W porządku. Ale to nie ja tu nawaliłam. — Chcę tylko pomóc. Potrzebujesz pieniędzy, ja mam ich nadto. Co w tym złego? Pieniądze nic dla mnie nie znaczą.

— Wiemy — odpowiada Cooper z długim, pełnym niechęci westchnieniem. — O to właśnie, kurwa, chodzi. Klony rzucają hajsem na prawo i lewo i spodziewają się, że reszta będzie im za to dziękować. Nie jestem kolejnym służącym, który będzie ci się rzucał do stóp po napiwek.

A więc to tak. Znów jestem klonem. Super.

— Wiesz co, Coop? Może jednak zajmiesz się swoimi problemami, zamiast wyrzucać swoje kompleksy na mnie? Mam po uszy robienia za cel ataków sfrustrowanych lokalsów. Opuść. Powiem ci z doświadczenia: bogaci czy biedni, nieudani rodzice są tacy sami. Twoja matka jest kiepska. Witaj w klubie. Gdyby miała kasę, i tak by z wami nie została.

Kiedy tylko słowa wylatują mi z ust, już żałuję tego, co powiedziałam.

Oboje stoimy zaskoczeni tym, co się stało, jak szybko skoczyliśmy sobie do gardeł. Wszystkie uczucia, które tłumiałam w sobie, odkąd rodzice mnie wydziedziczyli, nagle wybuchły z wielką siłą, a ja rzuciłam je w twarz Cooperowi, czyli zrobiłam to samo, o co oskarżałam go zaledwie kilka sekund temu.

Pełna skruchy podnoszę się, by go przeprosić, ale Cooper już pędzi przed siebie, krzycząc przez ramię, żebym nie szła za nim, bo to będzie nasza ostatnia rozmowa. Tym razem wierzę mu na słowo.

Jednak kilka godzin później, kiedy Cooper wciąż nie wraca, a Evan pyta mnie, dlaczego telefon ma przekierowany od razu na pocztę głosową, zaczynam się martwić. Gdyby tylko wściekł się na mnie — dobrze, przyjęłabym to. Jednak to jego odejście... furia w jego oczach... facet taki jak Cooper może sobie narobić kłopotu na wiele sposobów.

A wystarczy nawet jeden.

37. Cooper

Jakąś godzinę na zachód od Avalon Bay jest knajpa. Właściwie nawet można ją nazwać spelunką. Leży niedaleko drogi lokalnej, przecinającej pustkowie pokryte mokradłami i łączącej nieliczne małe gospodarstwa. Zwykle z nieutwardzonego parkingu pół mili dalej dobiega ryk motocykli. Zatrzymuję ciężarówkę i gaszę silnik, po czym wchodzę do wnętrza. Panuje w nim pustka, jeśli nie liczyć kilku motocyklistów o paskudnych mordach przy stole bilardowym i kilku starszych facetów rozłożonych przy barze. Siadam na stołku i zamawiam drinka. Przy drugiej szklance widzę, jak gość dwa stołki dalej zaczyna gadać w powietrze. Pieprzy o futbolu, odpowiada na komentarze gadających głów ze stacji ESPN w jedynej telewizorze wiszącym nad naszymi głowami. Próbuję go ignorować, w końcu facet przechyla się do mnie i dłonią wali w bar. Przypominam sobie moją pracę w knajpie i muszę się powstrzymać, żeby na niego nie warknąć.

— A ty za kim? — dopytuje niewyraźnie, ale natarczywie. Ignoruję go, wtedy facet mówi głośniejszym i wolniejszym głosem: — Super Bowl. Za kim jesteś, młody?

Rzucam mu krótkie spojrzenie.

— Postawię ci drinka, jeśli stąd spłyniesz.

— Ooo! — powtarza facet z drwiącym śmiechem. — Patrzcie no! Pssss... — Przykłada palec do ust i obraca się wokół, żeby wszyscy go widzieli. — Cicho tam! Chłopak potrzebuje spokoju, rozumiecie?

Przyjechałem tu, żeby uciec i побыć w samotności. Nie ma szans, by Mac mnie tu znalazła, to jedyne miejsce nieznane Evanowi, jakie przyszło mi do głowy. Kiedy on po śmierci ojca trzymał się wciąż Shelley, wujek przywiózł mnie tutaj, żebym wyładował się na grze w strzałki. Chcę samotności, ale jeśli ten palant chce robić sceny, to zrobię z niego kompletnego głupka. Pieprzyć wszystko, może powinienem wzorem Evana wdać się w bójkę, żeby sobie ulżyć. No bo właściwie czemu nie, prawda?

Właśnie zaczynam samego siebie przekonywać do tej myśli, kiedy ktoś od tyłu klepie mnie w ramię.

— Daj dwa piwa — odzywa się do barmana znajomy głos.

Zerkam za siebie — na stołku obok siada wujek. Kurwa.

— Gary — mówi do pijaka, który mnie zaczepiał. — Może wrócisz do domu, do swojej pani?

— Leci Super Bowl — upiera się bełkotliwie Gary, głową wskazując telewizor. — Przecież nie wyjdę w środku meczu.

— To powtórka meczu z zeszłego roku — odpowiada Levi z anielską cierpliwością. — Super Bowl będzie w przyszłym miesiącu, Gary. Teraz idź już do domu, do Mimi, okej? Na pewno niedługo wyśle psy na poszukiwanie.

— Co za baba — mamrocze Gary, otwierając portfel i rzucając na ladę kilka banknotów. Gada coś jeszcze pod nosem w stylu „nie pozwolą człowiekowi się napić”, po czym chwiejnym krokiem idzie do drzwi.

Chociaż kilka sekund temu miałem ochotę wybić mu zęby, mimo woli odprowadzam zataczającego się mężczyznę lekko zatroskanym spojrzeniem.

— Nie martw się, przejdzie piechotą ćwierć mili, a potem żona znajdzie go śpiącego w krzakach — odzywa się Levi. — Nic mu nie będzie.

Rzucam wujowi podejrzliwe spojrzenie.

— Mac cię przysłała?

— Evan wysłał SMS-a. Podobno wybiegłeś z domu.

No tak, oczywiście. Mac zapewne poleciała od razu do swojego nowego przyjaciela, żeby obrobić mi dupę. Mam powyżej uszu tej ich doskonałej komitywy.

— Nie chcę o tym rozmawiać — mamroczę, nie dopuszczając dalszej dyskusji.

— I dobrze. — Levi wzrusza ramionami. — Przyjechałem się napić.

Wypija piwo i wlepia wzrok w telewizor, nie spoglądając w ogóle w moim kierunku. Czuję ulgę. Początkowo. Potem mija godzina. Kolejna. Wkrótce jestem tak samo pijany jak Gary na koniec, a umysł torturuje mnie obrazami wszystkiego, co zaszło dzisiaj wieczorem — od chwili, kiedy stwierdziłem, że skradziono oszczędności mojego życia, do kłótni z Mac na plaży. W głowie wciąż przewijam urywki rozmowy; nie pamiętam wszystkiego, co jej powiedziałem, lecz na pewno nie było to nic miłego.

— Shelley wróciła — odzywam się w końcu, gdyż alkohol rozwiązał mi język. — Na dwa dni. I zniknęła z moimi oszczędnościami.

Levi wykonuje pełne pół obrotu i wbija wzrok w bok mojej twarzy.

— Dwanaście kawałków. — Podstawką pod piwo rysuję kółka na oszronionym barze. — O tak, wszystko poszło. Znikło mi sprzed nosa.

— Jezu. Masz jakieś przypuszczenia, dokąd uciekła?

— Skąd. Może do Baton Rouge, ale to chyba było kłamstwo. Co za różnica, tym razem już nie wróci. Nie ma siły.

— Coop, przykro mi, ale ta kobieta naprawdę jest do niczego. — Levi dopija piwo i odstawia szklankę. — Mam już od dawna dość przepraszania za brata, który zostawił was na lodzie z długami. Ale ta przeklęta Shelley przez te wszystkie lata nie kiwnęła

palcem, żeby wam pomóc. — Z jego głosu przebija gorycz. — Obaj z Evanem tak harujecie, żeby wyjść na prostą, a ona wpada i wszystko ci kradnie? Do licha, nie. Nie pozwolę na to! — Jego dłoń ciężko opada na porysowany bar, moja szklanka z whiskey drży.

Nigdy nie widziałem wuja wyprowadzonego z równowagi. To spokojny człowiek, zrównowagony. Latami powstrzymywał się od uwag, kiedy Shelley wpadała i znikała, jak się jej podobało. Kiedy w końcu został naszym opiekunem, nigdy nie dał nam odczuć, że stanowimy dla niego ciężar. Słuchając tej jego przemowy, mam wrażenie, jakby niemal ogarnęło go szaleństwo — jak na niego. I co nam to pomoże?

— A co można zrobić? — Czuję tę samą gorycz, jaką widzę u niego. — Już jej nie złapię. Jeśli ona chce się ukryć, to nikt jej nie znajdzie.

Wnętrznoci wciąż skręca mi gniew. Oczywiście z powodu pieniędzy, ale jeszcze bardziej z upokorzenia. I zdrady. Za te wszystkie lata, kiedy ta kobieta na wszelkie sposoby robiła z nas głupich, a myśmy jej pozwalali. Za to, że Evan wciąż się łudzi, chociaż przecież już powinien oprzytomnieć, że może tym razem będzie inaczej. Przeklęta Shelley.

— Jeszcze nie powiedzieliśmy ostatniego słowa — mówi do mnie Levi. — Koniec z tolerowaniem wybryków tej kobiety, słyszysz?

I zanim zdążę odpowiedzieć, kiwa ręką do kogoś po drugiej stronie baru.

— Steve, hej, mam pytanie! — krzyczy.

Podążam za spojrzeniem wujka i zauważam gliniarza po służbie; rozpięty mundur odślania mokry od potu podkoszulek.

— Co tam, Levi? — odpowiada krzykiem Steve; w Bay wszyscy się znają.

— Jak zabrać się do wniesienia oskarżenia przeciwko komuś, kto uciekł z miasta?

Co takiego? Zaskoczony zerkam na wujka, ale on jest skupiony na gliniarzu.

Steve otrząsa się z otępienia i prostuje na stołku.

— O czym mówimy?

— Kradzież mienia znacznej wartości — odpowiada Levi ponuro. Wręcz złowróźnie.

38. Mackenzie

Nawet Daisy dała sobie ze mną spokój. Początkowo plątała mi się pod nogami, kiedy kręciłam się po domu, pisząc, a następnie usuwając kolejne SMS-y do Coopera. Potem usiadła ze swoim sznurkiem do gryzienia obok lodówki, podczas gdy ja z nerwów zabrałam się do sprzątanía kuchni. Popieprzony pomysł, bo nigdy nie reagowałam w ten sposób na stres. Niby skąd? Wychowałam się w domu pełnym służby. Kiedy wyjeżdża odkurzacz, Daisy jednak zmyka. Nie dziwię się jej. W tej chwili i tak kiepskie ze mnie towarzystwo. Ale kiedy nieskazitelna podłoga nie przynosi mi ukojenia, idę do pokoju Evana, który gra w grę wideo z Daisy skuloną u stóp.

— Hej — mówię, pukając w otwarte drzwi.

Evan zatrzymuje grę.

— Co się dzieje?

— Nic.

— Do mnie też nie pisał — odpowiada na niewypowiedziane pytanie wiszące w powietrzu.

— Tak mi się wydawało. — Stoję przytulona do futryny; nie wiem, po co tu przyszłam, ale miałam już dość towarzystwa własnych myśli. Wolę działać, niż czekać. Nie znoszę bezczynnego siedzenia. Jeśli Cooper chciał mnie ukarać za sprzeczkę, to mu wyszło.

— Chodź tu. — Evan odwraca głowę i sięga po drugi sterownik do konsoli. To wiekowy sprzęt, działa na płaskim telewizorze, który wygląda tak, jakby ktoś najpierw wyrzucił go na trawnik, a potem wstawił do lombardu. Na ekranie latają ciemne plamy, pękniętą obudowę sklejkono czarną taśmą.

Moja pierwsza myśl brzmi: Evan potrzebuje nowego telewizora. Jak gdyby to wyczuwając, Evan uśmiecha się do mnie krzywo, jakby mówił, żebym się nie przejmowała.

Racja. Granice. Muszę nad tym popracować. Nie każdy potrzebuje mojej pomocy.

— Ty będziesz nim — instruuje mnie, po czym w skrócie przedstawia zasady. Siadamy na skraju jego łóżka. — Rozumiesz?

— Tak. — Chyba łapię, o co w tym chodzi. To znaczy rozumiem, co mam robić i jak się poruszać. Powiedzmy. W zasadzie.

— Za mną — rozkazuje Evan, pochylając się do przodu.

Nie idzie nam dobrze. Wpadamy w pułapkę, zamiast strzelać do wrogów, wpadam na

granat i zabijam nas oboje.

Evan prycha głośno.

— Wolę wyścigi — wyznaję z przepaszającym wzruszeniem ramion. — W nich jestem dobra.

— Jasne, księżniczko. Widziałem, jak prowadzisz.

— Bzdura. Świetnie prowadzę, tylko wolę jeździć, kiedy naprawdę trzeba się pospieszyć.

— Jeśli tak to nazywasz...

Trącam go łokciem, a gra startuje ponownie. Tym razem staram się skupić. Udaje nam się dotrzeć nieco dalej, po czym znów wysadzam nas w powietrze.

— Nie pomaga, co?

Zagryzam wargę.

— Nie za bardzo.

Nie wiem, skąd mi się wziął pomysł, że siedzenie obok człowieka wyglądającego identycznie jak Cooper pomoże mi przestać o nim myśleć. To dziwne, ale Evan i Cooper w ogóle nie są dla mnie podobni; charaktery mają całkowicie różne pod wieloma względami. A jednak, jeśli mam być szczerą, czasami się zastanawiam, jak by się wszystko potoczyło, gdyby nie zachcianka pożądlivej, za to dość bezkrytycznej Bonnie.

Evan dostrzega coś w mojej twarzy, gdyż kończy grę i odkłada sterowniki.

— Co ci leży na wątrobie?

Chociaż przez ostatnie dwa miesiące nasze stosunki się poprawiły, Evan nie jest pierwszą osobą, do której bym się zwróciła, gdybym potrzebowała porozmawiać od serca. Na ogół okazuje głębię emocjonalną porównywalną z miską Daisy. W tej chwili jednak chyba jako rozmówca ustępuje tylko bratu.

— A jeśli on nie wróci? — pytam cicho.

— Musi wrócić. Przecież tu mieszka.

Wypuszczam powietrze.

— Mam na myśli... do mnie. A jeśli nie wróci do mnie? — Na tę okropną myśl puls mi przyspiesza. — Jakoś... jakoś nie mogę się pozbyć wrażenia, że tym razem to koniec. Jedna kłótnia za dużo i już nie będzie odwrotu. A jeśli Cooper ma mnie dość?

— No dobrze... — Evan zastanawia się przez chwilę. Mimo trwającej już jakiś czas znajomości wciąż dziwnie mi patrzeć na jego gesty, identyczne jak u Coopera, lecz przypominające filmik, w którym nie zgrano obrazu z dźwiękiem. Wszystko jest opóźnione o pół sekundy. — Nie chcę być niemiły ani nic takiego, ale to pierdoły.

— Które?

— Wszystko. Pamiętasz, jak brat omal nie wybił mi zębów, bo raz zachowywałem się

przy tobie jak osioł?

— Raz? — powtarzam, unosząc brew.

Evan szczyrzy zęby.

— Noo niech ci będzie. Chodzi o to, że kilka kłótni nie wystarczy, żeby się do ciebie zniechęcił. Jednego lata skakaliśmy sobie do gardeł, nawet nie wiem o co, i niemal co drugi dzień kończyło się bójką. — Wzrusza ramionami. — I co z tego? My rozwiązujemy problemy pięściami.

— Ale jesteście braćmi — przypominam. — To ogromna różnica.

— A ja ci mówię, że Cooperowi tak samo zależy na tobie. Nie mieszkasz tu, bo płacisz mu czynsz albo dobrze gotujesz.

Tu ma rację. Nie gotuję wcale. Ani trochę. Ani razu. Co do czynszu — odkąd się tu wprowadziłam, co miesiąc zostawiam na komodzie Coopera czek na sumę, która dla mnie jest uczciwą kwotą za mieszkanie, ale Cooper nie chce podjąć pieniędzy. Zatem zawsze zostawiam jakąś kwotę na wszelki wypadek u Evana.

— Ale... — Znowż zagryzam dolną wargę. — Nie widziałeś wyrazu jego twarzy, kiedy poszedł przed siebie.

— Hm... widziałem wszystkie możliwe wyrazy jego twarzy. — Wykrzywia się do mnie, czekając na mój śmiech.

No dobrze. To mu nawet wyszło.

— Słuchaj — mówi. — Cooper wróci tu zalany, a jak mu rozum wróci, padnie przed tobą i będzie błagał o przebaczenie. Musi sobie to wszystko poukładać. Daj mu czas, niech przejdzie to po kolei.

Chcę mu wierzyć. Chcę uwierzyć, że chociaż pod wieloma względami nie mamy absolutnie nic wspólnego, Cooper i ja zbudowaliśmy więź silniejszą niż wszystko to, co nas dzieli, głębszą niż blizny, które budzą go po nocach. Alternatywa jest zbyt bolesna — gdyż ja nie mogę zmienić swojego pochodzenia, tak jak i on. Jeśli nasz związek nie pokona tego dystansu, nie jestem jeszcze gotowa zastanawiać się, jak by wyglądało moje nowe życie bez niego.

Evan obejmuje mnie ramieniem.

— Znam Coopera lepiej niż ktokolwiek inny. Uwierz mi, on za tobą szaleje. A ja nie mam powodu kłamać.

Słowa Evana nieco wyciągają mnie z dołka — podnoszą mnie na duchu przynajmniej tyle, że kiedy zaczynam ziewać, jestem już w stanie zbierać się do snu.

— Obiecujesz, że jeśli zadzwoni, to mnie obudzisz? — pytam niespokojnie.

— Obiecuję — odpowiada Evan zaskakująco łagodnym głosem. — Mac, nie przejmuj się tak bardzo. On wróci niedługo, rozumiesz?

Słabo kiwam głową.

— Rozumiem.

„Niedługo” okazuje się godziną dwunastą piętnaście w nocy, kiedy to z niespokojnego snu budzi mnie jęk materaca uginającego się pod czymś ciężarem. Czuję, jak Cooper wsuwa się pod kołdrę. Wciąż jeszcze jest rozgrzany prysznicem, pachnie pastą do zębów i szamponem.

— Nie śpisz? — pyta szeptem.

Obracam się na plecy i przecieram oczy. W sypialni panuje ciemność, ale przez rolety wpada lekki blask z lampy wiszącej na bocznej ścianie domu.

— Nie.

Cooper wypuszcza powietrze przez nos.

— Rozmawiałem z Levim.

Od tego zaczyna? Nie wiem, jak się to ma do naszej sytuacji i naszej kłótni, z jednej strony chciałabym, żeby przestał grać na zwłokę i powiedział mi, czy wszystko będzie dobrze. Staram się jednak powstrzymać zniecierpliwienie. Evan mówił, że brat musi sobie wszystko poukładać. Może to część tego procesu.

— Tak? — mówię więc tylko.

— Tak. — Następuje długa chwila ciszy. — Zgłoszę to na policję. Oskarżę Shelley o kradzież pieniędzy.

— O rany. — Nie przyszło mi do głowy, że to w ogóle możliwe. Ale jednak ma to sens. Matka czy nie, ukradła mu ponad dziesięć tysięcy dolarów. — I jak się z tym czujesz?

— Szczerze? Parszywie. To moja matka, prawda? — Z zaskoczeniem słyszę, że głos mu się łamie. — Nie chciałbym, żeby wyładowała w pace, ale z drugiej strony co za człowiek okrada własne dzieci? Gdybym nie potrzebował tych pieniędzy, olałbym je. Niech tam. Ale ja każdy ten cent oszczędzałem, latami.

Rozmawia ze mną. To dobry znak.

Tylko że kiedy kończy, leżymy obok siebie, nie dotykając się, jakbyśmy obawiali się zmącić powietrze. Kiedy mija tak kilka sekund, zdaję sobie sprawę, że teraz już ja mogę zacząć.

— Przepraszam — mówię. — Przesadziłam. Zaczęłam się bronić i wyładowałam się na tobie. Zachowałam się wrednie, nie zasłużyłeś na to.

— No... — odzywa się Cooper; mam wrażenie, że w jego głosie pojawia się cień uśmiechu. — Trochę mi się zbierało. Shelley naprawdę potrafi zaleźć za skórę, wiesz? Przy niej mam ochotę wrzeszczeć na wszystkich wokół. A ona jeszcze bierze i kradnie moje pieniądze... — Czuję, jak narasta w nim napięcie, jak stara się zachować spokój.

Bierze głęboki oddech i znów się odpręża. — Wiele z tego, co ci nagadałem, wzięło się stąd, że wściekłem się na nią. Miałaś rację. Mam swoje pierdolce, i to od dawna, zanim jeszcze się pojawiłaś.

— Rozumiem. — Przewracam się na bok i widzę jego sylwetkę w ciemności. — Myślałam, że pomogę ci, proponując pieniądze, ale teraz widzę, że trafiłam w czuły punkt. Nie chciałam wcale naprawić nimi problemu ani pozbawić cię godności, uwierz mi. Tylko... tak działa mój mózg, wchodzę w tryb rozwiązywania problemów. Skradziono pieniądze? No to masz pieniądze. Nie miałam zamiaru porównywać naszych kont bankowych. — Przełykam nagłe wyrzuty sumienia. — Jeśli w przyszłości zdarzy się coś takiego... problemy z rodziną czy pieniędzmi... jestem obok, gdybyś mnie potrzebował, ale nie będę się wtrącać.

— Nie powiedziałem, że nie chcę, żebyś się angażowała. — Cooper również przewraca się na bok, twarzą do mnie. — Nie chcę tych wszystkich zapewnień, zasad i bzdetów. — W ciemności znajduje moją dłoń i przykładą sobie do piersi. Nie ma koszulki, tylko bokserki, pod palcami jego skóra jest ciepła. — Zawsze będzie kwestia pieniędzy, a ja muszę zapanować nad sobą i nie wybuchnąć, jak się pojawi. Wiem, że nie chcesz, żebym się głupio czuł.

— Bałam się, że nie wrócisz. — Znów przełykam ślinę. Mocniej. — To znaczy... nie wrócisz, póki ja tu jestem.

— Nie pozbędziesz się mnie przez taki drobiazg. — Cooper wplątuje palce w moje włosy, kciukiem przesuwając po moim karku. To słodki, uspokajający gest, niemal na nowo mnie usypia. — Dzisiaj coś sobie uświadomiłem.

— Co?

— Siedziałem w tej brudnej knajpie z Levim i kilkoma żalonymi gośćmi, którzy kryją się tam przed żonami albo unikają powrotu do żalostnego domów. Faceci ledwie dwa razy starsi ode mnie, zrobili już w życiu wszystko i wszystko przeżyli. I pomyślałem sobie: o kurwa, ja mam w domu niewiarygodnie gorącą dziewczynę, a naszym największym problemem jest to, że ona wciąż chce mi coś kupować.

Uśmiecham się w poduszkę. Kiedy Cooper tak ujmuje sprawę, oboje wydajemy mi się totalnymi tępakami.

— I nagle mnie uderzyło: a jeśli wrócę do domu, a jej nie będzie? Gapiłem się w szklankę i użalałem nad sobą: a jeśli uciekłem od najlepszego, co mnie w życiu spotkało?

— To miłe, co mówisz, ale nie posuwałabym się tak daleko.

— Mówię poważnie. — Głos ma cichy, lecz stanowczy. — Mac, tutaj nigdy nie działa się dobrze. Potem tata zmarł, to było potwierdzeniem, że nic się już nie poprawi. Shelley

odeszła, my musieliśmy sobie jakoś radzić. Nie narzekałem. A potem pojawiła się ty i nagle różne rzeczy zaczęły przychodzić mi do głowy. Może nie muszę godzić się na poziom ledwo powyżej dna. Może nawet znajdę szczęście.

Serce mi pęka. Życie bez radości, bez oczekiwania jutra, które może okazać się niewiarygodne — takie życie może wysać z człowieka duszę. To zimna, ciemna, dławiąca nieskończoność pustki, wszechobecna rozpacz. Jeśli człowiek podda się odrętwieniu, w tej pustce nie wyrośnie nic. To nie jest życie. To taki sam długi tunel do rezygnacji, jaki ujrzałam zacieśniający się wokół mnie, im bardziej wpatrywałam się w przyszłość, którą wymyślili dla mnie rodzice i Preston.

Cooper uratował mnie od tego — nie dlatego, że mnie porwał, lecz dlatego, że poprzez naszą znajomość odkryłam możliwości, które mnie omijały. Radość niepewności, namiętność i ciekawość.

Dopóki go nie poznałam, żyłam jak we śnie.

— Myślałam, że jestem szczęśliwa — mówię, przesuwając palcami w górę i w dół po jego żebrach. — Długo tak myślałam. Nie miałam przecież powodów do narzekania, prawda? Dostałam wszystko, co mogłam sobie wymarzyć... oprócz celu w życiu. I wyboru. Możliwości porażki i cierpienia. Kochania czegoś tak mocno, że sama myśl o utracie rozdziera mnie na strzępy. Dzisiaj, kiedy myślałam, że między nami już koniec, wszystko to przychodziło mi do głowy. Nakręcałam się do szaleństwa.

Cooper przyciąga mnie do siebie za podbródek i delikatnie muska moje usta swoimi — to wystarczy, żebym sięgnęła po niego jeszcze raz.

Moje usta owiewa jego ciepły oddech.

— Cabot, chyba właśnie się w tobie zakochuję.

Serce mi skacze.

— Oo.

— Nie masz pojęcia.

Przesuwa palcami po moim kręgosłupie, rozpalając nerwy do białości. Przygryzam jego dolną wargę, pociągam lekko — w naszym języku bez słów oznacza to, że go potrzebuję. Teraz. Żeby stłumił ten ból. Jednak on metodycznie i frustrująco cierpliwie zdejmuje ze mnie koszulkę, po czym jedną pierś otacza dłonią, a drugą liże. Zsuwa bokserki, ja wije się, żeby zrzucić bieliznę, podczas gdy on zakłada prezerwatywę. Kiedy przesuwa swoim gorącym penisem po istocie mojej kobiecości, przeszywa mnie dreszcz oczekiwania.

Trzyma mnie mocno, poruszając się we mnie, bez pośpiechu, powolnymi, leniwymi pchnięciami. Przywieram do niego, tłumię jęki na jego barku.

— Też cię kocham — mówię, drżąc w jego ramionach, kiedy dochodzę.

39. Cooper

Kilka dni po wniesieniu zarzutów wobec Shelley dzwoni do mnie policja z prośbą o przyjazd na posterunek. Z rozmowy z szeryfem dowiaduję się, że gliniarze znaleźli ją w Luizjanie — najwidoczniej Shelley zapomniała o niezapłaconych biletach parkingowych, które zostawiła, kiedy jej „facet” wykopał ją na ulicę. Kiedy do tamtejszej policji dotarła informacja z Karoliny Południowej, szeryf w Baton Rouge kazał przewieźć Shelley z powrotem do Bay.

Na posterunek jadą ze mną Mac i mój brat, lecz każę Evanowi poczekać, a sam idę porozmawiać z szeryfem Nixonem. Kiedy Evan dowiedział się o tym, jak Shelley okradła mnie do ostatniego centa, był równie wściekły, jednak znam mojego brata — zawsze przymknie oko na wybryki tej kobiety. A ja muszę teraz jasno osądzić sytuację i nie dać sobie zamącić w głowie.

— Siadaj, Cooper. — Szeryf Nixon podaje mi rękę, po czym siada za biurkiem i przechodzi od razu do sedna: — Przy zatrzymaniu w Baton Rouge twoja matka miała przy sobie około dziesięciu tysięcy gotówką.

Zalewa mnie gwałtowna fala ulgi. Dziesięć kawałków. To dwa tysiące mniej, niż ukradła, jednak lepsze niż nic. Do diabła, to więcej, niż się spodziewałem. Shelley wyjechała cztery dni temu; jest w pełni zdolna roztrwonić przez ten czas całe dwanaście tysięcy.

— Jednak na zwrot pieniędzy będziesz musiał poczekać — dodaje Nixon.

— Dlaczego? — pytam, marszcząc brwi.

Zaczyna pieprzyć coś o procedurach dowodowych i innych pierdołach, a mój mózg próbuje nadążyć za tymi wszystkimi informacjami, które szeryf z siebie wyrzuca. Po pierwsze i najważniejsze: Shelley zostanie postawiona przed sądem. Mac zadaje mnóstwo pytań, gdyż ja wpadam teraz w odrętwienie. Tłucze mi się po głowie jedynie wyobrażenie Shelley w pomarańczowym drelichu i kajdanach na rękach. Ta kobieta naprawdę narobiła nam dużo złego, ale myśl o tym, że wyląduje za kratkami, jakoś mi nie leży. Co za dziecko wysłała do więzienia własną matkę?

— Jest teraz tutaj? — pytam.

— Tak, w areszcie. — Nixon przesuwając dłoń po gęstych wąsach. W każdym calu wygląda na szeryfa z małego miasteczka. Jest tu nowy, więc wątpię, czy wie dużo o mnie i mojej rodzinie. Jego poprzednik, szeryf Stone, nie znosił nas z całego serca. Przez całe

lato popołudniami ganiał samochodem po Bay za Evanem i za mną, szukając powodu, by ze swojego nieoznakowanego wozu rzucać nam groźne spojrzenia.

— A gdybym zmienił zdanie?

Siedząca obok Mac robi zaskoczoną minę.

— Chce pan wycofać zarzuty? — pyta szeryf, mierząc mnie uważnym spojrzeniem.

Waham się.

— Wtedy dostałbym pieniądze dzisiaj?

— Nie byłoby powodu, żeby je przetrzymywać, więc tak.

A przecież od początku właśnie o to mi chodzi.

— Co się wtedy stanie z nią?

— Pan o tym decyduje, jako pokrzywdzony. Jeśli nie chce pan wnosić oskarżenia, pani Hartley zostanie zwolniona. Została zatrzymana w Luizjanie tylko na prośbę naszego wydziału. Jeśli ma jeszcze jakieś mandaty do zapłacenia, to już osobna sprawa. My nie wiemy o tym, żeby ktokolwiek jej szukał.

Zerkam na Mac; wiem, że ona nie podejmie za mnie tej decyzji, jednak szukam potwierdzenia, że postępuję słusznie. Chociaż prawdopodobnie w tej sytuacji każde wyjście będzie do niczego.

Mac spogląda na mnie badawczo, po czym kiwa głową.

— Rób to, co uważasz za słuszne — mówi cicho.

Przenoszę spojrzenie na szeryfa.

— Tak, chcę wycofać zarzuty. Skończmy już z tym.

Godzinę trwa jeszcze cała papierologia i czekanie na policjanta, który w końcu pojawia się z moimi pieniędzmi w foliowej torebce. Przelicza je dokładnie, potem podsuwa mi papiery do podpisu. Z kolejną ogromną falą ulgi podaję Mac pieniądze, żeby schowała je w torebce. Jak tylko się da, przełknę niechęć do banku i wpłacę je na konto, a skarbówka może się walić.

Evan czeka na nas na zewnątrz przy ciężarówce.

— Wszystko dobrze? — pyta.

Kiwam głową.

— W porządku.

Już mamy jechać, kiedy z posterunku wychodzi Shelley, masując sobie nadgarstki.

Cholera.

Zapala papierosa. Wydmuchuje dym i w tej chwili jej spojrzenie pada na nas, szykujących się do próby ucieczki.

— Ja się jej pozbędę — proponuje Mac, ściskając moją dłoń.

— W porządku — odpowiadam. — Zaczekaj w samochodzie.

W typowy dla siebie sposób matka podchodzi do mnie z beztroskim uśmiechem.

— Co za dzień! Ktoś mocno namieszał. Nie wiem, co im się tam pokręciło. Mówiłam im: zadzwońcie do moich synów, oni potwierdzą, że nie zabrałam niczego, co nie należy do mnie.

— Jezu, przestań wreszcie! — mówię ostro.

Shelley patrzy zdziwiona.

— Kochanie...

— Nie nazywaj mnie kochaniem! — Nie wytrzymam już ani jednej sekundy więcej tych jej kłamstw i uśmiechniętych uników. Dławię się nimi, odkąd skończyłem pięć lat, i już mam ich po uszy.

— Znalazłaś moje oszczędności i ukradłaś mi je. Dlatego uciekłaś z miasta. Mam nadzieję, że było warto. — Wbijam w nią spojrzenie. — Mamo.

— Złotko, nie! — Shelley wyciąga rękę, żeby mnie chwycić, ale ja odsuwam się o krok. — Po prostu pożyczyłam kilka dolarów, żeby się urządzić. Miałam zamiar ci je oddać, jak tylko stanę na nogi. Wiesz przecież. Wydawało mi się, że nie będziesz miał nic przeciwko temu.

Z ust wrywa mi się pełen zdziwienia śmiech.

— Jasne. Jak chcesz. Nie mam ochoty więcej tego słuchać. Ostatni raz tak rozmawiamy. Nie chcę cię widzieć. Jeśli o mnie chodzi, nie musisz nigdy więcej wracać. Nie masz już synów, Shelley.

Shelley się kuli.

— Cooper, daj spokój. Wiem, jesteś zdenerwowany, ale nadal jestem twoją matką. A wy jesteście moimi dziećmi. Przecież nie wyrzekniesz się rodziny. — Zerka na Evana, który milcząco stoi nieco za mną. — Prawda, kochanie?

— Nie tym razem — odpowiada brat, wbijając wzrok w samochody na ulicy. Mówi z naciskiem i stoickim spokojem. — Jestem po stronie Coopa. Chyba lepiej, żebyś już nie przyjeżdżała.

Tłumię chęć objęcia brata ramieniem. Nie tutaj. Nie przy niej. Wiem jednak, jak bardzo go to boli. Samotność. Evan stracił dzisiaj matkę.

Ja ją straciłem dawno temu.

Shelley próbuje jeszcze po raz ostatni nas przekonywać, ale w końcu do niej dociera, że się nie ugniemy. Wtedy przestaje udawać. Jej uśmiech zamienia się w otwartą obojętność, oczy tracą blask, nabierają złośliwości. Z głosu przebija gorycz. Nie ma wiele do powiedzenia na pożegnanie. Rzuca nam krótkie spojrzenie, wypuszcza dym w twarz i idzie do taksówki, która zawiezie ją tam, gdzie stanie się problemem dla kogoś innego. Nam wyjdzie to tylko na dobre.

Nawet jeśli w tej chwili tego nie czujemy.

Później, kiedy Mac zamawia pizzę na kolację, obaj z Evanem zabieramy Daisy na spacer. Nie rozmawiamy o Shelley. Właściwie prawie nie rozmawiamy. Idziemy w dość ponurych nastrojach. Każdy tonie we własnych myślach, lecz wiem, że myślimy dokładnie to samo.

Po powrocie zastaję Leviego, popijającego piwo na tylnym balkonie.

— Cześć — woła na nasz widok. — Wpadłem zapytać, jak poszło na policji.

Evan wchodzi do domu po dwa piwa dla nas, ja zaś stoję przy barierce i opowiadam wujkowi o wszystkim. Kiedy docieram do chwili, w której Shelley odjechała praktycznie bez pożegnania, Levi z ponurą satysfakcją kiwa głową.

— Myślisz, że tym razem do niej dotarło? — pyta.

— Może... wydawała się zrezygnowana.

— Nie mogę powiedzieć, że mi jej szkoda. — Levi nigdy nie przepadał za Shelley, nawet kiedy mieszkała w domu. Nie dziwię mu się. Jedyne, co można powiedzieć na usprawiedliwienie obojga moich rodziców, to fakt, że zapewnili nam porządnego wujka.

— Zostaliśmy sierotami — zauważa Evan ze wzrokiem utkwionym w falach.

— Cholera. Wiem, że wam trudno. Ale nie jesteście sami. Jeśli kiedykolwiek będziecie czegoś potrzebować...

Urywa, jednak nie musi kończyć. Levi przez całe życie wychodził ze skóry, żebyśmy czuli się rodziną, pomimo wszelkich braków — i biorąc pod uwagę to, z czym musiał się mierzyć, naprawdę dobrze mu wyszło.

— Wiem, że rzadko to mówimy — odzywam się do wujka — ale jesteśmy tutaj tylko dzięki tobie. Zawsze możemy na ciebie liczyć. Gdyby nie ty, skończylibyśmy w opiece społecznej, w jakiejś rodzinie zastępczej. Pewnie by nas rozdzielili.

— Kochamy cię — dodaje Evan głosem pełnym emocji.

Levi zachłystuje się lekko i chrząka, by ukryć uczucia.

— Dobre z was chłopaki — mówi szorstko. Nie traci słów ani nie mówi o emocjach, ale wiem przecież, co do nas czuje.

Może los nie dał nam rodziny, na jaką zasługiwaliśmy, ale dał jednak rodzinę, jakiej potrzebujemy.

40. Mackenzie

On się zachowuje całkowicie nieracjonalnie.

— Powiedziałaś, że kupisz lód w drodze do domu! — krzyczę z podwórka, na którym stoję z sześcioma chłodziarkami ciepłego piwa i napojów.

Luty przyniósł ze sobą gwałtowne zimowe ochłodzenie, więc podczas gdy mnie tyłek marznie na dworze, napoje wciąż są gorące, gdyż Evan zostawił skrzynki zbyt blisko kominka. Teraz znosi bagaże, a ja zostałam na miejscu i zmagam się ze składanym stolikiem, którego nogi nie chcą się rozłożyć. Te stoliki zaprojektował jakiś sadysta, bo w żaden sposób nie mogę ich otworzyć.

— Zamrażarka w sklepie się popsuka — odpowiada Cooper z tarasu. — Heidi mówiła, że wpadnie po drodze do Publixa i kupi lód.

— Ale napoje nie zdążą się schłodzić, zanim przyjedzie reszta. Dlatego przecież wysłałam cię wcześniej! — Mam ochotę rwać włosy z głowy. Próbuję mu to wyjaśnić po raz trzeci, ale to jak rozmowa gęsi z prosięciem.

— Wpadłbym do sklepu, ale to by zajęło dodatkowo czas, a chciałem wrócić do domu i pomóc wszystko przygotować. Wolałabyś, żebym ci zostawił całą tę robotę? — odkrzykuje, unosząc ręce do nieba.

— Ja tu byłem, żeby jej pomóc — odzywa się Evan ze swojego leżaka, z którego się nie ruszył, wykańczając ostatnie zimne piwo, zamiast mi pomagać. — Ona ma rację, Coop — dodaje, łaskawie kiwając do mnie głową, jakby mówił: widzisz, jestem po twojej stronie.

— Nie wtrącaj się — mówi Cooper.

Rzucam im obu wściekłe spojrzenia.

Zapewne istnieje kilka gorszych pomysłów na tortury piekielne niż urodziny oddalone zaledwie o jeden dzień od bliźniaków, praktycznie nieobeznanych z prowadzeniem domu. Wczoraj wieczorem panowie wpadli na świetny pomysł, żeby w ostatniej chwili urządzić wspólną huczną imprezę zamiast planowanej przeze mnie kolacji, więc teraz w pośpiechu staramy się coś poskładać, tylko że Evan to leń, a Cooper umiejętnościami logistycznymi niewiele przerasta śledzia.

— Odpuśćcie. — Przecież nawet nie chciałam tej głupiej imprezy, lecz oni się uparli, że skoro to moje dwudzieste pierwsze urodziny, to trzeba je obejść na bogato. Zatem oczywiście lwia część pracy spadła na mnie. — Przywiozę jedzenie z jednego końca

miasta, ciasta z drugiego, potem wrócę po lód i spróbuję to wszystko przywieźć przed zmrokiem. Życie mi powodzenia.

Cooper jęczy sfrustrowany.

— Zadzwoń do Heidi i poproszę, żeby przyjechała wcześniej. Dobrze? Zadowolona?

Kopnięciem przewracam stół, niech go szlag trafi, a sama biegnę do góry do drzwi przesuwanych, które akurat blokuje Cooper.

— Oszczędź sobie kłopotu. Z okazji moich urodzin najbardziej bym chciała o jedną minutę mniej złośliwych uwag i paskudnych spojrzeń Heidi. Czy za dużo wymagam?

— Rozmawiałem z nią, okej? Nie mogę kontrolować jej zachowania. Daj jej czas. Przejdzie jej.

— Wiesz, nawet się na nią nie wściekam. Gdyby mnie facet tak przez całe lato wodził za nos, też bym się chciała wyładować.

— Tak nie było — burkliwie zapewnia Cooper.

— Ale ona tak uważa, a tylko to się liczy. Może to o tym powinniście porozmawiać.

— Kurwa, Mac, czy na dziesięć minut możesz zejść ze mnie?

— Hej, frajerze! — woła Evan z podwórka. — Ona ma rację!

Cooper pokazuje mi środkowy palec i idzie za mną do domu; wpadam do środka w pośpiechu, szukam torebki i kluczyków Coopera. Nie widzę ich w kuchni ani w salonie, więc idę do jego sypialni. Cooper drepcze za mną; wygląda na równie poirytowanego jak ja.

— Wiesz co. — Odwracam się do niego. — To już nam chyba nie wychodzi.

Nasze kłótnie mnie wyczerpują. Oraz irytują, gdyż dotyczą zwykle głupich drobiazgów. Skupiamy się na nich i nie chcemy odpuścić, aż w końcu całą energię tracimy na spór, zapominając, od czego właściwie się zaczęło.

— Co to znaczy, do diabła? — Cooper szybkim ruchem zabiera leżące na komodzie kluczyki, zanim zdołam po nie sięgnąć.

Zgrzytam zębami, po czym wypuszczam powietrze.

— Miałam tu zamieszkać tylko na jakiś czas. Widzę, jak co chwila skaczemy sobie do oczu, więc chyba czas się wynieść.

Cooper nagle klęśnie, jakby ktoś zaprawił go w dotek. Wkłada mi kluczyki do wyciągniętej ręki i odzywa się łagodnym głosem:

— Nie tego chcę. Jeśli naprawdę chcesz zamieszkać sama, rozumiem. Jednak nie sądzę, że musisz się wyprowadzić ze względu na mnie. Podoba mi się, że tu jesteś.

— Na pewno? — Jak zauważyłam, jego marudzenie na temat tego, że zabieram mu

przestrzeń życiową, mocno się nasiliło, odkąd się wprowadziłam. — Wolalabym, żebyś powiedział mi prawdę, a nie to, co według ciebie chciałabym usłyszeć.

— Przysięgam.

Nasze spojrzenia się spotykają. Badawczo wpatruję się w jego twarz, on w moją — i coś między nami zachodzi. Zawsze tak się dzieje. Kiedy cały gniew i frustracja opadają, burza mija, a ja zauważam go jakby po raz pierwszy: tatuaże obiegające mięśnie na ramionach, szeroką przestrzeń klatki piersiowej, jego zapach, zawsze ten sam — trocin i szamponu.

Cooper kładzie dłonie na moich biodrach, spogląda na mnie spod przymrużonych powiek i prowadzi tyłem do drzwi, po czym zamyka je i opiera mnie o nie.

— Lubię, kiedy jesteś blisko — mówi ochryple. — Lubię chodzić z tobą spać. Budzić się. Kochać się z tobą.

Jego dłonie łapią dół mojej sukienki i wędrują do góry, unosząc materiał tak, że odsłaniają mnie od pasa w dół. Puls na szyi bije mi tak mocno, że sama czuję jego szaleńczy rytm. Uwarunkowałam się na niego. Wystarczy, że mnie dotknie, a moje ciało zaczyna drżeć wyczekująco.

— Nie ograniczam cię? — pytam żartobliwie. Dłoniemi opieram się o drzwi, rozstawione palce wbijam w zagłębienia.

W odpowiedzi Cooper tylko przewraca oczami. Przysuwa się bliżej, dzieli nas tylko odrobina powietrza. Potem oblizuje usta i mówi:

— Powiedz, żebym cię pocałował.

Na to mój mózg nie znajduje odpowiedzi, jednak całe ciało spina się, a palce u stóp przylegają do podłogi.

Cooper przyciska czoło do mojego czoła, chwytając mnie za boki.

— Jeśli skończyliśmy się kłócić, powiedz, żebym cię pocałował.

Nie znoszę się z nim kłócić. Ale to — godzenie się — to nierozpuszczony syrop na dnie kakao. Mój ulubiony.

— Pocałuj mnie — szepczę.

Jego usta muskają moje dotykiem lekkim jak piórko. Potem Cooper odsuwa się nieco.

— To... — mówi niewyraźnie, jego oddech łaskocze mnie w nos.

Nie kończy zdania. Nie musi. Doskonale wiem, o co mu chodzi. To.

Po prostu... to.

Okazuje się, że jestem niepokonana w grach imprezowych. Wręcz im więcej piję, tym lepiej mi idzie. Nigdy dotąd nie grałam we flip cup, ale po dwóch rundach nikt nie może mnie przebić. Jeden przeciwnik po drugim rozkładają się na łopatki. Potem rozniosłam trzech rywali w beer pong, później udało mi się zenująco rozwalić w strzałki jakiegoś

gościa z tatuażem na karku. Najwidoczniej po wytrąbieniu butelki wina nie jestem w stanie nie trafić w środek tarczy.

Teraz stoję przy ognisku i słucham, jak Tate wyjaśnia zasady jakiegoś eksperymentu myślowego, które ranią mój podpity mózg.

— Chwila. Nie rozumiem. Skoro do wyspy zbliżają się statki, to dlaczego nie mogę wsiąść i wrócić do domu?

— Bo nie o to chodzi! — Niebieskie oczy Tate'a jarzą się czystym zniecierpliwieniem.

— Ale przecież już mnie uratowali — sprzeciwiam się. — Dlaczego nie mogę wejść na pokład? Wolałabym zdecydowanie to niż wybór między Cooperem a zapasami, bez dostępu do którejkolwiek z łodzi.

— Właśnie na tym polega dylemat! A nie na tym, jak uciec z wyspy. Musisz wybrać!

— Wybieram łodzie!

Tate wygląda, jakby chciał mnie zamordować, co zbija mnie z tropu, gdyż według mnie odpowiedź na pytanie o tę bezludną wyspę jest absurdalnie prosta.

— Wiesz co? — Tate wypuszcza powietrze, po czym uśmiecha się szeroko, pokazując dołeczki w policzkach. — Masz szczęście, że jesteś urocza, bo nie nadajesz się do eksperymentów myślowych.

— Ooo. — Głaszczę go po ramieniu. — Też jesteś uroczy, Tater-tot.

— Nie znoszę cię — wzdycha Tate.

Nieprawda. Zajęło to trochę czasu, ale chyba w końcu znalazłam miejsce w życiu-Coopera. Nie jestem już obca i inna. To już nie jest tylko jego życie, lecz nasze.

— Zimno mi — oznajmiam.

— Poważnie? — Tate wskazuje na buzujący przed nami płomień.

— Płonący ogień nie przekreśla faktu, że jest luty — upieram się.

Zostawiam go przy ognisku i idę do domu po sweter. W chwili, kiedy docieram do schodów od plaży, słyszę moje imię; odwracam się, by odpowiedzieć, i uświadamiam sobie, że to Heidi rozmawia z kimś na tarasie. Przechylam głowę. Przez szczeliny w balustradzie widzę jasną głowę Heidi i rudą Alany, oprócz nich twarze jeszcze kilku innych dziewczyn, których nie znam. Już mam wejść na pierwszy stopień, lecz zatrzymują mnie słowa Heidi:

— Mogę jej wybaczyć, że jest tępa, ale przy okazji jest tak porażająco nudna — mówi ze śmiechem. — Cooper też zapomniał, jak się bawić. Teraz chce tylko udawać, że już są po ślubie. Nawet nie ma ochoty wychodzić.

Czuję lekki dreszcz gniewu. Znów te bzdury. Za każdym razem. Nigdy nie broniłam-Cooperowi spotkania z Heidi ani nie prosiłam, żeby wyłączył ją z zaproszenia na imprezy, gdyż ze względu na niego staram się ją tolerować. Nie rozumiem, dlaczego ona za nic

nie chce okazywać mi podobnej uprzejmości, tylko rzuca niechętnie spojrzenia i wbija szpile — oraz, jak widać, obgaduje mnie za plecami.

— Wciąż nie rozumiem, jakim cudem uwierzyła, że Cooper nigdy wcześniej nie widział tego faceta. — Śmieje się znów Heidi z wyższością. — No do licha, przecież to było widać, że Cooper ściemnia, prawda?

Zaraz, co takiego?

Czy mówi o Prestonie?

— Może nawet byłoby mi jej szkoda, gdyby nie okazała się taką naiwniaczką.

Pieprzyć Heidi. Nie wie, o czym gada. Niemniej jednak wolę wiedzieć, jakie oszczerstwa rozpowszechnia za moimi plecami, więc trzymając się w cieniu, podkradam się do schodów, starając się kryć za innymi, żeby Heidi mnie nie zauważyła, wmieszać się w grupki rozmawiających na schodach ludzi.

— No dobrze, ale minęło sporo czasu — odpowiada inna dziewczyna. — Chyba jednak mu na niej zależy, nie uważasz?

— I co z tego? — Heidi zbywa te słowa wzruszeniem ramion, typowym dla niej. — W końcu ona się domyśli, że Cooper od początku ją okłamuje i poderwał ją tylko dla zemsty.

— Daj im spokój — mówi Alana. — Obiecałaś, że odpuścisz.

Zatrzymuję się w pół kroku. Czy ja dobrze słyszę? Te słowa dziwnie przypominają potwierdzenie.

Bo co innego mogłyby znaczyć?

— No co? — W głosie Heidi pojawia się nuta sprzeciwu.

Stoję już ledwie metr od nich, tak blisko, że zaczynam się trząść.

— Nie powiedziałam, że jej opowiem. Przynajmniej nie celowo.

Serce nierówno wali mi o żebra. Alana stoi tuż obok, usta ma zamknięte. Nie podważa wersji Heidi.

Co oznacza — jeśli dobrze rozumiem — że Cooper okłamuje mnie od samego początku, odkąd się poznaliśmy.

Co gorsza — okłamał mnie, kiedy zadałam mu pytanie bezpośrednio. Kłamał w żywe oczy. Nakłonił też wszystkich swoich przyjaciół — naszych przyjaciół, jak mi się zdawało — żeby kryli jego kłamstwa. Evan. Steph. Alana.

Czuję się tak, jakbym zmałała, jakbym mogła wpaść w szparę między deskami tarasu. Zostałam całkowicie upokorzona. Kto jeszcze wiedział? Czy przez cały ten czas śmiali się ze mnie za plecami? Biedny, tępy klon.

— No to dawaj — odzywam się, wchodząc między nie i stając twarzą w twarz

z dziewczynami. — Nie czekaj, aż rozejdą się pogłoski albo coś się komuś wymknie. Powiedz mi to w oczy, Heidi.

Alanie starczy przyzwoitości, by zrobić zawstydzoną minę, Heidi jednak nawet nie próbuje ukryć złośliwego uśmiechu.

Szczerze, mam ochotę walnąć ją w cycki. Naprawdę się starałam. Bardzo. Zagadywałam. Byłam uprzejma. Dałam jej czas. Jednak niezależnie od tego, jak dużo czy mało jej daję, ona po prostu nie chce porzucić głębokiej pogardy, jaką mi okazuje. Teraz rozumiem dlaczego — między nami panował nie tyle niespokojny rozejm, ile zimna wojna, której istnienia sobie nie uświadamiałam. Mój błąd.

— Rozumiem. Nienawidzisz mnie — mówię cierpko. — Znajdź sobie nowe zajęcie. Heidi mruży oczy.

Niezainteresowana już jej widokiem przenoszę spojrzenie na Alanę.

— To prawda? To była jakaś zemsta na moim byłym? Cooper mnie okłamał?

Wypowiedzenie tego na głos przyprawia mnie o mdłości. Cały wypity dzisiaj alkohol zaczyna mi się niebezpiecznie burzyć w żołądku, podczas gdy ja przypominam sobie wydarzenia ostatnich sześciu miesięcy. Pamięć podsuwa mi wspomnienia kilkunastu rozmów z Cooperem w początkach naszej znajomości; zastanawiam się, jakie oczywiste wskazówki umknęły mojej uwadze. Ile razy odpowiedź miałam tuż pod nosem, lecz byłam zbyt rozkochana w jego przepastnym spojrzeniu i lekkim uśmiechu?

Alana, jak zawsze enigmatyczna, nie okazuje emocji. Jedyne wahanie. Myślałam, że się zbliżyliśmy, że trudny okres za nami, że się zaprzyjaźniłyśmy. A jednak teraz stoi, milcząc, z twarzą bez wyrazu, podczas gdy Heidi obrała mnie za cel swoich docinków. Chyba faktycznie jestem tępa. Wszyscy oni mnie nabrali.

— Alana — naciskam, niemal krzywiąc się na bezradność, którą sama słyszę w swoim głosie.

Po nieskończonej długiej chwili jej opanowanie pęka i pod maską dostrzegam przebłysk żalu.

— Tak — przyznaje. — To prawda. Cooper kłamał.

41. Cooper

Przez płomienie ogniska dostrzegam Mac, a zaraz potem dostaję w twarz chlusem piwa.

— Świnia!

Całkowicie ogłupiał, cofam się chwiejnie od ogniska i wycieram oczy zapiaszczonymi palcami. Mrugam kilka razy, przedramieniem wycieram piwo z twarzy. Mrugam ponownie — Mac stoi tuż przede mną z pustym czerwonym kubkiem w dłoni. Wszyscy znajomi odwracają się i wbijają w nas spojrzenia, ja zaś próbuję zrozumieć, o co chodzi.

— Kłamliwa świnia — powtarza Mac gwałtownie.

Evan próbuje do niej podejść.

— Hej, co się dzieje?

— Stój. Ty jesteś taki sam. — Mac ostrzegawczo celuje w niego palcem. — Okłamaliście mnie. Obaj.

Nad jej szczupłym ramieniem dostrzegam Alanę idącą zygakiem między ludźmi, a za nią Heidi. Alana ma minę winowajczynie, Heidi zaś ma na twarzy całkowitą apatię.

A Mac? Wygląda na osobę, którą ktoś zdradził.

Teraz rozumiem. Rozumiem wyraz jej twarzy; czuję się tak, jakbym spadał. To jak w sekundzie tuż przed upadkiem, kiedy mózg podskakuje nam w czaszce, a całe ciało nieruchomieje z przerażenia, gdyż wiemy: to zaboli. Nie mam się czego chwycić. Przyłapała mnie.

— Mac, pozwól, wyjaśnię — mówię ochryple.

— Wykorzystałeś mnie! — krzyczy.

Robi zamach ramieniem i od mojej klatki piersiowej odbija się pusty kubek. Oszołomieni widzowie milczą i powoli się cofają na drugą stronę ogniska.

— Cały czas chodziło tylko o zemstę! — Mac kilka razy kręci głową, w jej oczach odbija się cała gama emocji: od zażenowania, przez gniew, do rozzarowania.

Przypominam sobie pierwszy wieczór, kiedy do niej podszedłem, moją irytację, że muszę udawać zainteresowanie nadętą dziewczyną kłona. A potem jej uśmiech i dowcip całkowicie mnie podbiły.

Co, do licha, ujrzała we mnie takiego, że wytrzymałszy tak długo?

— Tak się zaczęło — przyznaję. Mam tylko może kilka sekund, żeby to naprawić, zanim Mac odbiegnie i nigdy już się do mnie nie odezwie, więc odpuszczam sobie wstęp

i przechodzę od razu do rzeczy: — Tak, znalazłem cię, bo chciałem się na nim odegrać. Byłem głupi i wkurzony. Potem cię poznałem i całe moje życie wywróciło się do góry nogami, Mac. Zakochałem się w tobie. To było najlepsze pół roku w moim życiu.

Także najcięższe — a ona wszystko to znosiła ze mną. Wbrew mnie. Zrzuciłem na nią więcej mojego bałaganu, niż mogłaby wytrzymać, a jednak mimo wszystko nauczyła się mnie kochać. Oczywiście, musiałem to spieprzyć. Jak mogłem mieć nadzieję, że mi się uda?

Ale kurwa mać, to — perspektywa utraty Mackenzie — boli bardziej niż cokolwiek, co mógłbym sobie wyobrazić. Mam wrażenie, że serce miażdży mi imadło.

— Tak, powinienem był się przyznać dawno temu. Ale do licha, no dobrze, bałem się... — Gardło zaczyna mi odmawiać posłuszeństwa, zaciska się, brakuje mi tchu. Z trudem wciągam powietrze. — Bałem się właśnie tej chwili. Popełniłem okropny błąd, myślałem, że jeśli się dowiesz, będziesz cierpieła. Chciałem cię ochronić.

— Upokorzyłeś mnie! — wyrzuca z siebie Mac przez łzy i złość. Najchętniej otoczyłbym ją ramionami i odsunął ten ból, ale przecież to ja go wywołałem; każda sekunda, w której czuję na sobie to jej pełne rozpaczy spojrzenie, rozdziera mnie na strzępy. — Zrobiłeś ze mnie idiotkę!

— Mac, proszę. Zrobię wszystko... — Chwytam jej rękę, kiedy Mac chce się odwrócić, ściskam je mocniej. Wiem, że jak tylko zrobi ten pierwszy krok, już się nie zatrzyma, ruszy przed siebie. — Kocham cię. Pozwól mi to udowodnić. Daj mi szansę.

— Miałeś szansę. — Po jej policzkach spływają łzy. — Mogłeś mi powiedzieć prawdę kilka miesięcy temu. Miałeś milion szans, na przykład tego dnia, kiedy otwarcie cię zapytałam, czy znasz Prestona, czy to przez niego straciłeś pracę. Nie przyznałeś się, za to pozwoliłeś, żeby wszyscy śmiali się ze mnie za plecami. — Mac wrywa mi swoje dłonie i wyciera oczy. — Może nawet wybaczyłabym ci całą resztę, gdybyś nie skłamał mi tak prosto w twarz. Muszę ci to oddać, Cooper, doskonale ci poszło. Na dodatek namówiłeś wszystkich, których uważałam za przyjaciół, żeby mnie okłamywali. Wsadziłeś mnie do idealnej szklanej bańki kłamstw, a wszystko dla zabawy.

— Mackenzie! — Rozpaczliwie staram się chwycić linę, która wymyka mi się z rąk. Z każdym oddechem Mac odsuwa się coraz dalej. — Pozwól mi to naprawić.

— Nie ma co naprawiać. — Jej twarz traci wszelki wyraz, nie okazuje już żadnych uczuć. — Idę do domu, pakuję się i odchodzę. Tylko to mogę zrobić. Nie próbuj mnie zatrzymywać.

Po czym odwraca się i znika w ciemności poza zasięgiem światła ogniska.

Zapada cisza.

— Nie zwracaj uwagi na to, co mówi — odzywa się gwałtownie Evan, popychając

mnie w ramię. — Idź za nią.

Wbijam wzrok w pustkę.

— Ona mnie nie chce.

Znam Mac wystarczająco dobrze i wiem, kiedy jej decyzja jest ostateczna. Cokolwiek zrobiłbym teraz, tylko przyspieszę jej odejście i wzmocnię nienawiść. Ona ma rację. Kiedy się poznaliśmy, byłem palantem.

A od tego czasu nie uczyniłem nic, by jej udowodnić, że jestem inny.

— To ja pójdę — mówi Evan burkliwie i rusza mimo moich prób powstrzymania go.

I po co? Nie przekona jej, żeby została. Mac odchodzi.

Odeszła.

Reszta gości rozchodzi się powoli; w końcu zostaję sam na plaży. Opadam na piach. Siedzę na nim sam nie wiem jak długo — aż ognisko się wypala, pozostają tylko żarzące się węgle. Evan nie wraca. Nie musi mówić mi tego, co już wiem. Słońce wznosi się nad falami, kiedy wreszcie ciężkim krokiem wracam do domu pośród resztek pozostałych po przerwanej imprezie.

Kiedy wchodzę do środka, Daisy nie wybiega do mnie z prośbą o spacer. Jej miska na wodę znikła z kuchni.

Połowa garderoby w moim pokoju opustoszała.

Rzucam się na łóżko i wbijam wzrok w sufit. Czuję się odrętwiały. Pusty.

Szkoda, że na początku nie wiedziałem, jak trudno będzie znieść tęsknotę za Mackenzie Cabot.

42. Mackenzie

Całe życie przeżyłam bez Coopera Hartleya. Potem spędziliśmy razem pół roku, a ja zapomniałam, jak to było nie znać go. Pół roku — i ledwie kilka minut, które zniszczyły je w diabły.

Jedna podsłuchana rozmowa.

Jedno miażdżące wyznanie.

W jednej chwili, jak zdmuchnięta zapalka, moje serce odrętwiało.

Po wyjściu od Coopera w stanie całkowitego oszołomienia wsiadłam z Daisy do taksówki i zapłaciłam za obwożenie mnie po mieście przez niemal dwie godziny. W końcu taksiarz wysadził mnie przed Tally Hall. Stałam w drzwiach Bonnie z torbą w jednej ręce i smyczą Daisy w drugiej; Bonnie zrobiła współczującą minę i przyjęła nas gościnnie. Na moje szczęście jej współlokatorka większość nocy spędza poza domem. Pechowo jednak, kiedy tylko mieszkańcy zaczęli wstawać rano i chodzić po korytarzu, Daisy na nieznajome odgłosy kroków zareagowała szczekaniem. Kilka minut później przybiegł opiekun akademika i kazał nam wyjść.

Nie chcąc pogrążyć Bonnie, powiedziałam, że wpadłam z psem tylko na chwilę, przywitać się, chociaż nie wiem, czy to kupił. Po południu siedziałyśmy już z Daisy w kolejnej taksówce i obmyślałyśmy plan B. Jak się okazuje, żaden hotel w Bay nie przyjmuje zwierząt — w związku z jakąś wystawą psów wiele lat temu, kiedy wydarzyło się coś niemiłego.

Dlatego właśnie ląduję przed domem Steph i Alany. Daisy, zdrajczyni, wskakuje od razu na kanapę i na kolana Steph. Ja z nieco większą niechęcią siadam obok Steph, Alana zaś zaczyna przedstawiać mi sprawę z ich strony. Po moim gwałtownym opuszczeniu imprezy dziewczyny wysłały do mnie kilkanaście SMS-ów. Nie tyle treść, ile ich determinacja przekonały mnie o ich szczerości.

— Na naszą obronę — mówi Alana, stojąc ze skrzyżowanymi ramionami — nie wiedziałyśmy, że okażesz się taka fajna.

Muszę jej oddać, że jak zwykle nie sili się na przeprosiny. Nawet przyznając, że odegrała niebagatelną rolę w stworzeniu planu zemsty, nie owija niczego w bawełnę.

— Ale posłuchaj — ciągnie. — Kiedy Cooper powiedział nam, że jesteście ze sobą na poważnie, wydawało nam się, że paskudnie byłoby powiedzieć ci prawdę.

— Nie — odpowiadam po prostu. — Paskudnie było kłamać.

Prawda może ranić, ale kłamstwo poniża. Kiedy sobie uświadomiłam, że Preston mnie zdradza, zrozumiałam, jak to jest być tą oszukiwaną. Nasi przyjaciele latami uśmiechali się do mnie, przez cały czas świadomi, że byłam naiwniaczką, podczas gdy ja nie zdawałam sobie sprawy z jego „zajęć dodatkowych” — parady rozmaitych Marilyn. Nigdy nawet mi nie zaświtało, że Cooper odwróci się ode mnie i także mnie okłamie. Ani że po raz kolejny ludzie, których uważałam za przyjaciół, pomogą mu utrzymywać mnie w nieświadomości. Czasem uczymy się dopiero za drugim razem.

Niemniej jednak nie pozbyłam się całkowicie miłosierdzia. Matematyka lojalności jest w końcu wyjątkowo złożona. Te dziewczyny najpierw były przyjaciółkami Coopera. Nie mogę pominąć tej okoliczności w równaniu. Pewnie, miałabym prawo zniechęcić je obie za uczestnictwo w tym spisku, rozumiem także, że zostały złapane w pułapkę. Powinny były powiedzieć mi prawdę, fakt. Jednak to Cooper kazał im przysiąc milczenie. To jego tyłek kryły.

Jeśli ktokolwiek ponosi winę za to wszystko, to on.

— Okropnie nam z tym — przyznaje Steph. — Paskudnie kogoś tak potraktować.

— Fakt — przyznaję.

— Mac, przepraszamy. Przepraszam. — Steph nieśmiało wyciąga rękę i ściska mnie za ramię. — A jeśli potrzebujesz mety, to wprowadź się do naszego pokoju gościnnego, dobrze? Nie tylko dlatego, że jesteśmy ci to winne, ale jesteś naprawdę fajna, poza tym uważam... uważamy cię — zerka na Alanę — za przyjaciółkę.

Pomimo ewentualnych kłopotliwych sytuacji, jakie mogą z tego wyniknąć, zatrzymanie się tutaj jest najlepszą opcją, dopóki nie znajdę czegoś na dłużej. Poza tym Daisy już się tu zadomowiła.

— I nie będziemy rozmawiać o Cooperze, jeśli nie będziesz chciała — obiecuje Alana. — Chociaż podobno on już i tak się rozsypał z tego wszystkiego. Evan mówi, że przesiedział na plaży w zimnie całą noc, gapiąc się na zatokę.

— Mam się nad nim uzalić? — Unoszę brwi.

Steph śmieje się z zakłopotaniem.

— No nie, nie twierdzimy, że nie miałaś prawa się wkurzyć. Gdybyś zechciała spalić mu ciężarówkę, z pewnością bym cię zrozumiała.

— Cały ten plan zemsty to był gówniarski pomysł — dodaje Alana. — Ale nie udawał, że mu się podobasz. Powiedziałyśmy mu, że nie wolno mu tego udawać, więc w tej części był całkowicie szczery.

— I naprawdę mu przykro — mówi Steph. — Wie, że spieprzył sprawę.

Czekam kilka sekund, ale one już chyba powiedziały, co miały do powiedzenia. Dobrze. Teraz możemy ustalić granice.

— Rozumiem, że zostaliście wciągnięte w środek tego wszystkiego, to też nie do pozazdroszczenia — mówię do dziewczyn. — Może więc wprowadźmy taką zasadę: nie będę reagować przesadnie, jeśli ktoś wspomni o nim albo będzie o nim gadał przy was, a za to wy skończycie tę kampanię jego obrony. Umowa stoi?

Steph uśmiecha się smutno.

— Stoi.

Wieczorem pozwalam sobie na płacz w samotności. Dopuszczam do siebie ból i złość, daję się im rozedrzyć. A potem odsuwam to wszystko i zagrzebuję głęboko. Rano budzę się i powtarzam sobie, że w życiu mam jeszcze mnóstwo innych spraw oprócz Coopera Hartleya. Przez ostatni rok narzekałam, że nie mam czasu na zajęcie się moją firmą. No dobrze, teraz już nic mi nie przeszkadza. Mam czas w ciągu dnia, wypełnię go pracą przy stronach i hotelu. Czas zetrzeć rozmazaną maskarę i zostać suką.

Pieprzyć miłość. Buduj imperium.

43. Cooper

— Hej, Cooper, jesteś tam?

— Z tyłu.

Heidi znajduje mnie w warsztacie, gdzie kryję się od sześciu godzin. Ze strony, którą założyła mi Mac, sypią się zamówienia na meble. Mac poprosiła o jej utworzenie kogoś, kto projektował jej aplikacje, poza tym któryś z jej marketingowców zaprojektował także reklamy na moją stronę firmową na Facebooku. Kolejny przykład, jak zmieniła moje życie na lepsze. Zamówienia napływają niemal szybciej, niż zdążę je realizować, więc każdą godzinę, kiedy nie pracuję na którejś budowie Leviego, spędzam tutaj, urabiając sobie ręce po łokcie, by nadążyć z robotą. Nie mogę powiedzieć, że mi to przeszkadza. Mogę zanurzyć się w pracy albo pogrążyć w uzalaniu nad sobą, co nie doprowadzi do niczego dobrego.

Na powitanie kiwam krótko głową. Pracuję nad kawałkiem dębu ze zwalonego drzewa, który wyglądam dłutem — będzie z niego noga do krzesła. Powtarzalność ruchów — długie, rytmiczne pociągnięcia — chroni mnie ostatnio od popadnięcia w szaleństwo.

— Dlaczego wasza weranda wygląda jak dom pogrzebowy? — pyta Heidi, wskakując na moją ławę roboczą.

— Mac odsyła mi to, co jej wysyłam.

Od dwóch tygodni próbuję wysyłać jej kwiaty, koszyki, wszelkie możliwe upominki. Codziennie przesyłki wracają na moją werandę.

Początkowo wysyłałem je do hotelu, wiedząc, że Mac bywa tam codziennie, sprawdzając postępy prac jednego z zespołów Leviego. Potem jednak wymęczyłem od Steph wiadomość, że Mac zatrzymała się u niej i Alany. Byłem pewny, że wtedy namówię którąś z nich, żeby przyjęła przesyłkę — jednak nie.

Konsekwencja, z jaką ta dziewczyna odmawia przyjęcia przeprosin, jest cholernie niedorzeczna. Zabrała nawet naszego psa. Wciąż zdarza mi się budzić w nocy, gdyż wydaje mi się, że słyszę szczekanie Daisy. Przewracam się na bok, pytam Mac, czy była z nią na dworze, po czym uświadamiam sobie, że żadnej z nich nie ma obok.

Cholera, tęsknię za moimi dziewczynami. Zaczyna mi odbijać.

— To chyba mówi wszystko o sytuacji między wami. — Heidi robi smutną minę, pokrywa ją drobny żółty pył. — Nie żebym się chwaliła, ale mówiłam...

— Na Boga, Heidi, jeśli skończysz to zdanie, nie będę chciał więcej cię widzieć.

— Hej, co się dzieje, Coop?

Nacisnąłem dłuto zbyt mocno, drewno pęka. W środku nogi od krzesła pokazuje się wielka dziura. Cholera. Dłuto wylatuje mi z dłoni i z brzękiem odbija się od podłogi gdzieś po drugiej stronie garażu.

— Masz dokładnie to, czego chciałaś, prawda, Heidi? Mac nie chce ze mną rozmawiać. Przyszłaś się chwalić? Odpuść mi.

— Myślisz, że to przeze mnie?

— Wiem, że to ty.

— Boże, Cooper, co z ciebie za palant! — Z policzkami zaczerwienionymi ze złości Heidi rzuca mi w twarz garść trocin.

— Kurwa! — przeklinam, gdyż pył zatyka mi usta i nos.

Mamrocząc pod nosem, wylewam sobie na głowę wodę z butelki i wypluwam drobiny drewna na betonową podłogę. Czujnym spojrzeniem śledzę Heidi, która wkurzona zaczyna chodzić po pomieszczeniu.

— Ostrzegałam cię, że to zły pomysł — mówi z gniewem. — Mówiłam, że takie pogrywanie to okrucieństwo. Ale ty nie słuchałeś, bo przecież oj tam, Heidi jest po prostu zazdrosna. Prawda? Właśnie tak myślałeś?

Czuję w piersi ukłucie poczucia winy, bo faktycznie, właśnie tak myślałem, kiedy Heidi sprzeciwiała się planowi Evana.

— Cóż, przykro mi, że plan wywalił ci prosto w twarz dokładnie tak, jak przewidywałam. — Heidi dźga palcem powietrze. — Nie zwalaj tego na mnie.

W odpowiedzi podobnie mierzę w nią palcem.

— Nie, tylko zatruwałaś Mac życie przez każdą sekundę, jaką tu spędziła, aż w końcu udało ci się całkowicie ją zniechęcić.

— Podśluchiwała. Jak się gra w głupie gierki, wygrywa się głupie nagrody.

Mam już po uszy Heidi i jej zachowania. Od pół roku zmuszam się do uśmiechu i cierpliwości, ale wszystko ma swoje granice.

— Jasno dałaś do zrozumienia, że nie znosisz jej od samego początku, kiedy się zeszliliśmy. Prosiłem cię jako przyjaciółkę o tę jedną uprzejmość, a ty wbiłaś mi nóż w plecy. Na Boga, miałem nadzieję, że jednak jesteśmy przyjaciółmi.

Heidi robi wypad i rzuca blokiem szlifierskim, celując w moją głowę. Udaje mi się go złapać, zanim walnie mnie w twarz.

— Tylko nie wyjeżdżaj mi teraz z lojalnością! Od lata zachowujesz się tak, jakbym była nimfomanką i nie mogła się odczepić od twojego fiuta, a przecież to ty przyszedłeś do mnie pijany i napalony. A następnego dnia traktujesz mnie jak stalkerkę.

— Skąd ci się to wzięło?

— Przez ciebie, palancie. — Heidi chodzi wokół stołu. Zbyt blisko moich dłut i młotków, jak na mój gust. — Jasne, okej, sorry. Popełniłam niewybaczalny błąd, bo pozwoliłam sobie na uczucie do ciebie. Kurwa, ukrzyżuj mnie. Nie przypominam sobie, żebyś mi powiedział, że to cokolwiek między nami się skończyło. Nie pamiętam rozmowy, w której powiedziałbyś coś w rodzaju: „Hej, to tylko seks, ale wszystko w porządku, nie?”. Nagle pewnego dnia dałeś mi kopa i tyle.

Nieruchomieję i zmuszam się, by wrócić myślami do zeszłego lata. Szczegóły jakoś zacierają mi się w pamięci. Nie jestem nawet pewny, jakim sposobem skończyliśmy w łóżku tym pierwszym razem. Nie pamiętam też jakiegokolwiek omawiania szczegółów. Na temat tego, co jest między nami, nie padło ani jedno słowo. W żadnej rozmowie nie uzgodniliśmy podstawowych zasad. Po prostu... założyłem, że jest, jak jest.

Teraz dopiero sobie uświadamiam, czując jednocześnie, jak krew odpływa mi z twarzy, a wnętrze skręcają się pod wpływem wyrzutów sumienia — że może to ja okazałem się dupkiem.

— Nie zdawałem sobie sprawy, że tak się czułaś — przyznaję, trzymając się na dystans, gdyż nie mogę wykluczyć kolejnego wybuchu gwałtownych emocji. — Myślałem, że mamy te same poglądy. A potem, tak, chyba poczułem się osaczony i wybrałem najprostsze wyjście. Nie chciałem, żeby wyszło niezręcznie.

Heidi przystaje, wzdycha i opada na stołek.

— Przez ciebie poczułam się jak podrywka na jedną noc. Jakbym kompletnie nic dla ciebie nie znaczyła nawet jako przyjaciółka. To zabolalo, Coop. Naprawdę się na ciebie wściekłam.

Kurwa. Heidi zawsze stała przy mnie. Tak się zająłem dbaniem o własny tyłek, że nawet przez sekundę mi nie zaświtało, jak bardzo ją krzywdzę.

— Chodź tutaj — mówię ochryple, wyciągając ramiona.

Po chwili Heidi podchodzi i daje mi się objąć, chociaż zanim oplecie mnie ramionami, daje mi kuksańca w zębra.

— Przepraszam — mówię do niej. — Nie chciałem cię zranić. Gdyby ktoś inny potraktował cię w ten sposób, obiłbym go porządnie. To naprawdę było nie w porządku.

Heidi patrzy na mnie, rzęsy ma lekko wilgotne. Szybko wyciera oczy.

— Chyba też przepraszam. Powinna była zachować się bardziej dojrzałe i jak dorosła, na przykład przeciąć ci przewody z płynem hamulcowym, a nie wyzywać się na twojej dziewczynie.

Niech szlag trafi Heidi. Nigdy nie wiadomo, czy mówi poważnie. Nawet przez sekundę nie wątpię, że byłaby do tego zdolna.

Ściskam ją jeszcze raz i puszczam.

— Jesteśmy kwita?

Heidi wzrusza ramionami.

— Ech, ułoży się.

— Jeśli chcesz, żebym jeszcze trochę potarzał się w prochu i błagał o przebaczenie, wystarczy słowo — rzucam jej samokrytyczny uśmiech. — Przez ostatnie dwa tygodnie doskonale się tego nauczyłem.

Jej usta drgają w uśmiechu.

— Kwiaty na twojej werandzie jakoś o tym nie świadczą. Ale pewnie, chętnie jeszcze posłucham błagania o wybaczenie. Nie możesz zachowywać się jak kutas i mieć nadzieję, że ci się upiecze.

Krzywię się.

— Boże, nie. Nie daj mi się wywinąć — wrywa mi się nagły jęk. — Właśnie coś sobie uświadomiłem. Zostałem Evanem. Potraktowałem cię dokładnie tak, jak robi to Evan.

Heidi wybucha niepowstrzymanym śmiechem, zgina się w pół i chwyta za bok.

— Boże, masz rację! — woła. W końcu odzyskuje panowanie nad sobą, policzki ma czerwone i mokre od łez, raczej wywołanych śmiechem niż bólem. Uśmiecha się do mnie szeroko i mówi: — Tak mi się wydaje, że to już wystarczająca kara.

Znam Heidi wystarczająco dobrze, by mieć pewność, że dojdziemy do porozumienia, a wydaje się to jeszcze pewniejsze po naszej rozmowie w garażu. Trudniejsze zadanie czeka mnie przy Mac, której determinacja, by mnie ignorować, przekroczyła moje najbardziej pesymistyczne wyobrażenia. Z dwóch tygodni zrobiły się trzy, a ta uparta kobieta nadal zachowuje się tak, jakbym nie istniał.

Zacząłem pisać do niej SMS-y po skończeniu pracy, co stało się nagrodą za wytrzymanie całego dnia bez zostawiania jej kilkunastu wiadomości na poczcie głosowej. Mac nie odpowiada, jednak wciąż nie tracę nadziei, że pewnego dnia to zrobi.

Klikam właśnie „wyślij” pod ostatnią wiadomością „proszę, proszę, zadzwoń do mnie”, kiedy Levi zatrzymuje mnie i Evana przy wsiadaniu do samochodu i prosi, żebyśmy spotkali się z nim u jego prawnika przy Main Street. Ostatnio wspominał coś o zmianie testamentu, więc przypuszczam, że chodzi o to. Jednak kiedy docieramy do kancelarii, Levi rzuca swoją bombę.

Zostajemy wprowadzeni do małej salki konferencyjnej, siadamy, a wtedy Levi podsuwa nam przez stół cienki plik dokumentów.

— To dla was — mówi.

— Co to? — pytam.

— Przeczytajcie szybko.

Zaskoczony przeglądam dokumenty i szeroko otwieram oczy na widok słów „Hartley i synowie”.

— Levi, co to? — pytam.

Evan przysuwa sobie papiery i przegląda je.

— Reorganizuję firmę — wyjaśnia Levi i podsuwa nam dwa długopisy. — Jeśli jesteś zainteresowany, Coop, twoja przyszła firma meblarska będzie się też rozwijać pod szyldem „H & S”.

— Zaraz. — Evan skończył uważnie czytać dokument i gwałtownie unosi głowę. — Chcesz z nas zrobić właścicieli?

Levi z pełnym rezerwy uśmiechem kiwa głową.

— Partnerów na równych prawach.

— To... — Brakuje mi słów. Jestem oszołomiony. W życiu się tego nie domyślałem. — Nie rozumiem. Skąd ten pomysł?

Levi chrząka i rzuca spojrzenie prawnikowi; starszy pan opuszcza swój wielki skórzany fotel i oddala się dyskretnie.

— Tego dnia, kiedy Shelley wyjechała na dobre, a ja przyjechałem sprawdzić, jak się czujecie... — zaczyna, po czym przerywa i znów odchrząkuje. — Naprawdę poruszyło mnie to, co wtedy powiedzieliście. O tym, że zostaliście sami i czujecie się jak sieroty. Jeśli mam być szczery, to zawsze uważałem was za synów.

Levi nigdy się nie ożenił i nie ma dzieci. Dopiero w liceum domyśliliśmy się, że jego przyjaciel i współlokator Tim to w rzeczywistości jego partner. Są razem, odkąd pamiętam, chociaż starają się z tym nie obnosić. Levi dorastał w zupełnie innym Bay, więc rozumiem tę skrytość. Chroni prywatność, a my zawsze staraliśmy się to szanować.

— Uznałem więc, że, no, trzeba to sformalizować. — Levi przełyka ślinę i z zakłopotaniem przesuwa się na krześle. — Jeśli nie macie nic przeciwko. — Znów przełyka. — Chcę, żebyście mieli w tym mieście dziedzictwo, z którego możecie być dumni.

Mogę jedynie gapić się na niego oszołomiony, bo... rany! Nikt w nas dotąd nie zainwestował. Kiedy dorastaliśmy, ludzie w większości już nas skreślili jako przegranych. Wróżyli, że skończymy jak rodzice: pijacy, nieudacznicy i wyrzutki. Wszyscy czekali na dzień, kiedy będą wreszcie mogli pokiwać palcem i stwierdzić: „Wiedziałem!”. Ale nie Levi. Może dlatego, że jesteśmy rodziną, ale głównie dlatego, że jest przyzwoitym człowiekiem. Uznał, że warto nas chronić. Wiedział, że jeśli dać nam szansę, najmniejszą pomoc, to wyrośniemy na ludzi — może nieco potłuczonych, ale wciąż całych.

— No to co powiecie? — pyta Levi.

Mój brat, nie tracąc ani chwili, chwyta długopis.

— Tak, tak! — mówi, a jego łamiący się głos zdradza, że gest wujka zrobił na nim takie samo wrażenie jak na mnie.

Zawsze wiedziałem, że wujowi na nas zależy, że nigdy nas nie zawiedzie, ale czegoś takiego absolutnie się nie spodziewałem. To prawdziwa przyszłość. Coś, na czym można budować. Poczucie, że Evan i ja mamy wreszcie solidną podstawę w tym świecie, jedyną rzecz, która nie zwali nam się na głowy.

Evan podpisuje się na dole kartki, zrywa się z krzesła i podbiega do Leviego. Najpierw ściska jego dłoń, potem obejmuje i poklepuje po plecach.

— Dziękuję, wujku Levi — mówi poważnie, zupełnie inaczej niż zwykle. — Nie zawiedziemy cię, obiecuję.

Lekko drżącą dłonią dodaję swój podpis na dole strony, wstaję i obejmuję naszego współnika.

— Nie wiem, jak ci dziękować — mówię wujkowi. — To dla nas wiele znaczy.

— Jeszcze mi nie dziękujcie — odpowiada Levi z lekkim uśmiechem. — Teraz jesteście właścicielami, co oznacza pracę od świtu do nocy. Muszę was wiele nauczyć.

— Nie mogę się doczekać — odpowiadam z absolutną szczerością.

— Dobrze. Po pierwsze chciałbym, żeby jeden z was pokierował załogą rozbiórkową w hotelu Mackenzie, to mi da więcej czasu na restaurację Sandersona.

Krzywię się. Sam dźwięk jej imienia w czyichś ustach wywołuje we mnie ból.

— Dobrze, to może niech Evan się tym zajmie. Mac chyba jeszcze nie ma ochoty oglądać mnie codziennie w pracy.

Levi marszczy brwi.

— Wciąż się do siebie nie odzywacie?

Z przygnębieniem kiwam głową.

— Nie odbiera moich telefonów ani nie przyjmuje upominków.

— Upominków? — powtarza rozbawiony Levi.

Wtrąca się Evan — z uciechą opisuje wujkowi łąn kwiatów, które wysłałem, niezliczone bombonierki w kształcie serca i przeładowane kosze.

— Ile tych koszy! — podkreśla. — Odrażające.

— I wszystko na próżno — mówi Levi, kiedy uspokaja się po wybuchu łagodnego śmiechu. — Chłopcze, takiej dziewczyny nie zdobędziesz słodyczami i kwiatami.

— Nie? — Gardło ściska mi się z rozczarowania. — To co mam zrobić? Jak mam ją namówić, żeby ze mną porozmawiała?

Wujek klepie mnie w ramię.

— Prosto. Rozszerz perspektywę.

44. Mackenzie

W drodze powrotnej z hotelu do Steph i Alany zatrzymuję się w ich ulubionym chińskim barze po jedzenie na wynos. Dopiero kilka tygodni temu pracownicy Leviego zaczęli zrywać stare wykładziny i skuwać tynki, wyrzucać meble i instalacje oraz wszystko, czego już nie dało się uratować — a jednak od środka trudno to miejsce rozpoznać.

Puste płótno.

Już dość mocno przerabiam pierwotną koncepcję wystroju wnętrza. Wciąż chcę zachować jak najwięcej, ale też nieco je odświeżyć. Otworzyć, zaprosić świat do wewnątrz. Rozjaśnić je światłem dziennym i zielenią, oddać nastrój luksusowego relaksu. Mój architekt pewnie ma już po dziurki w nosie moich telefonów i e-maili z wciąż nowymi poprawkami do planów. Z pewnością uspokoję się, kiedy tylko ruszą prace budowlane. Chcę po prostu, żeby wszystko było idealne. W końcu tworzę dzieło życia — jeśli szczęście będzie mi sprzyjać, hotel postoi przez kolejne pięćdziesiąt lat.

Używam SUV-em kupionym u miejscowego handlarza w zeszłym tygodniu wjeżdżam na podjazd. W końcu się ugięłam, kiedy do mnie dotarło, że nie mogę spędzić w tym mieście reszty życia, prosząc o podwózkę lub jeżdżąc taksówkami i uberami.

Gaszę silnik i w tej chwili dostaję SMS od matki.

Mama: *Mackenzie, jak obiecałam, przesyłam Ci nazwisko mojej projektantki. Skoro uparłaś się przy tym swoim projekciku, zrób go jak najlepiej.*

Mój chichot odbija się echem w samochodzie. To najbliższy aprobaty gest, na jaki aktualnie stać moją matkę. Po miesiącach ciszy między mną a rodzicami w końcu skontaktowałam się z nimi tydzień po wyprowadzce od Coopera. W całości składam to na karb mojego wysoce rozchwianego stanu emocjonalnego. Szczerze mówiąc jednak, pomimo ich apodyktyczności i protekcyjnego stosunku do mnie to wciąż moi rodzice. Jedyna rodzina, jaką mam. Przetykam więc dumę i wyciągam gałązkę oliwną, którą oni ku mojemu zdumieniu przyjmują.

Kilka dni temu zwizytowali nawet mój hotel — spędzili w nim jakieś dziesięć minut. Dostatecznie długo, by ojciec zdążył pokazać wszystkie swoje miny, a mama natarła mi uszu za wzory pościeli. Nie mogę powiedzieć, że zapłonęli entuzjazmem do projektu, ale jednak zdobyli się na wysiłek. Drobną krok w kierunku znormalizowania naszych stosunków.

Odpisuję szybko.

Ja: *Dzięki, mam, jutro do niej zadzwonię.*

Mama: *Jeśli przyda Ci się dodatkowa para oczu na etapie projektowania wnętrza, skontaktuj się ze Stacey, niech Cię wpisze w mój grafik, jeśli znajdzie się w nim czas.*

Unoszę wzrok do nieba. Cała Annabeth Cabot — jednak na to już nic nie poradzę.

Ledwie weszłam w drzwi, moje współlokatorki rzucają się na mnie i wyjmują mi z rąk torby. Zastawiamy stół i zabieramy się do jedzenia, a Steph włącza swój wieczorny maraton telewizyjny badający zjawiska paranormalne. Przez sześć bitych godzin dorośli mężczyźni w goglach z noktowizorami biegają po opuszczonym centrum handlowym i wrzeszczą, kiedy kopną w porzucony kubek z restauracji albo coś w tym stylu. Nieważne. Jej się to podoba.

— No to co z tą chryją u ciebie w pracy? — zaczyna Alana, wybierając całą wołowinę z lo mein, zanim którakolwiek z nas zdążyła sięgnąć po pudełko.

— Już. — Steph rozmawia, gestykulując pałeczkami, jakby dyrygowała orkiestrą. — Caitlynn powiedziała Manny'emu, że jego eks obsmarowała go na *Wpadkach Chłopaka*. Teraz w barze wszyscy o tym gadają — dodaje, zwracając się do mnie z szerokim uśmiechem.

— Skąd wiedzieli, że to o niego chodzi? — dopytuje Alana.

— Bo wszyscy byliśmy świadkami, kiedy to się działo. W skrócie: w zeszłym tygodniu Manny poznał w barze dziewczynę i zabrał ją do domu. Po kilku dniach znów ją zobaczył i umówił się z nią. Spotykali się tak przez kilka tygodni, raz całą paczką poszliśmy na kręgle i wtedy podobno Manny zwrócił się do niej cudzym imieniem. Nie wiem, jak udało mu się przez cały ten czas nie zwracać się do niej po imieniu, ale, jak się okazało, tej pierwszej nocy spał z jej starszą siostrą, potem poznał młodszą i pomylił je ze sobą.

— Auć! — Za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że już nic mnie nie zdziwi, wyskakuje jakaś nowa odmiana ulubionej opowieści.

— W każdym razie, wracając do dzisiaj: Caitlynn pokazywała Manny'emu post na *Wpadki Chłopaka*, kiedy do baru wszedł jakiś smarkacz. Podszedł prosto do baru. To był środek pory obiadowej, wszyscy biegaliśmy jak wariaci. Chłopak nakrzyczał na Manny'ego po hiszpańsku, chwycił czyjś drinka, wylał na bar i rzucił w to zapałkę.

Wydaję lekki okrzyk.

— Boże, nic mu się nie stało?

Steph lekceważącym machnięciem ręki zbywa moją troskę.

— Nie, nic mu nie jest. Joe od lat chrzci alkohole.

Dlatego właśnie, kiedy tylko zaczęłam zarabiać na moich aplikacjach, zamówiłam u prawnika notatkę o ograniczeniu odpowiedzialności dla strony internetowej.

— Kiedy bar nie chciał się zapalić, chłopak się wściekł i przeskoczył przez niego —

ciągnie Steph. — Ma nieco ponad metr pięćdziesiąt i nie więcej niż piętnaście lat. Manny chyba nie po raz pierwszy był ścigany, bo nigdy nie widziałam, żeby tak zmykał.

Alana śmieje się uszczypliwie.

— Wyskoczył z za baru i poleciał przed siebie. Chłopak zaczął go gonić po schodach, złapał za krzesło i zamierzył się na niego, ale wtedy Daryl złapał go i wyrzucił. Daryl musiał zabarykadować drzwi, aż w końcu dzieciak się poddał i poszedł sobie. Manny wymknął się tylnymi drzwiami. — Steph zaczyna się śmiać. — Jak się okazało, to był młodszy brat tych dziewczyn, przyszedł nakłść Manny'emu po mordzie. Przesłodka.

— Wiecie — odzywam się, próbując nie zakrztusić się jedzeniem — to wyjdzie dzieciakowi na dobre.

— Prawda?

Przełykam mojego kurczaka w sosie cytrynowym i sięgam po puszkę dietetycznej coli.

— A przy okazji nieudanych byłych, dzisiaj jadłam z Bonnie lunch na kampusie i wpadłam na Prestona.

Steph unosi brwi.

— I jak poszło?

— Nie aż tak źle — przyznaję. — Był z nową dziewczyną. Słodka, typowa studentka Garneta, jej ojciec ma jakieś fundusze hedgingowe, a matka odziedziczyła fortunę w postaci firmy wentylatorów czy coś w tym rodzaju. Są razem od dwóch miesięcy.

Alana się krzywi.

— Biedaczka.

Wzruszam ramionami.

— Nie wiem. Z tego, co widzę, ona uwielbia Prestona, a jemu chyba tylko na tym zależy. Chce kogoś, kto będzie się uśmiechał i dziękował mu za podejmowanie decyzji.

— Wrzucam do ust kolejny kawałek kurczaka i mówię dalej: — Jeśli obojgu z tym dobrze, kimże jestem, żeby ich osądzać?

— O, zaraz, widziałyście to? — Alana wsuwa do ust ostatni kawałek tortilli z jajkiem, po czym wyciera palce z sosu po kaczce i podaje mi telefon. — Dzisiejsze.

Rzucam okiem na ekran — na *WpadkiChłopaka* pojawił się nowy wpis. Tylko że on zaczyna się od wyznania winy. Nie pochodzi od rozczarowanej dziewczyny anonimowo mszczącej się na swoim byłym, lecz od chłopaka, który wyznaje publicznie swoje grzechy.

Ja jestem # WpadkąChłopaka

Tak, dobrze przeczytaliście tytuł. To ja jestem chłopakiem, który zawiódł. Naprawdę zawiódł. Na całej linii. Zawiódłem kobietę, którą kocham, zniszczyłem nasz związek i zawiódłem samego siebie.

Unoszę głowę i rzucam podejrzliwe spojrzenie na Alanę, ona jednak udaje, że całą jej uwagę pochłania jedzenie.

Zniszczyłem najlepsze, co przytrafiło mi się w życiu. Wypuściłem z rąk dziewczynę idealną, gdyż okazałem się egoistycznym dupkiem. Tego wieczoru, kiedy ją poznałem, myślałem tylko o zemście. Ściąłem się z jej chłopakiem. Chciałem go ukarać za to, że przez niego wyleciałem z pracy, za to, że wyciągnął ze mnie wszystkie moje obawy — że jestem przegrany lokalsem i tkwię tutaj bez perspektyw na cokolwiek lepszego i cokolwiek więcej.

Potem jednak poznałem ją lepiej i coś się stało. Dziewczyna stała się moją inspiracją. Pokazała mi, że stać mnie na więcej, nie muszę poddawać się tej kotwicy wiszącej mi u szyi i ciągnącej w dół. Dzięki tej dziewczynie uwierzyłem, że stać mnie na wielkość.

Miała rację, ale i się myliła — ponieważ nie chcę wielkości, nie chcę przyszłości pełnej blasku, jeśli nie będzie jej przy mnie, żeby się tym cieszyć.

Czytam dalej, czując coraz silniejszy skurcz w żołądku. Wyznanie jest rozbrajające i szczerze. Palce mi drętwieją, oczy zaczynają piec.

Wiem, nie zasługuję na drugą szansę. Ona nie jest mi nic winna. Ale i tak chcę poprosić.

Księżniczko, daj mi drugą szansę. Jeśli się zgodzisz, obiecuję nigdy więcej cię nie okłamać. Nigdy więcej nie uznam cię za zdobytą i zaklepaną. I nigdy, do końca życia, nie zapomnę, jak wspaniałym skarbem jesteś.

Kończę czytać, niemal nie widząc już liter, które całkowicie rozmazują mi się przez łyzy. Post zamyka prośba, żebym spotkała się z nim w sobotę o osiemnastej w miejscu, w którym uratowaliśmy naszego psa.

— Cholera — mamroczę, kładąc telefon na stole — myślałam, że była umowa.

Alana podaje mi serwetkę do wytarcia twarzy.

— Owszem. Ale on jest w rozsypce, a ty nieszczęśliwa. Żadne z was sobie z tym nie radzi. Przepraszam, że uciekłam się do podstępu, ale przyznaj, co ci szkodzi go wysłuchać?

— Nie jestem nieszczęśliwa — bronię się. — Żyję dalej.

Steph rzuca mi wymowne spojrzenie świadczące o tym, że ona jest innego zdania.

— Zamknęłaś to w sobie — poprawia Alana. — Spędzanie dziesięciu godzin w hotelu i pięciu w pokoju nad tymi stronami internetowymi to na pewno nie jest oznaka tego, że żyjesz dalej.

No dobrze, jest mi ciężko. Okej. Kiedy wszystko inne wymyka się spod kontroli, praca pomaga mi utrzymać równowagę. Pomaga zapomnieć — to najlepszy sposób, jaki udało mi się znaleźć, żeby przestać rozmyślać o Cooperze.

Prawda, trudno o nim zapomnieć. Niemal każdego dnia po obudzeniu spodziewam się, że otoczy mnie jego ramię. Dziesięć razy dziennie niemal wysyłam mu jakiś żarcik albo wiadomości o robotach w hotelu, ale przypominam sobie, że on już nie jest mój. Daisy wciąż go szuka. Wyłapuje jego zapach, kładzie się w nogach po jego stronie łóżka. Czeka przy drzwiach na kogoś, kto nigdy nie przyjdzie.

Bez niego to miasto przestaje mieć dla mnie sens.

A jednak nie da się zaprzeczyć: Cooper mnie okłamał. Kilkakrotnie. Odebrał mi możliwość podjęcia decyzji. Oszukał mnie, a tego nie mogę tak łatwo zignorować. Jeśli nie będę szanowała samej siebie, nikt mnie nie uszanuje.

— Spotkaj się z nim — przekonuje Alana. — Wysłuchaj go. A potem postępuj, jak ci serce doradza. Co ci szkodzi, to naprawdę niewiele.

To może wywołać nieodwracalne szkody; uczynić drobny wyłom w barykadzie, a wtedy zaleje mnie ból nie do pokonania. Po odejściu od Coopera wzniosłam wokół siebie mur — mocny, taki, żeby wytrzymał długi czas. Nie da się go otwierać i zamykać, kiedy się zechce. Przede wszystkim obawiam się, że jeśli w chwili słabości pozwolę sobie na spotkanie z Cooperem, nigdy już nie pozbędę się tego okropnego bólu. Jeśli mu wybaczę, znów narażam się na cierpienie. Nie będę umiała dwa razy porzucić Coopera Hartleya.

Drugi raz mogę tego nie przeżyć.

45. Cooper

Jest godzina dziewiętnasta.

Czuję się jak kretyn. Trzeba było ubrać się lepiej, przynieść jej kwiaty. Przez całe popołudnie objąłem się po domu, próbując nie poddać się panice, i doprowadziłem się na skraj wytrzymałości. Wyszedłem w szortach z drelichu i T-shircie, jak kompletny głupek — i tak mam prosić tę zadziwiającą kobietę o wybaczenie za to, że od dnia, w którym się poznaliśmy, zachowywałem się jak palant.

Co, do kurwy, ja tu robię?

Powieka mi drga. Od dwóch dni tak mam. Alana mówiła, że pokazała Mac mój wpis, ale nie rozwodziła się nad jej reakcją, tylko powiedziała, że Mac nie wyrzuciła telefonu na ulicę. Minęła godzina, prosiłem o spotkanie o osiemnastej, a z każdą mijającą sekundą moja nadzieja gaśnie. Wbiłem sobie do głowy, że plan na pewno się uda. Mac zobaczy moją szczerość i troskę, po czym, rzecz jasna, przebaczy mi.

To był głupi pomysł. Dlaczego wydawało mi się, że otworenie serca na stronie stworzonej przez nią do piętnowania kretynów takich jak ja okaże się romantycznym gestem? Jestem żaloszny. Może gdybym pobiegł za nią tamtego wieczoru w czasie imprezy, nie stałbym teraz z mewami krążącymi nad głową, jakby szykującymi się do ataku. Kopnięciem wyrzucam piasek w powietrze, żeby przypomnieć im, jakie miejsce zajmują w łańcuchu pokarmowym.

Piętnaście po siódmej.

Nie przyjdzie.

Może niestusznie się spodziewałem, że odzyskam ją jednym wielkim gestem, jednak nigdy nie przypuszczałem, że tak całkowicie mnie skreśli. Ta świadomość uderza mnie jak mocny cios prosto w klatkę piersiową. Latarnie na bulwarze się zapalają, słońce kryje się za budynkami miasta.

To koniec. Nie przyjdzie.

Pogodzony z losem odwracam się powoli w kierunku, z którego przyszedłem — i wtedy widzę samotną sylwetkę idącą w moją stronę.

Na widok zbliżającej się Mac wpadam w prawdziwą panikę. Dzieli mnie od niej tylko dziesięć metrów. Pięć. Mac wygląda olśniewająco, jej wysokie, szczupłe ciało otula niebieska suknia do kostek z dużym dekoltem w szpic. Nie zapomniałem ani jednego jej

piega czy też niebieskich plamek w głębi zielonych oczu, zmarszczenia przy ustach, kiedy wypowiada moje imię — ale jednak jej widok na żywo to jak wytarcie okna z kurzu.

— Myślałem, że nie przyjdiesz — odzywam się, próbując utrzymać panowanie nad sobą. Przekonałem ją, żeby przyszła. Teraz za nic nie chcę jej przestraszyć, chociaż całym sobą pragnę ją znów przytulić.

— Mało brakowało.

Mac zatrzymuje się o jakiś metr ode mnie. Ten metr wydaje się dystansem nie do pokonania. Dziwne, teraz trudniej mi ją odczytać niż wtedy, kiedy się poznaliśmy. Jest nieprzenikniona. Nie zdradza się ani jednym gestem czy spojrzeniem.

Mija zbyt długa chwila, kiedy gubię się całkowicie, wspominając jej włosy między moimi palcami; Mac zaczyna się niecierpliwić.

— No to... o co chodzi? — pyta.

Od wielu dni powtarzałem sobie to, co mam jej powiedzieć. Teraz stoję tutaj, a wszystko, co wymyśliłem, wydaje się stekiem cikliwych bzdur. Skręcam się w mękach.

— Szczerze mówiąc, jakkolwiek to powiem, wyjdzie mi kiepsko, więc po prostu to powiem... — Biorę głęboki oddech. *Teraz albo nigdy, dupku.* — Codziennie żałowałem, że brakło mi odwagi, by wyznać ci prawdę. Byłem głupi i samolubny, masz wszelkie powody, by mnie nienawidzić. Miałem jedynie czas, by przekonać cię, jak bardzo mi przykro i dlaczego powinnaś mnie przyjąć z powrotem, ale szczerze, nie mam innego dobrego powodu.

Mac odwraca wzrok; widzę, że ją tracę, wszystko idzie nie tak, ale już nie potrafię powstrzymać potoku słów wypływającego mi z ust.

— Chcę powiedzieć: wiem, że źle postąpiłem. Wiem, że zawiodłem twoje zaufanie, oszukałem cię. Nie doceniłem czegoś cennego, co zdobyłem. Ale, do cholery, Mac, jestem w tobie zakochany, dobija mnie świadomość, że jesteś niedaleko, lecz poza zasięgiem, chociaż w głębi duszy wiem, że jeśli mi pozwolisz, mogę dać ci szczęście. Byłem draniem, a chciałem, żebyś mnie pokochała, to nieuczciwe. Powinienem był odcierpieć to, że cię zraniłem. Kurwa, cierpię. Ale błagam cię, zlituj się i skróć moje męki. Nie umiem już żyć bez ciebie.

Zaczyna mi brakować tchu, usta wreszcie mi się zamykają, gdyż do mózgu z opóźnieniem dociera wiadomość: „Skończ, do cholery”. Mac ociera oczy; muszę się mocno opanować, żeby nie wyciągnąć rąk w jej stronę. Mijają sekundy oczekiwania na jej odpowiedź, potem zapada zimna, martwa cisza, kiedy ta odpowiedź nie nadchodzi.

— Chcę ci coś pokazać — wyrzucam z siebie pospiesznie, czując, że Mac zaraz odejdzie. — Przejdziesz się ze mną?

Mac nie jest skłonna do ustępstw.

— Po co?

— To niedaleko, ledwie minuta. Proszę.

Mac zastanawia się przez chwilę, moje nerwy niemal skręcają się z niecierpliwości. W końcu kiwa potakująco głową.

Wyciągam rękę, ale Mac rusza przodem.

Idziemy kawałek plażą, potem kieruję Mac na bulwar przed jej hotelem. Wciąż są to zaledwie puste mury, jednak gruz już wywieziono. Na resztkach werandy z widokiem na morze stoją dwa jednakowe fotele na biegunach. Na balustradzie migoczą świece.

Mac wstrzymuje oddech, po czym powoli odwraca się i patrzy mi w oczy. Odpowiadam żarliwym spojrzeniem.

— Co to? — pyta szeptem.

— Kiedy przywiozłaś mnie tu pierwszy raz, powiedziałaś, że wyobrażasz sobie gości siedzących tu w fotelach na biegunach, popijających wino, patrzących, jak fale rozbijają się o brzeg.

Mac patrzy na mnie, a w jej oczach lśnią tysiące maleńkich ogników latarni z bulwaru.

— Pamiętałaś... Niewiarygodne.

— Pamiętam każde słowo, które do mnie wypowiedziałaś.

Jej spojrzenie wędruje z powrotem na werandę. Czuję, jak Mac mięknie, znika sztywność jej postury.

— Mac, kiedy wyobrażam sobie przyszłość, widzę siebie na starość, siwego, siedzącego na werandzie w fotelu na biegunach, z tobą obok. To moje marzenie.

Przed nią nie wybiegałem w przyszłość dalej niż pięć lat — poza tym nigdy nie były to miłe wyobrażenia. Widziałem siebie z trudem zarabiającego na chleb, wyciągającego z życia absolutne minimum. Nigdy nie przypuszczałem, że ktoś może okazać się aż tak szalony, by mnie pokochać. A jednak Mac mnie pokochała — ja zaś ją skrzywdziłem.

— Nie mogę obiecać, że nigdy już niczego nie spieprzę — mówię z trudem, zdławionym głosem. — Nie mam zbyt wielu wzorców dobrych związków. Czasami za bardzo przejmuję się sobą, czasami nie potrafię się wyrwać z ponurych myśli. Ale mogę ci obiecać: postaram się być mężczyzną, na jakiego zasługujesz. Kimś, z kogo możesz być dumna. I nigdy już cię nie okłamię. — Głos z każdym słowem brzmi coraz bardziej ochryple. — Mac, proszę, wróć do domu. Jeśli nie mogę cię kochać, to sam nie wiem, kim jestem.

Mac wbija wzrok w swoje stopy i splata dłonie. Przygotowuję się na najgorsze, gdyż milczy przez długą chwilę, jednak w końcu bierze oddech.

— Złamałaś mi serce — mówi tak cicho, że lekki wiatr z łatwością uniósłby jej słowa

w dal. — Nikt dotąd tak bardzo mnie nie skrzywdził. Niełatwo zapomnieć o czymś takim, Cooper.

— Rozumiem. — Serce wali mi jak oszalałe; jeśli Mac się nie zgodzi, możliwe, że padnę na kolana.

— Musiałbyś mi obiecać coś innego.

— Powiedz tylko. — Gdyby mnie o to poprosiła, oddałbym jej nerkę.

Po ustach Mac przebiega lekki uśmiezek.

— Musisz zacząć realizować moje czeki za czynsz.

Mózg mi się zacina, nie potrafi nadążyć. Mac uśmiecha się szerzej, łapie mnie za przód koszuli i zbliża moje usta do swoich. Zalany ulgą unoszę ją, oplątam sobie jej nogi wokół bioder i całuję tak, że obojgu nam zaczyna brakować tchu. Nigdy jeszcze nie całowałem tak namiętnie i z takim przekonaniem. Nigdy nie czułem tak wielkiej potrzeby, by znów trzymać Mac w ramionach.

— Kocham cię — mruczę z ustami przy jej ustach. Samo wypowiedzenie tych słów wydaje się niewystarczające, a jednak chcę je wypowiedzieć jak najszybciej. — Tak bardzo...

Tym razem udało mi się o najcieńszy możliwy włos. Omal nie straciłem Mac i tego, co nas łączy.

Mac przylega do mnie i namiętnie oddaje pocałunki. Pierś wypełnia mi po brzegi miłość, nieskrępowana, najszczęśliwsza miłość, której, jak sądziłem, nie jestem w stanie odczuć. Znalazłem to, czego potrzebuję. Przez kilka ostatnich miesięcy sporo się o sobie nauczyłem, zwłaszcza tego, jak lepiej dbać o tych, których kocham.

Mac odsuwa się nieco ode mnie, jej przepiękne oczy patrzą prosto w moje.

— Też cię kocham — mówi ledwie dosłyszalnie.

W tej chwili przysięgam sobie: choćby miało to trwać całe życie, udowodnię tej dziewczynie, że nie oddała mi serca na próżno.

Podziękowania

Jak zaświadczą wszyscy moi znajomi, staroświeckie miasteczka nadmorskie od lat stanowią moją obsesję. Avalon Bay to miejsce fikcyjne, lecz łączy w sobie wszystkie ulubione elementy miejscowości nadmorskich, które odwiedzałam przez lata; zatopienie się w tym świecie sprawiło mi ogromną radość. Oczywiście nie udałoby mi się to wszystko bez wsparcia i ogólnie wspianiałości następujących osób: mojej agentki Kimberly Brower i redaktorki Eileen Rothschild, z ich zaraźliwym entuzjazmem dla całej historii, Lisy Bonvissuto, Christy Desir i całej odlotowej drużyny w SMP oraz Jonathana Busha, twórcy niewiarygodnej okładki!

Pomagali mi pierwsi czytelnicy i zaprzyjaźnieni pisarze, którzy ocenili książkę i napisali wspaniałe informacje na okładkę: Natasha i Nicole, najlepiej zorganizowane istoty ludzkie na planecie, wszyscy po kolei recenzenci, blogerzy, instagramowicze, ludzie z Booktokkera oraz czytelnicy, którzy dzielili się tą książką, wspierali ją i kochali.

Jak zawsze dziękuję mojej rodzinie i przyjaciołom za wyrozumiałość, kiedy zbliża się termin oddania książki do druku. Kocham was wszystkich.